



Amfetamina

Stefania

Jagielnicka



Stefania Jagielnicka

Amfetamina

Rozdział 1

Wszystko dla kariery

Iza, w jedwabnym, amarantowym, lekkim szlafrocisku, siedziała na tarasie w bezpiecznym cieniu opuszczonej pasiastej markizy i popijała kawę. Była wyjątkowo urodziwą kobietą, obdarzoną piękną twarzą z ogromnymi malachitowymi oczyma, małym noskiem, dużymi ustami i burzą włosów w miodowym kolorze. Założywszy długie, zgrabne nogi jedna na drugą, otępiąłym wzrokiem patrzyła na klomby kwiatów w ogrodzie pieszczone słońcem. Po jej policzkach spływały łzy. Wsłuchiwała się w radosny świergot ptaków, jednak ich pogodne gaworzenie nie było w stanie jej pocieszyć.

Wtem rozległo się wołanie kukułki. Zawsze słuchała go z przyjemnością. Jednak tym razem pokręciła głową z dezaprobatą. Te cholerne samce nawołują biedne samiczki, zapładniają je i zostawiają bezradne wobec konieczności wybudowania gniazda i karmienia potomstwa, myślała z sarkazmem. Nie dziwota, że one podrzucają jaja do cudzych gniazd. Inne ptaki budują dla samic gniazdko, a potem wspólnie karmią pisklęta. Na przykład dzięcioł nawet, na zmianę z samicą, wysiaduje jajka... A swoją drogą straszne puszczałskie z tych kukułek – uśmiechnęła się przez łzy. Podobnie jak ja.

Ona była od nich mądrzejsza. W ogóle nie rodziła. Po pierwszej wpadce usunęła ciążę i zabezpieczyła się spiralą. Nigdy nie pragnęła dziecka. Palcami starła z policzków łzy i kontynuowała sprowokowane kukaniem rozmyślanie.

Co za bzdura z tym instynktem macierzyńskim, myślała z goryczą. Męczy się człowiek podczas ciąży, naraża się na straszliwe cierpienia w czasie porodu, a nawet ryzyko śmierci, potem wyrzeka się wszelkich przyjemności, nie sypia po nocach, boryka się z wychowywaniem dziecka, nawet na starość nie ma spokoju, bo musi niańczyć wnuki. Nie, to nie dla mnie.

Nie zazdrościła koleżankom satysfakcji z dorastających dzieci, gdyż wiedziała, jaką cenę za to płaciły. Tak samo nigdy nie chciała wyjść za mąż. Miała zbyt niezależny charakter, aby godzić się z ograniczeniami wynikającymi z małżeństwa. Oczywiście jako młoda dziewczyna marzyła o wielkiej miłości uwieńczonej ślubem w białej sukni, ale wybiła to sobie z głowy, gdy postanowiła zostać śpiewaczką operową.

Nagle rozplakała się na głos. Wciąż się okłamuję, myślała ze smutkiem. Gdybym wtedy nie usunęła ciąży, znalazłabym teraz oparcie w dorosłej córce lub synu... A tak... Jestem zupełnie sama... Inaczej potoczyłoby się moje życie, gdybym wyszła za Michała... Jestem bez serca. Zła, egoistyczna, rozwiązała. Liczy się dla mnie tylko kariera.

Wtem stanął przed nią jak żywy. Z twarzą wykrzywioną bólem. Taki, jakiego widziała po raz ostatni.

– Michał – wyszeptwała. – Ty jeden kochałeś mnie prawdziwie. Czy możesz mi wybaczyć?

– Nigdy ci nie wybaczę – usłyszała w myślach jego stłumiony głos. – Zabiłaś nasze dziecko... Do końca życia będę cię prześladował. Nigdy o mnie nie zapomnisz.

Bóg ci tego nie wybaczy.

– Wiem. Sama sobie nigdy nie wybaczę.

Obraz znikł. Przetarła oczy, zerwała się na równe nogi i wróciła do salonu. Dobrze się w nim czuła. Samodzielnie zaaranżowała to wnętrze. Pokój był duży, więc zmieściła w nim sporo mebli zapewniających komfortowy wypoczynek. Oprócz przepastnej kanapy i foteli stała tu jeszcze leżanka. Wystrój salonu utrzymany był w jednorodnym, eleganckim francuskim stylu. Meble w kolorze kości słoniowej przyciągały wzrok wyrafinowanymi szczegółami, wygięciem nóżek foteli, falistym kształtem oparcia kanapy. Uwagę zwracały też starannie dobrane dekoracyjne drobiazgi, piękne tkaniny, a przede wszystkim delikatna kolorystyka. Poza obrazami nie było tu zbyt wielu barw. Za to całe bogactwo odcieni, co decydowało o urodzie wnętrza. Ściany były pomalowane w oliwkowo-beżowe pasy. Po obu stronach kanapy stały stoliki pomocnicze, a na nich wyeksponowane dekoracyjne bibeloty, które zakupiła w antykwariacie w Wiedniu. Motyw pasów ozdabiał też poduszki ułożone na leżance. Kanapa i fotele obite aksamitem o barwie zszarzałego bakłażana stanowiły jedyny mocniejszy kolorystycznie akcent. Afgański dywan w delikatnym oliwkowym kolorze w blade różowozielone wzory stwarzał przytulną atmosferę. Na oszklonej ścianie z drzwiami wychodzącymi na taras wisiały starannie udrapowane, różowe jedwabne zasłony i białe muślinowe firany. Przeciwległa ściana oklejona była połyskującą tapetą. Jej wzór – liście akantu – nawiązywał do motywów dekoracyjnych popularnych w okresie baroku. Całości dopełniały stylowe, połączone lampy. Całe to duże wnętrze ożywiały donice egzotycznych roślin: różnych rodzajów palm, kaktusów i ogromny fikus. Na dużym mozaikowym stoliku okolicznościowym stał półkolisty, kryształowy wazon, wypełniony niezliczoną ilością, zawsze świeżych szkarłatnych róż.

Fortepian, nuty, książki, CD i inne ważne w jej zawodzie rzeczy miała w innym pokoju, który nazywała muzycznym.

Wyjęła z barku butelkę koniaku, wlała do połowy kieliszka i łyknęła sporo. Usiadła na sofie, czując lekkie zamroczenie. Patrząc na wiszący na przeciwległej ścianie swój portret, namalowany przez Michała, pograżyła się we wspomnieniach.

Była wówczas początkującą śpiewaczką. Właśnie uśmiechnęło się do niej szczęście. Powierzono jej tytułową rolę w „Tosce”. Odniosła sukces. Po którymś z rzędu, gorąco oklaskiwanym spektaklu siedziała uszczęśliwiona w garderobie i ścierała z twarzy charakteryzację, gdy usłyszała delikatne pukanie.

– Proszę. – Ciekawa była nowego wielbiciela.

W drzwiach ukazał się... archanioł Michał. Młody mężczyzna miał niemal taką samą twarz, jaką niedawno widziała na fresku Bronzina w kaplicy Palazzo Vecchio we Florencji. Kręcone, jasne włosy o rdzawym odcieniu i rzymski profil. Promieniował jakimś wewnętrznym światłem, które przedostawało się przez jego jasne, wyraziste oczy. Bił z nich taki blask, jakby do pomieszczenia wdarł się nagle snop światła. W ręku jednak nie trzymał miecza, lecz ogromny bukiet jej ulubionych szkarłatnych róż.

– Nie przeszkadzam? – spytał ciepłym barytonem. – Chciałbym wręczyć pani te kwiaty jako wyraz uwielbienia. Od premiery, podczas której doznałem olśnienia, byłem na każdym przedstawieniu „Toski” i w końcu pozwoliłem sobie na ten skromny dowód oczarowania. Jestem malarzem. Marzę o tym, by namalować pani portret. Nazywam się Michał Potocki.

– Cha, cha, cha – roześmiała się ubawiona. – To dlatego skojarzył mi się pan w pierwszej chwili z archaniołem Michałem.

– Wiem, że jutro ma pani wolny wieczór. Chciałbym... – przerwał i uśmiechnął się przeproszająco. – Właściwie nie śmiem... zaprosić pani na kolację do Hotelu Francuskiego. Zamówiłem już stół. Proszę się zgodzić. – Złożył ręce w błagalnym geście.

Zmierzyła go od stóp do głów. Spodobał się jej. Miał na sobie granatowy garnitur

i białoniebieską koszulę z wykwintnym jedwabnym krawatem. Większość bywalców opery ubierała się starannie, ale jego rzeczy wyróżniały się wyszukaną elegancją. Świetnie skrojony z najwyższej jakości materiału garnitur idealnie na nim leżał, koszula i krawat były również w najlepszym gatunku. Nie wyglądał jak malarz epatujący artystycznym wyglądem, lecz czynił wrażenie arystokraty. Jego postawa, wyraz twarzy i gesty miały w sobie coś szlachetnego.

– Dziękuję. Przyjmuję zaproszenie – rzekła z czarującym uśmiechem.

– Uszczęśliwiła mnie pani. Zatem do jutra o dziewiętnastej w Hotelu Francuskim, jeśli odpowiada pani ta pora. – Jak najbardziej. Do jutra. Podała mu rękę, którą ucałował z szacunkiem.

Czekał na nią w hallu. Na przywitanie znowu ucałował jej dłoń i wprowadził ją do restauracji. Usiedli przy zarezerwowanym stoliku, na którym stał oryginalny bukiet składający się przeróżnych gatunków kwiatów.

– Te kwiaty to dla pani – uśmiechnął się do niej promiennie.

– Przepiękne! – Zachwyciła się, delikatnie dotykając płatków. – Ślicznie dziękuję. Sprawił mi pan nimi ogromną przyjemność.

Była oczarowana. Poczula się jak we śnie i podczas całej kolacji to uczucie jej nie opuszczało.

– Musiałem panią poznać – powiedział, ujmując jej dłoń. – Od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem panią na scenie, wciąż miałem przed oczyma pani twarz.

– Dziękuję. Jest pan bardzo miły. Cieszę się, że zrobiłam na panu takie wrażenie.

– Pozwoliłem sobie wcześniej zamówić menu, by zrobić pani niespodziankę – rzekł, patrząc jej niepewnie w oczy. – Mam nadzieję, że nie zawiedzie panią mój wybór.

Gdy kelner podał na wstępie zamówionego szampana, Iza zaproponowała mu bruderszaft. Z radością podjął tę propozycję. Wstał, ona również, skrzyżowali ramiona, on spojrzał jej wymownie w oczy i po upiciu trunku namiętnie pocałował. Poczula coś w rodzaju pełnego pożądania zawrotu głowy. Pomyślała, że chyba już tej nocy pójdzie z nim do łóżka.

W tym momencie pojawiły się na stole przystawki: pasztet z gęsi z jabłkami i sosem porzeczkowym, a także kozi ser przekładany burakami ze wstążkami z ogórka i francuskie białe wino. Zabrali się do jedzenia smakowitych potraw.

– Opowiedz mi coś o sobie. Pochodzisz z arystokratycznej rodziny, prawda? – spytała.

– Skąd wiesz?

– To widać.

– Co widać? Nie różnię się niczym szczególnym.

– O, mylisz się. To się od razu rzuca w oczy.

– Mój Boże – wzruszył ramionami. – Jakie to ma znaczenie? Jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wszyscy inni. Dziadkowie mieszkali w bloku, w małym mieszkaniu, ledwo wiązały koniec z końcem. Ojciec miał ze względu na pochodzenie trudności z dostaniem się na studia. Zanim mu się to udało, pracował na budowie. Dorobił się ciężką pracą i talentem. Jest wybitnym architektem, wygrywa międzynarodowe konkursy. A matka pochodzi ze skromnej rodziny. Jej rodzice oboje byli nauczycielami.

– Jednak... arystokrata to brzmi dumnie – zauważyła nieśmiało.

– Cha, cha, cha – roześmiał się Michał.

– Z czego się śmiejesz? Mówię poważnie.

– Właśnie przeczytałem świetną książkę pewnego polskiego arystokraty, w której zawarł on całkiem przeciwną tezę. Wprawdzie autor Andrew Tarnowski jest bardziej Brytyjczykiem niż Polakiem, ale zarówno jego osobiste wspomnienia, jak też opowieści rodzinne

sprawiają, że jego książka jest znakomitym dokumentem upadku polskiej magnaterii w XX stuleciu.

– A to ciekawe – zainteresowała się. – Opowiedz dokładniej, o czym jest ta książka.

– Opisuje wojenne i powojenne dzieje rodu Tarnowskich i stanowi gorzkie rozliczenie z arystokratycznymi mitami – mówił między jednym a drugim kęsem. – Jest to w zasadzie życiorys ojca autora, Stanisława – barwny i obyczajowo niejednoznaczny. Arystokraci są w tej książce przedstawieni jako normalni ludzie, którzy kochają, zdradzają, kłamią, sprzeniewierzają się swojemu etosowi. Ojciec autora nie był święty, ale niezależnie od wad i przywar uczynił sporo dobrego dla Polski. I co ciekawe, po wojnie jako jedyny z licznych arystokratów, którzy opuścili kraj wraz z jej wybuchem, podjął decyzję powrotu, choć uważany był przez komunistów za wroga.

Iza słuchała w skupieniu z ogromnym zainteresowaniem. Imponowało jej pochodzenie Michała. Przyprawiło o lekki zamęt w głowie. Po raz pierwszy w życiu poznała kogoś takiego.

– Inni nie wierzyli w zapewnienia komunistów – kontynuował – że każdy Polak powracający z zagranicy będzie mile widziany. Jednak Tarnowski przyjechał, i to nie z pustymi rękoma. Przywiózł ze sobą skarb, z którym się nie rozstawał – sztandar króla szwedzkiego Karola Gustawa z czasów potopu, by podarować go wawelskiej katedrze. Niestety, w Londynie potępiono go za ten czyn.

Potraktowano jego gest jako zdradę...

– Poczekaj – przerwała mu – przecież w Polsce pozostało wielu arystokratów, jak chociażby twoi dziadkowie, przeżyli lata okupacji i nie zamierzali opuszczać ojczyzny. Więc nie rozumiem, dlaczego powrót do ojczyzny miałby stanowić zdradę.

– Pozostali ci najodważniejsi, bo przynajmniej początkowo władze nie patyczkowały się z „panami”. Jednym przypisywano skłonności antypaństwowe, innym zaś kolaborację z Niemcami. Na przykład Janusz Radziwiłł po wybuchu wojny został aresztowany przez NKWD i trafił na Łubiankę. Chodziło o to, że w czterdziestym roku wyjechał do Berlina, by rozmawiać z marszałkiem Rzeszy Goeringiem o możliwości złagodzenia represji okupanta wobec Polaków. Dla komunistów było oczywiste, że kolaborował z faszystami. Po czterdziestym piątym znowu został zatrzymany, tym razem przez polską bezpiekę. Spędził w PRLowskim więzieniu kilka lat.

– Ale co się stało z Tarnowskim?

– Wyobraź sobie, że władze obeszły się z nim łagodnie. Dostał od państwa dwupokojowe mieszkanie na Mokotowie. Tylko wcześniej musiał się zrzec praw do pałacu Przebendowskich, imponującej rezydencji w samym centrum Warszawy. Pałac był zniszczony. To fakt. Władze go odbudowały. Ale czy to dobry interes oddać pałac za M3? Intencją władz było, aby budynek ten przestał się kojarzyć z arystokracją, ulokowano w nim Muzeum Lenina.

– Musisz przyznać – przerwała mu – że utrata arystokracji była wielką szkodą dla powojennej Polski.

Michał wzruszył lekceważąco ramionami.

– Nie da się powiedzieć o historii, że jest dobra bądź zła – zauważył filozoficznie. – Ona po prostu jest, jaka jest. Czasy się zmieniają i nie ma sensu żałować czegoś, co należy wyłącznie do przeszłości. Nie umiem – i nikt tego nie umie – odpowiedzieć na pytanie, czy Polska, w której arystokracja odgrywałaby znaczącą rolę, byłaby lepsza.

– Jednak dziś odzywają się arystokratyczne sentymenty – upierała się Iza. – Potomkowie sławnych rodów organizują zjazdy, a dzieci najbogatszych biznesmenów żenią się z arystokratami, bo to podnosi prestiż rodziny.

– Moim zdaniem, przy wyborze życiowego partnera należy się kierować zupełnie

innymi kryteriami niż pochodzenie. Można źle trafić i zmarnować sobie życie. Ważne jest to, co kto sobą reprezentuje, a nie jakie ma nazwisko. A co do tych, którzy podkreślają swoje arcyszlacheckie korzenie – to ich problem. Muszą sobie jakoś z nim poradzić... W małżeństwie należy wierzyć w te same rzeczy, mieć podobny system wartości. Trzeba w ten sam sposób postrzegać świat, mieć podobne ideały. Liczy się to, aby ten drugi człowiek, z którym się jest, był mądry i dobry. No i przede wszystkim, na pierwszym miejscu jest miłość! – Przy słowie „miłość” spojrzął jej wymownie w oczy.

– Ale nie powiesz mi chyba, że dla ciebie twoje pochodzenie nie ma żadnego znaczenia – wciąż się upierała.

– Coraz to mniejsze – zapewnił. – Kiedyś było inaczej. Dla pokolenia moich rodziców arystokrata był postacią niejako mityczną i jednocześnie opoką, na której opierała się cała nasza imponująca przeszłość, co wiedzieli chociażby z opowieści rodzinnych snutych w długie jesienne wieczory.

Iza przestała jeść, tak bardzo fascynowało ją to, co mówił. A on między jednym a drugim kęsem ciągnął dalej:

– Ja też niegdyś wierzyłem w arystokrację. W dzieciństwie była dla mnie świetlistą gwiazdą w szarości codziennego życia. Już samo słowo pachniało wiecznym słońcem, morską bryzą i wielką przeszłością. Była w nim swoista moc, która oparła się wszelkim uniformizującym zabiegom komunistów, ale też i baśń rozlana jak nektar na wszechobecnym szaleństwie świata... Uważać się za spadkobiercę arystokracji, naturalnie głównie duchowego, znaczyło mieć własną godność, co wpajano mi od małego. Być nade wszystko niezależnym w smakach i sądach...

Przerwał na chwilę, podziwiając piękną twarz zasluchanej kobiety.

– W naszym środowisku wierzono – ciągnął dalej – że mimo wielu zastrzeżeń, naród pozostawił arystokracji depozyt historycznej wielkości i że tylko z niego mogą czerpać przyszłe pokolenia. Wierzyliśmy, że polska arystokracja ocalała, że cierpi na obczyźnie, a także, tak jak my tu w kraju, w ukryciu, i że mimo chwilowej nieobecności w naszej codzienności, jest naszym ostatnim bastionem walki o normalność. Tym bardziej, że odczuwaliśmy wielką pustkę po inteligencji wymordowanej przez okupantów i własnych renegatów. Patrzyliśmy na obracaną wniwecz kulturę naszych pradziadów, dostrzegaliśmy widmo całkowitej utraty wartości spajających przez wieki naród. Bajaliśmy, że kiedy tylko nadarzy się możliwość, powróci nasz największy skarb narodowy, a wtedy – odetchniemy z ulgą. Nie do końca wierzyliśmy, że arystokracja polska powróci w chwale na białym koniu, ale wierzyliśmy zawsze mocno, że powróci. Otóż... nie powróciła. Po roku osiemdziesiątym dziewiątym nie tylko nie wróciła wyczekiwana od lat dawna Polska, nawet ta sprzed trzydziestego dziewiątego roku, ale też – i to jest znaczące – nie pojawiła się w tej niby nowej rzeczywistości ta warstwa, w której dziejowe posłannictwo tak mocno wierzyliśmy. Nie tyle w sensie nazwisk, co głównie w sensie działań. Na obczyźnie przetrwały nasze największe rody, te które przez wieki czerpały najwięcej dóbr z polskiego narodu. Jednak nie włączyły się w tak zwaną transformację. Czyżby były aż tak spauperyzowane, czy też... aż tak wynarodowione, że nic co rzeczywiście polskie nie jest im bliskie...? Przerwał, żując powoli kęs kuropatwy.

– Cóż – podjął po chwili – polityka przestała być domeną arystokracji, jej potomkowie najczęściej spełniają się w artystycznych zawodach, są też wśród nich naukowcy, niektórzy zajmują się biznesem. W Polsce są utożsamiający się z PiSem, Radiem Maryja, ale są też nastawieni lewicowo. Moja rodzina stała się politycznie neutralna. Owszem, interesujemy się polityką, ale w skali międzynarodowej.

Iza patrzyła w niego jak w obraz. Chłonęła każde jego słowo.

– Nie wiem – kontynuował – i szczerze powiem, że nie rozumiem albo nie chcę

zrozumieć, bo coraz częściej wydaje mi się teraz, że arystokratyzm jest tylko swoistą pozą. A może to tylko taka złudna figura retoryczna? Może nigdy nie było polskiej arystokracji?... Powiedz, jakie to może mieć znaczenie dla ciebie i dla mnie... To moje pochodzenie. Dajmy sobie z tym spokój – machnął ręką lekceważąco. – Porozmawiajmy lepiej o operze. Uwielbiam ten świat mocnych uczuć płynących wprost z serca. Wydaje mi się, że jeśli ktoś nie lubi opery, to nie zna prawdziwej miłości – zaczerwienił się w tym momencie jak panienka, zawstydzony tym, co powiedział.

– Zgadza się. Też tak uważam. Sądzę, że dlatego nigdy dotąd nie znalazłam prawdziwej miłości, bo nie trafiłam na kogoś takiego jak ty – rzekła bez skrępowania. – Od razu wyczułam w tobie to bogactwo, bo muzyka operowa obdarza nas skarbami wrażeń. Współczuję ludziom, dla których ten świat jest zamknięty. Są ubożsi o całe pokłady doznań, o poczucie szczęścia, które daje obcowanie z operą.

Spojrzała mu głęboko w oczy płomiennym wzrokiem, a on znowu spłonął rumieńcem. Był w siódmym niebie. Tak to sobie wymarzył. – Uszczęśliwiasz mnie – rzekł. – Moje pragnienie miłości też rozbijało się wiecznie o mur seksu bez uczucia.

– Powiedz mi, jaką operę lubisz najbardziej – spytała. – Właśnie „Toskę”.

– Należy ona również do moich ulubionych, chociaż najbliższe są mi opery francuskich kompozytorów Gounoda, Masseneta, Bizeta, Thomasa.

– O tak. To muzyka niezwykłej urody, sentymentalizm i patos najwyższej próby, w doskonałym guście. Francuzi mają świetne wyczucie dobrego smaku w każdej dziedzinie.

– Cieszę się, że podzielasz moje zdanie. Najbardziej lubię „Fausta” Gounoda. Może dlatego że była to pierwsza opera, którą zobaczyłam i potem całą noc nie spałam z wrażenia.

Zaczęli dyskutować o słynnych śpiewakach i ani słowa nie zamienili na temat smakowitych potraw, gdyż rozmowa pochłonęła ich całkowicie. Oddali się luźnej pogawędce, w której on sypał dykteryjkami. Raz po raz wybuchali radosnym śmiechem. W sercu Izy szalała burza uczuć pobudzających jej zmysły.

Gdy skończyli jeść, Michał spytał ją, czy zna Cage Kabaret i czy nie poszłaby z nim potańczyć. Marzył o tym, by dotknąć jej obnażonych pleców, przytulić się do niej, poczuć zapach jej włosów.

Nigdy tam nie była i chętnie zgodziła się na tańce. Przepęłniało ją poczucie szczęścia, gdy szli przez miasto, przytuleni do siebie. Kiedy ją objął, ciarki przeszły jej po plecach. Na rynku przystanęli na moment, podziwiając urok wyeksponowanych oświetleniem starych kamienic, a zwłaszcza niepowtarzalnych sylwetek bazyliki Mariackiej i Sukiennic. Chłonęli ekscytującą atmosferę wypełnionych po brzegi tarasów kawiarni, z których dochodził pomruk ściszonych rozmów i śmiechu tłumionego jakby w obawie, by nie prysł czar tego magicznego miejsca. Oboje bardzo je lubili.

Gdy znaleźli się w lokalu, Iza rozejrzała się ciekawie. W jednej z sal wisały na ścianie pastisze „Pocałunku”, „Dziewczyny w kwiatach” i słynnej „Judith” słynnego austriackiego malarza Gustawa Klimta. W sąsiedniej natomiast mieścił się portret jaśnie panującego cesarza Franciszka Józefa z jednej strony, a z drugiej roznieglizowane kokoty, które zachęcająco spoglądały z sufitu.

– Chciałem, żebyś poczuła się trochę jak w Wiedniu. To moje ulubione miasto. Jeżdżę czasami z rodzicami do tamtejszej opery – powiedział Michał.

– Ja też tam byłam parę razy. Marzę o tym, by kiedyś stanąć na jej deskach.

– Jestem przekonany, że spełni ci się to marzenie. Podoba ci się tu?

– Bardzo – powiedziała oczarowana atmosferą lokalu i towarzystwem. – Istotnie, odnoszę wrażenie, że jestem w Wiedniu.

Usiedli w kącie. Popijali szampana w milczeniu, wpatrzeni w siebie, wzajemnie sobą oczarowani. Czują, jak przez cały czas pytająco wwiercały się w nią jego jasne oczy. Kiedy ją spytał: „zatańczymy?“, jej „tak” znaczyło coś więcej. Taniec jej nie wystarczał. Był przedsmakiem bardziej namiętych uścisków.

Gdy objął ją na parkiecie, ogarnęło ją ciepło jego ciała, jak magnes przyciągającego ją podczas kolacji. Wtuliła się w jego ramiona, a on pochylił głowę i zbliżył usta do jej włosów. Dotyk jego dłoni napełniał ją błogością, a dotyk drugiej, obejmującej czule jej obnażone plecy, wywoływał dreszcz, który raz po raz przeszywał ją aż do stóp. Oboje byli wzruszeni. W jej oczach pojawiły się łzy szczęścia. Nigdy dotąd nie przypuszczała, że można doznać takiego oczarowania, że bliskość jakiegoś mężczyzny może być czymś tak cudownym. W niczyich ramionach nigdy dotąd nie czuła się tak bezpiecznie. Nie musieli przekrzykiwać muzyki, gdyż szeptał jej wprost do ucha, zbliżając następnie swoje ucho do jej warg, by usłyszeć odpowiedź. Ich serca płonęły jak dwie pochodnie. Nie istniał dla nich tłum rozochoconych, potracających ich par. Tańczyli do upadłego. Ich kroki zgadzały się idealnie, chociaż z wrażenia ugięły się pod nią nogi...

Przestała patrzeć na portret. Zamknęła oczy. Znajdowała się poza przestrzenią i czasem minionych dwudziestu lat. Rozpamiętywała tklivość jego palców nawet w przelotnym dotyku, jego mocne uściski, jego dłonie na swoich ramionach i plecach, gwałtowne usta szukające jej ust, gonitwę dzikich pocałunków, na policzkach, na szyi, na ramionach, na piersiach, na całym drżącym z rozkoszy ciele... Czują ogień jego gorących pieszczot, wypalonych na jej skórze, pocałunki wysysające z ust westchnienia i jęki, rozkosz żądz własnych warg, upojenie tą płomienną grą. W uszach jej brzmiały magiczne słowa, którymi obsypywał ją podczas ich cudownych nocy... Ogarnął ją żal za utraconym rajem. Poczwała pchnięcie w serce i otworzyła oczy.

To była miłość jej życia. Kochali się szalenie. On nosił ją na rękach, strzepywał pyłki spod jej stóp, spełniał wszystkie jej zachcianki i kaprysy. Pod wpływem jego uwielbienia kwitła jak kwiat pod wpływem słonecznych promieni. Rozwijiała się jako artystka. Stała się wielką gwiazdą. Wreszcie spełniło się jej największe marzenie. Podpisała roczny kontrakt na przyszły sezon ze słynną *Staatsoper* w Wiedniu. Gdy zaszła w ciążę, ogarnęła ją wściekłość. Wpadła w furję.

– Ty kanalio! – krzyczała przez telefon do Michała. – Dlaczego nie uważałeś?
– Zrobiłem to celowo – rzekł spokojnie. – Może teraz wreszcie zgodzisz się zostać moją żoną? Pobierzemy się, urodzisz dziecko i razem z nim wyjedziemy do Wiednia. – Jak mogłeś?! Usunę tę ciążę! – Trzasnęła słuchawką.

Natychmiast zjawił się u niej. Padł na kolana i zaczął ją całować po rękach.

– Błagam cię, nie rób tego. Będę zajmował się dzieckiem, ty tylko je urodzisz – przekonywał ją. – Tak wiele wybitnych śpiewaczek urodziło dzieci i nie przeszkodziło im to w karierze.

Odepchnęła go z krzykiem:

– Wyjdź! Nie chcę cię znać! Między nami wszystko skończone! Nie waż się mnie nachodzić! Nie pokazuj mi się na oczy!

Po dokonaniu aborcji nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia. Poczwała się wolna i zrelaksowana. Za rok miała wyjechać do Wiednia. Niby była szczęśliwa, jednak szalenie tęskniła za Michałem.

Niepotrzebnie z nim zerwałam, żałowała. Trzeba było przemilczeć ciążę i usunąć ją bez jego wiedzy. Przecież mogłam się domyślić jego reakcji. Muszę go przeprosić – postanowiła. Przecież go kocham. Nie wyobrażam sobie życia bez niego. Pobierzemy się i razem wyjedziemy

do Wiednia.

W tym samym dniu zadzwonił do niej jego brat i drżącym głosem powiadomił ją, że Michał popełnił samobójstwo. Ogarnęła ją szalona rozpacz, wybuchła płaczem i długo nie mogła się uspokoić. Teraz dopiero uświadomiła sobie w całej pełni, jak bardzo go kochała i jaka była z nim szczęśliwa. Szlochała przez cały wieczór, do późnych godzin nocnych, nie była w stanie utulić się w żalu. Wyrzuty sumienia ciążyły jej na sercu jak kamień. W końcu zażyła tabletkę nasenną, ponieważ nazajutrz miała przedstawienie.

Rano okazało się, że straciła głos. Zdarzyło się jej to wtedy po raz pierwszy. Wyszła z tego, lecz w przeddzień wyjazdu do Wiednia powtórzyło się. Pomyślała wówczas, że to kara za zniweczenie tej jedynej, prawdziwej miłości. Od tego czasu coraz częściej przeżywała depresję i utratę głosu.

Wizja Michała grożącego jej, że Bóg jej tego nie wybaczy, poruszyła ją do głębi. Patrzyła na namalowany jego ręką portret, a po policzkach znów zaczęły jej spływać łzy. Ponownie wyjęła z barku butelkę koniaku i wlała nieco do kieliszka. Upiła tylko, uspokoiła się i wyszła z nim na taras, gdyż wdzierające się do salonu poprzez gałęzie drzew słońce wyciągnęło ją na zewnątrz. Myśli jej powróciły do aktualnej sytuacji.

– Jak ten Przemek mógł mnie teraz opuścić? – szepnęła. – Ależ on jest podły!

Wyjęła z kieszeni szlafroka komórkę i nacisnęła dwójkę. Na ekraniku pojawiło się zdjęcie przystojnego, błękitnookiego blondyna z uśmiechem od ucha do ucha, ukazującym połyskujące białą zęby.

– Halo – odezwał się melodyjny męski tenor. – Jak się masz, Izuś?

– Fatalnie – odpowiedziała szeptem.

– A co powiedział foniatra?

– Struny są w dobrym stanie... Wiesz, myślałam, że je przeforsowałam, bo ostatnio tak dużo śpiewałam, że mogłam je po prostu nadwerężyć. Ale nie. Są w porządku... To twoja wina, że straciłam głos. Tak, tak, to przez ciebie.

– Przeze mnie, co ty opowiadasz? – Zdumiał się.

– Lekarz powiedział, że to jest związane z psychiką.

Gardło jest w porządku.

Rozpłakała się na głos.

– Przyjedź – wyszeptała przez łzy – błagam cię.

– Nie mogę. Wieczorem śpiewam w „Traviacie.” No nie płacz, proszę cię, to ci zaszkodzi – uspokajał ją.

– Jaka ona jest? – spytała z niepokojem. – Lepsza ode mnie, co? Wróżą jej wielką karierę.

– No... jest młoda – odrzekł lakonicznie, starając się ukryć podziw, jaki wzbudzała w nim nowa śpiewaczka, która zajęła miejsce Izy. – Nie obawiaj się. Ty jesteś niezastąpiona.

– W łóżku też? – spytała zaczepnie.

– Jak możesz mnie posądzać? Nikt nie jest w stanie zająć twojego miejsca w moim sercu – zapewnił ją gorliwie.

– Dlaczego kłamiesz? – syknęła zdenerwowana. – Wszyscy wiedzą, że z nią sypiasz. Zdobądź się wreszcie na odwagę i przestań mnie okłamywać.

W słuchawce zapadło milczenie.

– Kiedy przyjedziesz? – spytała błagalnym szeptem.

– Zadzwonię – odpowiedział oschle. – W tej chwili jeszcze nie wiem.

– Przyjedź dzisiaj po przedstawieniu – nalegała.

– Nie mogę. Naprawdę nie mogę. Zadzwonię jutro – wykręcił się i zakończył

rozmowę. – Całuję cię.

Z wściekłością wcisnęła komórkę z powrotem do kieszeni szlafroka.

– Świnia! – krzyknęła w myśli, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. – Od tygodnia wykręca się od spotkania.

A ja go teraz tak bardzo potrzebuję!

Wybuchła płaczem, zanosila się łkaniem. Po pewnym czasie wstała i wyszła do łazienki. Wyjęła z szafki tabletki uspokajające, przeszła z nimi do kuchni, gdzie zażyła dwie, popijając kawą, która od paru dni była jej jedynym posiłkiem, gdyż nie mogła nic przełknąć. Zupełnie straciła apetyt. Wsypywała zawsze do filiżanki trzy łyżeczki cukru, który dostarczał jej sporo kalorii.

Znów wyszła na taras, zabierając ze sobą dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą.

Muszę zadzwonić do Roberta, pomyślała zdesperowana.

Przyjaźniła się z nim i jego żoną, byli jej sąsiadami. Ich dom stał parę metrów dalej od jej parceli na Woli Justowskiej – malowniczej, prestiżowej dzielnicy Krakowa, położonej w pobliżu lasu. Nieraz już przeżywała depresję. To z tego powodu wciąż tkwiła w Polsce, choć miała zadatki na zrobienie światowej kariery. Jej partnerzy zmieniali się, angażowali się w innych teatrach operowych, niektórzy wyjeżdżali na Zachód. Pocieszała się coraz to młodszym kochankiem. Nie sposób było nie pójść w końcu do łóżka po ciewieczornym przeżywaniu na scenie wielkiej miłości. Za każdym razem wydawało się jej, że to jest ten jedyny, który zastąpi Michała. A gdy przenosił się na inną scenę, przeżywała depresję. Uśmiechnęła się krzywo, gdyż przyszło jej do głowy, że te biedne kukułki tak samo to przeżywają. Nie w głowie im wysiadywanie jajek, bo już słyszą następne zwodnicze kukanie zapowiadające kolejną miłość.

Dopiero Przemek wyrzekł się kariery na Zachodzie, mi mo paru propozycji, i pozostał dla niej w Krakowie. Nie była pewna, czy to właśnie on jest tym jedynym. Teraz jednak uświadomiła sobie, że nie może bez niego żyć.

Niepotrzebnie wpadłam w panikę, kiedy usłyszałam, jak ona śpiewa, rozmyślała. W dodatku taka młoda i ładna... Nie szkodzi – pocieszyła się – ona go wkrótce rzuci, odrzuci dokądś, a ja zostanę i Przemek wróci do mnie. Dalej będę śpiewała główne partie. Tylko... Jak długo jeszcze? Poczula, jak ze strachu cierpnie na niej skóra. Latka leca... Co ja będę robić na starość? Uczyć? Nie nadaję się do tego. A poza tym... zazdrościłabym swoim uczennicom talentu, a przede wszystkim młodości...

Ach – machnęła ręką – mam przed sobą jeszcze dobrych parę lat... Muszę się wreszcie zdecydować na związanie się z kimś węzłem małżeńskim. Nie mogę zostać sama do końca życia... Szkoda, że Przemek mnie porzucił. Byłby dobrym mężem. Właściwie miał tylko jedną wadę, tę samą, co inni jej kochankowie – nie był Michałem.

Do salonu weszła korpulentna, ładna blondynka w czarnej sukni i białym fartuszk.

–Pani Izo, zapraszam na obiad – powiedziała.

–Nie mam apetytu. Zabierz sobie jedzenie do domu.

–Znowu? Ależ – zachnęła się kobieta. – Musi pani wreszcie coś zjeść. Wczoraj nie zjadła pani kolacji, którą przygotowałam.

–Daj mi spokój. Idź już.

–Najpierw muszę wyprasować pani rzeczy.

–Dobrze, ale jak skończysz, to idź. Chcę być sama.

Rozdział 2

Ekstrawagancka przyjaciółka

Robert był psychiatrą. Nieraz pomagał jej podnieść się z depresji.

Nie chciała telefonować do kliniki, więc musiała poczekać, aż on wróci do domu, by móc z nim dłużej porozmawiać. Do tego czasu nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Zadzwoń do Kornelii – przyszło jej do głowy. Ona zawsze potrafi mnie pocieszyć i swoimi niesamowitymi pomysłami odwrócić uwagę od bolesnych problemów.

Kornelia mieszkała w pobliżu. Iza zaprzyjaźniła się z nią, ponieważ w swoim czasie kupowała u niej sukienki. Później ich znajomość się urwała, gdyż Kornelia zlikwidowała butik i wyjechała do Stanów, gdzie ponoć ukończyła studia malarskie. Po jej powrocie Iza spotykała się z nią od czasu do czasu, by poprawić sobie nastrój. Czuła się u niej jak w innym świecie, zrelaksowana panującym w jej salonie orientalnym nastrojem – tajemniczym i harmonijnym. Lubiała jego stylowe meble i cały wystrój łączący prostotę z elegancją. Z niezmienną przyjemnością rozglądała się po nim wciąż na nowo podczas rzadkich wizyt u artystki. Przede wszystkim podziwiała dwie oryginalne hinduskie szafy z palisandru, które stały przy frontowej ścianie. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełniona była półkami w odcieniu intensywnego różu. Przed oknem przy wyjściu do ogrodu stały egzotyczne drzewka bonsai i donice z pędami bambusa. Dywan w kwiaty i podobne poduszki na sofie wprowadzały do wnętrza miękkość. Papierowy abażur na lampie, też w drobne kwiatuszki, sprawiał, że subtelne światło stwarzało niezwykle klimat. W rogach wisiały dodatkowe światełka również w formie kwiatów. Ściany pomalowane były na piaskowy kolor, a na nich wisiały obrazy przedstawiające Buddę i jasne, orientalne pejzaże, emanujące medytacyjnym spokojem.

Kornelia stanowiła oryginalny egzemplarz nieco zwariowanej artystki. Mała, rezolutna osóbką z długimi szpakowatymi włosami nosiła suknie przypominające japońskie kimono. Była rozwiedziona, mieszkała z czterdziestoletnim synem, którego przez całe życie utrzymywała. Wprawdzie zdobył on tytuł doktora filozofii, ale nigdy jeszcze nie pracował. Był to wyjątkowo wysoki, wychudzony, milczący, zamknięty w sobie mężczyzna. Palił papierosa za papierosem i chyba z tego powodu miewał ataki kaszlu. W odróżnieniu od niego, Kornelii nie zamykały się usta. Miała mocne poczucie własnej wartości i wyjątkowości. Wiecznie była podekscytowana nowymi pomysłami, które z powodzeniem wprowadzała w życie. Wszystko się jej udawało.

– Wiesz, jestem chyba w czepku urodzona – powtarzała często.

Imponowała tym Izie, rozmowa z nią nastrajała ją pozytywnie. Pójdę do niej – postanowiła. – To mi dobrze zrobi.

Wyjęła z kieszeni komórkę i nacisnęła szóstkę.

– Witaj Izo, pewnie znowu straciłaś głos? – spytała artystka, nie dając jej dojść do słowa. – Tylko wtedy do mnie dzwonicz.

– A... faktycznie. Na domiar złego Przemek mnie porzucił – wykrztusiła z trudem.

– Nie przejmuj się. Znajdziesz sobie kogoś innego. Wiesz co, wpadnij do mnie.

Posiedzimy w ogrodzie.

Jakoś nie idzie mi dziś malowanie.

– Świetnie. Muszę się przed kimś wyzalić.

Weszła do sypialni. Zdjęła szlafrok. Na gołe ciało włożyła długą, przewiewną, jedwabną, błękitną sukienkę na ramiączkach, i bez makijażu udała się do artystki mieszkającej w pobliżu. Po drodze uspokoił ją zapach bzów i jaśminów, którym się rozkoszowała.

Gdy usiadły w ogrodzie przy stoliku, na którym stały napoje orzeźwiające, zielona, mrożona herbata i słodycze, Kornelia nie dała jej dość do słowa, tylko od razu zasypała ją lawiną słów.

– Dawno już się nie widziałyśmy. Wyobraź sobie, że ja w tym czasie byłam na Filipinach i ukończyłam kurs indyjskiej sztuki uzdrawiania prowadzony przez słynnego Mistrza Choa Kok Sui. Po powrocie do Polski zajęłam się organizowaniem terapeutycznych seminariów dla kobiet, które prowadzę we włoskiej Toskanii.

To coś dla ciebie.

Nowy sposób zbijania fortuny – skonstatowała w myśli Iza.

– Ręczę ci, że takie seminarium lepiej by ci pomogło pozbyć się stanów depresyjnych niż ten twój psychiatra. Teraz kiedy nie możesz śpiewać, koniecznie musisz wziąć udział w kolejnej sesji, która odbędzie się za tydzień.

– A na czym to polega? – zacięła się Iza.

– Stosuję rodzaj psychoterapii związanej w pewnej mierze z filozofią, którą zgłębiłam na kursie prowadzonym przez Mistrza Choa Kok Sui. Jest to wspaniała metoda, służąca, między innymi, do uwolnienia się od wszelkich zgubnych uzależnień. Prowadzę te seminaria wspólnie z pewną uzdrowicielką i terapeutką tańca we włoskiej Toskanii. Chodzi nam o uaktywnienie potencjału twórczego drzemającego w każdym człowieku. Za pomocą muzyki, tańca i sztuki wizualnej inspirujemy uczestniczki, wydobywając z nich na światło dzienne ich artystyczne predyspozycje. Stosujemy dowolnie improwizowany „Taniec pięciu rytmów”, wyzwalający cieleśnie i duchowo, stwarzający ekscytujące możliwości postrzegania i komunikacji. – Artystka wzniosła wzrok ku niebu. – Poprzez zapamiętałe, dynamiczne ćwiczenia osiągamy krok po kroku upragniony stan ekstazy, która stanowi podstawowy warunek kreatywności. Następnie oddajemy się malowaniu. Z ciekawością, odwagą i rozkoszą przeżywamy przygodę w świecie barw. Nurzamy się w czerwieni, bawimy się zielenią, tonimy w błękitcie, pławimy w żółci. Wszystkimi zmysłami chłonimy energię kolorów i odkrywamy, w jaki sposób wykorzystywać je do osiągania wewnętrznej harmonii i przekazywania na płótno naszych emocji.

Nie przemawiało to do Izy. Nigdy nie interesowało jej malowanie. Kiedy Kornelia zaczęła ją nachalnie namawiać do wzięcia udziału w seminarium, zdecydowanie odmówiła.

Czego też ludzie nie wymyślą, by zrobić innym wodę z mózgu i dobrze na tym zarobić, myślała z dezaprobatą.

– Wiesz, mnie to zupełnie nie interesuje – wzruszyła ramionami. – To mi z pewnością nie przywróci głosu.

– A ja ci mówię, że przywróci i nigdy już go nie stracisz – przekonywała ją Kornelia.

– Nie, to nie dla mnie. Ja... znajduję duchowość we wspaniałych mszach klasycznych kompozytorów wykonywanych w barokowych kościołach, w których śpiewam solowe partie.

Wstała z miejsca i zmierzając do wyjścia, rzekła:

– Pójdę już, bo muszę umówić się z psychiatrą.

– Poczekaj. Wpadnij kiedyś do Ludmiły. Przecież to niedaleko. To ci dobrze zrobi. Ona wciąż o ciebie pyta. Bardzo by chciała znowu spotkać się z tobą, ale nie ma śmiałości do

ciebie zadzwonić.

– Ale... nie mogę mówić – wyszeptwała. – Póki nie odzyskam głosu, nie ma o tym mowy.

– Nic nie będziesz musiała mówić. Ona cię na śmierć zagada.

– No dobrze, zastanowię się nad tym. Ale teraz już muszę iść. Zadzwonię.

Rozdział 3

Sam na sam z diabłem

– Słyszę, że znów straciłaś głos – z niepokojem stwierdził Robert. – Co ci powiedział foniatra?

– Jest bezradny – rzekła płaczącym szeptem. – Twierdzi, że to na tle nerwowym.

– A poza tym, co się dzieje? – pytał dalej.

– Umieram z rozpacz! – wysyczała. – Nic mnie nie interesuje. Snuję się po domu beczynnym. Nie mogę ani słuchać muzyki, ani czytać, ani oglądać telewizji. No nic, tylko chodzę z kąta w kąt i ryczę.

– To zrozumiałe w tej sytuacji – uspokoił ją. – Ale bywało gorzej. Przyjadę do ciebie jutro wieczorem, bo przez cały dzień będę zajęty.

Jego głos podziałał jak balsam na jej duszę. Wróciła na balkon. Pogрузzyła się w zamyśleniu, popijając kawę i słuchając śpiewu szpaków. Jej muzyczne ucho uwielbiało tę charakterystyczną dla nich serię melodyjnych pogwizdywań i ćwierków, powtarzających jeden wers wielokrotnie z krótkimi skrzekami i cichymi skrzypnięciami w tle. Uzupełniał je kontraltom drozd, derkacz wtórował klaskaniem, do tego dochodziły poćwierkiwania wróbelków i w ten sposób powstawała cała symfonia, przypominająca jej te Mozartowskie. Tylko wiosną można było rozkoszować się takimi koncertami. Później stawały się coraz rzadsze, by pod koniec lata umilknąć. Czasami tylko odzywał się jakiś poszczególny ptak. Jednak i na wiosnę miały tylko swoje określone pory koncertów. Najdonioślej śpiewały, gdy słońce zaczynało chować się za horyzont.

Ależ on ma przyjemny głos, ten Robert – rozmarzyła się. – To wspaniały człowiek. Taki spokojny, opanowany, niesamowicie inteligentny. A jaki przystojny – wyróciła oczyma z zachwyty. Po chwili je zamknęła.

Zobaczyła go wyraźnie z tym jego dobrotliwym spojrzeniem ciepłych piwnych oczu. Był szczupły, wysoki, ze szpakowatą czupryną, która wcale go nie postarzała, lecz dodawała uroku. Podkochiwała się w nim od lat, ale Przemek zajął jej serce niepodzielnie. A poza tym Robert był wiernym mężem.

Zapra gnęła posłuchać muzyki. Wróciła do pokoju, włączyła odtwarzacz i ułożyła się wygodnie na sofie. Popłynęły dźwięki anielskiego głosu Marii Callas. Kochała tę kobietę. Nienawidziła Onassisa, który ją zniszczył. Nie mogła pogodzić się z faktem, że ta wielka artystka nie podźwignęła się z ciosu zadanego jej przez tego sk... bydlaka. Poprawiała się zawsze, gdy cisnęło się jej na usta jakieś słowo z rysztołkowego słownika jej matki.

Muszę się wziąć w garść – postanowiła. – Nie mogę dopuścić, by ten sk... nikczemnik – poprawiała się znowu – wykończył mnie tak, jak to zrobił Onassis z Callas. Całe szczęście, że nie jestem w ciąży, tak jak ona, kiedy kanalia ją rzucił... O nie! Dla mnie liczy się tylko opera. Jest dla mnie wszystkim. Zapomnę o Przemku, pocieszę się innym kochankiem. Może nawet wyjdę wreszcie za mąż. Czas najwyższy.

Pod pewnym względem była podobna do wielkiej śpiewaczki. Tak samo jak ona nienawidziła swej matki. Głównie za to, że – jak sądziła – obrzydziła życie ojcu. Opuścił je, gdy

Iza miała cztery lata. Po rozwodzie założył nową rodzinę i wyjechał z Krakowa, nie wiadomo dokąd. Nie dawał znaku życia ani nie przysyłał alimentów. Była to wielka rana w sercu Izy, która wciąż miała nadzieję, że pewnego dnia ojciec zjawi się w jej garderobie i pogratuluje jej kariery... Nie mogła też zaakceptować faktu, że taka wulgarna kobieta, jak jej matka, urodziła tak subtelną i piękną istotę jak ona. Tak wspinała artystkę, uwielbianą przez tłumy miłośników opery. Chociaż i urodę, i głos odziedziczyła po matce, ta jednak stopniowo zmieniała się w otyłe babsko z siwymi kosmykami, z pomarszczoną gębą, z podbródkiem zlewającym się z pofałdowaną szyją. Najgorsze, że wiecznie była zła, naburmuszona. „Cholera jasna! Szlag by to trafił!”. Te dwa przekleństwa i inne wulgarne słowa spływały z jej ust niczym deszcz z rynny i wypłukiwały jej młodzieńczą radość życia. Prześladowały ją nieustannie i cisnęły się również na jej usta, gdy była sama. Brzydziła się wówczas sobą, zdawało się jej, że ta kobieta siedzi w jej mózgu. Nie była w stanie uwolnić się od niej. Czasami odnosiła wrażenie, że matka opanowała całkowicie jej świadomość. Wciąż słyszała jej ochrypy od papierosów głos: „Chodź tutaj, Józka”. W szkole rzucała się z pięściami, gdy ktoś tak się do niej zwracał. Kazała nazywać siebie „Izą”. Nienawidziła tego imienia. Zmieniła je na Izabela. Nigdy jednak – w odróżnieniu od Callas – nie zdradziła się przed nikim z obrzydzenia do matki. Nie odwiedzała jej wprawdzie, ale wysyłała jej pieniądze.

Przejmująca aria z „Toski” oderwała ją od tych przykrych wspomnień. Powróciła do marzenia o pięknym psychiatrze. Przypomniała sobie przyjęcie, które wydała po premierze „Otella”. Kiedy goście wyszli, zdjęła suknię i na gołe ciało włożyła przezroczysty peniuar. Nagle odezwał się telefon. Dzwonił Robert. Spytał ją, czy mógłby wrócić po komórkę żony, która zostawiła ją gdzieś w salonie.

Zjawił się natychmiast. Gdy stanęła przed nim w drzwiach, zupełnie naga pod prześwitującym peniurem, w obojgu wybuchła nagle burza zmysłów. Padli sobie w ramiona pod wpływem zwierzęcego wprost instynktu, który nimi zawładnął. Przywarli do siebie i mężczyzna posiadał ją w mgnieniu oka, tak jak stała.

– Moje ty cudo! – krzyczał.

Kiedy opadli na sofę, oboje opamiętali się i odczuli zażenowanie.

– Wybacz, przepraszam cię, Izeczko, bardzo cię przepraszam – wyszeptał.

Wciągnął spodnie, a ona szybko podała mu komórkę jego żony, która leżała obok na stoliku.

– Nic się nie stało – uspokoiła go. – To nie nasza wina, to było jakieś chwilowe... Za dużo wypiliśmy. Zapomnijmy o tym.

Jednak długo dręczyły ją wyrzuty sumienia, że zdradziła wiernego Przemka, który leżał wówczas w szpitalu po wycięciu wyrostka.

Wracała nieraz w myślach do tego szalonego momentu i czuła, że nieprzytomnie pożąda Roberta. Ów epizod ekscytował ją tym bardziej, iż psychiatra stanowił uosobienie powściągliwości i opanowania. Dumna była ze swego ciała, które rozpałiło tego zimnego mężczyznę.

Gdy płyta się skończyła, weszła do jasnej sypialni z białymi meblami w stylu empire i stanęła przed dużym lustrem, by przyrzeć się sobie. Czyniła to często, śledząc z zafascynowaniem wszelkie zmiany w wyglądzie. Musiała być wiecznie piękna i młoda, nie znosiła brzydoty związanej ze starością. Nienawidziła wszelkiej brzydoty: w ludziach, w otoczeniu, w muzyce, w sztuce. Starła się jej unikać. Dlatego też tak bardzo raniły ją brzydkie słowa wciśnięte do jej świadomości przez matkę. Treść jej życia stanowiły estetyczne wzruszenia. Przypisywała im ogromne znaczenie. Uszczęśliwiała ją przekazywanie wzniosłych stanów emocjonalnych na scenie operowej i piękno belcanta.

Zdjęła sukienkę. Z zadowoleniem przyglądała się w lustrze swojej idealnej sylwetce. Jej zachowanie wymagało wiele wysiłku i dyscypliny, ale efekt był wspaniały: płaski brzuch, jędrne ciało, idealna muskulatura. Natura obdarzyła ją proporcjonalną figurą, niewielką głową, smukłą talią, idealnie wyrzeźbionymi piersiami, długimi nogami. Istna Wenus. Odwróciła się, by sprawdzić, jak wyglądają pośladki. Wciąż jeszcze były jędrne. Z przyjemnością pogładziła jedwabistą skórę na ramionach. Po czym usiadła na taborecie przed lustrem w toalecie i z uwagą przyjrzała się twarzy, która nawet bez makijażu wyglądała dobrze dzięki ciemnobrązowym, gęstym brwiom i rzęsom oraz naturalnym delikatnym rumieńcom. Wciąż jeszcze nie miała widocznych zmarszczek. Jednak jej największą ozdobą była burza naturalnie jasnych, długich włosów o ciepłym miodowym odcieniu.

No cóż, oczy zmniejszyły się nieco, lecz wciąż jeszcze lśnią jak dwa szmaragdy. Usta są już nie tak pełne i duże jak w młodości, ale... nadzwyczaj zmysłowe – skonstatowała z zadowoleniem.

Ten wspaniały wygląd zawdzięczała nie tylko wizytom w salonie kosmetycznym, lecz również żelaznej dyscyplinie, którą wdrożyła w wieku szesnastu lat i przestrzegała jej do tej pory. Co wieczór, nawet wówczas gdy wracała zmęczona po spektaklu, nie potrafiła zrezygnować z codziennego wieczornego rytuału. Brała prysznic, następnie nakładała krem na twarz, szyję i dłonie, robiła masaż i gimnastykę twarzy, a także wiele innych zabiegów pielęgnacyjnych. Jej pierwszy chłopiec podpatrzył u matki przetłumaczoną z francuskiego książkę „Bądź wiecznie piękną” i natychmiast kupił taką samą dla niej. Przestudiowała ją wówczas szczegółowo i wszystkie bez wyjątku zalecenia zastosowała. Poradnik zawierał wszechstronny zestaw sposobów na „bycie piękną” od stóp do głów. Żaden szczegół ciała nie został w nim pominięty. Znajdowały się w nim też wskazówki dotyczące ubioru i makijażu. Okazało się, że nawet na utrzymanie młodości istniały proste, naturalne sposoby, bez potrzeby uciekania się do najdroższych metod i środków, co zresztą również czyniła, gdy została diwą operową. Nigdy jednak nie rezygnowała ze swoich dawnych sposobów dbania o wygląd. Ze specjalnej gimnastyki, zapewniającej zgrabną figurę i joggingu. Jeden dzień w tygodniu poświęcała na dodatkowe zabiegi upiększające i dietę, wyłącznie owocową. Wdrożenie takiej żelaznej dyscypliny wymagało wiele poświęcenia, ale nagrodą był ładny i młody wygląd. Częste lustrowanie twarzy i figury wprowadzało ją w dobry nastrój, wzbudzało optymizm i nadzieję na dalsze, długie lata kariery.

Uśmiechnęła się, ukazując lśniące bielą zęby. Ten niepowtarzalny, uroczy uśmiech – zachwycała się sobą – rozjaśnia twarz niczym promień słońca. Przecież ja się w ogóle nie starzeję! To pocieszające – pomyślała z satysfakcją. Ale co z tego? Najważniejszy jest głos.

– Robert mi go przywróci – pocieszyła się scenicznym szeptem. – Nie ma sensu się zamartwiać.

Robert, Robert! – dudniło w jej mózgu. – To byłby dla mnie idealny mąż, stwierdziła oszołomiona tą myślą. Przemkowi daleko do niego. Przecież to szczeniak, pięć lat ode mnie młodszy. A Robert... W sam raz dla mnie. Cóż, jeśli chce się wyjść za mąż w moim wieku, to trzeba odbić męża innej kobiecie, bo wszyscy wartościowi mężczyźni są już zajęci... Boże, co też przychodzi mi do głowy, zmitygowała się.

Weszła do kuchni, znów zaparzyła kawę i z pełnym dzbankiem wyszła na taras. Na horyzoncie paliła się luna świadcząca o tym, że słońce jest jeszcze blisko, lecz zwiastowało to już nieuchronne zapadanie zmroku, chociaż wciąż jeszcze było dość jasno. Rozlegała się symfonia śpiewu ptaków gromko żegnających się przed udaniem się na spoczynek.

Iza pogrążyła się w ponurych rozważaniach. Zawsze wyobrażała sobie, że jest kimś szczególnym w oczach Boga. Obdarzył ją niezwykle urodą i wielkim talentem. Dlatego szatan

zagiął na nią parol. Dręczył ją depresjami, odbierał głos, aby uniemożliwić karierę wyznaczoną jej przez opatrzność.

Nagle opanowała ją ciemność i ujrzała zbliżającą się do niej czarną postać z narzuconą na ramiona czerwoną peleryną.

Dreszcz przerażenia wstrząsnął jej ciałem. Rozpoznała go od razu. To był diabeł. Wyglądał podobnie jak Mefisto w operze „Faust”, w której grała Małgorzatę. Z tą jedną różnicą, że miał ogromne rogi, których nie było w operowej inscenizacji.

Zawsze wczuwała się emocjonalnie w każdą rolę, utożsamiała się wręcz z odgrywaną postacią, lecz nigdy jeszcze do takiego stopnia jak z Małgorzatą z „Fausta”. Tak samo jak ona zakochała się w starym mędrцу Fauście, przemienionym przez diabła w pięknego młodzieńca, którego grał Przemek, niedawno zaangażowany w operze. Na co dzień nigdy nie był starannie ubrany, ale w białym kostiumie młodego Fausta wyglądał wykwintnie. Skojarzył się jej z Michałem. Gdy zaczął śpiewać swym aksamitnym tenorem: „Czy zechcesz przyjąć, piękna, młoda damo, usługi mego ramienia” i wziął ją pod rękę, zatkało ją z wrażenia. Z trudem wydobyła głos: „Jam nie dama ani piękna...”.

Podobnie jak operowa Małgorzata, panicznie bała się Mefista, szatana występującego w tej operze. Jeszcze dwa dni po premierze trzęsła się ze strachu i nie sypiała po nocach. Ten lęk przed diabłem stał się jej obsesją prześladowającą ją do końca życia.

– Jestem do usług – odezwał się basowym głosem i skłonił się, zamachnąwszy peleryną.

– Idź precz, szatanie! – syknęła szeptem. Zbladła, skuliła się w sobie, poczuła drżenie kolan, strach podszedł jej do gardła.

– Nie wypędzaj mnie, bo za chwilę tego pożałujesz – powiedział, prostując się dumnie i podnosząc głowę z monstrualnymi rogami. – Jestem w stanie przywrócić ci głos!

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Kłamiesz – szepnęła. – Nie masz takiej mocy. Odejdź, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

– To nieprawda, to ty się okłamujesz – rzekł z drwiącym uśmiechem. – Masz ze mną wiele wspólnego, bardzo wiele... Od dziecka byłaś ze mną. Zawsze kochałaś tylko siebie i nienawidziłaś wszystkich wokół. Nawet swoich kochanków nie potrafiłaś kochać...

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – przerwała mu. – Szalałam za każdym z nich.

– Właśnie, szalałaś, ale nie kochałaś, bo nie ma w tobie miłości, tak samo jak we mnie.

– Bzdura! – Zdenerwowała się. – Cała jestem miłością. Kocham wszystkich ludzi. Kocham swoją publiczność. Oddaję się jej całym ciałem i duszą. Gdy śpiewam, obejmuję ją miłosnym uściskiem. To dla niej dbam o urodę, o zdrowie. Dla niej znoszę wielogodzinne ćwiczenia i próby, znoszę cierpienia i wyrzeczenia.

– To nie jest miłość – pokręcił przecząco głową.

– Kocham muzykę, piękno natury, sztukę, poezję – ciągnęła dalej ze wzburzeniem, pomijając jego uwagę.

– Tak, tak – zauważył z ironią. – Najłatwiej jest kochać całą ludzkość, ale trudniej poszczególnego człowieka. Własnej matki nie kochasz. Brzydzisz się nią, brzydzisz się krewnymi, całym swoim dawnym otoczeniem. To dzięki mnie udało ci się wyrwać ze swojego środowiska. To dzięki mnie wciąż jesteś piękna. Czy nie dotarło jeszcze do ciebie, że po każdym świąństwie spotyka cię nagroda. Myślisz, że gdybyś nie usunęła ciąży, to zostałabyś tak wielką gwiazdą? Wszystko dostałaś ode mnie. Tak samo w każdej chwili mogę ci przywrócić głos. Ale musisz mi się bez reszty oddać, musisz wyrzucić z serca Boga!

– Nie mogę – wyszeptwała, czując, jak oblewa ją zimny pot. – Kiedy śpiewam oratoria i msze, zwłaszcza w gotyckich czy barokowych kościołach, w ogóle kiedy śpiewam, jestem z nim, a nie z tobą...

– Czasami jesteś ze mną – przerwał jej diabeł. – Myślisz, że beze mnie byłabyś na przykład dobrą Lady Macbeth?

– Co ty pleciesz?! – krzyknęła, zupełnie już nie odczuwając lęku. – Teraz jesteś ze mną i dlatego straciłam głos.

– O, to nie moja wina! – zaprzeczył gorliwie. – To ten twój Bóg tak cię urządził – przekonywał ją przewrotnie. – Dopadł cię w ostatnim akcie, kiedy jako Małgorzata żarliwie błagałaś go o przebaczenie. Wybaczył ci grzechy, tak samo jak Małgorzacie, ale za pokutę zabrał ci głos. Ciesz się, że tylko głos, a nie – tak jak jej – życie... Sama widzisz, że lepiej nie mieć z nim do czynienia – sączył do jej duszy zwątpienie.

– Ależ Bóg zabrał ją do nieba – zaoponowała – obdarzył ją największym szczęściem. Szczęściem wiecznym... On nigdy by mi nie zabrał głosu – pokręciła głową z przekonaniem. – To twoja sprawka.

– Co ty opowiadasz?! – oburzył się. – Ja? To on. Zabrał co swoje. Obdarzył cię wspaniałym głosem i... zabrał go sobie z powrotem – kpił sobie z niej. – Miał do tego prawo... Bez cierpienia nie ma szczęścia. Przecież wiesz, co wycierpiała Małgorzata, zanim osiągnęła to – wyduła pogardliwie wargi – szczęście wieczne. Sam Chrystus ukazał wam i otworzył dla was, ludzi, taką drogę do szczęścia, dobrowolnie i z pokorą przyjmując cierpienie. Jeżeli Bóg nie oszczędził go nawet swojemu Synowi, ba – zesłał je na niego...

– Znowu kłamiesz! – przerwała mu gwałtownie – to nie Bóg, a opętani przez ciebie ludzie ukrzyżowali Chrystusa. Nasz niebieski Ojciec zaplanował dla nas drogę dobra, piękna, miłości i prawdy. Drogę najwyższych wartości, nieskażoną chorobą, złem, szpetotą, nienawiścią i kłamstwem. On chce, żebyśmy już tu na ziemi byli szczęśliwi. Ale ty mu wiecznie mieszasz szyki, sprowadzasz nas na swoją występłą drogę i wtrącasz w otchłań rozpaczy! – mówiła scenicznym szeptem.

– Uspokój się – przerwał jej z kpiącym uśmiechem. – Przecież nie sposób przejść przez życie bez cierpienia – przedrzeźniał księdza wygłaszającego kazanie. – Nie można bez niego osiągnąć szczęścia. Perła rodzi się w bólu. Powstaje, gdy ziarnko piasku rani ciało małży. Najwspanialsze dzieła, ba, wszystko co wartościowe, wszystko co przetrwało próbę czasu, wszystko co chlubnie wpisało się w dziejach ludzkości, zrodziło się w cierpieniu.

– I mnie to mówisz? – Pokiwała głową. – Czy ty w ogóle wiesz, ile pracy, ile samozaparcia i wyrzeczeń kosztowało mnie i wciąż kosztuje wykonywanie mojego zawodu? Jak wiele już w życiu wycierpiałam?

– Widocznie za mało, by osiągnąć szczęście wieczne – rozłożył bezradnie ręce. – Naprawdę radzę ci: zapomnij o Bogu, bo on potrafi tylko zsyłać cierpienia. No przecież widzisz, jaką straszną zadał ci pokutę.

– Niech ci będzie – zgodziła się nieoczekiwanie – ale jak skończy się ta pokuta, znowu będę śpiewała.

– Nie na tym świecie. W niebie będziesz śpiewała – rzekł z ironią. – Możesz mi wierzyć. Na tym świecie ja rządę i tylko ja mogę ci przywrócić głos – spojrzał na nią triumfalnie wzrokiem bazyliuszka, pod wpływem którego jej ciałem znowu wstrząsnął dreszcz.

– Teraz się zdradziłeś, ty kłamco – syknęła z wściekłością – że to ty odebrałeś mi głos, żeby zmusić mnie do całkowitego poddania się twojej woli. Nie możesz znieść tego, że kiedy śpiewam, to jestem zjednoczona z Bogiem.

– Cha, cha, cha – zaśmiał się potwór swym przeraźliwym basem, zupełnie tak samo

jak Mefisto w „Fauście”. – Na tym świecie ja rządę – powtórzył – mało masz na to dowodów? Zastanów się chociażby nad sobą. Myślisz tylko o sobie i swojej karierze, nienawidzisz własnej matki...

– Bzdura! – przerwała mu. – Kocham ją na swój sposób. Posyłam jej regularnie pieniądze...

– Usunęłaś ciężę – ciągnął diabeł. – Masz na sumieniu samobójstwo kochanka... Czy mam ci coś więcej przypomnieć?

– Milcz! – syknęła i rozplakała się. – Właśnie dlatego nie zrobiłam światowej kariery – szeptała przez łzy. – Sam się przyznajesz, że to wszystko twoja sprawka. To całe zło, które siedzi we mnie. Przez ciebie jestem samotna. Przez ciebie nie mam ani męża, ani dzieci. Przez ciebie dręczą mnie depresje. I często odbierasz mi głos, bo wciąż ci mało...

– Chcesz odzyskać głos? Tak czy nie? – spytał rzeczowo.

– Nie jesteś w stanie mi go przywrócić!

– A jeśli ci udowodnię, że mogę? – Przeszył ją wzrokiem bazyliuszka.

Zawahała się. A może to wszystko prawda, co on mówi? Poczuli, jak na jej szyi zaciska się pętla. Może Bóg zniecierpliwił się, skarał mnie za grzechy i odtrącił już na zawsze? Może pozostał mi już tylko diabeł. I rzeczywiście tylko on może mi przywrócić głos? Jeżeli to prawda, zrobię wszystko, czego ode mnie zażąda.

– Nie wierzę ci – odezwała się niepewnie zdławionym szeptem, po dłuższym milczeniu, usiłując uwolnić gardło z niewidzialnej pętli. – Kłamiesz. Wiem, że odzyskam głos, jak się ode mnie odczepisz. Daj mi wreszcie święty spokój! Odejdź!

Czarna postać zwiesiła głowę, sięgając rogamami do ziemi, po czym zaczęła się powoli oddalać.

– Odchodzę – rzekła cichym głosem – ale wiem, że niedługo sama mnie wezwiesz. Przecież tym razem zjawilem się na twoje życzenie pod wpływem tego, co postanowiłaś zrobić z Robertem.

Głos oddalał się, aż w końcu zamilkł i postać znikła, a wraz z jej zniknięciem znów zrobiło się jasno. Iza patrzyła szeroko rozwartymi oczyma na krzaki róż, na drzewo, po którym wspinała się wiewiórka. Odetchnęła z ulgą.

Odszedł!

Po chwili jednak ogarnął ją obezwładniający lęk. Powiedział, że wróci... To straszne. Ta moja wyobraźnia mnie wykończy – myślała w panice. Na Boga, co to było? Słyszałam głos diabła i... widziałam go! To przecież halucynacje! Chyba... zwariowałam.

Tej nocy obezwładniona lękiem nie zmrużyła oka. Serce waliło jej w piersi jak młot, całe ciało złane było potem, lecz nie mogła zdobyć się na to, by wstać z łóżka i odświeżyć się prysznicem. W uszach jej brzmiał głos diabła, powtarzający nieustannie:

Masz ze mną wiele wspólnego, bardzo wiele... Od dziecka byłaś ze mną...

Rozdział 4

Burza zmysłów

Siedzieli naprzeciw siebie w jej przytulnym salonie. Piękna kobieta w liliowej obcisłej sukni z dużym dekoltem. Przystojny szpakowaty mężczyzna w bawełnianym szarym garniturze i różowej koszuli. Chociaż dobrze znał ten dom, z przyjemnością rozglądał się po pokoju. Podobnie jak jego właścicielka, wszystko było tu piękne: meble, obrazy, witryny pełne rosenthalowskiej ceramiki, porcelany, bibelotów i różnych pamiątek, ogromne donice z egzotycznymi roślinami.

– To tylko sen – uspokajał ją Robert. – Musiałś się zdrzemnąć, pewnie źle spałaś w nocy.

– Naprawdę tak sądzisz? – spytała z nadzieją. – Istotnie, nie sypiam ostatnio zbyt dobrze... Więc to nie były halucynacje? Nie jestem chora psychicznie?

– Skądże! Jesteś tylko nadzwyczaj wrażliwa. Dzięki temu potrafisz przekazać swoim śpiewem wszelkie uczucia, poruszyć, wzruszyć. Ale płacisz za to ogromną cenę. Patos, egzaltacja i inne emocje przeżywane na scenie przenoszą się do twojego życia, rujnując twoją psychikę. Poza tym... Masz piękny głos, ale nie największy. Musiałś go przeforsować i dlatego odmówił ci posłuszeństwa. A z tego powodu wpadłaś w depresję i stąd te... przywidzenia.

Patrzył na nią z upodobaniem. Była taka piękna, subtelna. Malujący się w jej oczach lęk dodawał uroku jej fascynującej twarzy.

– Jesteś uosobieniem rozmachu, koloru, temperamentu, smaku życia – mówił z niespotykaną u niego egzaltacją. – Kiedy wchodzisz na scenę, liczysz się tylko ty. Ale... powtarzam: masz niezwykły głos, wyjątkowo piękny, jednak nie najmocniejszy. Powinnaś go oszczędzać. Wiecznie go forsujesz i w końcu... załamał się. Z pewnością ma to związek z psychiką, lecz przede wszystkim musisz wyleczyć struny głosowe. Udaj się do innego foniatry. A ja... zapiszę ci, jak zwykle, lek antydepresyjny i to wszystko.

Słuchała go z uwagą, patrzyła w jego łagodne, dobre oczy i czuła, że go... kocha. Tak, jego, nie tego podłego Przemka. Uświadomiła sobie dopiero w tej chwili, że zawsze go kochała, lecz nigdy dotąd nie miała odwagi przyznać się do tego, gdyż przyjaźniła się z jego żoną. Zresztą... on był idealnym mężem, czego z całego serca jej zazdrościła. Nieoczekiwanie znowu przyszła jej do głowy ta zdrotna myśl:

„Jeśli chce się wyjść za mąż w moim wieku, to trzeba odbić męża innej kobiecie, bo wszyscy atrakcyjni mężczyźni są już żonaci.”

Złękła się tej myśli. To znowu ten kusiciel – pomyślała strwożona.

– Nie – pokręciła przecząco głową. – Foniatra jest bezradny. Doradził mi, bym poszła do psychoterapeuty. Tylko ty mi możesz pomóc. To nie był sen. Ja naprawdę miałam halucynację. Diabeł mnie przez całe życie prześladowuje, od czasu do czasu odbiera mi głos – mówiła gorączkowo przejmującym szeptem.

– Jeśli to nie był sen, to w twoim przypadku trudno nazwać tę wizję halucynacją. Jesteś artystką. Diabeł stanowi reminiscencję religijnego wychowania, uosobienie wyrzutów wrażliwego sumienia. Możliwe, że to one spowodowały załamanie głosu. Z pewnością wpłynął

też na to lęk przed utratą wybitnej pozycji w teatrze i kochanka. Przeraziłaś się tej młodej śpiewaczki. Zupełnie niepotrzebnie. Jeśli ci tak bardzo zależy na Przemku, to gdy wyjdiesz z depresji, z pewnością znajdziesz sposób, by go odzyskać. A na scenie jesteś niezastąpiona.

Łyknął nieco kawy. Zamyślił się przez dłuższą chwilę, po czym dodał:

– Masz tak bogatą i skomplikowaną osobowość, że może być wiele psychicznych przyczyn utraty głosu. To jest podobnie jak w programie komputerowym, który się zapętlil...

Znowu przerwał i długo zastanawiał się, zanim znów się odezwał:

– My, psychiatrzy, wierzymy głównie w chemię, w leki. Jednak w twoim przypadku jest to ryzykowne. Jeśli inny mój pacjent przeżywa takie skrajne stany euforii i depresji, zapisuję mu leki stosowane w psychozie maniakalno-depresyjnej. Tobie też mógłbym zalecić jeden z nich, ale wtedy przestałabyś być tak wspaniałą artystką.

– Może jednak taki lek by mi pomógł? – spytała niepewnie. – Bo... – umilkła, zastanawiając się, czy mu to powiedzieć.

– Musisz mi wszystko wyznać, jak na spowiedzi – zachęcił ją. – Czy to coś wstydliwego?

Podniosła na niego oczy i nabrała odwagi.

– Wiesz, nigdy ci o tym nie wspomniałam, ale... już przedtem miewałam halucynacje. Zdawało mi się, że jestem w niebie jednym z aniołów i byłam niewiarygodnie szczęśliwa.

– To nie były halucynacje – zapewnił ją. – Obrazy, symbole, mity nie są nieodpowiedzialnymi wybrykami psychiki, odpowiadają pewnej potrzebie i spełniają pewną funkcję, obnażają najszybsze modalności bytu. Mieć wyobraźnię taką jak ty, znaczy korzystać z bogactwa wewnętrznego, z nieustającego, spontanicznego potoku obrazów... To znaczy widzieć świat w jego pełni, gdyż moc i zadanie obrazów polega na tym, aby ukazywać to wszystko, co wymyka się konceptualizacji. Wartościowe, samorealizujące się jednostki charakteryzują się głębokimi doznaniem mistycznymi. Znajdują się wśród nich zarówno ludzie współcześnie żyjący, jak i postacie historyczne, na przykład: Lincoln, Beethoven, Einstein i wielu innych wybitnych ludzi...

Psychiatra wpadł w zadumę. Patrzyła mu w oczy w napięciu.

– Czy wierzysz w Boga? – zaskoczył ją po pewnym czasie pytaniem.

– Tak – odpowiedziała z pełnym przekonaniem. – Jestem pewna, że od niego pochodzi całe piękno tego świata. Twórczość to nie jest tylko talent, natchnienie, to jest Boża interwencja, to nie człowiek, lecz on tworzy muzykę, dzieła sztuki. To on stworzył piękno natury i gotyckie katedry. Ja też nie umiałabym bez jego udziału tak wspaniale śpiewać. Czuję w sobie samej jego działanie. I wiem, że teraz nie mogę śpiewać, bo on mnie opuścił. Diabeł usunął go z mojego życia. Chyba już na zawsze – rzekła zrezygnowana, a po policzkach spłynęły jej łzy.

Patrzył na nią ze współczuciem, było mu jej ogromnie żal.

– Hmm, jeśli takie są twoje odczucia, to może pomógłby ci jakiś ksiądz? – wyraził przypuszczenie.

– W jaki sposób? – spytała zdumiona. – Nie chcesz mi chyba doradzić pójścia do spowiedzi – wzruszyła ramionami. – Nie sądzę, żeby mógł mi pomóc jakiś pocziwy księżulek?

– Są różni księża. Mądry ksiądz dałby ci rozgrzeszenie i w ten sposób uwolnił od wyrzutów sumienia, bo ta wizja z diabłem świadczy o tym, że sumienie nie daje ci spokoju. O ile wiem, istnieje w Krakowie duszpasterstwo artystyczne. Słyszałaś chyba o tym.

– Nie, moja wiara ma niewiele wspólnego z Kościołem katolickim jako instytucją. Zerwałam z nim już w okresie dojrzewania... Powiem ci dlaczego. Uważam, że cała liturgia powinna być jednym wielkim symbolem, niosącym w sobie rzeczywistość niewidzialnego piękna

Boga. Tylko wielcy artyści potrafili tak tworzyć dzieła sztuki sakralnej, że człowiek poprzez widzialne symbole dochodzi do rzeczywistości niewidzialnej. Tymczasem w moim miasteczku panował w kościele kicz i nieprzyjemna dla ucha muzyka, co nie spełniało w najmniejszym stopniu tej szczytnej roli. Księża wygłaszali prymitywne kazania. Zniechęciło mnie to raz na zawsze. Dlatego też moje kontakty z Kościołem ograniczają się do koncertów dawnej muzyki w pięknych świątyniach, w których uczestniczę jako solistka. Dla mnie... myślenie o Bogu staje się coraz bardziej związane z obrazami i symbolami, ze sztuką, literaturą i muzyką, wzbudzającymi uczucie czystej, idealnej miłości...

– To idź do psychoterapeuty, chociaż... poczekajmy, aż ustąpi depresja. Wychodziłaś z niej zawsze dość szybko. Zażywaj ten swój lek trzy razy dziennie. Zawsze ci pomagał. Całkiem możliwe, że wtedy odzyskasz głos. A poza tym... sama możesz sobie pomóc. Zrób rachunek sumienia i wybacź sobie wszystko, co ono ci wyrzuca.

– To nie jest takie proste – rzekła, patrząc mu w oczy.

– Wiem. – Pokiwał głową ze zrozumieniem. – Mnie też jest trudno uwolnić się od nich.

Zapadło milczenie. Oboje w tej chwili mieli na myśli to samo, chociaż ona o wiele więcej miała na sumieniu, ale on tego nie wiedział.

– A może wyjechałabyś gdzieś na parę dni? – odezwał się pierwszy. – Może...

– To nie wchodzi w rachubę – przerwała mu. – Nie jestem w stanie się pozbierać. Jestem obezwładniona rozpaczą.

– Po lekach przejdzie ci po paru dniach. I wtedy wyjedziesz. Mogłabyś odwiedzić matkę.

Nagle Iza rozplakała się, gwałtownie wstała z fotela, usiadła obok niego, po czym rzuciła mu się na szyję i przytuliła do jego piersi.

– Jestem wyrodną córką – wyszeptala, łkając.

Pogładził ją po głowie, po czym delikatnie uwolnił się z uścisku.

– Sama widzisz, że masz wyrzuty sumienia z powodu zaniedbania matki. Kontakt z matką jest najlepszym lekarstwem w każdej chorobie. Zadzwoń do niej, poproś, żeby do ciebie przyjechała.

– Nie mogę, nie znoszę jej – szlochała, siedząc obok niego na sofie. – Szatan mnie opętał. On mi już nie da spokoju. Wiecznie będzie mnie nachodził.

– Nie martw się – pocieszał ją. – Jeśli istotnie będzie ci się ukazywał diabeł, Bóg czy jakaś inna postać, to zapiszę ci odpowiedni lek i z tego też wyjdiesz. Jak nie chcesz wyjechać, to idź między ludzi, tutaj w Krakowie. Nie siedź sama w tym domu, bo to pogłębia depresję... A teraz dam ci zastrzyk na uspokojenie, bo jesteś niesamowicie roztrzęsiona... Nie pij tyle kawy – zwrócił jej nagle uwagę. To też ci szkodzi.

– Ależ ja się po kawie zawsze świetnie czuję.

– Proszę cię, postaraj się mniej jej pić. Co za dużo, to niezdrowo – rzekł.

Po zaaplikowaniu jej zastrzyku, pożegnał się.

*

Po jego wyjściu leżała na sofie zupełnie zobojętniała pod wpływem tego specyfiku. Słuchała swojego nagrania Mszy Koronacyjnej Mozarta. Modlitwa *Agnus Dei* wyrwała ją z otępienia. Zachwyciła się swą interpretacją, ogarnęły ją religijne uczucia.

– Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nade mną, biedną

grzesznicą. Uwolnij mnie od szatana – powtarzała w myśli. Nie dość, że odebrał mi głos, to jeszcze mnie kusi, bym uwiodła Roberta. Chce, żebym go odbiła jego żonie.

Nagle usłyszała w myśli głos matki:

– To ty chcesz go uwieść, podła szmato. Nie zwalaj wszy s tkiego na diabła. Sama jesteś diabłem!

– Nieprawda – zaoponowała. – Jestem aniołem. Tylko anioły potrafią tak śpiewać.

– Już nie potrafisz – odpowiedziała matka. – Skończyło się. Nigdy już nie będziesz śpiewała!

Wtem usłyszała inny głos, anielski:

– To nie jest twoja matka. Diabeł ją udaje. To on wciska ci do świadomości te wszystkie wulgarne słowa. Ona jest dobra, mądra, kocha ciebie. I ty ją kochasz, nienawidzisz diabła, który przybiera jej postać w twoich wspomnieniach.

Wstała z sofy, zaczęła nerwowo chodzić po pokoju, szepcząc rozpaczliwie:

– Zwariowałam. Słyszę głosy. Jestem schizofreniczką, jestem schizofreniczką, jestem schizofreniczką...

Wyłączyła muzykę i natychmiast zadzwoniła do Roberta:

– Błagam cię, przyjdź do mnie. Słyszę głosy. To nie są halucynacje, tak jak ta z diabłem, ale słyszę wyraźnie w mózgu głos matki i... anioła.

– Dobrze – odpowiedział spokojnym tonem – przyniosę ci tabletki. Tylko to trochę potrwa, bo muszę pojechać po nie do dyżurującej apteki.

Położyła się na sofie, gdyż zrobiło się jej ciemno przed oczyma. Jednak ciemność nie ustępowała i znów ujrzała jak zbliża się do niej Mefisto. Wyglądał tak samo jak za pierwszym razem: czarny kombinezon i czerwona peleryna. Jednak kiedy się do niej zbliżył i stanął przy sofie, okazało się, że jest to młody, piękny mężczyzna, ubrany na biało, wypisz, wymaluj odmłodzony operowy profesor Faust.

– Uspokój się, Izeczko – zaśpiewał tenorem Przemka. – Nie jesteś chora psychicznie. Jesteś artystką, masz dostęp do innego wymiaru rzeczywistości. Możesz teraz poznać tajemne siły rządzące tym światem i liczne możliwości ich wykorzystania do swoich celów. Nie chcesz nabyć zdolności nadzmysłowych, nadprzyrodzonych?

– Idź precz, szatanie! – krzyknęła, odzyskawszy głos.

I w tym momencie poczuła ulgę i radość z powodu jego odzyskania.

– Daj spokój. Przestań się mnie bać. Przecież kochasz piękno. Czyż nie jestem piękny?

– Jesteś – przytaknęła, obrzucając go pełnym podziwu spojrzeniem.

– Dowiesz się niedługo, co posiadałaś w swoim ogrodzie podświadomości – powiedział syrenim wręcz głosem. – Poznasz odmienne stany świadomości...

– Mnie to nie interesuje – pokręciła przecząco głową.

– Nie interesuje cię wzmocnienie afirmacji i przekazu, nie interesuje cię odzyskanie głosu? Ze mną możesz zrobić światową karierę.

– Naprawdę? – zawahała się.

Bardzo jej na tym zależało. Bardziej niż na czymkolwiek innym.

– Obiecuję ci to, a ja zawsze dotrzymuję słowa – śpiewał tenorem operowego Fausta.

Uwierzyła mu. Przecież przywrócił jej głos. Poczowała się niewiarygodnie szczęśliwa.

– No dobrze, ale jaką cenę musiałabym za to zapłacić? – spytała, drżąc z przejęcia.

– Porozmawiamy jeszcze o tym innym razem – rzekł stanowczo, przestając śpiewać. – Teraz zjawiłem się, by cię ostrzec przed zażywaniem jakichkolwiek tabletek.

Po nich wszystko stracisz, wszelkie nadzmysłowe zdolności i... przestaniesz być artystką. W tym momencie odezwał się domofon. Młodzieniec natychmiast zaczął się oddalać.

- Nie wolno ci zażywać żadnych tabletek. Pamiętaj!
- krzyknął na odchodne.

Znowu zrobiło się jasno, wstała z sofy i nacisnęła klawisz domofonu. Po chwili zjawił się Robert. Miał zaaferowaną minę.

- Usiądź – powiedziała pełnym głosem, władczym tonem. – Porozmawiajmy.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, zaskoczony tym, że odzyskała głos. Zajął miejsce na sofie, a ona usiadła obok niego tak blisko, że poczuł ciepło jej ciała i zapach perfum. Ogarnęło go niesamowite podniecenie. Przypomnił sobie swój szalony postępek po pamiętnym przyjęciu i przeraził się, że mogłoby się to powtórzyć. Ta scena śniła mu się po nocach. Myślał o niej, uprawiając seks z żoną. Odsunął się gwałtownie.

– Sądzę, że nie powinnam zażywać tych tabletek – rzekła zdecydowanie. – Jak widzisz wszystko mi już przeszło. Nie wyobrażasz sobie, jaka jestem szczęśliwa.

– Musisz je zażywać – powiedział stanowczo. – To jest Solian, świetny lek przeciw schizofrenii – straszliwej chorobie, przy której utrata głosu jest niczym. Nie będziesz mogła śpiewać, dopóki jej nie wyleczysz... Nie pij tyle tej kawy – zwrócił jej uwagę, widząc, że Iza napelnia kolejną filiżankę. – No i nie słódź jej tak mocno. To też jest szkodliwe.

– Sam mówiłeś, że nie jestem chora psychicznie, tylko nadzwyczaj wrażliwa – zaoponowała, pomijając jego uwagę i wsypując do kawy trzy łyżeczki cukru.

– Ale po zastanowieniu i po tym, co mi ostatnio opowiedziałaś przez telefon, zmieniłem zdanie. Masz typowe objawy schizofrenii. Nawet utrata głosu i jego nieoczekiwane odzyskanie świadczą o tym. Teraz... ogarnął cię stan maniakałny.

Nagle usłyszała głos diabła:

- Zrób to! – rozkazał.

Przysunęła się do Roberta i przytuliła do niego całym ciałem. Było to tak przyjemne, że on nie miał siły, żeby się odsunąć. Ona zaś błyskawicznie znalazła się na jego kolanach i zaczęła go namiętnie całować.

– Chcesz mieć znowu wyrzuty sumienia? – spytał stłumionym głosem, obezwładniony podnieceniem.

- Powiedziałeś, że należy się ich pozbyć – szepnęła.

- Nic złego nie robimy. Alina nigdy się o tym nie dowie.

Wstała z jego kolan i pociągnęła go za rękę.

- Chodź, chodź – kusila. – Przejdźmy do sypialni.

Jak zahipnotyzowany dał się zaprowadzić do jej ogromnego łóża.

Rozdział 5

W siódmym niebie

Po jego wyjściu leżała na wznak z zamkniętymi oczyma, słuchając głosu diabła, który szeptał jej do ucha:

– Musisz go owinąć wokół palca. Ma być na każde twoje zawołanie, kiedy tylko będziesz miała ochotę na seks. Nigdy jeszcze nie miałaś tak świetnego kochanka. Dzięki mnie...

Nagle oświdnęła ją płonąca chmura, jakby znalazła się w ogniu. Po chwili uświadomiła sobie, że światło to jest w niej samej. Ogarnęło ją uczucie triumfu i niezmiernej radości.

Wiem, że z tobą będę przenosiła góry – rozmawiała w myśli z diabłem. – W przyszłym sezonie zaangażuję mnie do La Scali. Potem będzie Wiedeń, Berlin, Zurych... Metropolitan Opera, wszystkie najlepsze sceny operowe. Objadę cały świat. I wszędzie zapewnisz mi wspaniałego kochanka. Co najmniej takiego jak Robert.

Całą noc spędziła na marzeniach. Widziała siebie we wszystkich możliwych sopranowych partiach, na najlepszych scenach operowych. Do rana nie zmrużyła oka.

Tylko nie zażywaj tabletek, bo do końca życia zostaniesz w Krakowie – kładł jej do uszu Mefisto.

Wstała z łóżka w południe. Mimo nieprzespanej nocy nie była śpiąca, wręcz przeciwnie, czuła się wspaniale. Nie miała ochoty na śniadanie, wypila tylko trzy filiżanki kawy. Ułożyła się w salonie na sofie i przez cały dzień słuchała swoich nagrań, wzruszając się do łez pięknym swojego głosu i interpretacji. Nie pomyślała nawet o kąpieli, od której zazwyczaj zaczynała dzień. Zaniedbała wszystkie pielęgnacyjne zabiegi.

– Jestem z ciebie dumny – powtarzał raz po raz szatan.

Wtem zadzwonił Robert.

– Jak się czujesz? – spytał stroskanym tonem.

– Wspaniale! – odpowiedziała.

– Nie słyszysz już głosów?

– Skądże – skłamała. – Jestem zupełnie zdrowa.

– To dzięki tabletkom. Tylko – broń Boże – nie przestań ich zażywać.

– Cha, cha, cha – roześmiała się ubawiona. – Wyrzuciłam je do śmieci. Pomyliłeś się z tą schizofrenią, mój miły.

– Na Boga! – przeraził się. – Co ty mówisz! Naprawdę nie zażyłaś ani jednej?

– Ani jednej – potwierdziła, śmiejąc się w dalszym ciągu.

– Obecnie przeżywasz stan maniakałny, ale niebawem wróci depresja, wrócą głosy, halucynacje i całkiem możliwe, że znowu stracisz głos – denerwował się.

– Uspokój się – powiedziała już poważnie. – Wpadnij do mnie teraz, co?

– Nigdy więcej już do ciebie nie przyjdę, chyba że z Aliną – rzekł stanowczo. – Zaslugujesz na coś więcej niż szybki numer, a ja nie mogę ci zapewnić nic więcej. – Kiedy mnie to bardzo odpowiada – zaśmiała się zmysłowo. – Przecież tobie też się podobało. Mógłbyś tak co dzień, po sąsiedzku, wpadać do mnie.

– Ty naprawdę jesteś poważnie chora. Bardzo mi przykro, że to wykorzystałem.

Bardzo cię przepraszam. A teraz słuchaj uważnie: jeszcze dzisiaj wrzucę ci do skrzynki na listy receptę. Musisz ją jutro wykupić i trzy razy dziennie zażywać te tabletki. To bardzo ważne. Im wcześniej zaczniesz je zażywać, tym lepiej...

– Zastanów się, czy naprawdę nie masz ochoty na taki szybki numer – przerwała mu – bo potem będziesz żałował – nalegała. – Jeśli przyjdiesz, zacznę zażywać te twoje tabletki, a jak nie, to wyrzucę receptę do śmieci – zagroziła.

– Izo, stwierdzam, że nie mogę być twoim lekarzem. Wrzucę ci też do skrzynki kartkę z telefonem innego psychiatry. Nic więcej nie mam ci do powiedzenia – zakończył rozmowę.

– Idiota! – krzyknęła z wściekłością.

Musisz go owinąć wokół palca. Ma być na każde twoje zawołanie, kiedy tylko będziesz miała ochotę na seks. Nigdy jeszcze nie miałaś tak świetnego kochanka – rozległ się w jej głowie głos szatana.

– Ludmiła! – krzyknęła w nagłym olśnieniu.

Ona wie, jak to zrobić – pomyślała. Ta prymitywna w gruncie rzeczy kobieta potrafiła zdobyć wspaniałego, bo ga te go mężczyznę.

Znalazła w stosie wizytówek jej numer telefonu i natychmiast zadzwoniła:

– Mówi Iza Koterba. Kornelia powiedziała mi, że chciałaby się pani ze mną spotkać.

– Cudownie! – ucieszyła się Ludmiła. – Naprawdę znalazłaby pani dla mnie czas?

– Jestem od paru dni niedysponowana głosowo, więc mogłabym do pani wpaść.

– Zapraszam na obiad. Zaraz powiem kucharzowi, żeby przygotował coś szczególnego. O pierwszej? Odpowiadałoby to pani.

– Dobrze. Przyjdę.

– Zatem do zobaczenia. To już za dwie godziny.

Ogromnie się cieszę.

Po odłożeniu komórki Iza wzięła kąpiel i zrobiła makijaż. Włożyła czerwoną minisukienkę i wygodne sandały w tym samym kolorze. Postanowiła zrobić sobie spacer, ponieważ była wspaniała pogoda. Na bezchmurnym niemal niebie ukazywały się tylko od czasu do czasu obłoczki, podkreślające jego błękit. Miała jeszcze trochę czasu, więc zaparzyła świeżą kawę i usiadła z nią na tarasie. Czuła się jakoś dziwnie. Nie potrafiłaby tego określić. Ni to oszołomienie, ni to lekkie odurzenie. Odnosiła wrażenie, że od świata zewnętrznego oddziela ją szklany klosz. Myślała o Ludmile.

Kiedyś Kornelia powiedziała jej, że pewna znajoma marzy o tym, żeby ją poznać.

– Za parę dni urządza małe spotkanie w gronie przyjaciółek i byłaby uszczęśliwiona, gdybyś też ze mną przyszła, bo one wszystkie cię uwielbiają. To będzie w poniedziałek, po południu. O ile wiem, masz ten dzień zawsze wolny. Będzie ciekawie, zapewniam.

– No dobrze.

– Pójdziemy pieszo, bo tam wypijemy sporo dobrego wina. Zrobimy sobie przyjemny spacer.

Gdy Kornelia nacisnęła przycisk na bramie ogrodzenia, za którym można było zobaczyć jedynie wysokie soczysto zielone drzewa, drzwi się otworzyły i usłyszały miły kobiecy głos:

– Proszę wejść, już wychodzę paniom naprzeciw.

Zaciekawiona Iza ujrzała park, pośrodku którego znajdowała się aleja, ale nie widziała żadnej postaci. Po pewnym czasie aleja przeszła w schody, po których kroczyła w dół ruda dama w barokowej, długiej, zdobionej koronkami sukni koloru écru z dużym dekoltem i talią ściągniętą

gorsetem. Na horyzoncie majaczył zarys stylowej willi.

Gospodyni zbliżyła się do nich, przywitała się i poprowadziła je w górę.

– Jaka pani śliczna! – zwróciła się do Izy. – Jeszcze piękniejsza niż na scenie! – wykrzyknęła z emfazą. – To wspaniale, że przyjęła pani moje zaproszenie. Ogromnie się cieszę.

Odurzona zapachem perfum, oszołomiona ekstrawaganckim wyglądem kobiety, Iza weszła na werandę, na której znajdowały się ogromne barokowe figury. Wewnątrz też wszystko było utrzymane w jakimś dawnym stylu. Znowu trzeba było wejść po schodach, by znaleźć się w ogromnym salonie z antycznymi meblami i obrazami dawnych mistrzów. Jedna ze ścian była w całości oszklona. Rozciągał się za nią wspaniały widok na ogród. Stół zastawiony był wyszukaną porcelaną i srebrami, udekorowany kwiatami. W salonie znajdowało się kilka atrakcyjnych, szczupłych pań w nieokreślonym wieku. Miały na sobie barwne, ozdobione cekinami Tshirty i wymyślne rybaczkki. Właściwie nie pasowały do tego otoczenia. Elegancka suknia Izy lepiej z nim harmonizowała, chociaż popołudniowa pora nie zobowiązywała do zakładania wieczorowych strojów. Z kieliszkami szampana w ręku kobiety zgromadzone były wokół figurek z glinki, których lepienie stanowiło hobby gospodyni.

– To takie skromne babskie spotkanie przy kawie – wyjaśniła Izie. – Mam nadzieję, że będzie się pani dobrze czuła w naszym towarzystwie.

Natychmiast wszystkie damy oderwały się od figurek i zaczęły obsypywać ją komplementami, a gospodyni przedstawiała je po kolei imionami i nazwiskami.

Po deserze składającym się z szampana, kawy, herbaty, różnorodnych, malutkich ciasteczek, wielosmakowych pralin i egzotycznych owoców, gospodyni zaprezentowała Izie swoje filigranowe dziełka. Wywiązała się długa dyskusja na ich temat i pytania dotyczące poszczególnych egzemplarzy. Potem był podwieczorek. Śliczna pokojówka w białym czepku i fartuszk przynosiła tace z przeróżnymi maleńkimi kanapczkami, do których popijano doskonałe gatunki wina, zmieniane w zależności od rodzaju kanapek.

Rozmawiały o ostatniej premierze „Traviaty”, prześcigając się w wyrażaniu zachwyty kreacją stworzoną przez Izę. Nie zasypywały jej pytaniami, czego się obawiała, tylko poprosiły o autografy na programie opery, który każda z kobiet miała na tę okazję przygotowany. Po czym rozmowa skierowała się na seminaria terapeutyczne organizowane przez Kornelię. Ludmiła stwierdziła, że umocniły one jej duszę, że doznała podczas nich rozkoszy przebywania w innym świecie, w którym ujrzała niebiańskie kolory i obrazy, odkryła inspirację do własnej twórczości artystycznej. Imponowała jej przyjaźń z tak wielką – jej zdaniem – artystką. Kornelia projektowała jej ubiory i wprowadziła ją w arkana malowania obrazów oraz lepienia figurek z glinki.

Rozeszły się około siódmej, gdy zjawił się mąż Ludmiły, który nie omieszkał wyrazić radości, że tak wielka artystka zaszczyliła ich swoją obecnością. Był to wysoki mężczyzna, o dobrodusznym wyrazie twarzy, w eleganckim garniturze, jak przystało na biznesmena.

Iza była zadowolona, że znowu znajdzie się w tej stylowej willi. Gdy wyszła na zewnątrz, wciągnęła z rozkoszą wiosenne zapachy i udała w kierunku rezydencji Ludmiły. Uwielbiała wiosnę, kwitnące drzewa, śpiew nawołujących się wzajemnie ptaków. Tym razem jednak, nic do niej nie docierało. Było wyjątkowo ciepło, jak na tę porę roku, spociała się z powodu szybkiego marszu, a może spowodowało to podekscytowanie. Z niepokojem myślała o tym, co jej powiedział przywidziany diabeł. Zastanawiała się, jak odbić Alinie jej męża. Spodziewała się, że po tej rozmowie znajdzie na to sposób. Proch już był, teraz należało tylko właściwie poprowadzić lont, żeby wybuchł płomień w sercu Roberta.

Obiad podano we wspaniałym ogrodzie, w otoczeniu różnobarwnych odmian róż. Jednak Iza nie zwracała na nie uwagi. Cały czas myślała o tym, jak skłonić Ludmiłę do zwierzeń.

W końcu nie wytrzymała.

- Czy mogę pani zadać... nieco niedyskretne pytanie? – wypaliła prosto z mostu.
- Proszę się nie krępować.
- Czy mogłaby mi pani opowiedzieć, jak poznała pani swojego męża.
- To bardzo długa i niesamowicie romantyczna historia – kobieta wzniosła oczy ku

niebu. – Wprost niewiarygodna, jak w bajce... Otóż: od dziecka byłam marzycielką. Wiecznie coś rysowałam, lecz byłam zbyt leniwa, by rozwijać to zamiłowanie. Najbardziej lubiłam przesiadywać przed lustrem, malować się, stroić i marzyć o księciu z bajki, który wprowadzi mnie do snobistycznego środowiska. Miałam tak słabe noty, że poprzestałam na nauce zawodu kosmetyczki, do którego – jak się okazało – byłam predysponowana. Z biegiem czasu stałam się dla swoich klientek kimś w rodzaju powierniczki. Stwarzałam im relaksową atmosferę, w której podczas zabiegu otwierały serca, zdradzając jego tajniki. Bardzo mi to odpowiadało. Spełniałam się w tej pracy, a i w życiu prywatnym byłam szczęśliwa. Miałam kochającego męża, urodziłam dwoje dzieci, córkę i syna. Nie przestałam jednak marzyć o wielkim, wytwornym świecie. Zwierzyłam się kiedyś z tego pewnej stałej, prominentnej klientce, na co ta roześmiała się w głos:

– Cha, cha, cha. Marzyć? I nic więcej? To ci wystarczy do szczęścia? Marzenia są po to, żeby je urzeczywistniać. Przy twojej urodzie nie powinnaś mieć problemu ze znalezieniem odpowiedniego mężczyzny, który wprowadzi cię do wielkiego świata.

– Ależ ja mam dobrego męża. Zajmuje się domem i dziećmi, sprząta, gotuje. To dla mnie bardzo ważne. Nienawidzę tych domowych czynności i nie mam cierpliwości do dzieci.

– To za mało, jak na takie marzenia – pokręciła głową klientka. – Wiesz, znam pewnego milionera w średnim wieku, który nie ma czasu na szukanie żony, a bardzo mu jej brakuje. Takiego luksusu, takich dzieł sztuki, takiego przepychu jak w jego domu, w życiu nie widziałam, gdy nas kiedyś zaprosił...

– No, co ty opowiadasz? – wzruszyłam ramionami. – Jak ja miałabym wszystko tu zostawić, dom, męża, dzieci?

– Ten człowiek to twój wymarzony książę z bajki. Mówię ci – przekonywała mnie. Zwierzył mi się, że szuka żony, ale nie ma czasu, by kogoś poznać. Ja mu w tym pomogę. Zaproszę go na przyjęcie. Ty musisz zrobić się na bóstwo. Nauczę cię, jak i o czym masz z nim rozmawiać. Dodam mu czegoś do wina, będzie tobą oczarowany. Nic mu na razie nie powiesz, że masz męża i dzieci. Zobacysz, już moja w tym głowa, żeby wszystko się udało. Ale... jest jeden warunek. Co tydzień będziesz zdawała mi relację z tego, co tam się dzieje. Muszę wiedzieć wszystko, do najmniejszego szczegółu.

– Mam na niego donosić? – oburzyłam się.

– Zaraz donosić! On nas po prostu interesuje. Będziesz mi opowiadała tylko to, co uważasz za słuszne.

– No... ale nas, to znaczy kogo on interesuje?

– Co cię to obchodzi? Ręczę ci, że nie wyrządzisz mu żadnej krzywdy, a będziesz żyła jak w niebie.

– Po przemyśleniu całej sprawy spodobał mi się pomysł. Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie – myślałam – będzie to atrakcja w moim monotonnym życiu. W gruncie rzeczy nie kochałam ani męża, ani dzieci. Najważniejsze były dla mnie marzenia o luksusie. Chodziło mi o piękne stroje, najdroższe środki upiększające i odmładzające, stylowe otoczenie i snobistyczne towarzystwo.

Przyjęcie przebiegło zgodnie z planem. Milioner był mną oczarowany. Przetańczył ze mną cały wieczór. Następnie znajoma urządziła bal karnawałowy, na który znowu go zaprosiła. Tym razem doszło do pocałunków. Mężczyzna stracił dla mnie głowę, a ja też zakochałam się

nieprzytomnie w perspektywie urzeczywistnienia marzeń. Postanowiłam wszystko postawić na jedną kartę. Powiedziałam mu, że mam męża i dzieci, ale jego już nic nie było w stanie do mnie zniechęcić. Mimo nawału obowiązków przyjeżdżał do gabinetu coraz częściej, żeby chociaż przez pół godziny ze mną побыć. W końcu doszedł do wniosku, że nie może beze mnie żyć. Po miesiącu naszej znajomości opuściłam męża i dzieci, pogrążając ich w rozpacz.

Ja natomiast byłam w siódmym niebie. Luksus, służba, doskonała kuchnia. To było to. Byłam tak oszołomiona, że nie miałam wprost odwagi rozejrzeć się po domu. Wszystko było tak niezwykle. Gdy rano otwierałam oczy, od razu otoczona byłam pięknymi przedmiotami. To było fantastyczne. Całe życie o tym marzyłam. Wiedziałam, że za wszelką cenę muszę doprowadzić swojego księcia do ołtarza. Udało mi się to dopiero po śmierci teściów, którzy sceptycznie podchodzili do miłosnej afery syna. Ludmiła rozgadała się na dobre.

– Z początku żyłam w nieustannym stresie. Na mojej głowie był cały personel: osiem osób zatrudnionych w kuchni i przy sprzątanii, dwaj ogrodnicy i inni rzemieślnicy. Szybko jednak opanowałam sytuację przy pomocy swej protektorki, która w zamian za informacje dawała mi cenne wskazówki, zwłaszcza w kwestii przyjęć i innych imprez. Dzięki niej odkryłam w sobie talent organizowania rozrywek dla śmietanki towarzyskiej Krakowa. Skupiłam też wokół siebie artystów, tych biedniejszych sponsoruję... Nie wyobraża pani sobie, jaka jestem szczęśliwa – zakończyła swoje zwierzenia.

Iza milczała. Zjadła tylko zupę. Nie mogła przełknąć drugiego dania. Była zbulwersowana opowieścią Ludmiły. Co za podłe babsko. Po prostu potwór! Jak ona mogła mi to wszystko bez najmniejszego skrępowania opowiedzieć? Ona nie widzi w tym nic złego – myślała oburzona. Opuściła dzieci i w ogóle się tym nie przejmuje. Donosi na męża Bóg wie komu i w jakim celu. Myśli tylko o sobie, o swojej wygodzie i luksusie. Ja też nie chciałam mieć dzieci, to prawda, jednak gdybym je miała, w żadnym wypadku nie zostawiłabym ich porzuconemu mężowi.

– Przepraszam, ale bardzo źle się czuję – przerwała wynurzenia gospodyni. – Muszę już pójść do domu i położyć się.

– Tak mi przykro. To ja panią odwiozę.

– Nie. Dziękuję. Spacer dobrze mi zrobi.

Istotnie, w drodze powrotnej nie otaczała już jej muślinowa zasłona. Odzyskała kontakt z zewnętrznym światem, podziwiała piękno natury. Zachwycała się spotykanymi po drodze kwitnącymi magnoliami.

To był głupi pomysł, żeby spotkać się z tą kobietą, myślała. Tak samo jak ten, żeby odbić męża najlepszej przyjaciółce – myślała już przytomnie.

W pobliżu swojego domu spotkała leciwego męża swojej najbliższej sąsiadki. Szedł z jakąś kobietą w średnim wieku. Wracali widocznie ze spaceru.

Oburzona, po wejściu do domu, zadzwoniła do Kornelii.

– Pamiętasz tę malarkę, Zofię, którą kiedyś u mnie poznałaś?

– Tak, przypominam sobie. Taka trochę... religijna oszołomka. Usiłowała mnie nawrócić na katolicką wiarę. A poza tym wiele mi o niej opowiadałaś, bo jesteś nią zafascynowana.

Wyobraź sobie, że jej mąż zdradza ją podczas jej nieobecności.

– A to kanalia! – oburzyła się Kornelia. – Ta kobieta zrezygnowała dla niego z kariery artystycznej, a ten łajdak ją jeszcze na starość zdradza. Wyobrażam sobie, jak to wyglądało, kiedy był młodszy. Musisz jej koniecznie o tym powiedzieć.

– Oszalałaś?! – krzyknęła Iza. – Miałabym burzyć jej szczęście? To byłaby dla niej katastrofa. Kiedyś rozmawiałyśmy na temat zdrady małżeńskiej i ona powiedziała, że gdyby jej

mąż był jej niewierny, to by go chyba zabiła.

– A niech zabije dziada! – zdenerwowała się jej przyjaciółka. – Żartuję, oczywiście – zmitygowała się po chwili. – Ale... niech mu zrobi awanturę, niech go nawet pobije. Należy mu się to. Zdecydowanie powiedziałabym jej o tym. Absolutnie!

– Nie, nie, to nie miałoby sensu.

– Słyszę, że odzyskałaś głos.

– Tak. Tylko... nie wiem na jak długo, bo to tak jakoś... dziwnie.

– Co w tym dziwnego? Nieraz już ci się to zdarzało i zawsze cię z tego foniatra i psychiatra wyciągali.

– Owszem, ale tym razem to nie oni mi pomogli.

– A kto?

– Diabeł.

– Zwariowałaś? Przestań pleść bzdury. Tylko tego jeszcze brakuje, żebyś się rozchorowała psychicznie!

– Żartowałam.

– Tak myślę. Przepraszam cię, ale nie mogę z tobą rozmawiać, bo właśnie muszę odwiedzić Witusia do kliniki.

– O Jezu! A co się stało?

– To długa historia. Nie mam teraz czasu. Kiedyś ci opowiem. Na razie.

Rozdział 6

Wszystko dla rodziny

Po powrocie do domu Iza zaparzyła świeżą kawę. Wyszła z dzbankiem, filiżanką i cukierniczką na taras.

Obrzydliwy pomysł z tym uwiedzeniem Roberta, rozmyślała. Jestem nie lepsza od tej Ludmiły. Zresztą, prawdopodobnie mam więcej na sumieniu niż ona. Przecież Alina jest moją najserdeczniejszą przyjaciółką. Tylko szatan mógł mi podsunąć coś tak podłego, jak rozbicie ich małżeństwa. On istnieje. Widziałam go, rozmawiałam z nim... Szkoda, że Zofia pojechała do córki. Ona by mi pomogła. To istny anioł. Zawsze potrafiła mnie podnieść na duchu w chwilach załamania, lepiej niż tabletki przepisywane przez Roberta, a jej ciekawe opowieści pomagały mi nieraz w pracy nad rolą. Teraz z pewnością doradziłyby mi, jak odzyskać uczucie Przemka i wybiłyby mi z głowy ten diabelski pomysł... Jak ja jej zazdrościć rodzinnego szczęścia. Co z tego, że on ją zdradza? Ale kocha ją, opiekuje się nią, dba o nią. Pomaga jej we wszystkim. Wozi ją na stare miasto, a wieczorami do opery i teatru. Na co dzień widzę, że są szczęśliwi. Żyją zgodnie i harmonijnie... A poza tym, skąd mogę wiedzieć, że on ją zdradza. To mogła być jego siostra albo jakaś krewna, lub koleżanka z kliniki, w której pełni funkcję konsultanta...

Ależ jestem podła – przypomniała sobie – przecież ona mówiła mi przed wyjazdem do córki, że ma do nich przyjechać z Bułgarii wnuczka jego zmarłej siostry. To pewnie była ona.

Popijając kawę, myślała o Zofii. Podziwiała tę kobietę, która będąc utalentowaną malarką, poświęciła karierę artystyczną dla męża i dzieci, a przy tym nigdy tego nie żałowała.

W wieku dziewięćdziesięciu lat wciąż była w stosunkowo dobrej kondycji fizycznej i psychicznej, co chyba zawdzięczała głębokiej wierze i przesiadywaniu w pięknych krakowskich świątyniach. Codziennie uczestniczyła w mszy świętej u dominikanów i godzinę medytowała przed Najświętszym Sakramentem u sióstr felicjanek. A w niedzielę chodziła z mężem na nabożeństwo do wspaniałej krakowskiej cerkwi, ponieważ był on grekokatolikiem.

Iza przypomniała sobie, jak kiedyś, po południu, przesiadła z nią na tarasie chyba ze dwie godziny, podczas których rozmawiała z nią, zapominając o tremie przeżywanej przed każdym spektaklem i omal nie spóźniła się na przedstawienie.

Ciekawa była twórczej drogi artystki, ale dla niej ważniejsze były problemy religijne, o których opowiadała rozwlekle. Okazało się jednak, że to również było interesujące:

W wieku siedemnastu lat Zofia przeżywała kryzys wiary, gdyż jej ojciec był ateistą, natomiast matka bardzo pobożną osobą. Dziewczyna była w rozterce, ponieważ oboje stanowili dla niej autorytety. Nie wiedziała, kto się myli, matka czy ojciec. Postanowiła zatem samodzielnie poszukać prawdy. Przez dwa lata grzebała w różnych książkach, w końcu doszła do wniosku, że bez wiary w Boga niemożliwe jest wyjaśnienie powstania świata. A jednak nie mogła się zdecydować, wciąż nie była pewna, czy jest ateistką czy osobą wierzącą. Powtarzała sobie nieustannie w duchu: Boże, daj mi jakiś znak, że istniejesz, bo zwątpiłam w Ciebie.

– Był okres wielkanocy – wspominała z przejęciem. – Odrobiłam właśnie lekcje i nagle... poczułam przyływ fali ogromnego szczęścia, rozpięta mnie uczucie radości, zdawało mi się, że koło mnie stoi ktoś wspaniały... Nie sposób opowiedzieć, co się ze mną działo. Mówiąc krótko: uwierzyłam w Boga. Już na zawsze. I nigdy więcej nie miałam najmniejszych wątpliwości. Owo uczucie szczęścia towarzyszyło mi przez długi czas. Było... niewyobrażalne. Doznałam w swoim długim życiu wielu rodzajów szczęścia: byłam zakochana z wzajemnością, urodziłam dzieci, poznałam smak sukcesu artystycznego, wiele podróżowałam i podziwiałam piękno świata. Ale to uczucie było jednorazowe. Gruntowne, radosne, a zarazem pełne nieopisanego spokoju o niewyobrażalnej mocy. Towarzyszyło mi długo, mimo że przeżywałam wówczas ciężkie chwile. Studiowałam w Akademii Sztuk Pięknych i znalazłam się w skomplikowanej sytuacji, różne trudności piętrzyły się przede mną. Jednak trwałam zdecydowanie przy wierze – opowiadała żarliwie – chociaż nie sprzyjało temu artystyczne środowisko. Przekonywano mnie, że wiara potrzebna jest tylko starym i słabym ludziom, że żaden normalny, nowoczesny człowiek nie potrzebuje Boga, że jestem staroświecka. Lecz moja decyzja trwania w wierze była niezłomna, chociaż wyśmiewano mnie i było to w tamtych czasach niebezpieczne. Kościół katolicki był prześladowany, internowano kardynała Wyszyńskiego, uwięziono licznych biskupów, samo uczestnictwo we mszy świętej było ryzykowne. Ale ja... wiedziałam na pewno, czego mi potrzeba, by być szczęśliwą. Nie chciałam zostać zakonnicej. Nie. Chciałam żyć w świecie, założyć rodzinę, urodzić dzieci, odnosić sukcesy artystyczne, jednak... tylko z Bogiem. Doszłam wówczas do przekonania, że jedyną rozsądną drogą w życiu jest przestrzeganie bożych przykazań. Od tego czasu Kościół stanowi dla mnie oparcie i jestem z nim nierozdzielnie związana. Był zawsze dla mnie oazą, wszędzie w świecie, niczym latarnia morska na oceanie przeżyć, zwłaszcza w trudnych chwilach.

Jako trzyletnie dziecko, Zofia przeżyła wybuch wojny i ucieczkę przed Niemcami wraz z matką i dwiema młodszymi siostrami na wschód Polski, do Nałęczowa. Ojciec był w wojsku, nie miały od niego żadnej wiadomości. Okazało się później, że pracował w szpitalu polowym. Wraz z linią frontu dostał się w pobliże Warszawy, a następnie trafił do niemieckiej niewoli. Po demobilizacji został zatrudniony jako chirurg w jednym z warszawskich szpitali, dzięki czemu zezwolono mu na ściągnięcie do siebie rodziny, która przeżyła tam Powstanie Warszawskie. Był już z nimi wówczas nowy jej członek, dwutygodniowy braciszek Zofii, którego matka żywiła

mlekiem z zardzewiałych puszek. Siedziały wraz z niemowlęciem w piwnicy, podczas gdy ojciec w sąsiedztwie operował rannych. W październiku 1944 roku musieli opuścić Warszawę i udać się do Włodzimierza, dokąd został przeniesiony szpital. Zamieszkali tam w drewnianym domu w lesie. Matka starała się wieczorami uczyć dziewczynki, to znaczy ją i jej starszą siostrę, korzystając z przedwojennych podręczników. W ciągu dnia oboje rodzice pracowali w szpitalu, a one opiekowały się braciszkiem.

Pewnego razu przeżyły horror, kiedy dom został nagle otoczony przez radzieckich żołnierzy, którzy maszerowali na Berlin. Okazało się jednak, że gdy zobaczyli niemowlę w wózku, brali je kolejno na ręce, kołysali i całowali. Stwierdzili, że w domu są same dzieci, więc pomaszzerowali dalej, zostawiwszy je w spokoju.

Po wojnie ojciec zdecydował się wrócić do Krakowa, gdzie zorganizował jeden ze szpitali. Zofia rozpoczęła naukę w klasycznym gimnazjum, gdzie na okładkach zeszytów rysowała figurki i wzory geometryczne, co czyniła od wczesnego dzieciństwa. Lubiła chodzić na cmentarz i szkicować. Wraz z nauczycielką rysunków i jedną z koleżanek zwiedzała w czasie wakacji zabytki w całej Polsce, które nieustannie przenosiła na papier. A chociaż pochodziła z lekarskiej rodziny, nawet jej dziadek był kardiologiem, to jednak wiedziała już przed maturą, że będzie studiować w Akademii Sztuk Pięknych. Piękno natury stanowiło dla niej przejaw istnienia Boga i kształt jego miłości. Gdy ukończyła Akademię ojciec załatwił dla niej dwumiesięczny pobyt w Paryżu, aby mogła zobaczyć słynne dzieła sztuki, co w komunistycznej Polsce było niemożliwe. Uznawano tylko socrealizm. Impresjonizm, postimpresjonizm czy kubizm, w ogóle zachodnie prądy sztuki były zakazane. Jednak jeden z profesorów nauczał studentów nielegalnie, ryzykując utratę pozycji na uczelni.

W Paryżu przeżyła olśnienie. Trudno jej było rozstać się z tym miastem po dwóch miesiącach, pozostała w nim cały rok, studiując w Académie des BeauxArts. Pracowała jako *au pair*, malowała i sprzedawała obrazy. Namalowała też duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej dla polskiej parafii. Odwiedziła wówczas także znajomych we Francji i Belgii, miesiąc spędziła na stypendium w Amsterdamie, zwiedziła autostopem Włochy aż po Neapol i Capri.

Po powrocie do kraju znalazła w Krakowie na poddaszu pewnego domu atelier i zaczęła w nim tworzyć grafikę, zarabiając w ten sposób na utrzymanie. Zajmowała się również, wspólnie ze swym akademickim profesorem, renowacją zabytkowych fasad domów.

W 1960 roku miała wystawę w Sofii, gdzie poznała młodego lekarza, znacznie od niej młodszego i zakochała się po same uszy. Była to miłość od pierwszego wejrzenia. Pisali do siebie listy pełne czułych słów, wreszcie po roku przyjechał on do niej, wzięli ślub i jej mąż pozostał w Polsce na stałe. Zaczął pracować jako asystent w Akademii Medycznej. Po trzech latach Zofia urodziła córeczkę, a później dwóch synów, niemal jednego po drugim. Była bardzo szczęśliwa, lecz przeciążona obowiązkami, gdyż pracowała jako asystentka na Akademii, a w ówczesnej polskiej rzeczywistości nie było urlopów macierzyńskich. Rodzina pomagała jej w miarę możliwości, na szczęście często przebywali u niej bułgarscy teściowie. Gdy otrzymała czteromiesięczne stypendium od władz francuskich, teściowa zastąpiła ją przy dzieciach.

Była to dla Zofii sposobność odświeżenia umysłu i oka. Wróciła tak zainspirowana, że stworzyła cały cykl grafik, zatytułowany „Zamki nad Loarą”, który przyczynił się między innymi do tego, że po państwowym egzaminie została adiunktem.

Jej mąż również awansował zawodowo. W krótkim czasie zrobił doktorat i specjalizację. Po habilitacji otrzymał stypendium Aleksander von Humboldt Stiftung w Niemczech i został zatrudniony w Deutsches Krebsforschungszentrum w Heidelbergu. Ich rozłąka trwała dwa lata, po czym Zofia wzięła bezpłatny urlop na uczelni, by wraz z dziećmi odwiedzić męża. Kiedy

awansował na kierownika Wydziału, rodzina zdecydowała się na pobyt stały w Niemczech. Była to dla niej bardzo trudna decyzja, gdyż nienawidziła Niemców i tego języka. Podjęła ją ze względu na miłość do męża i dzieci, którym chciała zapewnić lepsze życie. Początkowo było im bardzo trudno, ani ona, ani dzieci nie znały języka niemieckiego. Po dwunastu latach pracy w Akademii Sztuk Pięknych miała już ugruntowaną pozycję artystyczną w Polsce i wiele wystaw na swoim koncie, a teraz musiała zaczynać wszystko od nowa w obcym kraju.

Wpadła w depresję. Bombardowanie psychiki zniechęconym językiem przywoływało w jej pamięci straszliwe obrazy wojny wraz z nienawiścią wykrzykiwaną na całe gardło przez gestapowców. Zdawało się jej, że zabijają w dalszym ciągu słowami brzmiącymi jak serie z karabinów maszynowych, w których tkwią ukryte, nazistowskie dusze. Bała się wyjść z domu. Leżała po całych dniach w łóżku. Mąż jej wziął urlop, by zająć się dziećmi, a ona leczyła się u psychiatry. Zażywała tabletki, lecz poprawa była znikoma. Straciła chęć do życia. W końcu przyjechała do nich teściowa z Bułgarii, by jej mąż mógł wrócić do pracy.

Pewnego dnia zawitał do nich proboszcz tamtejszej parafii, który miał zwyczaj odwiedzania nowo przybyłych. Zaprosił artystkę do przyparafialnej pracowni ceramicznej, gdzie rozpoczęła niemiecką „karierę artystyczną” od lepienia dzbanów, kubków, talerzy i waz. Był to jej pierwszy kontakt z Niemcami. Powoli dochodziła do równowagi psychicznej.

Co dwa tygodnie odbywały się w kościele spotkania biblijne. Gdy dowiedziała się, że podczas jednego z nich omawiane będą pisma świętego Franciszka Salezego, postanowiła wziąć w nim udział, gdyż postać świętego bardzo ją interesowała, chociaż nie przypuszczała, że zbyt wiele zrozumie. Od tego czasu regularnie uczestniczyła w spotkaniach, a także w działalności Koła Kobiet. Pomogło jej to wydatnie w opanowaniu języka. Poznała w parafii wiele interesujących i miłych osób, nawiązała przyjaźnie z rodzicami swoich dzieci i z sąsiadami. Chociaż mieszkała w dzielnicy zaludnionej cudzoziemcami, między innymi licznymi Polakami, przebywała wyłącznie wśród Niemców, gdyż całe jej życie koncentrowało się wokół niemieckiego kościoła, gdy tymczasem Polacy uczęszczali raczej, jeżeli już w ogóle, na mszę Polskiej Misji Katolickiej, która odbywała się raz w miesiącu w śródmieściu.

Gdy Iza zdumiała się, że Zofia unikała kontaktów z rodakami, odpowiedziała:

– Całkowicie związałam się z niemiecką parafią, w której również udzielały się moje dzieci. Synowie byli ministrantami, córka prowadziła grupę harcerek, organizowała spotkania i obozy. Nawiasem mówiąc, na jednym z takich obozów poznała przyszłego męża, za którego wyszła za mąż po ukończeniu studiów medycznych. Pracowała tylko półtora roku, gdyż wkrótce urodziła córeczkę, a nieco później synka.

Z Polakami nawiązałam kontakty dopiero kiedy podrosły moje wnuki. Miałam wówczas jakieś sześćdziesiąt lat. Wcześniej nie miałam na to czasu, bo pomagałam córce – która wróciła do pracy w szpitalu – w wychowywaniu dzieci. Najciekawszą Polką, którą poznałam w Heidelbergu była Katarzyna Mazur, choreografka w Teatrze Miejskim, gdzie wystawiano nie tylko sztuki, lecz również opery i balety. Ogromne wrażenie zrobiły na mnie jej nowoczesne inscenizacje baletowe. Ta artystka potrafiła wyczarować metafizyczne i zabawne opowieści poprzez ekspresję ludzkiego ciała. Napięcie, temperament, olśnienie, humor – tak można było lapidarnie określić jej twórczość. Tworzyła kompleksowe, oryginalne spektakle. Zajmowała się nie tylko choreografią, lecz również reżyserią, prowadziła śpiewaków i chór, mistrzowsko harmonizując nowoczesny taniec z klasyczną muzyką. Dotyczyło to również pełnego werwy i emocji, żywiołowego przedstawienia słynnej „Carminy Burany” podczas letniego festiwalu na zamku, którego sceneria dodawała mu szczególnego uroku. Po tym wspaniałym wydarzeniu postanowiłam ją poznać, tym bardziej że była ona Polką. Chciałam zadać jej wiele pytań. Jedną z moich polskich znajomych pracowała w teatrze jako chórzystka, więc poprosiłam ją o kontakt

z choreografką.

Katarzyna Mazur umówiła się ze mną w kawiarni. Z zazdrością patrzyłam, jak choreografka pałaszuje ogromny kawał tortu, gdyż sama w trosce o figurę wyrzekłam się słodyczy. Artystka nie miała tego problemu, bo dzięki codziennym morderczym próbom baletu była wyjątkowo szczupła, ponieważ wykonywała wszystkie figury wspólnie z tancerzami.

– To jest tak jak w filmie – wyjaśniała mi swoje podejście do inscenizacji. – Reżyser musi nie tylko prowadzić aktorów, lecz również stworzyć całościowy obraz. Kiedy zainteresuje mnie jakiś temat, zaczynam od wizji w głowie. Zajmuje mi to mnóstwo czasu, nim ona powstanie. Myślę, myślę, dniami i nocami, tak długo, aż zrodzi się w mej świadomości pewna koncepcja. Zajmuję się nie tylko muzyką, ale też tematami, problemami, emocjami. Gdy pracowałam nad „Carminą”, studiowałam średniowiecze, głównie symbole panujące w tamtych czasach. W końcu powstały w mej głowie interesujące postacie, które opowiadały pewne historie. Chodziło o równoczesność szczęścia i nieszczęścia, o boginię Fortunę decydującą o ludzkim losie. Musiałam wypracować średniowieczną symbolikę. Najtrudniejsze było skoordynowanie wszystkiego i znalezienie nici przewodniej...

Artystka przełknęła duży kawał tortu, przy czym omal się nie zakrztusiła. – To niewiarygodnie intensywna robota! – rzekła z emfazą. – Człowiek wglębia się w to wszystko i śledzi wiele motywów. Kiedy ma się w głowie jakiś temat, to... przez cały czas, dzień i noc, wszystko, co się robi, widzi się przez te okulary. Jest to bardzo kompleksowa praca. I ja... potrzebuję dużo czasu, zanim taka wizja powstanie. Ale to dopiero początek... Teraz następuje najtrudniejsza faza. Trzeba to wszystko, co ma się w głowie, przekazać ludziom. Dlatego najważniejsze jest dla mnie bezgraniczne zaufanie zespołu.

– Ciekawa jestem, w jaki sposób udało się pani zdobyć taką pozycję, jak dopięła pani tego, by z odciętej od Zachodu, zapóźnionej Polski dostać się do tak dobrego niemieckiego teatru – pytałam zafascynowana opowieścią Katarzyny.

– Zdziwi się pani, jak powiem, że wszystkiego, co mi jest potrzebne w pracy, nauczyłam się właśnie w tej „zapóźnionej” Polsce – rzekła przekornie artystka. – W ciągu pięciu lat niesamowicie trudnych studiów choreograficznych. Były to elitarne studia, na egzaminie wstępnym należało wykazać się nie tylko zdolnościami i umiejętnościami tanecznymi, ale i wybitną kreatywnością. Na moim roku znalazły się zaledwie cztery kobiety, a tylko mnie udało się uzyskać dyplom pedagoga i choreografa. Trzy pozostałe koleżanki musiały zadowolnić się uprawnieniami nauczycielki tańca. Te studia wymagały nie tylko talentu, wyobraźni, fantazji, lecz również siły fizycznej, wytrwałości i pracowitości... Jak zdobyłam obecną pozycję...?

Katarzyna zamyśliła się. Po chwili łyknęła trochę kawy i mówiła dalej:

– Hmm... To była długa droga. Po wystawieniu baletu „Kopciuszek”, jako pracy dyplomowej w Operze Śląskiej w Bytomiu, objęłam tam funkcję choreografa i nauczyłam się dodatkowo pracy z zespołem. Moje inscenizacje zwróciły na mnie uwagę krytyków. Wkrótce ściągnięto mnie do Warszawy. Tam... no cóż, początkowo spełniałam się całkowicie. Ale... po paru latach byłam zupełnie wypalona i sfrustrowana. Brakowało mi konfrontacji z choreografami za granicą, porównywania swoich pomysłów z innymi, rywalizacji. Poza tym przeżywałam wówczas trudny okres. Urodziłam drugie dziecko. Byłam samotną matką z dwoma małymi chłopczykami. Wie pani... Żaden mężczyzna nie zaaprobowałby żony oddanej bez reszty swej twórczości. W moim życiu nie było miejsca dla mężczyzny. Natomiast dzieci całkowicie akceptowały taką matkę. Kiedy byłam w operze, starszy syn opiekował się niemowlęciem. Przy mojej pracy prowadzenie domu i wychowywanie dzieci stanowiło herkulesowy wysiłek, ale... macierzyństwo uszczęśliwiało mnie. Więcej – dodawało energii, inspirowało. I wtedy postanowiłam uciec z dziećmi do wolnego świata. Los uśmiechnął się do mnie. Znalazłam

w sieci informację, że teatr w Heidelbergu rozpiisał konkurs na choreografa, gdyż zamierzano właśnie stworzyć w nim grupę baletową... Sama nie wiem, jakim cudem udało mi się zdobyć tę pozycję... Był to... szalony skok w zupełnie inną rzeczywistość. W Heidelbergu publiczność przyzwyczajona była do baletu klasycznego, a ja usiłowałam wprowadzić nowoczesny taniec. Dyrektor podszedł do tego sceptycznie. Niemniej... przekonałam go, że współczesny taniec też może być piękny. Pierwsza moja inscenizacja wywołała pewien opór, jednak już po drugiej do muzyki „Oratorium na Boże Narodzenie” Bacha stałam się ulubienicą publiczności i krytyków... Artystka nie miała czasu na kontakty towarzyskie. Unikała licznych w Heidelbergu Polaków. Zupełnie nie interesowała się Polską, całkowicie zamknięta w zachodniej rzeczywistości.

W odróżnieniu od niej inna Polka pracująca w Teatrze Miejskim, Teresa Solarz, śpiewająca w chórze, która – nawiasem mówiąc – zapoznała mnie z Krystyną Mazur, miała w Warszawie mieszkanie i często jeździła do kraju. Dzięki niej poznałam wielu Polaków na swoim osiedlu. Teresa była absolwentką Akademii Muzycznej w Warszawie, gdzie w Operze Kameralnej występowała jako solistka, lecz w Niemczech udało się jej zaangażować jedynie do chóru. Spotykałam się z nią, gdyż miałyśmy wspólny temat, godzinami rozmawiałyśmy o słynnych śpiewakach i inscenizacjach operowych. Jednak z biegiem czasu znajomość ta stała się męcząca. Niespełniona śpiewaczka często cierpiała na depresję i kiedy przebywała na zwolnieniu lekarskim, po całych dniach blokowała mój telefon narzekaniem na żonatego kochanka. Właściwie nie wiadomo było, co miała mu do zarzucenia. Nie chciała wychodzić za mąż, bo wiązało się to z dodatkowymi obowiązkami, a on, mimo małżeństwa, był całkowicie do jej dyspozycji. Przyjeżdżał po nią do teatru, spędzał z nią zagraniczne urlopy, kupował jej drogie prezenty, w niedzielę jeździł z nią do śródmieścia, do kościoła, bo do naszej parafii chodziła jego żona i posłusznie – jak sobie życzyła – wspólnie z nią przystępował do komunii. A chociaż po mszy jechał do domu na obiad z dziećmi i żoną, to już wieczorem znowu z nią spędzał czas i odwoził do teatru.

Ona też miała męża. Młodego i przystojnego – w odróżnieniu od leciwego i szpetnego, lecz mającego kochankę. Walczył o nią jak lew, ale ponieważ nie mógł znaleźć w Niemczech pracy i nie miał pieniędzy, rozwiodła się z nim i wyrzuciła go z domu.

To był kompletny obłęd z tymi Polkami. Wszystkie zamęczały mnie problemami z partnerami i mężami.

Jedna z nich, Jagoda, w Polsce ekspedientka w sklepie spożywczym, a w Niemczech sprzątaczką, miała przystojnego męża, inżyniera, ale gardziła nim, bo nie potrafił znaleźć pracy w swoim zawodzie, tylko wspólnie z nią sprzątał w biurówcach. Upokarzała go na przyjęciach, ordynarnie wyzywała, co pokornie znosił. Gdy ich syn wyjechał na studia do Berlina, wyprowadziła się z ich dużego, wspaniale urządzonego mieszkania, pozostawiając wszystko mężowi. Wynajęła dwupokojowe lokum i znalazła sobie w Internecie kochankę z Polski. Jej porzucony mąż początkowo wylewał przede mną łzy, jednak po pewnym czasie pogodził się z losem. Miał już wysoką emeryturę, skończył ze sprzątaniami i zaczął, podobnie jak jego była żona, szukać szczęścia w sieci. Pewna Ślązaczka, której mąż popełnił samobójstwo, przypadła mu do gustu. Rozpływał się przede mną nad jej urodą, zakochał się z wzajemnością. Po niesamowitej rozpacz, jaką przeżył po odejściu Jagody, los zesłał mu pocieszenie. Stanowili wspaniałą, kochającą się parę.

Zadowolona, że się go pozbyłam, nie zaznałam jednak spokoju. Inny opuszczony mąż zaczął szukać u mnie pocieszenia. Przystojny informatyk, świetnie sytuowany, pracujący w swoim zawodzie, pozostał sam z synem uczęszczającym do gimnazjum, gdyż jego żona zdradziła go z kolegą, który przyjechał do niego w odwiedziny z Polski. Rozwiodła się z nim i zamieszkała parę domów dalej z tym jego kolegą. Jego rozpacz nie znała granic.

Pocieszałam go i szukałam dla niego żony.

Jeszcze inna polska znajoma, też rozwiedziona, poprosiła mnie o pilnowanie wieczorami jej małego synka, gdyż spotykała się z poznanymi w sieci kandydatami na męża. Spełniałam tę prośbę z dobrego serca, chciałam jej pomóc w znalezieniu drugiej połowy. Jednak w krótkim czasie zorientowałam się, że ona ma na to marne szanse. Zamieściła na portalu matrymonialnym wyłącznie portrety i podała wagę ciała o dziesięć kilogramów niższą. Tłumaczyłam jej, że spotykają się z nią szukający szczupłej kobiety, dlatego po spotkaniu są rozczarowani. Radziłam, by podała prawdziwą wagę i zamieściła zdjęcie całej sylwetki. Wtedy miałyby szansę u gustujących w korpulentnych paniach. Jednak ona nie dała się przekonać, odchudzała się nieustannie i była przekonana, że wkrótce osiągnie podaną w anonsie wagę.

W końcu zorientowałam się ze zgrozą, że kobieta stała się bezpłatną prostytutką. Wyglądało to na przykład tak: jeden z kandydatów prosił ją, by przyjechała do miasta, w którym mieszkał, ponieważ oddał samochód do naprawy. Kiedy tam pojechała, nie zjawił się w umówionej kawiarni. Nie ośmieliła się do niego zatelefonować, bo skoro milczał, uznała, że po prostu się rozmyślił. Zanim wróciła do domu, zrobiło się późno. O dziesiątej godzinie mężczyzna zgłosił się, pytając ją, dlaczego nie przyjechała.

– Ależ ja tam byłam – odparła zdumiona.

– Ach, to ty byłaś tą wspaniałą dziewczyną w czerwonej bluzce? – spytał z zachwytem.

– No tak – odparła mile połączona.

– Na Boga, ja ciebie nie poznałem – zaklinał się. – Na zdjęciach nie wyszłaś tak dobrze. Ależ ty jesteś cudowna, strasznie mi się podobasz. Błagam, przyjedź zaraz do mnie!

– Jak to do ciebie? – spytała z rezerwą.

– Zanim dojedziesz, będzie północ – tłumaczył. – To gdzie mielibyśmy się o tej porze spotkać? No, chyba nie boisz się, że cię zgwałcą?

Okazał się tak przystojnym mężczyzną, że sama weszła mu do łóżka, po czym powiedział jej, że nie zamierza się z nią spotykać.

Innym razem zwierzyła mi się, że poznała kogoś szczególnego.

– Wiesz – powiedziała – on chce mi zrobić jakąś wspaniałą niespodziankę. Umówił się ze mną na parking w połowie drogi. Tam przesiądziemy się do jego auta, zostawimy mój samochód na parkingu i pojedziemy do wspaniałego lokalu.

– Czyś ty oszalała! – krzyknęłam przerażona. – Przecież to może być zboczeniec, który wywiezie cię do lasu, zgwałci i zamorduje. Powiedz mu, że możesz się z nim spotkać tylko w kawiarni w Heidelbergu.

Oczywiście, facet w ogóle się z nią nie spotkał. Ale ja miałam już tego dość. Od pół roku pilnowałam wieczorami biednego dziecka, które w końcu mogło zostać bez lekkomyślnej, puszczającej się z nieznanymi mężczyznami matki. Powiedziałam jej bez ogródek, co sędzę o jej szukaniu męża, i zerwałam z nią znajomość. Miałam już po same uszy sercowych kłopotów polskich znajomych. Mój mąż zabronił mi zresztą kontaktów z nimi.

Jednak w jednym przypadku musiałam zrobić wyjątek. Pewna osiemdziesięcioletnia Ślązaczka, która od dziecka wychowała się w Heidelbergu, pewnego ranka poczuła się tak fatalnie, że nie była w stanie podnieść się z łóżka. Od lat miała raka, była już po dwóch operacjach i chemioterapiach. Kiedy okazało się, że znów są przerzuty, nie chciała się zgodzić na trzecią operację. Postanowiła umrzeć, a ponieważ była samotna, nieustannie mnie wzywała z prośbą o pomoc. Czuła się fizycznie osłabiona, całkowicie wypalona emocjonalnie, nie widziała żadnego celu i sensu w dalszym życiu. Najgorsze, że była ateistką, więc nie wiedziałam, w jaki sposób pomóc jej godnie pożegnać się z tym światem. Na pytanie, czy nie zechciałaby

porozmawiać z księdzem, odpowiedziała niecenzuralnym słowem.

Znałam ją jako pełną energii, żywotną staruszkę, która dbała o wygląd, modnie się ubierała, co dzień jeździła samochodem do centrum handlowego, gdzie robiła zakupy, jadła obiad i popijała kawę z innymi emerytami spędzającymi tam czas. Nie miała ani rodziny, ani przyjaciół, nikt jej nie odwiedzał. Upodobała mnie sobie i zapraszała na koniak, który co dzień popijała. Opowiadała mi o swych mężach i kochankach, o podróżach, o pracy w Stanach, gdzie jej syn wpadł w narkomanię i uprawiał stosunki homoseksualne. Ostatni mąż i inni krewni już nie żyli, a jedyny syn popełnił samobójstwo. Zwierzyła mi się z tego, prosząc o dyskrecję.

Kiedyś zaczęła mi opowiadać o swoich intymnych sprawach. – Nie wyobrażasz sobie, co ja w życiu przeszłam przez ten przeklęty seks! Niewiele brakowało, a zamordowałby mnie taki młody zwyrodnialec... Ja to już w dzieciństwie się onanizowałam. Kiedy miałam piętnaście lat, straciłam cnotę... Najpierw szukałam męża. Chciałam mieć rodzinę. Po każdym kolejnym rozwodzie szukałam następnego męża. Wciąż się łudziłam, że wreszcie znajdę odpowiedniego, ale po trzecim rozwodzie straciłam nadzieję. Doszłam do wniosku, że nie nadaję się do małżeństwa. Nie czułam się samotna, bo miałam syna. Świetnie się rozumieliśmy. Najfajniej żyło nam się w Ameryce. Razem chodziliśmy do dyskoteki. Wracaliśmy z dwoma chłopakami, jeden był dla niego, a jeden dla mnie. To było to. Wyżywałam się maksymalnie. Prawie co noc miałam innego. Niestety, Andreas przesadzał z narkotykami... Postanowiłam wrócić do Niemiec, pomyślałam sobie, że w innym środowisku łatwiej będzie wyciągnąć go z nałogu. No, nic z tego nie wyszło... Po jego śmierci został mi tylko seks. Dziesiątki, dziesiątki kochanków miałam, samych młodych, niektórzy lecieli na forszę, ale niektórzy... szaleli za mną. Dla nich wiek nie miał znaczenia, dla mnie – owszem. Wybierałam tylko młodych, aż do końca. Jednak tak koło siedemdziesiątki zaczęłam mieć trudności z osiągnięciem orgazmu. Oglądałam pornograficzne filmy, urządzałam orgie, no... nie będę ci tego opowiadać, bo byś się zgorszyła... Cuda, cuda wymyślałam. W końcu postanowiłam spróbować sadomaso... Jeden z takich typów byłby mnie zabił. I wtedy oprzytomniałam. Pomyślałam: „Po co szukać seksu, jak już prawie nic mnie nie podnieca?”. Kupiłam sobie taki aparacik, tak na wszelki wypadek, gdyby mi się zachciało. Puszczalam sobie czasami jakiś ostry pornograficzny film i uruchamiałam przyrządek. Strasznie się męczyłam, żeby tylko mieć orgazm. Ostatnio skończyłam z tym... To nie ma sensu. Niech szlag trafi seks. Ale z drugiej strony... bez seksu jakoś nie chce mi się już dłużej żyć.

Staruszka często wspominała syna. Był wspaniałym, kochającym dzieckiem. Opiekował się nią troskliwie.

– To samobójstwo popełnił z miłości do mnie – powiedziała, kiwając głową – tak, tak, możesz mi wierzyć, nie chciał być dla mnie ciężarem. Przeżywał tak ciężką depresję, że trzeba było opiekować się nim jak niemowlęciem. Musiałam go na siłę karmić, nawet myć mu zęby. Najgorsze było zmuszanie go do brania leków. Trzymał je pod językiem i kiedy nie widziałam, wypluwał... Wiesz co? Zrobię tak samo jak on. Kiedy już nie będę chciała dalej żyć, wjadę windą na ostatnie piętro jednego z tych najwyższych domów i rzucę się w dół. To bardzo szybka śmierć.

Kiedy jednak osłabła do tego stopnia, że nie mogła podnieść się z pościeli, zmuszona była zrezygnować ze skoku z wysokościowca i spokojnie umrzeć w swoim łóżku. Codziennie przychodziła do niej pielęgniarka, która ją kąpała i pomagała w toalecie porannej, sprzątaczką w dalszym ciągu pełniła swe obowiązki, a ja... kupowałam świeże kwiaty, dziennik, kolorowe magazyny i ulubione potrawy, które staruszka natychmiast zwracała. Całe dnie leżała w łóżku, czytała gazety i oglądała telewizję.

– Tak sobie myślę – powiedziała w zadumie – dobrze się stało, że nie skoczyłam z tego wysokiego domu. Wiesz... ciekawa jestem, jak to będzie... ta naturalna śmierć.

Nie mogłam pogodzić się z myślą, że tak wspaniale utrzymane ciało ma zostać zakopane w ziemi lub spalone. Z żalem patrzyłam, jak kobieta robi sobie makijaż i czesze ufarbowane przez pielęgniarkę włosy. Nie potrafiłam w żaden sposób jej zrozumieć. Podziwiałam ją za odwagę, za brak lęku przed śmiercią.

Po trzech miesiącach byłam wykończona psychicznie. Miałam dość tej sytuacji, ale gdy umierająca kobieta wzywała mnie, nie miałam serca jej odmówić. Pewnego ranka, kiedy wróciłam ze sprawunkami, zastałam ją nieżywą. Natychmiast zabrano ciało z mieszkania. Nie zdążyłam spytać, co z pogrzebem. Zaczęłam więc później wydzwaniać do zakładów pogrzebowych. W końcu skierowano mnie do urzędu miejskiego, gdzie dowiedziałam się, że kobieta została bezimiennie pogrzebana bez jakiegokolwiek ceremonii. To smutne. Nie warto być ateistą...

Chyba najbardziej wciągnęła Izę barwna opowieść Zofii o Heidelbergu, w którym artystka spędziła połowę życia.

– Dzięki Kościołowi wkrótce zintegrowałam się z niemieckim społeczeństwem i poczułam się tam jak w domu. Pomogła mi w tym też uroda miasta, którego starówka zachwycała mnie włoską architekturą. Miasto stanowiło turystyczny i uniwersytecki ośrodek, malowniczo położony, zabytkowy. Były tam i góry, i rzeka, i zamek, i dobrze zakonserwowane średniowieczne śródmieście. Gdy po uwolnieniu się od depresji po raz pierwszy, w upalny dzień, znalazłam się na głównej ulicy starego miasta, w kojącym cieniu starych murów i zanurzyłam się w ludzkim potoku wszystkich ras, płynącym ulicą ze starymi kamienicami, ozdobionymi pięknymi płaskorzeźbami, poczułam się jak we Włoszech. Z zacięciem obserwowałam ludzi. Byli barwni i różnorodni, jedni pełni temperamentu, inni spokojni. Pewni siebie, hałaśliwi Amerykanie, powściągliwi, cisi Azjaci, wyraziści, roześmiani Czarni, smutni rosyjscy uliczni muzykanci. Poczułam się bezpiecznie i pewnie, anonimowa i niedostrzegalna.

Kiedy doszłam do kościoła Świętego Ducha, skręciłam w lewo, udając się do zabytkowego mostu. Stałam na nim jak wryta. Roztoczył się przede mną zapierający dech w piersi widok na wznoszące się na wzgórzu romantyczne ruiny zamku. Oczarowana westchnęłam: „O Boże, jak tu pięknie! Cieszę się, że tu mieszkam”. Następnie weszłam na wzgórze, na którym wznosiły się ruiny i zachowana część zamku. Usiadłam na ławce i w milczeniu wpatrywałam się w jego sylwetę. Wiekowe drzewa szeptem soczystych liści opowiadały dawne dzieje, opromienione wielką miłością księcia do jego żony. Na wzgórzu pasły się owce. Skubały zawzięcie trawę, a czuły wietrzyk podmuchiwał ze skrywaną radością. Powietrze lekkie jak westchnienie, hołubione pieszczotą słońca, wchłaniało tchnienie mojego życia w tym nowym świecie...

Z biegiem czasu poczułam się, jakbym się tam urodziła. Oczarowała mnie aura tego starego uniwersyteckiego grodu, który – podobnie jak Kraków – nigdy nie uległ zniszczeniom wojennym. Jego architektura i ruiny zamku tak wspaniale wkomponowane były w naturalne środowisko, że – według słów Goethego uwiecznionych na tablicy w rynku – „wszystko to razem czyniło wrażenie doskonałości”. Ruiny te upodobali sobie szczególnie romantyczni malarze i poeci, między innymi Adam Mickiewicz, który stwierdził, że „są one najpiękniejszą ruiną średniowieczną, tak jak najpiękniejszą ruiną z okresu rzymskiego jest Koloseum”.

Miasto to przywołało mi w myślach znane stwierdzenie Fiodora Dostojewskiego, że piękno zbawi świat. Cieszyłam nim oczy i duszę. Wchodziłam nie tylko do wspaniałej barokowej katolickiej świątyni, lecz również do ewangelickiego kościoła Świętego Ducha. Był to największy i najważniejszy przybytek kultu religijnego. Wznosił się na rynku, czyli *Marktplatzu*, w pobliżu ruin zamku. Jego wysoka wieża dominowała nad starym miastem i kształtowała jego wizerunek. Była to piękna gotycka budowla z barokowym dachem, wzniesiona z czerwonego

heidelberskiego piaskowca, stanowiąca znak rozpoznawczy miasta i wybitny pomnik architektury. Miała ciekawą historię związaną z wyznaniem władców Palatynatu. Przez półtora wieku podzielona była murem na dwie części, protestancką i katolicką. Zburzono go dopiero, kiedy to kościół stał się centrum ewangelickim Badenii.

Natomiast pobliski barokowy kościół Jezuitów, również pod wezwaniem Ducha Świętego, stanowił architektoniczny punkt ciężkości dawnej dzielnicy tego zakonu, skąd pochodziła jego nazwa, chociaż klasztoru już tam od dawna nie było. Podczas spacerów po mieście wchodziłam najpierw do niego. Krążyłam wokół, podziwiając wciąż na nowo piękne obrazy i rzeźby, zwłaszcza Matkę Boską Bolesną z ciałem Chrystusa na łonie. Podobała mi się tam szczególnie Droga Krzyżowa. Najdłużej siedziałam zawsze przed głównym ołtarzem i kontemplowałam jego piękno. Następnie szłam do ewangelickiego kościoła Świętego Ducha, gdzie zachowywałam się podobnie. Nie modliłam się, lubiłam tak sobie posiedzieć chwilę w zadumie.

Kiedyś pojechałam z mężem na niedzielną mszę do kościoła jezuitów. To była prawdziwa uczta artystyczna. Świątynia stanowiła wspaniałe dzieło architektury i sztuki, podczas liturgii występowała świetna orkiestra, chór i soliści wykonujący utwory wybitnych kompozytorów. Proboszcz, młody człowiek koło czterdziestki, lekko szpakowaty brunet o wybitnie ujmującej fizjonomii i dobrodusznym spojrzeniu czarnych oczu, wygłosił filozoficzne kazanie na wysokim poziomie intelektualnym. Ogromne wrażenie wywarło na mnie to, co mówił o spotkaniu Jezusa z bogatym młodzieńcem, zwłaszcza słowa Chrystusa skierowane do niepotrafiących pojąć sensu wyrzeczeń uczniów: *Każdy, kto dla mego imienia opuści dom, braci lub siostry, ojca lub matkę, dzieci lub pole, stokroć tyle otrzyma i życie wieczne odziedziczy*. Doszłam do wniosku, że słowa te mnie dotyczą.

W tym kościele znalazłam wszystko to, co Norwid określił lapidarnie: „W sztuce chodzi o piękno, czyli formę, o prawdę, czyli treść i koronę tych obu – dobro”.

Wiesz, Izo, przekonana jestem, że nadeszły czasy, w których koniecznością stało się przełamanie kryzysu wyobraźni religijnej wynikającego zresztą również i z tego, że do niektórych ludzi nie przemawia już wiele dawnych kiczowatych wyobrażeń Boga, które czasami wręcz od niego oddalają. Nie we wszystkich przybytkach chrześcijaństwa króluje piękna muzyka i sztuka. A jednak wbrew temu nieraz zdarzało mi się stwierdzić z pokorą, że to co dla jednych jest oddalającym od Boga kiczem, u innych wzbudza najszczerze porwy serca, a jako że stanowią oni większość, nie wolno negować duchowej roli spełnianej przez takie miejsca religijnego kultu...

W Heidelbergu byłam szczęśliwa. Podczas wakacji jeździłam z dziećmi do Hiszpanii, Włoch, Francji i Holandii, gdzie robiłam szkice. Uczestniczyłam też w wielu organizowanych przez parafię wycieczkach, podczas których zwiedzaliśmy obiekty sakralne w Izraelu, Irlandii, Grecji, Polsce i północnej Francji. W życiu wspólnoty parafialnej brałam aktywny udział. Przez piętnaście lat byłam członkiem kościelnej rady. Co roku podczas adwentu wykonywałam ogromny kolorowy obraz–układankę, który wisiał przy wejściu do kościoła. Dzieci otrzymywały za dobre uczynki małe jej części, które wklejały tak długo, aż został skompletowany. Robiłam też plakaty i okazjonalne dekoracje stanowiące małe dziełka sztuki, malowałam wraz z dziećmi w ich klubie i wygłaszałam prelekcje o sztuce. I to mi całkowicie wystarczało. Zaniechałam malowania. Nie miałam na to czasu. I bez tego było mi dobrze.

Gdy jej mąż przeszedł na emeryturę, zdecydowali się powrócić do ukochanego Krakowa, który w jej oczach był najpiękniejszym miastem w świecie. Ani Heidelberg, ani żadne inne zabytkowe miasto nie mogło się z nim równać. Chciała w nim złożyć swoje szczątki, w rodzinnym grobowcu, w którym spoczywali jej rodzice i rodzeństwo. Wprawdzie powymierali

już wszyscy przyjaciele z dawnych lat, ale żyły tam dzieci i wnuki jej siostry i brata, z którymi utrzymywała bliski kontakt. Poza tym w Heidelbergu znajdowały się tylko dwa zabytkowe kościoły, a w Krakowie było ich całe mnóstwo. Zdawało się jej, że w tym mieście znowu będzie malować. Okazało się jednak, że oczy odmawiają jej posłuszeństwa, ręka straciła pewność, a właściwie nie ciągnęło jej już do malowania. Niemal całe dnie spędzała na chodzeniu po kościołach.

A jednak, tak jak w Heidelbergu tęskniła za Krakowem, tak teraz cknęło się jej za Heidelbergiem, gdzie pozostawiła dzieci, wnuki i dwie prawnuczki. Często ich odwiedzała, wciąż jeszcze miała dość siły na tę daleką podróż.

– Powiem ci, że chociaż nie osiągnęłam zbyt wiele jako artystka – wyznała pod koniec rozmowy – to jednak czuję się spełniona. Zdobyłam wszystko, czego pragnęłam jako osiemnastoletnia dziewczyna. Nigdy nie modliłam się o karierę artystyczną, tylko o wspaniałą rodzinę, dobrego męża i dzieci. A doczekałam się jeszcze wnucząt i prawnucząt. Nic więcej mi do szczęścia nie potrzeba...

Po wypiciu trzeciej filiżanki kawy nagle Iza wpadła we wściekłość.

– Co za idiotka z tej Zofii! – krzyknęła. – Sklerotyczna oszołomka! Ta jej wiara uderzyła jej na rozum. Zmarnowała całe życie na usługiwaniu mężowi i dzieciom, na niańczeniu wnuków, na przesiadywaniu w kościołach. Zmarnowała talent i twierdzi, że czuje się spełniona. Wariatka!

W tym momencie rozplakała się. – Nie chcę zostać na starość sama! – wyła z rozpacz.

Rozdział 7

W amoku

Po wyplakaniu się wyszła z tarasu i udała się do łazienki, gdzie zmyła rozmazany makijaż.

– Muszę się postarać, by Przemek rzucił tę lafiryndę i ożenił się ze mną – postanowiła. Przecież przez tyle lat było nam ze sobą dobrze... Zadzwoń do niego. Powinien mieć wolny wieczór.

– Obiecałeś, że zatelefonujesz – powiedziała z wyrzutem, gdy się zgłosił.

– Jak się masz, Izuś. Co za radość, odzyskałaś głos!

– Tak, wszystko w porządku. Niedługo zgłoszę się w teatrze.

– Wspaniale. A co to było? – spytał troskliwie.

– Powiem ci, jak przyjedziesz. Wpadnij teraz.

– Nie mogę – rzekł krótko i zdecydowanie, nie tłumacząc się dlaczego.

– Ach tak, rozumiem – rzekła sarkastycznym tonem. – Ona jest u ciebie. Wyobrażasz sobie, że tak szybko się mnie pozbędziesz. O nie, mój miły. Jeżeli natychmiast nie przyjedziesz, to nie chciałabym być w skórze tej dziwki. – Co ty opowiadasz? Lena jest w tej chwili w teatrze.

– To dlaczego nie możesz przyjechać? – zdenerwowała się. – Zdobądź się wreszcie na odwagę i powiedz mi prawdę.

– Dobrze – rzekł z rezygnacją. – Nie mogę już dłużej być z tobą. Kocham Lenę.

– Ty kanalio! Pożałujesz tego! – krzyknęła i z wściekłością rzuciła komórką w ścianę.

Wpadła w furję. Stłukła dwie cenne wazy, rozbiła stojącą lampę. Po czym bez makijażu wybiegła z domu, wsiadła w samochód i udała się do opery. Jechała jak szalona, nie zważając na światła. W uszach brzmiał jej głos diabła:

– Jestem z ciebie dumny.

Gdy znalazła się przed rozjarzonymi światłami nowoczesnym gmachem nowo wybudowanej opery, zauważyła, że skończył się spektakl, gdyż publiczność tłumnie wysypała się na zewnątrz.

– Świetnie – zatarła ręce. – Dopadnę ją w garderobie.

Nagle ogarnęła ją ciemność i zobaczyła postać Mefista, taką samą jak na afiszu *Fausta*.

– Cha, cha, cha, cha – śmiał się, śpiewając parodię miłosnej serenady z tej opery.

Straciła poczucie rzeczywistości. Ostatnie co dotarło do jej świadomości, to był rozziewający krzyk Leny.

Ocknęła się na łóżku szpitalnym w ponurej sali z brudnymi ścianami, które kiedyś mogły być białe. Na dwóch rzędach łóżek siedziały kobiety ucinające sobie pogawędkę. Widziała je jak przez mgłę.

– O Boże! – krzyknęła. – Jak ja się tu znalazłam.

Domyśliła się, że jest w szpitalu psychiatrycznym na podstawie rozmów – które docierały do niej jak zza zasłony – współtowarzyszek niedoli.

– Przywieziono cię w nocy w kaftanie bezpieczeństwa – odpowiedziała jedna z kobiet. – Musiałas porządnie narozrabiać. Krzyczałas wniebogłosy. Dostałas zastrzyk, po którym się uspokoiłas i usnęłas. Przespałas wizytę lekarską. Nic nie pamiętasz?

– Nie, nic, absolutnie nic – odpowiedziała przerażona.

Po jakimś czasie zjawiła się pielęgniarka, która kazała jej wypić kieliszek jakiegoś płynu. Leżała osowiała. Wiedziała tylko jedno, że przywiązany do niej jak wierny pies kochanek opuścił ją dla młodej śpiewaczki.

Nie mam po co dalej żyć – myślała zrozpaczona, zastanawiając się nad tym, w jaki sposób popełni samobójstwo po powrocie do domu. Doszła do wniosku, że musi podciąć sobie żyły. Wejdzie do wanny i wykrwawi się w niej do końca. Leżała jak w letargu, gdy usłyszała jakies zamieszanie. Okazało się, że przyprowadzono nową pacjentkę.

– Mam na imię Joanna – przedstawiła się.

Kobiety otoczyły ją i zaczęły wypytywać, z jakiego powodu się tu znalazła. Iza nie przysłuchiwała się rozmowom. Jednak w pewnej chwili dotarło do jej uszu:

– Jestem taka szczęśliwa, że mnie odratowano – mówiła Joanna. – Czuję się jak nowo narodzona. Tylko... myślałam, że po płukaniu żołądka i kilkudniowym pobycie w szpitalu wrócę do domu. Niestety, okazuje się, że niedoszli samobójcy muszą być leczeni psychiatrycznie i dlatego mnie tu przywieziono. Wcale się nie dziwię. Przecież targnięcie się na życie świadczy o chorobie psychicznej, którą trzeba wyleczyć, żeby się to więcej nie powtórzyło.

– Nie rozumiem, po co oni cię do nas przywieźli – wtrąciła otyła brunetka. – My tu nie mamy chęci do życia, a ty cieszysz się, że będziesz dalej żyć. To jasne, że już więcej nie popełnisz samobójstwa. Z czego oni chcą cię wyleczyć? Jesteś całkiem normalna.

– Nieważne – machnęła ręką niedoszła samobójczyni. – Pobędę tu trochę... Nie wyobrażacie sobie, jak się cieszę, że żyję! – krzyknęła w euforii.

Po chwili umilkła.

– Tylko... wciąż nie mogę się z tym pogodzić, że... – zaczęła po jakimś czasie smutnym tonem i znów zamilkła.

– Z czym nie możesz się pogodzić? – spytała ze współczuciem starsza, szczupła kobieta, pomarszczona jak zeschnięty wiór. Objęła ją serdecznie. – No, wyrzuć to z siebie, to ci ulży.

– Nie mogę, bo potraktujecie mnie jak trędowatą.

– To powiedz, z jakiego powodu chciałas sobie odebrać życie?

– No... Właśnie z tego powodu, którego... nie mogę wam wyjawić – wybąkała cicho Joanna.

– Kobieto, nasłuchasz się tu jeszcze takich rzeczy, o jakich ci się nie śniło – pogładziła ją po głowie starsza pani. Wśród nas nie masz się czego wstydzić.

– Dobrze, powiem. Tylko musicie mi obiecać, że nie będziecie się ze mnie wyśmiewały. Jestem... no... lesbijką.

I z tego powodu chciałas się otruć? – zdumiała się młoda, ładna dziewczyna z długimi jasnymi włosami i mocnym makijażem, w czerwonych legginsach i zielonym Tshircie, spod którego widać było dziwne tatuaże. – Przecież w dzisiejszych czasach nikt już nikogo nie potępia z powodu homoseksualizmu. Wiadomo, że to są geny. Wielu wybitnych ludzi do tego się przyznaje. Kobieto – załamała ręce – minister spraw zagranicznych, wicekanclerz Niemiec Westerwelle wszędzie oficjalnie pokazuje się ze swoim partnerem. Tak samo burmistrz Berlina. Taki wielki kompozytor jak Czajkowski był ge

jem...

– Ale ile wycierpiał z tego powodu? – przerwała jej Joanna. – Też chciał popełnić

samobójstwo.

- Jednak nie popełnił i stworzył wspaniałe dzieła.
 - Uratował go jego talent, a ja... głos się jej załamał i po policzkach spłynęły łzy.
 - Kobieto, czym ty się zamartwiasz? Nie denerwuj mnie! – krzyknęła dziewczyna.
- Jak można z takiego powodu usiłować popełnić samobójstwo? W całym świecie, nawet u nas odbywają się parady gejów i lesbijek. Chlubią się innością. Mają swoje kluby. Co? Nie możesz sobie znaleźć jakiejś przyjaciółki?

– Oszalałaś? Tego by tylko brakowało! Rodzice by się mnie wyrzekli. Wychowałam się w bardzo religijnej rodzinie... Powiedzcie, czy ja wyglądam jak kobieta?

Iza podniosła się z pościeli i przyjrzała się nowo przybyłej. Miała kościstą, potężną posturę, końską twarz i tlenione, krótko obcięte włosy z ciemnymi odrostami.

– Czuję się właściwie mężczyzną i mam pociąg do kobiet. Już w liceum zakochałam się w jednej z koleżanek. Była taka śliczna – mówiła Joanna z egzaltacją, wznosząc ku niebu oczy. – Miała blond włosy, duże czarne oczy, a usta... tak świeże, tak wspaniale skrojone, że wiecznie marzyłam o tym, żeby ją pocałować. Pożerałam ją wzrokiem, chodziłam za nią, śledziłam ją. Wieczorami wymykałam się z domu, stałam pod oknem jej sypialni, obserwując przez firankę, jak ona wkłada nocną koszulę i kładzie się do łóżka, a potem przez całą noc nie spałam i onanizowałam się, marząc o niej... Kiedyś nie mogłam się powstrzymać. Było to w sali gimnastycznej. Objęłam ją w jej wiotkiej talii, przytuliłam się do jej biustu, a ona wyrwała się z moich objęć z obrzydzeniem i splunęła mi w twarz. Nie wyobrażacie sobie, co przeżyłam po tym incydencie. Musiałam się przenieść do innej szkoły – Joanna zdobyła się na zwierzenia, widząc, że współtowarzyszki jej nie potępiają. – Urodziłam się chyba chłopcem – obrzuciła badawczym wzrokiem zgromadzone wokół siebie pacjentki, by zobaczyć ich reakcję na te słowa.

Na ich twarzach malowało się zakłopotanie.

– Zdarzają się takie przypadki – rzekła młoda dziewczyna. – Przecież jest nawet taka postanka, która zmienia płęć z mężczyzny na kobietę. – Może ty też powinnaś zmienić płęć? – spytała niepewnie. – Chociaż... właściwie tylko mężczyźni to robią. Nigdy nie słyszałam, by udało się to jakiejś kobiecie, ale... w dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe.

– Jak mogło ci coś takiego przyjść do głowy?! – oburzyła się Joanna. – Bóg stworzył mnie kobietą. Nie mam prawa tego zmienić. Jestem osobą wierzącą. Chodzę do kościoła. Codziennie się modlę. Należałam wraz z całą swoją rodziną do kółka różańcowego. Nie wyobrażacie sobie, jak gorliwie proszę Boga o to, by pozbyć się tych zdróżnych myśli. Regularnie się spowiadam i odbywam przeróżne pokuty. Cóż, nie ma na to rady – rozłożyła bezradnie ręce. – Ksiądz każe mi do końca życia zrezygnować z seksu. Kiedyś nawet zastanawiał się, czy nie powinnam wstąpić do klasztoru, ale wybiłam mu to z głowy, bo tam w otoczeniu kobiet jeszcze trudniej byłoby mi się opanować... Najgorsze, że zmarnowałam życie najlepszemu przyjacielowi. Też pochodził z religijnej rodziny związanej z Radiem Maryja. Poznaliśmy się w kółku różańcowym, rozumieliśmy się doskonale, mieliśmy wspólne zainteresowania, spędzaliśmy ze sobą wiele czasu. Oczywiście nie było mowy o jakimś zbliżeniu, nie wspominając o pocałunkach. Oboje chcieliśmy zachować cnotę aż do ślubu. Podczas studiów przestaliśmy uczestniczyć w kółku różańcowym i zerwaliśmy z Radiem Maryja, ale wiara w nieomylność Kościoła wciąż w nas tkwiła. W sercu i w umyśle. No i w końcu postanowiliśmy się pobrać. Po ślubie zaczął się prawdziwy koszmar. Nie dałam mu się zbliżyć do siebie. Mieliśmy oddzielne sypialnie i oboje niesamowicie cierpieliśmy. Z początku on próbował mnie przekonać do seksu, ponieważ był normalnym mężczyzną. Kiedy okazało się to niemożliwe, wpadł w depresję. Nie mogło być mowy o rozwodzie. Oboje wierzyliśmy, że co Bóg

połączył, człowiek nie może rozłączyć...

– Co ty opowiadasz? – wtrąciła starsza pani. – Przecież Kościół unieważnia takie nieskonsumowane małżeństwa.

– Nie. Zdecydowałam się na leczenie u seksuologa. Myśmy się kochali. Ja go do dziś Kocham i oplakuję... No tak, po dwóch latach nieudanego leczenia uzyskaliśmy unieważnienie małżeństwa i... on wstąpił do klauzurowego klasztoru. Nie wolno mu mieć kontaktu z otoczeniem zewnętrznym, nikomu nie wolno go odwiedzać, a był architektem, mógł projektować domy...

– Kurwa mać! – krzyknęła młoda dziewczyna – Przecież to obłąd. Nie dziwię ci się, że chciałaś popełnić samobójstwo. Słuchaj, skończ z tymi spowiedziami i w ogóle z Kościołem. Znajdź sobie przyjaciółkę, a jak cię rodzina wyklnie, to się tym nie przejmuj. Z czasem wszystko się zmieni. Na Zachodzie takie pary pobierają się i mogą nawet adoptować dzieci. Do nas też to dojdzie. Stwórz sobie nową rodzinę i skończ z jakimiś pokutami i wyrzutami sumienia. Przecież cieszysz się, że żyjesz. To żyj zgodnie ze swoimi pragnieniami.

– Dobrze ci mówić – pokiwała ze smutkiem głową Joanna – ale ja jestem po bożemu wychowana. Od dziecka. Od urodzenia. Nie wyobrażam sobie życia bez chodzenia do kościoła i w jakimś grzesznym związku. Muszę wyrzec się seksu do końca życia – westchnęła ciężko. – Z drugiej jednak strony wciąż go pożądam. Seksu z jakąś kobietą. Najgorsze, że im więcej się modlę, tym bardziej atakuje mnie diabeł. Do tego stopnia, że ostatnio przestałam się modlić i chodzić do kościoła. Co z tego? Wiecznie się zakochuję. Przeżywam męki, kiedy nie mogę zaspokoić pożądania – mówiła podniesionym tonem. – Przeszłam raka i dziesięć chemioterapii. Zapewniam was, że to pestka w porównaniu z tym, co czuję, zwalczając ten... popęd. To są po prostu tortury. Jestem ginekologiem. Wybrałam ten zawód ze względu na pociąg do kobiet. Ale to był poroniony pomysł... Wyobrażacie sobie, co się ze mną dzieje, kiedy badam ładną pacjentkę? Nic dziwnego, że osoby homoseksualne często popełniają samobójstwa... Nie, muszę się wypowiadać i znowu zacząć chodzić do kościoła. To pewne.

– Ludzie, trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam! – krzyknęła wytatuowana dziewczyna. – Lekarka, architekt, a oboje szurnięci!

Żadna z kobiet nie odezwała się, tylko opuściły Joannę. Została sama. Ale przyzwyczajona była do tego. „Czuję się jak nowo narodzona, czuję się jak nowo narodzona” – brzmiało w uszach Izy. Przypomniała sobie, że to jej własne słowa, które wypowiedziała po odzyskaniu głosu po jego pierwszej utracie. Przekonana była wówczas, że to się już nie powtórzy.

Idiotka ze mnie, że chciałam popełnić samobójstwo. Przecież mogę jeszcze kogoś poznać. Na Przemku świat się nie kończy. Jeszcze zakasuję tę młodą, podłą sukę... Niestety, nie mogę zwrócić się do Boga o pomoc, bo diabeł mocno mnie już trzyma w swoich łapach, pomyślała zrezygnowana. Ta kobieta też musiała być w piekle, skoro chciała odebrać sobie życie. A jednak teraz jest szczęśliwa... Wprawdzie nie mogę zwrócić się do Boga, ale... przecież mogę zadzwonić do Roberta. On mnie z pewnością stąd wydostanie. Zaraz, zaraz, gdzie jest moja torebka.

Rozejrzała się i zauważyła, że leży ona na szafce obok łóżka. Wyjęła z niej komórkę i nacisnęła dwójkę, pod którą zakodowany był numer przyjaciela.

– Robert, stało się coś strasznego! – krzyknęła chrypiącym głosem, gdy się odezwał. – Jestem w szpitalu psychiatrycznym.

– Na Boga, dlaczego?

– Nie wiem. Nic nie pamiętam. Zabierz mnie stąd.

– Musisz tam parę dni poleżeć, Izo. Pod wpływem leków wszystko sobie

przypomnisz.

– Mowy nie ma! Ja tu nie wytrzymam. Natychmiast mnie stąd zabierz. Przecież możesz to zrobić jako mój psychiatra. Błagam cię.

– Dobrze – rzekł po namyśle. – W którym szpitalu jesteś?

– Nie wiem.

– Dowiem się i jutro porozmawiam z twoim lekarzem prowadzącym. Zobaczymy, co on powie. Jeśli będzie to możliwe, przyjadę po ciebie.

Tymczasem Joanna poszła poszukać szpitalnej kaplicy. Gdy wyszła do ogrodu, ujrzała na końcu lipowej alei wieżyczkę. Udała się tam biegiem. Po wejściu do środka, wzrok jej padł na modlącego się młodego mężczyznę w szarym garniturze. Od razu domyśliła się, że to ksiądz.

Podeszła do niego.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Czy pan jest księdzem?

Mężczyzna podniósł się z klęczek i spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem. – Tak, jestem szpitalnym duszpasterzem. Jak mogę pani pomóc?

– Muszę natychmiast się wyświadczyć.

– Dobrze. Proszę usiąść obok mnie. Zamieniam się w słuch.

Joanna gorliwie, ze łzami w oczach wyświadczyła się z całego życia.

– Więcej grzechów nie pamiętam. Za wszystkie serdecznie żałuję i pragnę się z nich poprawić – zakończyła rutynową formułką.

Ksiądz wyszeptał cicho modlitwę i udzielił jej rozgrzeszenia.

– Porozmawiajmy – rzekł, gdy wstała z klęczek. – Udzieliłem pani rozgrzeszenia, chociaż nie popełniła pani żadnego grzesznego czynu. Oczywiście poza targnięciem się na życie, ale gorąco pani tego żałuje, gorliwie przyrzeka nigdy więcej tego nie uczynić i tak bardzo cierpi.

Pobyt w tym szpitalu stanowi już dostateczną pokutę... Wszyscy jesteśmy grzeszni. Zachowujemy się, jak maluch stawiający pierwsze kroki. Są dzieci, które po upadku, podnoszą się i znów próbują, lecz są i takie, które płaczą i nie chcą iść dalej. Tak właśnie postąpiła pani i dlatego usiłowała popełnić samobójstwo. Cóż, jesteśmy słabi, często upadamy, czasami podnosimy się o własnych siłach, lecz częściej nie jesteśmy w stanie. I wtedy musimy zwrócić się o pomoc do Boga. Pani to uczyniła i on to widzi. Pomoże pani się podnieść.

Dałem pani rozgrzeszenie przede wszystkim w celu uspokojenia pani sumienia, które wyrzuca pani skłonności homoseksualne. Nawet papież Franciszek opowiedział się za integracją gejów i lesbijek w społeczeństwie. „Jeśli ktoś jest homoseksualistą i z dobrą wolą poszukuje Boga, kimże jestem, by go oceniać” – stwierdził. Więc powinna pani wreszcie przestać czuć się grzesznicą. Tak długo, jak żyjemy na tym świecie, mamy szansę stanąć na własnych nogach i dzielnie kroczyć prostą drogą, by zasłużyć po śmierci na wieczne szczęście w niebie. Ja... nic więcej nie mogę pani powiedzieć. Będzie pani jeszcze miała rozmowy z psychologiem i on lepiej pani pomoże. Może zrozumie pani wreszcie, że niepotrzebnie obwinia się pani za niepełnione grzechy. Nie odpowiada pani za skłonności, którymi obciążyla panią natura.

Podniósł się z ławki i uśmiechnął się do niej serdecznie. – Na mnie czas. Zostawiam panią samą. Może sobie pani odmówić jakiejś modlitwy, jeśli jest pani rozczarowana, że nie zadałem pani żadnej pokuty.

Z Bogiem.

Joannie spadł kamień z serca. Poczula się lekka jak piórko. Wpatrzona w Chrystusa na ogromnym krzyżu wiszącym nad ołtarzem, zaczęła się gorliwie modlić.

– Jezu Chryste, ty jeden wiesz, jak bardzo cierpię z powodu złych skłonności. Teraz wierzę, że pomożesz mi uwolnić się od nich. Przyjmij w tej intencji cały różaniec.

Gdy kończyła go odmawiać, odczuła nagle, że ktoś za nią stanął. Odwróciła się, lecz

nikogo nie ujrzała.

– Dzięki, jedyny Boże, że dałeś mi odczuć swoją obecność. To znaczy, że wysłuchałeś mojej prośby – zakończyła modlitwę i uszczęśliwiona wyszła z kaplicy. Szybko wróciła do szpitala. Jak burza wpadła do swojej sali.

– Słuchajcie dziewczyny, wyspowiadałam się i Bóg mi wszystko wybaczył – mówiła szybko. – Jestem taka szczęśliwa. Mam teraz siłę, by walczyć o wyzbycie się tych grzesznych myśli. Zmienię specjalizację. Będę leczyła dzieci... Czuję się jak nowo narodzona. Jak nowo narodzona – powtarzała.

Rozdział 8

Pod skrzydłami matki

Nazajutrz zjawił się w szpitalu Robert i załatwił zwolnienie Izy. Nie docierało do niej nic z tego, co do niej mówił, gdy znalazła się w jego samochodzie. Zrozumiała tylko tyle, że on jej tłumaczy, dlaczego znalazła się w szpitalu. Oprzytomniała dopiero kiedy zobaczyła, że drzwi jej domu są na oścież otwarte. Przypomniała sobie, że wybiegła i... w dalszym ciągu nic więcej nie pamiętała. Gdy weszli do środka, opadła na sofę w salonie. Poczula się straszliwie osłabiona. W milczeniu patrzyła, jak Robert wyjmuje z kieszeni komórkę.

– Już jesteśmy u niej. Przyjdź tutaj i pomóż jej położyć się do łóżka. Posiedź z nią tak długo, aż zjawi się jej matka.

Powoli zaczęła sobie przypominać, co się z nią działo. Umierała wprost ze wstydu. Pobiła Lenę, zdemolowała jej garderobę. Nikt nie był w stanie jej powstrzymać, aż zjawili się dwaj policjanci, obezwładnili ją, wykręcili jej ręce do tyłu i wyprowadzili do furgonetki, która zawiozła ją do szpitala, gdzie zajęli się nią dwaj potężni pielęgniarze, przymocowali pasami do łóżka, gdyż wciąż się wrywała, wrzeszcząc wniebogłosy. Pielęgniarka wbiła jej zastrzyk, po którym straciła przytomność.

Nigdy już nie wrócę do teatru – myślała z rozpaczą. Nie wpuszczą mnie tam. Jestem chora psychicznie i chyba nigdy już z tego nie wyjdę.

Serce skurczyło się w niej z żalu, lecz nie była w stanie zapłakać. Jej okrutny prześladowca nie dopuścił do niej nawet tej ulgi. Jego złowieszcza postać wciąż pojawiała się przed jej oczyma.

Dlaczego mnie opuściłeś, Boże? – modliła się w duchu. Błagam cię, uwolnij mnie od szatana.

Gdy zjawiła się Alina, Robert zostawił je same. Przyjaciółka wzięła ją w ramiona i spytała:

– Może byś coś zjadła?

– Nie mogę. Wezmę tylko kąpiel, bo lepię się od potu – powiedziała cicho zbolalym głosem.

Alina pomogła jej wstać i zaprowadziła ją do łazienki. Iza czuła się cała obolała, kręciło się jej w głowie. Przyjaciółka umyła ją, wytarła grubym frotowym ręcznikiem, pomogła jej włożyć nocną koszulę i zaprowadziła do sypialni. Nieszczęsna kobieta usnęła natychmiast.

Kiedy się obudziła, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Pochylała się nad nią... jej matka. Miała ufarbowane na czarno, krótkie, ufryzowane włosy i umalowane usta. Wyglądała nobliwie w eleganckiej, jasnej sukni.

Uśmiechała się do niej dobrotliwie.

– Cieszę się, że wreszcie się obudziłaś, Józiu – westchnęła z ulgą. – Nie mogłam się już doczekać, bo siedzę przy tobie całą noc.

– Ale... dlaczego? – wykrztusiła z siebie zdumiona.

– No wiesz, ten lekarz tak mnie przestraszył, że wsiadłam w najbliższy pociąg i przyjechałam. Wpuściła mnie twoja przyjaciółka i powiedziała, żebym przy tobie siedziała, bo

gdybyś się obudziła, to mogłabyś sobie coś złego zrobić... Co oni tak histeryzują? Przecież nic złego się z tobą nie dzieje. Całą noc spokojnie spałaś. Na jednym boku. Nawet się nie przewracałaś. Dobrze wyglądasz... Czemu miałabyś sobie zrobić coś złego?

– Ach nie – Iza pokręciła głową, po czym usiadła. – Niepotrzebnie martwisz się o mnie. Nic mi nie będzie. Ale... cieszę się, że przyjechałaś. Tak ładnie wyglądasz. Musisz się chyba teraz położyć, skoro całą noc nie spałaś – mówiła zmieszana.

– Nie, nie jestem śpiącą. Ale... co się stało? Powiedz. – Patrzyła jej w oczy z zatroskaną miną, jakby chciała w nich wszystko wyczytać.

– Wiesz... tak jakoś... – bąknęła Iza.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Najpierw podam ci do łóżka śniadanie, a potem mi wszystko opowiesz – przysła jej z pomocą starsza pani.

– Nie odchodź! – Iza rzuciła się jej w ramiona i zaczęła głośno szlochać.

– Moja kochana, śliczna córeczka – pocieszała ją matka, gładząc po głowie. – Nie płacz, wszystko będzie dobrze... Tak się za tobą stęskniłam. Bałam się zadzwonić, bo mi ostatnio zabroniłaś.

– Jestem wyrodną córką – stwierdziła nieszczęsna kobieta przez łzy. – Diabeł mi ciebie obrzydził. On chce mnie wykończyć.

– Co ty opowiadasz? – zmartwiła się matka. – No nie płacz, pójdziemy razem do kościoła, pomodlimy się.

– Mamusiu, ty chodzisz do kościoła? – Zdumiała się Iza, przestając szlochać i wypuszczając matkę z objęć. – Przecież po odejściu ojca przestałaś. Samą mnie posyłałaś.

– No widzisz – starsza pani pokiwała głową. – Mnie też wtedy prześladował diabeł, ale skończyło się, jak zwróciłam się do Boga.

– Naprawdę chodzisz do kościoła? – Nie mogła uwierzyć.

– A co mam robić? Jestem całkiem sama, czasami zdawało mi się w tych czterech ścianach, że mi sufit na łeb spadnie... Pamiętasz naszą sąsiadkę, panią Helę?

– No, przypominam sobie. Taka mała, czarna.

– Teraz jest blondynką, bo posiwiiała. To ona zaciągnęła mnie do kościoła. Zaprowadziła też do swojej fryzjerki, żeby mi podcięła włosy, ufarbowała i ułożyła. Sprezentowała mi taką specjalną szczotkę. Co dzień rano robię nią sobie fryzurę... Zaczęłam też malować usta, bo były trupio sine.

– Bardzo ładnie teraz wyglądasz – stwierdziła ze szczerym podziwem.

– To wszystko dzięki temu, że zaczęłam chodzić do kościoła. Poznałam fajnych ludzi, spotykamy się po mszy na kawie, chodzimy na prelekcje, jeździmy na pielgrzymki... Zaprzyjaźniłam się z taką samotną wdową jak ja. Prawie co dzień się widzimy albo telefonujemy do siebie. A najważniejsze, że przestałam rozpaczać z twojego powodu, bo ksiądz wlał nadzieję do mojego serca. Obiecał modlić się za ciebie i doradził mi, żebym co dzień prosiła Boga o telefon od ciebie. No i jak widzisz, zostałam wysłuchana. Aż nie mogę w to uwierzyć, że siedzę tu przy tobie, w twoim pięknym domu, i że ty jesteś dla mnie miła.

– Bardzo się zmieniłaś – ucieszyła się Iza. – Gdybyś zawsze taka była, to z chęcią telefonowałabym do ciebie, odwiedzałybyśmy się wzajemnie...

– Ale mów, co to za choroba? – przerwała jej matka.

– Chyba – zawahała się przez chwilę – no... psychiczna – wykrztusiła wreszcie, zwieszając ze smutkiem głowę.

– Co ty opowiadasz? – zdenerwowała się starsza pani. – Przecież to jest dziedziczne, a u nas w rodzinie nie było przypadków takich chorób... Przemęczona jesteś, za

dużo występujesz. Musisz trochę odpocząć... Tylko, dlaczego ta twoja koleżanka powiedziała, że możesz sobie coś zrobić? Zawód miłosny? Zawsze byłeś kochliwa.

– Oj tak – westchnęła ciężko – ale nie tylko. Wyobraź sobie, że... strasznie narozrabiałam... Chyba... nie zechcą mnie już w teatrze. – Znowu się rozplakała.

– Jak mogą ciebie nie chcieć? – wzruszyła ramionami matka. – Przecież jesteś najlepsza, jesteś wielką gwiazdą... Nie przejmuj się. Wszyscy artyści rozrabiają.

Iza wlała do filiżanki kawę ze stojącego na szafce obok łóżka dzbanek, opróżniła ją jednym haustem i nagle zaczęła się histerycznie śmiać. Kiedy skończyła, wybuchła z niej eksplozja słów:

– Powiem ci szczerze, mamusiu. Ja wiem, że nie jestem chora. Szatan naprawdę istnieje, widziałam go, rozmawiałam z nim. I wcale nie jest taki zły. Przywrócił mi głos, kiedy nie mogłam mówić i dalej będzie mi pomagał. Jestem tego pewna...

– Przestań, Józka! – krzyknęła przerażona matka, przerywając jej. – Opamiętaj się! Nie chcę tego słuchać. Pójdę zrobić ci śniadanie, a potem zabiorę się do sprzątanía. – Zostań! – Iza spojrzała jej błagalnie w oczy. – Nic nie rób. Zaraz przyjdzie gosposia. Ale... mogłabyś mi zaparzyć świeżej kawy, bo ta stoi tu od wczoraj. Jeść nie będę. Nie mam apetytu.

Matka wzięła ją w ramiona i mocno przytuliła.

– Nie martw się Józiu, będzie dobrze – pocieszała ją. – Zaraz przyniosę ci cały dzbanek świeżej kawy.

– A potem usiądź przy mnie! – krzyknęła znękana za wychodzącą do kuchni starszą panią.

Przecież ją kocham, myślała. Jak mogłam jej nienawidzić? No... była wiecznie ponura, to prawda. Ale trudno się dziwić. Po odejściu ojca miała się każdej pracy, od świtu do nocy, żeby spełniać moje zachcianki. Kiedy miała zadbać o siebie? Żyła wyłącznie dla mnie, nigdy mi niczego nie brakowało... A teraz tak się zmieniła. Tak szlachetnie wygląda. Takie dobre ma spojrzenie. Pełne miłości... Ona jedna jedyna mnie kocha.

– Jestem – rzekła matka, stawiając na nocnej szafce tacę z pełnym dzbankiem świeżo zaparzonej kawy. – Może jednak coś byś zjadła? – spytała troskliwie. – Zrobiłabym ci jajecznicę na szynce. Zawsze lubiłaś.

– Nie mamusiu. Nie mogę. Bardzo ci dziękuję. – Znowu rzuciła się matce na szyję i się rozplakała. – Jestem zgubiona, jestem zgubiona – powtarzała przez łzy.

– Uspokój się, córeńko – tuliła ją do piersi matka. – No, nie płacz, bo mi się serce kraje. Opowiedz wreszcie, co się stało.

Iza wypuściła ją z objęć, napełniła filiżankę kawą, wsypała do niej trzy łyżeczki cukru i długo mieszała, zastanawiając się, jak to wszystko opowiedzieć. Nie wiedząc od czego zacząć, piła powoli. Matka patrzyła na nią w napięciu, czekając na jej odpowiedź. Gdy Iza opróżniła filiżankę, zauważyła z zaniepokojeniem, że jej twarz przybrała nieprzytomny wyraz ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni.

– Aj, aj, aj! – krzyknęła nagle. – Całkiem zapomniałam, że masz zażywać te tabletki. Twoja koleżanka zostawiła je na stoliku w salonie.

Wyszła szybkim krokiem po tabletki.

– Nie waż mi się tego zażywać! – krzyknął Mefisto, który zjawił się w swej pierwotnej złowrogiej postaci z rogami. – Chcesz znowu stracić głos?

Iza była już w świecie inscenizacji Fausta i rozmawiała z diabłem.

– Nie, nie. Nie będę ich zażywać – zapewniła go gorliwie. – Zrobię wszystko, co zechcesz, byleby nie stracić głosu.

– Przede wszystkim oddał tę starą ropuchę! – rozkazał.

– Ropuchę? – Nie zrozumiała go w pierwszej chwili. – Ach, chodzi ci o moją mamę. Nie mogę, nie mogę – powtarzała gorączkowo. – Boję się zostać sama.

– Nie jesteś już sama – rzekł przymilnie, zamieniając się w pięknego Fausta. – Jesteś ze mną. Nigdy cię już nie opuszczę.

– To moja matka – oponowała – ona mnie kocha. Tylko ona mnie kocha. Ty... no potrafisz być piękną, ale... kochać nie umiesz.

– Miłość to kłamstwo, rozumiesz? – Spojrzał na nią przeszywającym wzrokiem. – Największe kłamstwo waszego świata. Złudzenie, ogłupienie...

– Tak, tak, masz rację, jestem głupia – zaczęła szybko mówić. – Tak naprawdę nigdy nikt mnie nie kochał i ja nigdy nie kochałam. Tak, tak, to zawsze było ogłupienie. Ona jest obrzydliwa, to złudzenie ten jej nobliwy wygląd. Ona mnie nie rozumie, nigdy mnie nie rozumiała...

W tym momencie zjawiała się starsza pani z opakowaniem tabletek w ręku i szklanką wody. Usiadła przy niej, wyjęła jedną pastylkę.

– Masz, zażyj i popij – rzekła, podając ją córce.

Twarz Izy poczerwieniała, gwałtownie odtrąciła rękę matki.

– Odczep się ode mnie, ty stara ropucho! – krzyknęła.

– Jezus, Maria, co z tobą? – Przerażona kobieta złapała się za głowę, opadając na krzesło.

– Wynoś się! Jedź z powrotem do domu! – krzyczała z furią Iza. – Nie mogę na ciebie patrzeć, ty obłudnico. Taka dobra, kochająca – skrzywiła się ironicznie. – Dobrze cię znam, nie oszukasz mnie. Jesteś zła, nienawidzisz mnie. I ja ciebie nienawidzę! – krzyczała jak opętana.

– Boże, Boże... – Matka rozplakała się, zakrywając twarz dłońmi.

W tej chwili odezwał się domofon. Zapłakana kobieta wybiegła otworzyć drzwi.

– Jak to dobrze, że pani przyszła – powiedziała na widok Aliny, łkając rozpaczliwie. – Ona oszalała, wypędza mnie z domu!

– To jest mój mąż, psychiatra – rzekła nowo przybyła, wskazując na stojącego obok niej Roberta. – On się zaraz nią zajmie, a my usiądźmy w salonie, porozmawiajmy.

Proszę się uspokoić i nie wyjeżdżać.

Mężczyzna udał się do sypialni. Na jego widok Iza zerwała się z łóżka i rzuciła się na niego, objęła go i zaczęła całować. Uwolnił się z uścisku i potrząsnął nią.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął. – Opamiętaj się – dodał spokojnie. – Chcesz znowu wylądować w szpitalu?

Spojrzała na niego z przerażeniem. Zobaczyła siebie przywiązaną pasami do łóżka. To byłoby straszne.

– Usiądź i posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Kiedy zastanawiałem się nad twoim zachowaniem, przyszło mi do głowy, że jesteś zatruta amfetaminą. To, co się z tobą ostatnio działo, przypominało objawy psychozy występującej nieraz po jej długotrwałym zażywaniu. Znam cię od tylu lat i wiem, że na wszelkie niepowodzenia reagujesz depresją. Nigdy jednak nie wykazywałaś najmniejszych objawów psychozy. A agresja to już zupełnie do ciebie nie podobne...

– Zgadza się! – krzyknęła, siadając na krześle stojącym obok łóżka i wlewając kawę z dzbanka do filiżanki. – Ja też nie jestem w stanie zrozumieć swojego zachowania. Jestem zrozpaczona.

– Zostaw tę kawę, nie pij! – rozkazał ostrym tonem. – Podejrzewam, że ktoś ci wsypał amfetaminę do cukru, a ponieważ ty bez umiaru słodzisz kawę, wystąpiły u ciebie

podobne objawy jak w paranoi. Nie wszystkim to się przydarza. Ale ty widocznie przez dłuższy czas ćpałaś ten cukier. Z początku świetnie się czułaś, byłaś szczęśliwa, wspaniale ci się śpiewało, jak nigdy dotąd, lecz w miarę zwiększania dawki wpadłaś w psychozę.

To jest biały gorzki proszek, więc nie było go widać w cukrze, a kawa zabija jego smak. Chyba po nim masz halucynacje i zachowujesz się tak strasznie. Musiał to być ktoś, kto wie, że tak mocno ją słodzisz. Jeśli już koniecznie musisz ją pić, poproś matkę, by kupiła nową paczkę cukru. A ten zabiorę do analizy...

- Jezus, Maria! – krzyknęła zbulwersowana.
- Zażyj natychmiast tabletkę – rzekł władcym tonem.

Spełniła jego rozkaz i wróciła do łóżka. Leżała w milczeniu, on też nic nie mówił, tylko wpatrywał się w nią uważnie.

Po jakimś czasie odezwał się:

- Zażywaj ten lek trzy razy dziennie. On działa szybko we wszelkiego rodzaju psychozach. A teraz zjedz śniadanie, ogarnij się, ubierz i wyjdź z matką na spacer...
- Nie mogę zażywać żadnych tabletek – przerwała mu – bo... znowu stracę głos.
- Nie opowiadaj głupstw – skrzywił się. – To co, wolisz zastrzyki?
- Nie, nie, dobrze, będę je zażywać – zgodziła się po chwili zastanowienia i zażyła tabletkę.

Na jej działanie nie musiała długo czekać. Dosłownie po paru minutach oprzytomniała. Zamyśliła się.

To przecież bzdury z tym diabłem, stwierdziła w myśli. I jak ja mogłam tak poturbować Lenę? Tak, jestem czymś zatruta.

– Obyś miał rację z tym zatruciem – powiedziała spokojnie. – Tego chyba prędzej można się pozbyć niż takiej straszliwej psychozy.

– Na jedno wychodzi – wzruszył ramionami. – Musisz zażywać leki. Całkiem możliwe, że do końca życia, a w każdym razie przez dłuższy czas. Teraz już cię opuszczę, ale jutro znowu wpadnę.

Wyszedł do salonu i zwrócił się do starszej pani:

– Proszę mi przynieść z kuchni cukier, muszę go dać do analizy. I proszę kupić nową paczkę.

– Cukier? – zdumiona kobieta wytrzeszczyła na niego oczy.

Gdy wyszła do kuchni, zwrócił się do żony:

– Możemy już udać się do naszych zajęć. Ona się uspokoila.

Po ich wyjściu starsza pani z lękiem wróciła do sypialni. Zamyślona Iza zerwała się z krzesła na jej widok.

Podeszła do niej i objęła ją.

– Przepraszam cię, mamusiu – wyszeptała skonfundowana. – Tak mi przykro.

– Nic się nie stało, córciu. – Matka pogładziła ją po głowie. – To zdaje się z powodu tej kawy, bo cukier jest zatruty... No, coś podobnego! Chyba ta twoja gosposia to zrobiła. Ktoś ją musiał przekupić. Takie ważne osoby jak ty zawsze mają wrogów, zawiści.

– Nie wiadomo jeszcze, czy to pewne – powiedziała Iza ze smutkiem. – Może naprawdę jestem chora psychicznie? Ale te tabletki mi pomogą. Właśnie zażyłam jedną i już czuję się lepiej.

Rozdział 9

Śmierć pulsująca życiem

Gdy analiza wykazała zawartość amfetaminy w cukrze, Iza od razu pomyślała, że musiał to zrobić Przemek na polecenie Leny, której niezwykle zależało na zastąpieniu jej w „Traviacie”. Widocznie stracił dla niej głowę. Miał klucze od mieszkania, więc bez problemu spełnił życzenie nowej kochanki. Izę ogarnęła gorycz. Uświadomiła sobie, że wciąż go kocha. Czuła się, jakby ktoś wbił jej sztylet w plecy.

Zadzwoiła do zdraдлиwego kochanka.

– Ty potworze! – krzyczała. – Przez ciebie... – przerwała, gdyż żal i złość ścisnęły ją za gardło. – Nie chcę cię więcej widzieć – wykrztusiła przez łyżę. – Natychmiast zwróć mi klucze. Wrzuć do skrzynki pocztowej i nie waż mi się pokazywać na oczy.

Wyobrażała sobie, że on jednak przyjdzie i będzie błagać ją o przebaczenie. Tymczasem Przemysław przysłał klucze pocztą. Wprawdzie nie przypuszczał, że Iza wie o wsypaniu przez niego do cukru amfetaminy i sądził, że wkrótce odzyska równowagę psychiczną, jednak nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

Tymczasem ona szalała z rozpacz, wyplakiwała się w ramionach matki.

– Nigdy mu tego nie wybaczę! – krzyczała. – Muszę się na nim zemścić!

– Nie myśl o tym – uspokajała ją matka – bo to ci tylko zaszkodzi. – Pociesz się, że on zapłaci za to wysoką cenę. Ta krzywdą, którą ci wyrządził, wróci do niego jak bumerang. Zobaczysz. Wspomnisz moje słowa. A ty wyszłaś już z tego zatrucia. Niedługo znowu będziesz śpiewała... Zemsta należy do Boga. Wybacz mu.

– Nie chcę go znać! Nie chcę go widzieć na oczy!

– Nie musisz. Ale wybacz mu w swoim sercu. Wtedy spadnie ci z niego kamień... On pewnie nie wiedział, że to ci aż tak bardzo zaszkodzi.

– To dla mnie żadne pocieszenie. Przecież słyszałaś, jak Robert powiedział, że do końca życia muszę zażywać te tabletki, a po nich nie mogę śpiewać – martwiła się.

– Nie będzie tak źle – pocieszała ją matka. – Przejdzie ci, zobaczysz.

Na szczęście dzięki tabletkom Mefisto nie pojawiał się już więcej przed jej oczami. Jednak od czasu do czasu migiała w jej wyobraźni czerwona peleryna i rogi. Ogarniał ją wówczas lęk przed powrotem choroby. Znalazła w sieci, że psychoza amfetaminowa nie tylko objawia się urojeniami i halucynacjami, lecz również wybuchową agresją, co powoduje, że osoba w takim stanie stanowi zagrożenie dla siebie i innych. Bała się, że znowu skrzywdzi matkę, wyładowując się na niej, a było jej z nią tak dobrze. Zwolniła do odwołania gosposię i wspólnie ze starszą panią zajmowała się domem. Uspokajało ją to i odwracało myśli od nękającego ją lęku przed przyszłością. Jednak o powrocie do opery nie mogło być mowy.

Zażywanie leków psychotropowych doprowadziło do tego, że zobojętniała na wszystko. Z nikim nie chciała się spotykać, bez specjalnego zainteresowania oglądała wizytówki dołączane do wspaniałych bukietów, których płatki dotykała pieszczotliwie. Były dla niej ważniejsze niż ich darczyńcy. Nie próbowała nawet śpiewać, nie mogła też słuchać muzyki, gdyż od razu zbierało się jej na płacz. Obawiała się, że jej kariera skończyła się już na zawsze. Matka

pocieszała ją na wszelkie sposoby i wyciągała na spacer po Krakowie. Artystka nie nakładała makijażu, by nie zostać rozpoznana i z przyjemnością gubiła się w tłumie, w którym była niedostrzegalna, anonimowa.

Już podczas studiów lubiła włóczyć się po mieście. Oczarowana chodziła po ulicach Starego Miasta, które urzekało ją metafizyczną tajemniczością. W powietrzu snuła się aura dobrych duchów przeszłości, utrzymujących dziejową ciągłość w tym niezwykłym miejscu, uszanowanym nawet przez hitlerowskich zbrodniarzy. Wokół niej wibrowały fluidy szczęścia, radości i miłości. Najbardziej urzekało ją miasto przy pięknej pogodzie wiosną, gdy niebo było bezchmurne. Na Plantach rozwijały się pąki drzew. Zapach ziemi drażnił nozdrza. Gołębie na rynku gruchały, kwiaciarki sprzedawały kolorowe tulipany i żółte narcyzy. Zauroczenie i uwielbienie rozpiekało radością jej piersi.

Miała stałą trasę. Kierując się w stronę Teatru im. Juliusza Słowackiego, łączywie pochłaniała wzrokiem Planty i dawne budowle. Przed teatrem zatrzymywała się, przyglądając się jego pięknej neobarokowej fasadzie ozłoczonej promieniami słońca. Przechodząc obok Barbakanu, wchodziła na dziedziniec, stała tam przez chwilę, myśląc o juvenaliowych zabawach, które się tam odbywały. Następnie szła powoli ulicą Floriańską, oglądając wystawy sklepów. Gdy znalazła się na Rynku, niezmiennie doznawała olśnienia. Wchodziła do bazyliki Mariackiej, obchodziła ją dokoła, przystając co chwila przed obrazami i figurami, wreszcie siadała w ławce, żeby pokontemplować piękno witraży ołtarza głównego.

Następnie udawała się ulicą Grodzką na Wawel. Po wejściu do katedry zawsze odczuwała ogromne poruszenie, jej oczy zachodziły mgłą. Ogarniała ją tęsknota za życiem w dawnych historycznych czasach, kiedy to w tym miejscu władcy przyjmowali królewską koronę, zawierali śluby, chrzcili dzieci. Kontemplowała każdy szczegół, chodziła dokoła, podziwiając wciąż na nowo wszystkie kaplice. Najdłużej stała zawsze przed Czarnym Krucyfiks, pod którym ongiś modliła się królowa Jadwiga. Za każdym razem doznawała głębokiego wzruszenia. Drżała na całym ciele, z jej oczu płynęły łzy. Błagała Boga, by zapewnił jej wielką karierę śpiewaczą.

– Nie proszę cię o nic więcej, tylko o to jedno – modliła się. – Wyrzekam się rodziny, męża, dzieci... Pragnę śpiewać w najsłynniejszych teatrach operowych i o to cię błagam.

Wchodziła też do krypty, gdzie byli pochowani nie tylko królowie, lecz również wielcy wodzowie i dwaj uwielbiani przez nią wieszczowie: Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki. Było to dla niej niewyobrażalne – znaleźć się oko w oko z sarkofagami zawierającymi te bezcenne szczątki.

Tak samo wzruszona była w komnatach, wyobrażając sobie przechadzającą się w nich królewską rodzinę. Zdawało się jej, że jest jedną z dworskich dam. Potem spacerowała po dziedzińcu. Słuchała klasycznej muzyki, nadawanej ze sklepu z płytami CD, podziwiała piękne kwiaty. Siadała w znajdującej się tam kawiarni i zaciękawiona przyglądała się turystom.

Czasami chodziła do Muzeum Narodowego, gdzie spędzała wiele czasu. Stawała przed niektórymi obrazami jak wryta. Nogi przyrastały jej do ziemi, unieruchomione impulsem z rzeczywistości duchowej, lecz także zmysłowej, bo pobudzającej bicie serca. Odnosiła wrażenie, że to jest jej prawdziwy świat, a rzeczywistość, w której żyła, jawiła się jej jako sen.

Nigdzie nie czuła się tak wspaniale jak na ulicach tego zabytkowego miasta. Tu nawet śmierć pulsowała życiem. Stała z nią oko w oko, lecz w jakże cudownym wymiarze: w olśniewającej architekturze, w dziełach wybitnych artystów, w katedrze na Wawelu, grobach wawelskich i w komnatach, w innych świątyniach, w tablicach pamiątkowych, nawet w dawnych staropolskich nazwach ulic żyjących wspomnieniem tych, którzy dawno stamtąd odeszli.

Zdawało się jej nieraz, że widzi na ulicach postacie z dawnych czasów. A to dumnie krocących szlachciców w kontuszach, a to chyłkiem przemykające, wystrojone mieszczki, to

znów onieśmielonych chłopów w sukmanach. Pod Wawelem zdarzało się jej zobaczyć jadące w jego kierunku, bogato zdobione karoce i odkryte powozy z dostojnymi osobami, a nad Wisłą sunął tłum miejskiej gawiedzi w średniowiecznych ubiorach.

Przesuwały się przed jej oczami duchy przyobleczone w szaty królewskie, zbroje rycerskie, habity mnichów i księżę sutanny. Często ukazywały się jej świetliste anioły, walczące zaciekle z czarnoskrzydłymi potworami usiłującymi powalić miasto na kolana przed zachłanną diabelską potęgą. Widziała, jak odnoszą wspaniałe zwycięstwo, przeganiając z miasta moce ciemności.

Zaczęła się zastanawiać, czy jest normalna, skoro w jej głowie pojawiają się takie dziwne obrazy. Poszła nawet do psychiatry w studenckiej przychodni, i opowiedziała mu to wszystko, ten jednak wyгнаł ją z gabinetu:

– Niech mi pani nie zawraca głowy! – obrugał ją. – W poczekalni siedzą ludzie naprawdę cierpiący, a pani zajmuje mi czas swoją bujną wyobraźnią!

O tak, miała bardzo bogatą wyobraźnię. Najgorsze, że czasami nie potrafiła odróżnić jej wytworów od rzeczywistości. I wówczas ogarniał ją lęk przed psychiczną chorobą.

Pewnego razu natknęła się na Rynku na barwny korowód, w którego centrum znajdował się dziwny, brodaty człowiek w orientalnym stroju. Miał na sobie turecki kaftan o szerokich rękawach i długi zapinany kontusz w podobnym kolorze, obszyty złotymi nićmi i frędzlami purpurowy pas oraz wysokie czerwone buty z cholewami. Jego głowę zdobił wysoki, wzorzysty i bogato zdobiony turban, zwieńczony półksiężycem i wysadzany szklanymi koralikami. U boku zwisała mu krótka turecka szabla o zakrzywionej klindze i ozdobnej rękojeści. W rękę zaś dźwignął drewnianą buławę. Podczas rytualnego tańca usiłował uderzyć nią w orła na sztandarze zamocowanym na sześciometrowym drzewcu, a poza tym w trakcie całego pochodu bił nią każdego napotkanego przechodnia. Poruszał się na przytwierdzonym do pasa, sztucznym koniku, którego grzbiet okryty był bordową, ozdobną kapą o wschodnich motywach, zapinaną na guzy i wyszywaną ornamentem z pereł i koralu, nawiązując do perskich kobierców. U jej dołu zwisały metalowe dzwoneczki i półksiężyce. Szyję konika okrywał ozdobny napierśnik, a nad głową sterczał pióropus z białych strusich piór.

Wyglądało to tak fantastycznie, że trudno było jej uwierzyć w realność tego zjawiska. Stała jak wryta i oczarowana przyłączyła się do korowodu. „Chyba zwariowałam” – pomyślała przerażona w pierwszej chwili. Dopiero w miarę rozwijania się akcji zorientowała się, że nie jest to wytwór jej wyobraźni, lecz historyczna tradycja, przywołująca czasy tatarskich najazdów, którą wszak doskonale знаła. Wiedziała, że ów „Tatarzyn” to Lajkonik stanowiący nieoficjalny symbol tego miasta.

Przypominała sobie to wszystko i ze śmiechem opowiadała matce podczas spacerów po Rynku.

Rozdział 10

Pod wpływem matki

Pewnego słonecznego ranka zapragnęła przejść się z matką wzdłuż Rudawy aż do klasztoru Norbertanek. Nigdy dotąd nie wypuściła się pieszo tak daleko. Wystarczył jej jogging w lesie.

– Chciałabym ci dzisiaj zaproponować długi spacer, ale nie wiem, jak tam z twoimi nogami – zwróciła się do matki.

– A nie ma tam gdzieś po drodze ławek, żeby można było odpocząć? – spytała matka.

– Nie mam pojęcia. Chyba nie, ale można usiąść na trawie. Poszłybyśmy wzdłuż brzegu Rudawy aż do pięknego klasztoru.

– O, do klasztoru, to polecę na skrzydłach – starsza pani z zapalem przystała na propozycję.

– Zjadłybyśmy sobie na Zwierzyńcu obiad i wróciły do domu autobusem.

Była piękna pogoda. Po błękitnym niebie przesuwwały się tylko od czasu do czasu małe obłoczki, ptaki śpiewały radośnie, obie kobiety były we wspaniałym nastroju. Wspominały podczas drogi czasy dzieciństwa Izy. Parę razy przysiadły na brzegu rzeki, by odpocząć i w końcu na horyzoncie pojawił się klasztor Sióstr Norbertanek położony nad Rudawą w miejscu, w którym wpada ona do Wisły. Wreszcie było na czym zatrzymać oko. Dotychczasowa droga przedstawiała się niezbyt ciekawie. Owszem, przyjemnie było patrzeć na rzekę, ale domy po obu jej stronach były szare i brzydkie.

Stojąc przed klasztorem, z zachwytem przyglądały się jego sylwecie uwydatnionej na tle błękitnego nieba. Wraz z przylegającym do niego kościołem św. Augustyna i św. Jana Chrzciciela tworzył największy po Wawelu i jeden z najpiękniejszych kompleksów zabytkowych miasta. Przeszło osiem wieków przemawiało z tych murów.

Następnie weszły do kościoła. Izę ogarnął religijny nastrój, którym tchnęło wspaniałe XVIII-wieczne wnętrze, a zwłaszcza dwa boczne piękne barokowe ołtarze. W odróżnieniu od wypełnionych przez cały dzień śródmiejskich kościołów, tutaj o tej porze było pusto. Usiadły w ławce i po chwili oczy śpiewaczki zasłyły mgłą. W jej sercu ożyły religijne uczucia. Odmówiła pacierz, tak jak w czasach dzieciństwa, po czym zaczęła gwałtownie szlochać. Nie mogła sobie darować niezbyt cnotliwej przeszłości. Czuła, że przyczyniła się do ukrzyżowania Jezusa, który z wyrzutem – jak jej się zdawało – na nią patrzył.

– Może byś się wyspowiadała, Józiu? – spytała ją matka po wyjściu z kościoła, domyślając się, dlaczego córka płacze.

– Och, mamusiu, przecież ja nie dostanę rozgrzeszenia – Iza rozłożyła bezradnie ręce, połykając łzy.

– Chodzi ci o tę „skrobankę”. Ale przecież ty nie wiedziałaś, że to jest zabójstwo nienarodzonego dziecka.

Nie chodziłaś do kościoła...

– Wiedziałaś, wiedziałaś – przerwała jej córka. – Wciąż się o tym słyszy... Nie

mamusi, nie dostanę rozgrzeszenia – pokręciła przecząco głową. – A skąd wiesz, że ja to zrobiłam? – spytała, wycierając łzy.

Nietrudno było się domyślić. Wtedy jeszcze utrzymywałaś ze mną kontakt. Kiedy zadzwoniłaś do mnie po tej „skrobance”, niewiele brakowało, a byłabyś się przede mną wygadała, ale ja i tak się domyśliłam. – Matka pogładziła ją po głowie. – Jaka ty jesteś skryta, żeby rodzonej matce nie zwierzyć się z czegoś takiego?

– Jak mogłam ci się zwierzać? Wiecznie byłaś zła, niezadowolona, naburmuszona... Nigdy nie miałaś dla mnie czasu.

– Oj, córciu, córciu, zmęczona byłam, przepracowana, wiecznie brakowało mi pieniędzy, a ty miałaś wymagania, chciałaś się modnie ubierać... Najgorsze, że włóczyłaś się po nocach, byłam na ciebie o to wściekła.

– A teraz wyobrażasz sobie, że się nagle wypowiadam i dostanę rozgrzeszenie? Gdybyś wiedziała, co jeszcze mam na sumieniu! Szkoda gadać. – Iza machnęła ręką.

– Nigdy nie jest za późno na powrót do Boga. Odpokutowałaś już swoje grzechy.

– Właśnie – westchnęła nieszczęsna. – To jest niesamowita pokuta. Przecież jeśli nie będę śpiewała, to... chyba muszę sprzedać dom.

– A po co ci taka wielka willa? To jest pałac, a nie dom. Po co ci gosposia, szafy pełne strojów? Kupisz sobie mieszkanie. A jak zechcesz, to zamieszkam z tobą i póki żyję, będę ci sprzątać, prać, prasować, gotować.

Przynajmniej będę miała co robić.

– Mamusi, dosyć już mi się nawysługiwałaś – zaoponowała córka. – Na starość musisz trochę odpocząć... Tylko ja, niestety, nie będę mogła przysyłać ci pieniędzy, a twoja emerytura jest niska... Nie, wołę o tym nie myśleć, co nas czeka, jeśli przestanę śpiewać. Co ja wtedy będę robić?

– Dlaczego tak czarno to widzisz? Opamiętaj się! Na pewno dojdiesz do siebie. Będziesz jeszcze długo śpiewała i dalej żyła w luksusie.

– Oby! – Iza zamyśliła się, a matka patrzyła na nią z uwielbieniem. – Wiesz co – odezwała się po chwili śpiewaczka – tak sobie myślę, że to nie jest zły pomysł, żebyśmy zamieszkały wspólnie. Obojętne – w moim domu czy w mieszkaniu, które kupię po jego sprzedaży.

– Naprawdę chciałabyś? – ucieszyła się starsza pani. – I nie przeszkadzałabym ci? Nie działabym ci na nerwy, tak jak to zawsze było?... Ale ty się zmieniłaś!

– Mimo to do spowiedzi nie pójde – rzekła Iza zdecydowanie.

– Jak uważasz – matka wzruszyła ramionami.

Jednak nie dała za wygraną. Wiedziała, że w Medziugorje, gdzie ponoć ukazuje się Matka Boska, ludzie gremialnie przystępują do spowiedzi, nawracają się i doznają ogromnej ulgi. Przyjaciółka przyniosła jej kiedyś kasetę wideo z filmem o tych objawieniach, na którym uderzyły ją niesamowite kolejki do niezliczonej liczby księży spowiadających na wolnym powietrzu w pięknej górskiej scenerii. Historia objawień i posłań Matki Bożej wstrząsnęła nią do głębi. Zaczęła namawiać córkę do odbycia pielgrzymki, lecz ta sceptycznie podchodziła do tego pomysłu, gdyż znalazła w sieci, oprócz bałwochwalczych linków, również krytyczne. Dowiedziała się, że Kościół katolicki nigdy nie uznał prawdziwości „objawień”. Nie tylko miejscowy biskup, ale również episkopat byłej Jugosławii, stanowczo odmówił akceptacji ich treści. Zarzucano patronującym objawieniom franciszkanom szereg herezji i manipulacje. Wielu księży apelowało do pielgrzymów o rozwagę.

Znalazła linki opisujące podejrzane zachowanie dzieci, którym ukazała się Matka Boska, dorosłych już obecnie osób, wciąż jeszcze ją widzących, i to na każde niemal zawołanie i w

każdym miejscu. Podawano przykłady ich kłamstw, a także wygłupów podczas mszy. Gorszono się, że „widząca”, Ivanka, wyszła za mąż i robiła interesy w barze dla pielgrzymów. Dwóch opiekujących się nimi franciszkanów, ojcowie Vlasić i Vego, także nie zasługiwało na miano „świętych”. Vlasić był ojcem dziecka zakonnicy, a Vego porzucił kapłaństwo i żył z byłą siostrą zakonną w konkubinacie. Obaj zostali oczywiście wykluczeni z zakonu.

A wszystko zaczęło się też niezbyt cnotliwie. Przed pierwszym objawieniem dziewczynki zeszyły się na potajemnym paleniu papierosów, natomiast chłopiec ukradł sąsiadowi jabłka. Wobec tych faktów zadziwiła Izę gigantyczna liczba pielgrzymów odwiedzających to miejsce, która przekraczała dwa miliony osób rocznie. Jeden z emerytowanych włoskich biskupów stwierdził sarkastycznie, że w Medziugorje do tej pory pojawiły się raczej rzeki pieniędzy niż Najświętsza Dziewica.

Nie miała ochoty na tę pielgrzymkę, ale zależało jej na sprawieniu matce przyjemności. Bardzo chciała spełnić jej prośbę, lecz wciąż się wahała.

- Nie mogę, mamusiu, tak mieszać się z tłumem – tłumaczyła się.
- Korona ci z głowy nie spadnie – rzekła matka z przekąsem.
- Ale... ktoś może mnie tam poznać i jak to będzie wyglądało, że wierzę w takie rzeczy?
- Nikt nie będzie na ciebie patrzył. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Nie pomalujesz się, a bez makijażu nikt cię nie pozna... Programy pielgrzymek przewidują wspaniałe wycieczki, na przykład pobyt w Parku Narodowym Jezior Plitwickich, zwiedzanie słynnego Splitu i Trogiru, stolicy Chorwacji – Zagrzebia, całodzienne wycieczki do Dubrownika wraz z rejsem statkiem po Adriatyku, do Wodospadów Kravica i wiele innych.
- No dobrze – westchnęła Iza, postanawiając potraktować wyjazd turystycznie.

Rozdział 11

Dziwna pielgrzymka

Podróż była dla Izy niesłychanie nużąca. Męczyły ją religijne śpiewy i nieustanne odmawianie różańca, zainteresowało ją tylko to, co na wstępie powiedział o objawieniach prowadzący pielgrzymkę młody, sympatyczny ksiądz.

– Nie wiem, czy wszyscy zdajemy sobie sprawę, że jedziemy na spotkanie z Królową Pokoju – zaczął ksiądz Emil – *Przynoszę wam pokój. Jestem waszą Matką i Królową Pokoju* – powiedziała Matka Boska sama o sobie podczas jednego z pierwszych objawień. Dziesięć lat przed trwającą pięć lat wojną w byłej Jugosławii przewidziała ją i podczas objawień nieustannie prosiła o modlitwę o pokój. Serbowie zarzucali ojcom franciszkanom, że wymyślili „turystyczny chwyt”. Później po wybuchu wojny grozili, że zrównają Medziugorje z ziemią. Nic z tego nie wyszło. Żaden ładunek nie wypalił. Miejsce stanowiło oazę pokoju przez cały czas trwania wojny.

Postaram się w telegraficznym skrócie wyłożyć, jak na podstawie posłań Matki Bożej ludzkość może osiągnąć pokój. Otóż. Zacząć należy od własnego serca. W nim musi najpierw zapanować spokój. Następnie w rodzinie, wśród sąsiadów, w najbliższym otoczeniu... I tą drogą, coraz to dalej postępując, zataczając coraz to szersze kręgi, niczym kamień wrzucony w wodę, pokój ogarnie cały świat. Gwarancję urzeczywistnienia tego planu stanowi nasze nawrócenie, a następnie zbliżenie się do Boga poprzez modlitwę (zwłaszcza różańcową), czytanie Pisma Świętego, uczestnictwo w Eucharystii, post o chlebie i wodzie. Najważniejsze jest otwarcie się, pełne zaufanie, całkowite poddanie Bożej woli. Zaowocuje to miłością, radością, spokojem, cierpliwością, życzliwością, dobrocią, ufnością, łagodnością, opanowaniem. A wówczas nie będzie problemów z osiągnięciem światowego pokoju.

Na krótko przed pojawieniem się groźby wojny w Zatoce Perskiej w 1990 roku, posłanie brzmiało:

Kochane dzieci! Dziś wzywam was do szczególnej modlitwy, ofiar i dobrych uczynków na rzecz pokoju w świecie. Zły duch jest silny i z całej siły pragnie zniszczyć pochodzący od Boga pokój. Przeto, kochane dzieci, módlcie się szczególnie gorąco w intencji pokoju. Jestem z wami, pragnę wam pomóc swoimi modlitwami i wprowadzić na drogę pokoju. Błogosławię was swym macierzyńskim błogosławieństwem. Pamiętajcie o urzeczywistnianiu idei pokoju...

– Odmówmy teraz różaniec w intencji pokoju – zakończył ksiądz swoją przemowę.

I tak upłynęła cała podróż – parę słów informacji, cytaty posłań matki Bożej, różaniec, inne modlitwy wygłaszane przez księdza, religijne śpiewy.

Starsza pani uczestniczyła w tym wszystkim z zapałem, ale Iza pod koniec podróży była nerwowo wykończona. Żalowała, że dała się namówić na tę pielgrzymkę.

Na szczęście pensjonat, w którym zarezerwowano dla nich pokoje, okazał się luksusowy, rustykalnie urządony. Pielgrzymów przywitano iście królewską kolacją zakrapianą świetnym winem. Obie panie poczuły się wspaniale.

– Nie pij tyle, Józiu – szepnęła jej matka. – Przecież twój lekarz powiedział, że nie wolno, jak się zażywa te tabletki.

- Nic mi nie będzie – odpowiedziała beztrzesko.
- Zastanów się, co robisz. Chcesz znowu rozmawiać z diabłem? – niepokoila się starsza pani.

Po kolacji natychmiast udały się do sanktuarium wraz ze swoją grupą i przewodniczącym pielgrzymce księdzem, który był też tłumaczem. Po drodze rozglądały się ciekawie. Na widnokręgu widać było szare, skaliste góry, pokryte kamieniami, a dalej, na samym już horyzoncie, ośnieżone stoki graniczące z niebem. Tak samo kamienne były fasady starych domów. Nowe zaś świeciły z daleka śnieżnobiałym tynkiem. Bogactwo zieleni cieszyło oko, a przed niektórymi domami stały egzotyczne palmy. Trudno było powstrzymać okrzyk zachwyty, rozglądając się dokoła.

Przepelniała je ciekawość w połączeniu z podekscytowaniem, gdy mimo zmęczenia podróżą dziarsko kroczyły do sanktuarium. Wioska czyniła wrażenie typowej turystycznej miejscowości z mnóstwem hotelików i pensjonatów o wielojęzycznych napisach. Z tą jednak różnicą, że nie było słycać hałaśliwej muzyki, a sklepy z upominkami reklamowały się na zewnątrz rzędami porozwieszanych na stojakach różnobarwnych różańców i wszelkiej wielkości kiczowatymi wizerunkami Matki Boskiej z Medziugorje. Z trudem przeciskały się w tłumie. Nie sposób było przepchnąć się nieco bliżej ołtarza na wolnym powietrzu, ponieważ pielgrzymi zgromadzili się, by spotkać się z o. Jozo Zovko cieszącym się opinią cudownego kaznodziei.

Iza przyjrzała się mu uważnie. Był przystojnym brunetem w średnim wieku, czyniącym na niej wrażenie aktora w przebraniu mnicha. Nuta egzaltacji w głosie, przechodząca w szept w chwilach uniesienia, gest podnoszenia w górę stojącego na ołtarzu krzyża... „Nie, to nie dla mnie” – pomyślała. Raziło ją jego zachowanie jako zbyt teatralne, przesadne, by nie rzec kiczowate. Przyzwyczajona była do godnego, powściągliwego zachowania polskich księży. Taki image kapłana był jej obcy. Teraz dopiero poczuła zmęczenie wielogodzinną podróżą, stłumione przez wiodącą ją tu ciekawość.

- Przepraszam cię, mamusiu – szepnęła matce do ucha – ale pójdę się trochę przejść. Spotkamy się w pensjonacie.

Zapadał zmierzch, jej ulubiona pora dnia, łagodząca ostrość konturów widzialnego świata, czyniąc go bliższym marzeń. W powietrzu unosiła się aura przenikliwego spokoju. Otoczyła ją mgielka romantycznego zauroczenia. Ulice z wolna pustoszały. Nie chciało się jej wracać do pensjonatu. Postanowiła wejść do przyległego do kościoła budynku, przed którym gromadził się tłumek. Ojcowie franciszkanie sprzedawali tu dewocjonaia i upominki. Ceny były przystępniejsze niż w innych sklepach, obok których przed chwilą przechodziła. Nie widać też było kiczu.

Nieoczekiwanie usłyszała ojczytą mowę. Podeszła do dwojga młodych ludzi przybyłych – jak się okazało – z Londynu. On zaproponował, aby poszli na kawę, lecz dziewczyna zaoponowała. Pościła właśnie o chlebie i wodzie, ponieważ był piątek. Opowiedziała Izie z przejęciem, że wybiera się nazajutrz na rozmowę z ojcem Jozo.

- Wie pani, kiedy on udziela błogosławieństwa, to powala ludzi na ziemię, taką ma wewnętrzną siłę! – rzekła z uwielbieniem.

Iza nie rozumiała, o co jej chodzi.

- Powala ludzi na ziemię? A po co? Dlaczego? – spytała.
- Jest to „spoczywanie w Duchu Świętym”, przeżywane przez padających na ziemię, podczas gdy błogosławiący kładzie na ich głowie ręce, błagając Boga o ich cielesne i duchowe uzdrowienie – wyjaśniła jej dziewczyna. Zgodnie z relacją tych osób, nie jest to utrata przytomności, a zjednoczenie z Bogiem, napełniające serca niewysłowionym szczęściem... Miłosierdzie Boże pochłania w tym momencie wszystkie ciężkie problemy, a zwłaszcza bolesne

wspomnienia. I wówczas człowiek czuje się jak w niebie, jak nowo narodzony.

To są jakieś parapsychologiczne praktyki, pomyślała zniesmaczona śpiewaczka. Nie sądzę, że ma to wiele wspólnego z religią i z Bogiem.

A jednak wbrew zmęczeniu podróży i pokusie pójścia do kawiarni, zdecydowała się wrócić wraz z nowymi znajomymi z Londynu do sanktuarium, gdzie odmawiano różaniec. Byli tam teraz zgromadzeni pielgrzymi z całego świata. Dominowali Włosi, Niemcy i Amerykanie. Każdy odmawiał różaniec w swym języku. Tuż koło niej stała piękna Włoszka w drogim futrze, śpiewająca iście anielskim głosem, obok niej tłusta służąca, zajmująca się dziećmi, a opodal z wiejska odziany, starszy, spracowany Chorwat, trzymający na rękach okazałych rozmiarów posąg Matki Bożej. Później zauważyła drugiego takiego, podobnie tulącego do piersi takąż ludową rzeźbę, ale młodego i modnie ubranego. Spotykała ich obu nieustannie. Nie wypuszczali z rąk swych świętych figur. Ci dwaj egzotyczni dla niej ludzie, którym z początku przyglądała się jak kosmitom, stali się jej wkrótce bliscy niczym dobrzy znajomi. Ze zdumieniem stwierdziła, że chyba nigdy dotąd nie czuła się tak swojsko jak w tym osobliwym, wielojęzycznym tłumie, w którym była anonimową osobą. Zwłaszcza podczas mszy świętej w dniu następnym, gdy ów stary wieśniak rozsiadł się ze swą „Majką” obok niej w ławce, pośród powściągliwych Niemców i wylewnych Włochów, z którymi zaprzyjaźniła się podczas oczekiwania na otwarcie kościoła przed mszą. Była to grupa ludzi w większości w średnim wieku. Znalazło się też wśród nich kilka starszych pań i sporo młodzieży. Kiedy dowiedzieli się, że ona i jej matka są Polkami, odśpiewali nieskończoną liczbę zwrotek „Czarnej Madonny”, a starsza pani wtórowała im po polsku. Jakaś wielce rozmowna, mocno umalowana, piękna dziewczyna w towarzystwie równie pięknego, lecz milczącego chłopca, potakującego tylko, gdy zwracała się do niego, zaczęła Izie, która знаła dobrze język włoski, z przejęciem opowiadać o Janie Pawle II, po czym śpiewaczka poprosiła ich, by znowu coś zaśpiewali. Zastanawiali się przez chwilę, po czym zdecydowali: *Regina della pace*. I wówczas uświadomiła sobie po raz wtóry, że głównym przesłaniem objawień jest pokój.

Podczas mszy odmówili różaniec w intencji pokoju, wraz z trojgiem „widzących”. Przepelniała ich niepohamowana radość, kiedy pod koniec trwającego przeszło trzy godziny nabożeństwa, z wszystkich piersi wzniosła się ku niebu pieśń „Uwielbiamy Pana”, śpiewana po kolei: po angielsku, francusku, niemiecku, włosku i na koniec po chorwacku. Wystarczyło spojrzeć na rozpromienione twarze przybyłych ze wszystkich stron świata ludzi, niczym nie różniących się od spotykanych na ulicach zachodnich miast, a zwłaszcza licznej młodzieży w barwnych kurtkach i džinsach, posłuchać jak żarliwie się modlą i jak pięknie śpiewają, aby zrozumieć, że istotnie „modlitwa prowadzi do pokoju i miłości”.

Nikt nie miał ochoty opuścić sanktuarium. Trzymając się za ręce, powtarzali wciąż na nowo, we wszystkich językach po kolei pieśń „Uwielbiamy Pana”. Aż wreszcie prowadzący nabożeństwo zakonnik, który nauczył ich na wstępie pieśni śpiewanych podczas mszy pod jego batutą, zwracając się do muzyków, zażartował, by zmienili rytm na marszowy, odpowiedni do wychodzenia z pieśnią na ustach.

Rozdział 12

Nowa miłość

W trzecim dniu pielgrzymki udali się do parafii ojca Jozo znajdującej się w wiosce oddalonej o parę kilometrów od Medziugorje. Gdy przyjechali na miejsce, odbywało się jeszcze nabożeństwo dla Włochów. Jednak Iza wraz z matką i kilkoma innymi osobami weszła już do kościoła i stanęła przy drzwiach. Jakiś starszy franciszkanin, pomagający ojcu Jozo, udzielał właśnie tuż przy wejściu błogosławieństwa, kładąc ręce na głowach wiernych. A choć to sam ojciec Jozo miał im dopiero później go udzielić, coś pchnęło ją w kierunku starszego mnicha. Gdy spoczęły na jej głowie jego starcze, strudzone dłonie, poczuła osobliwą ulgę, jak gdyby kamień spadł jej z serca. A kiedy skończył swą modlitwę, przemknęła myśl, ulotna i nieuchwytna jak muśnięcie motyla: „No, teraz już nie będziesz więcej grzeszyła!”.

Ależ to jest... marzenie ściętej głowy, pomyślała z ironią. Ja i nie grzeszyć! – zaśmiała się w duchu.

Podchodząc bliżej ołtarza, dostrzegła leżących pokotem ludzi. W pierwszym odruchu chciała się nimi zająć. Od razu jednak przypomniała sobie, że to tak ma być. Nad leżącymi w bocznych nawach grupki osób śpiewały pieśni. Większość Włochów opuszczała już jednak kościół, robiąc im miejsce. Niektórzy wszakże leżeli jeszcze tak na ziemi podczas ich nabożeństwa.

Na twarzy ojca Jozo malowało się znużenie, gdy zaczął odprawiać mszę świętą. Widać było, jak wiele zdrowia kosztowało go udzielanie błogosławieństw włoskim pielgrzymom. Parę razy dotknął machinalnie czoła, jak gdyby go coś zabolalo. Po kilku jednak minutach twarz jego znów promieniała, a oczy pałały radością. Kiedy zaczął kazanie, tryskał już energią. Przemawiał przeszło dwie godziny. Gdy skończył, Iza odniosła wrażenie, że mógłby tak jeszcze przez parę godzin, tylko im trudniej byłoby dłużej ustać w tym tłoku.

On czerpał temat z ich oczu, odpowiadając na pytania, zanim zdążyły się pojawić w ich głowach. Starał się podać receptę na osiągnięcie szczęścia, którym promieniowała cała jego postać. Pragnął przekazać jak najwięcej posłań Matki Bożej, gdyż właśnie one ją zawierały. Całe kazanie toczyło się wokół jednego pytania: Jak osiągnąć wieczne szczęście?

– Czy wiesz, dlaczego tak długo tu do was przemawiam? – zwrócił się w pewnym momencie do stojącego najbliżej ołtarza młodzieńca. – Bo widzę w twoich oczach, że mnie kochasz!

W innym zaś momencie ucałował Pismo święte, zwracając się do pielgrzymów:

– Czy zdajecie sobie sprawę, że całuję Chrystusa? To przecież jest Słowo, które stało się ciałem!

Tym razem Iza poddała się charyzmie mnicha. Może dlatego, że w tym dniu polski ksiądz lepiej tłumaczył jego kazanie. A może zbyt wiele wina wypila podczas obiadu. Czula wzruszenie, jakby to sam Duch Święty do niej przemawiał, sprowadzony przez wiarę, którą ojciec Jozo wydobyl z najskrytszych zakamarków jej serca.

Pod koniec wręczono im obrazki Matki Bożej z Medziugorje. A Ojciec Jozo powiedział dosadnie, powoli wymawiając każde słowo:

– Spójrz na Nią... t o ... t w o j a ... M a t k a !

Popatrzyła na kiczowaty wizerunek i... „Nie!” – powiedziała sobie w myśli, przywołując w wyobraźni przecięte dwiema bliznami oblicze Czarnej Madonny: „To jest moja Matka”. Przypomniała sobie, jak kiedyś we wczesnej młodości, na Jasnej Górze, przed obrazem Czarnej Madonny, przeżyła coś dziwnego. Podczas modlitwy usłyszała w swym wnętrzu głos recytujący bez jej udziału, jak gdyby niewidzialna ręka puściła w jej mózgu płytę:

Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!

Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem

(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę

Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę

I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu Iść za wrócone życie podziękować Bogu),

Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono.

Pomyślała, że jednak Medziugorje jest jakimś metafizycznym miejscem, skoro wydobywa z jej świadomości takie doznania.

Nie wszystkim zapewne uczestnikom pielgrzymki dane były tak głębokie przeżycia. Niektórzy jednak, podobnie jak ona, zajrzeli do wnętrza swego serca. Pewna starsza pani złapała ją za rękę po spotkaniu z ojcem Jozą, powtarzając kilkakrotnie:

– Nie wolno nigdy niczego złego mówić o innych!

Nie wolno, nie wolno!

Iza zauważyła, że sceptycznie podchodzący do objawień kierowca autobusu, podszedł po mszy świętej do mnicha, aby udzielił mu błogosławieństwa. Mało tego, kupił największych rozmiarów obraz Matki Bożej i przykleił na przedniej szybie autokaru.

– Wszystko to polega na wierze – odezwał się niepewnie podczas kolacji.

– A co na niej nie polega? – spytała Iza. – Czy mógłby pan prowadzić autobus, gdyby pan nie wierzył, że nic złego po drodze się nie zdarzy?

*

Nazajutrz po obiedzie, w drodze do sanktuarium Iza poczuła się znużona natłokiem modłów i śpiewów. Jej nastrój z euforycznego zmienił się w zniechęcenie. Było to dla niej charakterystyczne. Wiecznie podlegała huśtawce emocji.

– Wiesz co, mamusiu? – zwróciła się do matki. – Ty sobie idź do sanktuarium, a ja rozejrzę się tu trochę.

Zaczęła przechadzać się wśród kramów z dewocjonaliami. Od kolorowych kamyczków na wiszących różańcach odbijało się światło, ściągając wzrok. Podeszła do jednego stoiska, potem do drugiego i do następnego. W pewnej chwili wzrok jej ściągnęły małe białe poduszeczki z gumą, na których była podobizna Matki Boskiej. Zastanawiała się, w jakim celu jest ta guma, po czym olśniło ją, że jest to poduszka na krzeselko, pod szlachetne cztery litery, z której mogą skorzystać starsze panie. Następnie zobaczyła śliniaczek ozdobiony wprasowaną twarzą Matki Bożej. Zrobiła dwa kroki dalej, gdzie wisiały różańce przypominające bransoletki, na „paciorkach” których znajdowały się kolorowe naklejki obrazujące tajemnice z życia Jezusa, takie same różańce tuż obok ozdobione były znakami zodiaku(!). Ze zdziwieniem oglądała kolejne dewocjonaia: plastikową Maryję z odkręcaną głową, do której można nalać wody święconej, kolczyki czy też piercingi do pępka itp.

W pewnym momencie wyczuła na sobie czyjś wzrok. Odwróciła głowę w prawo i ujrzała

przystojnego bruneta wbijającego w nią czarne, błyszczące oczy.

– Przepraszam najmocniej, pani Józefino – odezwał się ciepłym barytonem. – Słynna śpiewaczka operowa w takim miejscu?

Spojrzała w te rozpalone oczy i poczuła, że się rumieni. Mężczyzna miał urzekający uśmiech, ukazujący zęby lśniące bielą w opalonej twarzy.

Zacznę chyba wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia – przemknęło jej przez głowę. Co się ze mną dzieje? – zmytygowała się w myśli. Chyba wypiałam za dużo wina podczas obiadu!

– Może zechciałaby pani zaszczyścić mnie i przyjąć zaproszenie do kawiarni? – mówił mężczyzna, ośmielony wyrazem jej twarzy. – Nazywam się Cezary Sobótka i też jestem śpiewakiem... Niestety marnym – dodał po chwili ze smutkiem, nie mogąc doczekać się jej odpowiedzi.

– Dobrze, przyjmuję pańskie zaproszenie – wydukała oszołomiona wrażeniem, jakie na niej wywarł.

Gdy usiedli w wypełnionym palmami ogródku kawiarenki, mężczyzna dotknął delikatnie jej dłoni, a jej po plecach przeszedł dreszcz.

– Nie wyobraża pani sobie, jakie to dla mnie szczęście, że mogę panią poznać – rzekł, obrzucając ją płomiennym spojrzeniem. – Jestem gorącym wielbicielem pani talentu. Mam wszystkie pani nagrania.

– Naprawdę? – spytała z zalotnym uśmiechem.

– To chyba dla pani nic niezwykłego. Pani jest... uwielbiana przez miłośników opery. I dobrze pani o tym wie – odpowiedział żarliwie. – Ale... od dłuższego czasu nie występuje pani. Czyżby jakaś choroba? – spytał z zatroskaną miną. – Chyba z tego powodu znalazła się pani w tym miejscu.

– Matka mnie tu wyciągnęła – odpowiedziała, spuszczać głowę, zdeprymowana nieco jego rozpalonym wzrokiem.

– I bardzo dobrze zrobiła. To jest wspaniałe sanktuarium. W ciągu minionych lat miliony się tutaj w tym miejscu nawróciły. Z kimkolwiek by pani tu porozmawiała, to każdy powie, że przeżył religijną ekstazę.

– Jakoś nie jestem przekonana do tych objawień.

– No, nie tylko pani. Nawet opiekujący się dziećmi ojciec Jozo Zovko do pierwszych objawień odniósł się sceptycznie. Dementował wszelkie pogłoski o cudzie. Ale... pewnego razu, podczas odmawiania z dziećmi w kościele różańca, wszyscy zebrani doznali szoku, śledząc z zaniepokojeniem jego osobliwe zachowanie. Przerzywał co jakiś czas modlitwę i wznosząc do góry ręce, śpiewał w uniesieniu: *O jak piękna, jak piękna jesteś Niepokalana Panienko!* Okazało się, że ujrzał Ją jak żywą! Wyobraża to pani sobie?! Niesamowite, co? – piękny mężczyzna patrzył jej w oczy pytająco, czekając na jej reakcję.

Nie doczekawszy się jej odpowiedzi, ciągnął dalej:

– Od tego czasu ojciec Zovko otoczył dzieci opieką, ochraniając je przed wszelkimi szykanami. Sam zaś stał się najzagorzalszym orędownikiem posłannictwa Matki Bożej. Nie przypadło to do gustu komunistycznym władzom. Uwięziły go na parę lat, a dzieciom zabroniono przychodzenia do kościoła wieczorami, kiedy to zazwyczaj odbywało się ich ekstatyczne spotkanie... Musiałaby pani go posłuchać – rzekł z zapalem.

– Słyszałam go już dwukrotnie – rzekła obojętnie.

– I co? Musi pani przyznać, że jest niesamowity.

Iza słuchała go z roztargnieniem, wpatrzona w jego piękne oczy, podziwiając jego zapal i temperament.

– No, w ogóle, mówię pani – entuzjazmował się mężczyzna – to jest naprawdę

wspaniałe miejsce. Wie pani... mnie... wyciągnięto tutaj... – zawahał się przed chwilę – co tu ukrywać – z nałogu. Tak, jestem alkoholikiem. Mam dobry głos i wszelkie warunki na zrobienie kariery, ale... słabą psychikę. Byłem szalenie nerwowy, obezwładniała mnie trema, którą starałem się pokonać alkoholem. W ten sposób wpadłem w nałóg... Pochodzę z Katowic, śpiewałem w Operze Śląskiej w Bytomiu, ale alkohol mnie wykończył. Wątpię, czy mnie jeszcze gdziekolwiek zaangażują – rzekł smutnym tonem, zwieszając głowę i przyglądając się czubkom swoich butów. – A to ciekawe – powiedziała Iza. – W jaki sposób wyciągnięto tu pana z nałogu?

– We wspólnocie *Cenacolo*, założonej tu w Medziugorje przez włoską zakonnice Elwirę Petrozzi – odpowiedział śpiewak. – Bez leków i pieniędzy na leczenie, setki ludzi wychodzą tu z narkotyków, alkoholu, hazardu, erotomanii, paraliżującej utraty wiary w sens życia. Metoda terapii opiera się na intensywnej pracy, modlitwie, dzieleniu się uczuciami i zajęciach sportowych... – Niewiarygodne – wtrąciła Iza.

– „Cenacolo” oznacza bycie z Panem – ciągnął mężczyzna entuzjastycznie – bo to właśnie Bóg układa dla każdego z nas najwspanialszy scenariusz życiowy. On najlepiej wie, czego potrzebujemy. On także jest najlepszym psychologiem i najlepszym lekarzem... Najważniejsze chyba dla mnie było to, że miałem swojego osobistego „anioła stróża”, który mi towarzyszył przez całą dobę. Był to Włoch mieszkający już dłużej w ośrodku... Proszę sobie wyobrazić, że Wspólnota *Cenacolo* została uznana za międzynarodowe stowarzyszenie na prawie papieskim i obecnie jej domy znajdują się na całym świecie. Statystyki wykazują, że narkomani i alkoholicy zostają tu w osiemdziesięciu procentach uleczeni. Jestem jednym z nich. Tylko... nie wiem, co teraz ze sobą zrobić, tak bardzo przyzwyczyłem się do życia we wspólnocie i przywiązałem do swego opiekuna. Trudno jest mi rozstać się z nim... Obawiam się, że tylko we wspólnocie potrafię śpiewać. W operze... chyba już nie.

Mężczyzna znów spuścił głowę. Izie zrobiło się go żal. Doskonale go zrozumiała. Poczwała z nim silną więź emocjonalną.

– Nie ma pan rodziny?

– Wszyscy mnie opuścili z powodu alkoholizmu. Rodzice już nie żyją, a żona rozwiodła się ze mną i wyrzuciła z domu. Nie mam dzieci ani rodzeństwa...

– Wie pan, ja też jestem w niewesołej sytuacji – westchnęła Iza – ale znalazłam oparcie w matce.

Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na nią z uwielbieniem.

– Przepraszam, że zawracam pani głowę swoimi problemami – rzekł. – Porozmawiajmy o czymś weselszym, o naszym... cudownym dla mnie spotkaniu. Czy zechciałaby pani uczcić je ze mną lampką szampana?

– Chętnie – odpowiedziała, kładąc rękę na jego dłoni.

– O Boże! – krzyknął, wznosząc oczy ku niebu. – Nie wiem, jak ci dziękować za to szczęście.

Iza odruchowo przytuliła się do niego, a on mocno ją objął. Poczwała się w jego ramionach... błogo. Odczwała przyływ fali szczęścia, w której zanurzyła się z radością.

– Nie śmiem zaproponować bruderszaftu – rzekł cicho, ośmielony jej gestem.

– Ależ oczywiście. Zaraz go wypijemy – powiedziała podekscytowana.

Jezu, co się ze mną dzieje? – pomyślała, całując się z nim namiętnie.

Rozdział 13

Alkoholik

– Czyś ty oszalała? – denerwowała się starsza pani. – Chcesz wziąć sobie na kark tego bezdomnego alkoholika?

– Mamusiu, on już nie pije. No... nie ma się gdzie podziać, a ja mam taki duży dom.

– Nie, Józka – rzekła stanowczo jej matka. – Milczałam, jak w Medziugorje wodziłaś się z tym typem. Myślałam: trudno, niech się trochę rozerwie po tym, co wycierpiała. Ale żeby zamieszkać z nim... Opamiętaj się wreszcie! Pomyśl o przyszłości. Zacznij znowu śpiewać i wybij go sobie z głowy. Dlaczego nie oddzwoniłaś do dyrektora opery?

– Nie przekonasz mnie. – Iza pokręciła głową. – Już się zdecydowałam. On będzie z nami mieszkał. Mamusiu, zrozum, my się kochamy. Pobierzemy się...

– „Kochamy, kochamy...” – pokiwała głową z politowaniem starsza pani. – Postukaj się w czoło... Przecież on ma najwyżej jakieś trzydzieści lat, a ty... Niewiele brakuje, a mogłabyś być jego matką. Dziwka jesteś. Zamiast się w Medziugorje wypowiadać i nawrócić, gziłaś się po kątach. Wstyd!

– Znowu zaczynasz? – zdenerwowała się Iza. – A ja się tak cieszyłam, że się zmieniłaś.

Starsza pani posmutniała.

– No cóż – rozłożyła bezradnie ręce. – Widzę, że nie jestem w stanie wybić ci tego z głowy. Może chcesz, żebym wróciła do domu?

– Nie, mamusiu, zostań – poprosiła ją córka – dobrze mi jest z tobą. Tylko musisz pogodzić się z tym, że potrzebuję mężczyzny.

– A zadzwonisz do dyrektora?

– Na razie nie mogę jeszcze śpiewać – stwierdziła ze smutkiem Iza. – No niestety. Wiesz przecież, że próbowałam. Nic z tego nie wychodzi. To po co mam dzwonić?

– Musisz się wziąć w garść, Józiu. – Starsza pani westchnęła ciężko. – Może byś spróbowała jakieś... duety z tym alko... śpiewakiem. Może ta... miłość by ci pomogła.

– Na pewno mi pomoże! – zapewniła artystka. – Uskrzydli mnie. Czuję się przy nim tak wspaniale, że przestałam zażywać tabletki.

– Jezus, Maria! – złapała się za głowę jej matka. – Przecież ten twój psychiatra mówił, że musisz je tak długo zażywać, aż on stwierdzi, że jesteś wyleczona.

– Ależ ja już jestem zdrowa, naprawdę – przekonywała ją córka. – Widzisz przecież, że jestem spokojna, nie mam żadnych halucynacji.

– No uważaj, żebyś znowu nie zobaczyła diabła! Zadzwon do lekarza, proszę cię. – Zrozpaczona kobieta złożyła ręce w błagalnym geście. – Porozmawiaj z nim. Spytaj, czy możesz już przestać te tabletki zażywać.

– Dobrze, nie martw się mamusiu. Jutro zadzwonię – zapewniła ją córka dla świętego spokoju. Nie zamierzała jednak tego uczynić, gdyż zdawało się jej, że to z powodu leków nie potrafi śpiewać.

*

Cezary nie mógł wprost uwierzyć w swoje szczęście. Jego wymarzony ideał – Izczka, jak ją zdrobniale nazywał, zaproponowała mu, by z nią zamieszkał! Gdy wysiadł w Krakowie z autobusu, którym przyjechał z Medziugorje, wpadł w taką euforię, że musiał... pójść na wódkę. Kiedy zjawiał się u niej z plecakiem, w którym mieścił się cały jego dobytek, ledwo trzymał się na nogach. Zachwiał się i objął ją mocno, by nie upaść.

Starsza pani złapała się za głowę i wyszła do swego pokoju, uklękła przed przywiezionym z Medziugorje obrazem Matki Boskiej i zaczęła się modlić.

– Wybacz, najdroższa – wybelkotał. – Taki jestem szczęśliwy, że musiałem się napić. Ale nie będę pił, naprawdę nie będę. Przrzekam.

Iza zaprowadziła go do salonu, podprowadziła do sofy.

– Usiądź, odpocznij – rzekła łagodnie. – Zaraz zaparzę mocnej kawy.

Ona też była szczęśliwa, że znowu są razem. W ciągu paru dni, które upłynęły od jej powrotu z Medziugorje zdążyła się już za nim stęsknić. Nie potrafiła denerwować się na niego. Wierzyła w jego zapewnienie, że nie będzie pił.

Postawiła na stoliku okolicznościowym tacę z filiżankami i dzbankiem kawy. Usiadła obok niego, a on natychmiast objął ją i zaczął całować.

– Jedyna moja, ukochana, tak bardzo się za tobą stęskniłem – szeptał jej do ucha.

Nie przeszkadzało jej, że zionął alkoholem. Zaczęła rozpinąć guziki jego koszuli, a on jednym ruchem zerwał z niej sukienkę. Zwarli się w uścisku. Mdląła z rozkoszy w miłosnej ekstazie, gdy ją posiadał. Kochali się przez wiele godzin, zapominając o kawie.

Przeżywali idyllę. Opowiadali o sobie, rozmawiali o muzyce. Spacerowali po lesie, trzymając się za ręce, czule spoglądając sobie w oczy. Całowali się namiętnie, często kochali się na polanie. Godzinami słuchali jej nagrań, chodzili do filharmonii i opery. Pełnia szczęścia.

Gdy jednak Iza zaplanowała ze swoim impresario wspólne z Cezarym recitale duetów operowych, skończyła się sielanka. Kiedy siadała do fortepianu i usiłowała namówić ukochanego do próby, dochodziło do zgrzytów. Cezary nie wyobrażał sobie, że mógłby śpiewać z tak wielką gwiazdą. Obezwładniała go trema, drżał na całym ciele, nie pamiętał słów, czasami nie mógł wydobyć z siebie głosu. Doprowadzało ją to do szału. Krzyczała na niego:

– Co się z tobą dzieje? Weź się w garść. Jaki z ciebie śpiewak? Przez ciebie ja też nie potrafię śpiewać.

A to go jeszcze bardziej deprymowało. Po kryjomu uszczuplał zawartość jej barku, by dodać sobie odwagi, aż w końcu zaczął się upijać. Wiadomo już było, że nic nie wyjdzie ze wspólnych koncertów. Iza wpadła we wściekłość. Nieustannie złościła się na niego, co powodowało, że wymykał się z domu i wracał kompletnie zalany. Zaniedbał wygląd, przestał się golić, twierdząc, że zapuszcza brodę, oczy jego straciły blask, który tak bardzo ją urzekł. Kobieta nie chciała się z nim nawet całować, narzekając, że swoim zarostem niszczy jej cerę.

Pewnego razu zauważyła, że starsza pani pakuje w przedpokoju swoje rzeczy.

– Nie chcesz chyba teraz zostawić mnie samej, mamusiu? – spytała zmartwiona. – Czarus jest tak strasznie załamany, że nie mam w nim żadnego oparcia. Jak jeszcze ty wyjedziesz, to chyba zwariuję.

– Nie zamierzam dłużej usługiwać temu pijakowi – odpowiedziała matka.

– Zostań, zadzwonię do gosposi, żeby wróciła.

– Nie, mowy nie ma – rzekła zdecydowanie kobieta. – Nie mogę dłużej patrzeć, jak

staczasz się na dno razem z tym łażęgą.

Usłyszawszy ich rozmowę, Cezary wszedł do przedpokoju i powiedział skruszony:

– Proszę zostać. Wracam do wspólnoty. Znow muszę poddać się terapii odwykowej.

Obie spojrzwały na niego z ulgą, ponieważ było to najrozsądniejsze wyjście w ich sytuacji.

– Nareszcie mądre słowo – burknęła starsza pani i wyszła.

Iza rozplakała się. Kochała go mimo wszystko. Objął ją i rzekł:

– Nie płacz, Izeczko. Nasza rozłąka nie potrwa zbyt długo. Wrócę wyleczony i będziemy razem śpiewać. Kocham cię. Nie mógłbym żyć bez ciebie. Wrócę na pewno. Zobaczysz.

– Nie wierzę – mówiła przez łzy. – To już koniec. Nigdy nie wrócisz.

– Uwierz mi, jedyna. – Gładził ją po głowie. – Uwierz, wrócę, obiecuję.

Po jego wyjeździe Iza zaczęła zapamiętane ćwiczyć. Pracowała wytrwale nad pieśniami, które przygotowywała jako program recitali, gdyż jej impresario już organizował je w całym kraju. Niestety, głos odmawiał jej posłuszeństwa. Poprosiła o pomoc swoją panią profesor z akademii, lecz ta wykręcała się brakiem czasu, choć dotąd jej uczennica zawsze mogła na nią liczyć. Zaczęła więc chodzić na lekcje do emerytowanej diwy operowej, ale i ona po kilku próbach odmówiła jej:

– Trudno – rzekła zdecydowanie – musisz się, złotko, z tym pogodzić, że nie będziesz już więcej śpiewała.

Iza wpadła w rozpacz, lecz mimo próśb matki nie chciała udać się do psychiatry, gdyż przekonana była, że to z powodu tabletek przeciwko psychozie, które kazał jej zażywać, nie może śpiewać. Pamiętała, że początkowo Robert nie chciał przepisać jej leków psychotropowych w przekonaniu, że osłabią jej wrażliwość i zdolności interpretacyjne.

Rozdział 14

Niewierny kochanek

Przemysław Kądziela był świetnym tenorem. Jego tenorowy głos miał aksamitną barwę, lekko barytonową. Gdy rozpoczął studia wokalne, zastanawiał się wspólnie z profesorem, czy istotnie powinien śpiewać partie tenorowe, czy może barytonowe, lecz w końcu zdecydowała skala jego głosu, pozwalająca mu na osiągnięcie wysokich tonów.

Od dziecka był nieśmiały i skromny, jakby nie zdawał sobie sprawy ze swego talentu. Od siódmego roku życia śpiewał nie tylko w kościelnym chórze, lecz również solo podczas szczególnych uroczystości. Jednak długo nie przychodziło mu do głowy, że mógłby zostać śpiewakiem operowym. Studiował ekonomię, a tylko dla przyjemności dodatkowo w akademii muzycznej.

Właśnie otrzymał dyplom magistra nauk ekonomicznych, gdy jego profesorowi śpiewu przyszło do głowy, że Przemysław powinien wziąć udział w wokalnym konkursie moniuszkowskim. Ku zaskoczeniu ich obu zdobył pierwszą nagrodę i został zaangażowany do Opery Krakowskiej.

Iza była już gwiazdą, gdy pojawił się w teatrze. Jej ówczesny kochanek został akurat zaangażowany do Zurychu, co spowodowało, że wpadła w depresję. Pocieszenie znalazła w ramionach młodszego od niej o pięć lat Przemysława, obiecującego śpiewaka, który koniecznie chciał się z nią ożenić. Ale ona wciąż nie była do tego przekonana. Chciała być wolna, aby całkowicie poświęcić się karierze. W tym czasie trwały próby do „Rigoletta”. Prowadził je reżyser z Warszawy. Iza miała nadzieję, że dzięki niemu zostanie zaangażowana do opery warszawskiej. Bez skrępowań zerwała z Przemkiem, który umierał z rozpacz. Przywróciła go do łask po krótkotrwałej, burzliwej przygodzie z reżyserem.

Ich pożycie układało się bezkonfliktowo, ponieważ mężczyzna uwielbiał ją, spełniał wszystkie jej życzenia i kaprysy, cierpliwie znosił jej depresje. Gdy jednak zaangażowano go do Opery Wiedeńskiej, coraz rzadziej przyjeżdżał do Krakowa, aż w końcu ona znalazła sobie kogoś na miejscu. Przed Przemysławem stała otworem światowa kariera, co tego nieśmiałego i skromnego człowieka przerastało. Nie wytrzymał psychicznie związanego z tym stresu, a przy tym szalał za Izą. Głównie dla niej wrócił do Krakowa. Ucieszyła się, natychmiast oddaliła aktualnego kochanka.

Z biegiem czasu coraz bardziej przywiązywała się do Przemka, wzruszona jego uczuciem i troskliwością. Był jedyną osobą, na którą mogła liczyć podczas depresji. Opiekował się nią jak dzieckiem. Nazywała go swym aniołem stróżem. Nawet wyglądem przypominał aniołka z aureolą jasnych włosów. Trochę podobny był do Michała. Kochała go i była z nim szczęśliwa. Przez wiele lat żyli harmonijnie.

Gdy w operze pojawiła się młodzianka Lena Zaleś, to zgodne stadło przeżyło trzęsienie ziemi. Przemek po raz pierwszy zdradził Izę. Było to dla niej nie do zniesienia. Tymczasem mężczyzna został opętany przez urodziwą czarownicę. Lekko podwiedła Iza nie mogła konkurować z jędrnym ciałem i urokiem kwitnącej młodości. Dla niego był to akt zemsty za jej zdrady. Kochał ją, a jednocześnie nienawidził. Tak wiele wycierpiał, gdy go rzuciła dla reżysera,

że teraz jego zemsta sprawiała mu satysfakcję. Zawsze zresztą zazdrościł jej uwielbienia miłośników opery i sukcesów artystycznych. Choć wcale nie był od niej gorszy, czuł się przy niej małym człowieczkiem, chociażby ze względu na jej wysoki wzrost.

Lenie nie wystarczyło zajęcie miejsca Izy w łóżku Przemka, chciała je zająć również na scenie. Kiedy zauważyła, że jej rywalka pije dużo kawy, namówiła Przemysława do wsypania jej do cukru sporo białego gorzkiego proszku amfetaminy, której smak nie był wyczuwalny w kawie. Zapewniła go, że Iza szybko wyjdzie z przedawkowania, a tymczasem ona pokaże się na scenie jako wspaniała Violetta w „Traviacie”. Wiedziała czym to grozi, gdyż jej koleżanka na studiach pod wpływem tego narkotyku wpadła w psychozę. Sama też brała, ale w umiarkowanych ilościach. Amfetamina zapewniała jej lepszą koncentrację i ułatwiała zapamiętywanie ról. Wciągnęła w to również Przemysława, któremu narkotyk dodawał pewności siebie i pomagał w osiągnięciu wysokich tonów.

Gdy spełniło się jej życzenie, rzuciła go dla dyrektora opery. Wówczas oprzytomniał. Zrozumiał, że Lena nie darzyła go uczuciem, tylko cynicznie wykorzystała do swego celu. Zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia, że skrzywdził Izę dla tak bezwzględnej osoby. Uświadomił sobie, że wciąż ją kocha. Zaprzagnął do niej wrócić. Postanowił wyznać jej, że to on spowodował jej chorobę i prosić o przebaczenie.

Gdy stanął w drzwiach domu artystki, ta – zaskoczona widokiem swego największego wroga – zatrzasnęła mu je przed nosem i oparła się o nie plecami, by nie upaść, gdyż ugięły się pod nią nogi. Ogarnęła ją wściekłość. Nienawidziła go z całej duszy. W jej wnętrzu wybuchł płomień. Przed jej oczami ukazała się czerwona peleryna i monstrualne rogi. Zaczęło jej dzwonić w uszach. Po chwili zorientowała się, że jest to dźwięk dzwonka alarmującego naciskanego przez Przemka, który coś wykrzykiwał. Pobiegła do kuchni i chwyciła największy nóż, po czym wróciła do przedpokoju. Otworzyła drzwi wejściowe i z furją wbiła go w pierś zdradliwego kochanka.

Wytrzeszczył na nią oczy i padł na ziemię, brocząc krwią. – Jezus Maria! – krzyknęła przeraźliwie. – Zabiłam go!

Oprzytomniała na moment. Wyjęła z kieszeni spodni komórkę i wystukała numer pogotowia.

Jej matka wybiegła ze swego pokoju i natychmiast znalazła się przy niej. Iza osunęła się w jej ramiona, tracąc przytomność.

Rozdział 15

Baba Jaga

Słynna śpiewaczka znów znalazła się na pierwszych stronach gazet, lecz w jakże innym niż dotąd charakterze. Wylądowała na oddziale obserwacji sądowo-psychiatrycznej w jednej z najbardziej znanych w kraju jednostek penitencjarnych, w areszcie śledczym znajdującym się w samym centrum Krakowa przy ulicy Montelupich.

Jej życie stało się tak nierealne, że odnosiła wrażenie, iż jest bohaterką współczesnej tragicznej atonalnej opery. Była zła, że autor libretta nawymyślał takie potworności, a kompozytor tak agresywną muzykę. Nie była w stanie znieść cierpień głównej bohaterki, wzruszając się do łez jej losem. Innym razem cała ta opera zdawała się jej tak głupia i kiczowata, że przeżywała ją z niesmakiem, a jednak nie była w stanie niczego w niej zmienić. Nie udawało się wykreślenie obłądu, usiłowania zabójstwa, więzienia... To diabeł skomponował tę operę i ją obsadził w głównej roli.

Czasami zdawało się jej, że dręczy ją senny koszmar. Przecierała oczy. Próbowwała na siłę je otworzyć, lecz nic z tego nie wychodziło. Nie, nie była w stanie przyjąć do wiadomości, że to rzeczywistość, że to ona, skamieniała z rozpaczy, siedzi skulona na więziennej pryczy w zadymionej cuchnącymi papierosami celi wraz z kilkoma zbrodniarkami – kreaturami, z jakimi nigdy się nie stykała, ani na jawie, ani nawet we śnie.

Z upływem czasu coraz częściej majaczyło się jej, że tamta piękna śpiewaczka jest bohaterką jakiejś powieści. Ona zaś, Józka, niepostrzeżenie dla samej siebie, stała się więźniarką, używającą przecinka na literę „k”. Z tą różnicą, że nie opowiadała o sobie niczego i częściej niż jej towarzyszki pograżała się w piekielnej otchłani swego wnętrza.

Dopiero teraz nadarzyła się sposobność poznania go dogłębnie. Z przerażeniem stwierdziła, że nie jest sobą. Ona z pewnością nie popełniłaby zbrodni. To niemożliwe. Opętał ją szatan. To on zmusił ją do dokonania aborcji i zerwania z Michałem. A teraz do zabicia Przemka.

Wolałaby być cnotliwą panią, na jaką usiłowała wychować ją matka, lecz okazało się to niemożliwe. Diabeł był silniejszy. Wcześniej postanowiła być złą. Analizując swe otoczenie, doszła do wniosku, że los sprzyja tylko draniom, że wszyscy dobrzy, łagodni ludzie niczego w życiu nie osiągną, że spotykają ich same nieszczęścia. Chociażby jej matka, którą mąż opuścił dla innej kobiety. A najlepszego z ludzi po prostu ukrzyżowano. Czyż Chrystus nie stanowił najdobitniejszego przykładu na to, że nie wolno być dobrym?

A zresztą, z dobrym charakterem nie zrobiłaby kariery. Tak bardzo była pewna, że nigdy nie przydarzy się jej nic złego, odkąd stała się złą! Po każdym świństwie natychmiast coś się jej udawało, natychmiast spotykała ją nagroda. Jakże więc mogła pozostać dobra? I nagle... przestała być panią własnej woli. Tak, teraz zwątpiła we wszystko. Pozostało w niej tylko jedno pragnienie – zniknąć, przestać istnieć... Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że ona sama mogłaby cierpieć tak straszliwie, jak bohaterowie tragicznych oper.

Nieraz myślała o swym Czarusiu, ale częściej o Przemku. Byłby idealnym mężem. Przecież go kochała. Zrozumiała to chwilę po ugodzeniu go nożem, w przekonaniu, że go zabiła.

Nie wolno nikogo kochać – myślała z goryczą – bo zły duch natychmiast niszczy miłość.

To przecież on skusił Przemka do zdrady i tego haniebnego czynu, mnie do zabójstwa, a Czarusia do picia. Każda miłość kończy się tragicznie.

– Trudno, było, minęło i już nie powróci – powiedziała na głos.

– Zamknij się! – zwróciła się do niej jedna ze współwięźniarek. – Znowu rozmawiasz z diabłem?

Z jej oczu niespodzianie popłynęły łzy.

A przecież kiedy śpiewałam, byłam z Bogiem, byłam aniołem, myślała z żalem. Dziwny jest ten nasz Bóg. On chyba jest nierozdzielnie związany z diabłem. Im bliżej jest się Boga, tym bliżej również szatana. Na przykład Medziugorje. Tam przecież zdarzają się takie cuda, a za nimi wciąż kryje się diabeł. A mój głos, mój śpiew – to dar od Boga, a równocześnie zły duch wciąż mnie nachodzi.

Na szczęście Mefisto nie pojawiał się już przed nią, ponieważ posłusznie zażywała Solian – lek psychotropowy dla schizofreników.

*

Robert zapewnił zrozpaczoną matkę Izy, że Iza zostanie uniewinniona ze względu na chorobę psychiczną. Z aresztu śledczego przeniosą ją do szpitala psychiatrycznego, gdzie zostanie wyleczona. Istotnie, stało się tak, jak przewidział. Iza została skierowana na oddział zamknięty szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie. Poczuli się tu niemal gorzej niż w areszcie. Cierpiała niewyobrażalnie, gdyż niesympatyczna lekarka zaraz na wstępie zabrała jej przepisane przez Roberta tabletki Solianu, które zażywała w więzieniu, a które jej pomagały. Stwierdziła, że będzie ją leczyć tymi samymi lekami, co wszystkie inne chore.

Najgorsza była dla Izy pierwsza noc. Przeżywała męki konania, nie mogła doczekać się, kiedy wreszcie umrze. To, co się z nią działo, było nie do zniesienia. Całe ciało złane było potem, oddychała z trudem, czując rozrywający klatkę piersiową ból serca. Prześladował ją obraz broczącego krwią Przemka. Parę razy zerwała się z łóżka z krzykiem:

– O Boże, zabiłam człowieka! Krew! Tyle krwi!...

Jej towarzyszki obudziły się rano w doskonałych nastrojach. Irytował ją ich donośny śmiech.

Umieram, a one się śmieją! – myślała zrozpaczona.

Palilo ją sumienie, że zabiła człowieka. I to w dodatku mężczyznę, którego kochała, z którym przeżyła wiele lat. Dręczyła ją świadomość, że skończyła się jej kariera. A przy tym tęskniła za Cezarym. Rozpamiętywała jego niezwykłą urodę, ciepło jego ciała, czuła na sobie dotyk jego dłoni i jego zachłanne pocałunki. Nie, nie chciała dalej żyć.

Z trudem znosiła koszmar szpitalnej codzienności. Znalazła się w ogromnej, ponurej, ciemnej sali z metalowymi łózkami ustawionymi w czterech rzędach, z dużym stołem pośrodku, wokół którego chore spożywały obrzydliwe posiłki. Na szczęście jej matka wykorzystywała każde odwiedziny do przyniesienia jej jedzenia. Personel szpitala nie zdawał sobie chyba sprawy z cierpień pacjentek, gdyż przypisywał im histerię, złą wolę, chęć zwrócenia na siebie uwagi i Bóg wie co jeszcze, przysparzając cierpień i upokarzając. Podobnie odnosili się do chorych odwiedzający ich najbliżsi. Jednak matka Izy wykazywała wobec niej wiele zrozumienia i cierpliwości.

Zarówno salowe, jak i pielęgniarki, nigdy nie odzywały się normalnym tonem, zawsze krzyczały, wyzywając je wulgarnymi słowami. Wiecznie rozczochna, siwa i zaniedbana pani doktor, którą nazywały „babą Jagą”, traktowała je podobnie. Każdą chorą uważała za osobistego

wroga, oszustkę i kłamczuchę, nigdy nie dając wiary w odpowiedzi na jej docieклиwe, prokuratorskie pytania, z satysfakcją podważając każde „zeznanie”. Sprawiała wrażenie wiedźmy, opętanej nienawiścią do chorych.

Jedną z najgorszych tortur stanowiło robienie zastrzyków. Pielęgniarka wzywała je kolejno do stołu dzikimi okrzykami, gdzie sadystycznie wbijała w obolałe pośladki igłę. Trwało to w najlepszym przypadku dwa tygodnie. Takie było minimum, wyznaczone przez panią doktor. Po tym okresie aplikowano już tylko tabletki, ale jedynie wówczas, gdy „zeznania” delikwentki przypadły jej do gustu i gdy żadna z salowych czy pielęgniarek, śledzących je dzień i noc, nie doniosła czegoś, co się pani doktor nie spodobało.

Iza zorientowała się w lot, że nie wolno skarżyć się lub dyskutować z lekarką. Przytakiwała jej, że jest niebezpieczną paranoiczką, która w ataku choroby usiłowała zabić kochanka i że nigdy już nie będzie śpiewaczką. Dzięki temu po dwóch tygodniach przeszła na tabletki, co stanowiło znaczną ulgę. Zaczęła wreszcie usypiać w nocy i przestały ją boleć zmasakrowane zastrzykami pośladki.

Po paru dniach, pewnej nocy obudziła się cała zlana potem. Postanowiła więc zmienić piżamę na lekką nocną koszulę. Niestety, nim zdążyła ją na siebie włożyć, usłyszała wrzask salowej:

– A to co? Co ma znaczyć ten striptiz?

Na drugi dzień pani doktor oświadczyła, że Iza będzie brała zastrzyki przez kolejne dwa tygodnie, gdyż w nocy rozbierała się do naga, co świadczy o tym, iż jej stan się pogorszył.

– Pani łze! – krzyknęła, gdy nieszczęsna tłumaczyła się, że chciała tylko zmienić koszulę...

Najbardziej przerażały ją ataki furii niektórych współtowarzyszek i wymierzane za to kary. Był to prawdziwy horror. Miała jednak szczęście. Najbardziej agresywna chora, rzucająca się na inne kobiety i dusząca je dopóty, dopóki salowe jej nie odciągnęły, oszczędziła ją. Gdy ją ujrziała po raz pierwszy, spytała:

– A co to za taka dziwna sukienka? Taka... subtelna. No, no, ty cała jesteś taka subtelna... Subtelna! Takiej subtelnej to lepiej nie dotykać. Na taką trzeba tylko patrzeć.

Inna chora zadrećzała ją prośbami, by coś zaśpiewała. Co pewien czas kładła przed nią kartkę papieru z żądaniem autografu, a po jego uzyskaniu wyrzucała kartkę do kosza na śmieci.

– Widzisz! – krzyczała – Nic już nie jest wart twój autograf. Można sobie nim tyłek podtrzeć, bo ty już nie umiesz śpiewać.

Po jakimś czasie aplikowane jej zastrzyki uwolniły ją od rozpacz i myśli samobójczych. Najbardziej pomogła jej przekazana przez matkę wiadomość, że nie zabiła Przemysława. Zadany przez nią cios nie zranił jego organów wewnętrznych. Co z tego, skoro przy nadludzkiem wysiłku mogła wysiedzieć lub uleżeć nie dłużej niż pięć, dziesięć minut, nie tylko w dzień, ale i w nocy? Owo koszmarnie pobudzenie stanowiło skutek uboczny tanich leków aplikowanych chorym w szpitalu. Nieustannie chodziła po korytarzu tam i z powrotem, całe dni i noce. Wyłącznie na tym polegało teraz jej życie. Nie sposób wyobrazić sobie wynikającego stąd wycieńczenia i bólu w nogach. A jednak utrzymanie się w pozycji siedzącej lub leżącej wymagało jeszcze większego wysiłku. Było wręcz niemożliwe. Na przykład zjedzenie posiłku czy rozmowa z lekarką stanowiły istną katorgę, pełna zaś świadomość rozpaczliwej sytuacji dodatkową udrękę.

Początkowo miała nadzieję, że owo koszmarnie pobudzenie z czasem minie. Wkrótce jednak doszła do wniosku, że musi z tym walczyć. Niewyobrażalną wprost siłą woli zmuszała się do leżenia lub siedzenia. Najpierw udawało się jej to przez piętnaście minut, lecz z dnia na dzień wytrzymywała coraz to dłużej. Powoli dochodziła do siebie, wobec czego dzięki interwencji Roberta przeniesiono ją na oddział otwarty.

Rozdział 16

Tragiczny wypadek

Znalazła się w czteroosobowej sali, w towarzystwie dwu sympatycznych kobiet, Anieli i Iwony, które wkrótce miały opuścić szpital. Jedno łóżko było puste. Rychło zaprzyjaźniła się ze swymi towarzyszkami niedoli, które od razu ją rozpoznały. Wspaniale poczuła się w ich towarzystwie, gdyż w porównaniu z jej dotychczasowym środowiskiem na oddziale zamkniętym było to dla niej coś wspaniałego. Opowiadały sobie nawzajem o przyczynach pobytu w tym niezbyt przyjemnym miejscu.

Najbardziej poruszyły ją zwierzenia Anieli. Była to elegancka, wypielegnowana, szczupła, płowa blondynka, błyskotliwa i dowcipna. Początek jej opowieści nie zwiastował żadnych dramatycznych wydarzeń.

– Miałam szczęśliwe dzieciństwo, z którego pozostało mi niewiele wspomnień. Rodzice opowiadali, że byłam jak „promyk słońca”, radosna i posłuszna. Chciała uczyć się gry na fortepianie, ale rodziców nie było stać na kupno pianina. Pożaliłam się nauczycielce muzyki w szkole, a ta pozwoliła mi ćwiczyć u siebie w domu. Rok później dostałam w prezencie od ojca stare pianino, lecz po czterech latach nauki zrozumiałam, że nie jestem muzykalna... To znamienne dla mojej osobowości i ciągnie się przez całe me życie – opowiadała samokrytycznie – że zawsze usiłowałam osiągnąć coś, co mi niełatwo przychodziło. Coś nad czym musiałam ciężko pracować, ponieważ nie miałam w tym kierunku zdolności. Jednak nie zrezygnowałam ze szkoły muzycznej. Zająłam się nauką harmonii. Było to związane raczej z matematyką niż ze sztuką. Wiecznie miałam artystyczne zainteresowania, lecz byłam za mało kreatywna. A główną moją cechą było pragnienie opanowania czegoś, co kosztowało mnie wiele wysiłku. Na przykład w sporcie. Koniecznie chciałam jeździć na nartach. Przez dwa lata oszczędzałam, by uzbierać pieniądze na ich zakup. Po czym jako czternastoletnia dziewczynka całkiem sama pojechałam w góry, żeby samodzielnie nauczyć się jeździć. Jeździłam tak długo, aż się nauczyłam, zupełnie bez niczyjej pomocy... – przerwała i zapaliła papierosa.

Iza i Iwona słuchały z zainteresowaniem, jednak niecierpliwiły się nieco, ponieważ czekały na tragiczne wydarzenia, które spowodowały jej próbę samobójczą. Jednak ona zwlekała z ich opowiedzeniem, gdyż uważała, że ów przydługi wstęp jest konieczny do wyjaśnienia, jak do tego doszło.

– W liceum miałam bardzo dobre stopnie – ciągnęła po chwili swą opowieść – i byłam wybitnie aktywna. Pełniłam funkcję przewodniczącej rady klasowej, następnie rady szkolnej, pisałam do młodzieżowej prasy. Rzadko przebywałam w domu. Przeżyłam wówczas pierwszą miłość. On był przewodniczącym rady szkolnej w zaprzyjaźnionym gimnazjum. Koleżanki zazdrościły mi, kiedy mnie wzywano na posiedzenia szkolnych rad.

Zazdrościłyby jeszcze bardziej, gdyby wiedziały, że nie były to żadne zebrania, tylko randki.

Po maturze nie mogłam się zdecydować, co dalej robić. Miałam zbyt wiele talentów i zainteresowań. Marzyło mi się, że zostanę architektem, lecz ojciec twierdził, że jest to zbyt

ciężki zawód dla kobiety, bo trzeba przebywać w śniegu i deszczu na budowach, i że kobiety nie mają w tym zawodzie wielu szans. W końcu udało mi się przeforsować pomysł studiowania historii sztuki, chociaż ojciec sądził, że nie jest to popłatne zajęcie.

Rozpoczęłam studia w Krakowie, ponieważ chciałam jak najdalej uciec z domu. Niestety, studia te bardzo mnie rozczarowały. Nie podobało mi się, że sztuka klasyfikowana jest według stylów. Przedtem lubiłam zwiedzać zabytki, teraz nie miałam ochoty nawet wejść do kościoła, bo od razu cisnęło mi się na myśl ocenianie, czy jest to na przykład barok czy też inny styl. Te studia nie były dla mnie, więc zaczęłam studiować ekonomię.

Mieszkałam z chłopakiem z lat szkolnych, swą pierwszą miłością. Pewnego dnia odwiedzili mnie rodzice. Ojciec zauważył buty mojego przyjaciela i zorientował się, że z nim mieszkam. Zagroził, że nie będzie finansował moich studiów, jeśli z nim nie zerwę. Nie chciałam o tym słyszeć. Wiedliśmy wspólnie wspaniałą żywot. Stworzyliśmy wspólnotę mieszkaniową i urządzaliśmy huczne przyjęcia przy oryginalnym rosyjskim samowarze, który odziedziczyłam po krewnych. Często udzielaliśmy gościny innym przyjaciołom, z których najbardziej znanym był Anglik Dave, zarabiający w lecie grą na gitarze w Hiszpanii, a w pozostałej części roku w Krakowie. Zamieszkał z nami. Ja wpadłam na pomysł stworzenia zakładu, który nazwaliśmy „Studium Wodnych Łóżek”, bo dowiedziałam się, że są one modne w Ameryce, zatem wiadomo było, że i w Polsce się to przyjmie. Wzięłam kredyt na założenie firmy, lecz w pewnym momencie zabrakło nam pieniędzy na gumę piankową do materacy. Ale od czego głowa? Udałam się do pewnego producenta, by wyprosić ją na kredyt. Przedsiębiorca, poruszony tym, że troje młodych studentów okazało się tak pomysłowych i przedsiębiorczych, całkiem po prostu podarował nam potrzebną ilość gumy.

Zrozumiałam wreszcie, do czego mam powołanie. Odznaczałam się talentem do zarabiania pieniędzy. Lecz gorzej było ze studiami, oblałam trzykrotnie i wyleciałam z uczelni. Najgorsze, że mój przyjaciel znalazł „miłość swego życia” i opuścił mnie. Postanowiłam zatem sprzedać „Studio Wodnych Łóżek” i zająć się wyłącznie nauką. Pogodziłam się z ojcem, przysiadłam fałdów i rozpoczęłam studia ekonomiczne od nowa. Ukończyłam nie tylko akademię ekonomiczną, lecz również dwa uniwersyteckie wydziały: anglistykę i romanistykę. Miałam talent językowy. Po czym udałam się do Włoch, gdzie w Sienie rozpoczęłam kurs języka włoskiego. Byłam rozkochana w tym kraju, pragnęłam tam pozostać. Długo szukałam jakiegoś zatrudnienia, w końcu jednak zmuszona byłam wrócić do Krakowa. Wkrótce znalazłam pracę w pewnej firmie ubezpieczeniowej. Zakochałam się w jednym ze swoich klientów, który prowadził praktykę dentystyczną w Tarnowie. Gdy zaszłam w ciążę, przeprowadziłam się do niego i żyłam z nim bez ślubu, ponieważ on nie mógł się zdecydować na małżeństwo. Po paru latach zagroziłam mu, że jeśli w dalszym ciągu będzie się wahał, opuszczę go wraz z jego synem. Wówczas pobraliśmy się, lecz po roku małżeństwa mój mąż zaczął mnie zdradzać ze swoją asystentką. Początkowo godziłam się z tym ze względu na dziecko, jednak czułam się upokorzona i w końcu go opuściłam. Powróciłam do Krakowa. Bardzo cierpiałam, bo mój syn pozostał z ojcem. Chodził już do szkoły i miał tam dużą rodzinę z dziadkami i innymi krewnymi. Nie chciałam go wyrwać z przyjaznego środowiska i zmuszać do zamieszkania z samotną, pracującą matką. Przywoziłam go do siebie na weekendy i były to jedyne szczęśliwe dni w moim samotnym, smutnym życiu. Byłam rozgoryczona, nie chciałam więcej słyszeć o żadnym mężczyźnie.

W niedzielę chodziłam z synem na mszę świętą do bazyliki dominikanów, co czyniłam już z koleżankami w czasach studenckich, chociaż wychowałam się w ateistycznej rodzinie. Ponownie zetknęłam się z wiarą w rodzinie męża, ponieważ moi teściowie byli bardzo religijni i bez mojej wiedzy ochrztili wnuka. Od tego czasu nurtowały mnie problemy światopoglądowe.

Teraz zdecydowałam się ochrzcić, głównie ze względu na syna. Porozmawiałam z księdzem znającym mnie z regularnego uczestnictwa w niedzielnej mszy i w końcu jako czterdziestoletnia kobieta zostałam ochrzczona. Od tego czasu wiodłam spokojne życie, koncentrując się na karierze zawodowej. Miałam satysfakcjonującą pracę, w której się spełniałam.

Czasami szłam do restauracji na kolację. Pewnego wieczoru poznałam przystojnego adwokata, w którym nieoczekiwanie zakochałam się, wbrew postanowieniu życia w samotności. Było to tak gorące uczucie, że już po trzech tygodniach znajomości pobraliśmy się i wzięliśmy ślub kościelny. Byliśmy wyjątkowo dobraną parą. Przeżywałam w tym małżeństwie pełnię szczęścia. Ale... diabeł nie śpi. W rok po ślubie, podczas kontrolnej wizyty u ginekologa – padła diagnoza: rak piersi. Musiałam poddać się operacji, następnie przejść przez chemoterapię i terapię hormonalną, co trwało dwa lata. Przez cały ten czas przeżywałam konfrontację ze śmiercią. Wpadłam w taką depresję, że straciłam wolę walki z chorobą. Przez pięć kolejnych lat wegetowałam tylko, chociaż nowotwór został wyleczony. To nie było życie, trzykrotnie musiałam przez długi okres przebywać w klinice psychiatrycznej. Mąż mój trwał przy mnie, lecz i on stracił w końcu nadzieję, że z tego wyjdę. Po pięciu latach takiej udręki wybrałam się z przyjaciółką na Florydę. Tamtejszy lekarz zalecił mi odrzucenie leków i nieustanny kontakt z naturą. Po pół roku odzyskałam zdrowie i radość życia. Znowu odezwała się we mnie kreatywność i przedsiębiorczość. Po powrocie do Krakowa stworzyłam wraz z przyjacielem z lat szkolnych własną firmę i wiodłam szczęśliwe życie z oddanym, kochającym mężem.

Po raz pierwszy od czasu wygrania walki z rakiem i depresją przeżyłam wspaniałe święta Bożego Narodzenia, z mężem i synem, po czym udałam się z ukochanym do Francji na narty, gdzie spędziliśmy wspaniały urlop. Powitaliśmy Nowy Rok w ośnieżonych górach radosnym sercem. Wróciliśmy do domu w doskonałych nastrojach. Wtem zabrzmiał dzwonek u drzwi. Nie spodziewaliśmy się nikogo, nikt ze znajomych nie wiedział jeszcze, że już jesteśmy w domu. Kiedy otworzyłam, stanęli przede mną dwaj policjanci. Spyтали, czy nazywam się Aniela Kupiak, po czym bez wstępów oznajmili, że tego rana o godzinie jedenastej mój syn zginął w wypadku samochodowym.

Miał zaledwie dwadzieścia lat...

Nie sposób opisać, co wówczas przeżyłam. Mąż przeraził się, że wpadnę znowu w tę straszliwą depresję. Tymczasem ja... nie uwierzycie, dziesięć dni po pogrzebie pojechałam do Monachium na kurs w dziedzinie *estate planning*. Jak otępiała spędziłam tam parę miesięcy, jednak nie zdałam egzaminu. Nic do mnie nie docierało, nie mogłam się uczyć. Z nikim nie rozmawiałam o tragicznej śmierci syna, ale wciąż o tym myślałam. Nie potrafiłam wyobrazić sobie dalszego życia bez niego. Po powrocie do domu zażyłam całe opakowanie tabletek nasennych, jedną po drugiej. Chciałam usnąć na zawsze... Najgorsze, że już nigdy go nie zobaczę. Chyba że... w niebie? – Rozpląkała się rzewnymi łzami.

Aniela sprawiała wrażenie szczęśliwej, beztroskiej osoby, jakby nic tragicznego w jej życiu się nie zdarzyło. Kiedy nieszczęsna opowiedziała o śmierci syna i nagle się rozpląkała, patrzyły na nią wstrząśnięte. Teraz dopiero zauważyły, że mają przed sobą znekowaną, zniszczoną kobietę, której twarz nagle postarzała się i poszarzała.

Iza była już zaskoczona, gdy Aniela zaczęła mówić o chorobie, a teraz osłupiała. Nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Siedziały w trójkę z Iwoną w milczeniu dość długo. W końcu Aniela uspokoiła się, wyjęła z torebki chusteczkę i otarła łzy:

– Ale... teraz na ziemi muszę jeszcze zrobić coś pożytecznego. Tu w szpitalu przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Założę towarzystwo, gromadzące fundusze na prowadzenie ambulatorium terapii naturalnej po wycięciu raka piersi w uniwersyteckiej klinice ginekologicznej.

Zetknęłam się z tym w Kalifornii. Polega to na zastąpieniu tej koszmarnej chemioterapii. Odwdzięczę się w ten sposób za uratowanie życia i uczynię coś dla innych kobiet. Będzie to bardzo kosztowne przedsięwzięcie, jednak jestem pewna, że znajdę sponsorów, którzy przeznaczą na to środki. Odzyskałam tu wrodzoną przedsiębiorczość.

Rozdział 17

Perły

Druga z kobiet – korpulentna, zadbana brunetka też była inteligentna i atrakcyjna. Zaczynała dzień od nakładania starannego makijażu, posługując się małym lusterkiem. Imponowało to Izie, która nie wyobrażała sobie, jak można się malować w takich warunkach. Ona musiała mieć do tego swoją dużą toaletkę z porozkładanymi kosmetykami i ogromne lustro.

– Cieszę się, że mnie uratowano – powiedziała jej kiedyś Iwona, siadając na jej łóżku. – Wyobraź sobie, że tu w szpitalu, ja też, podobnie jak Aniela, wpadłam na świetny pomysł na dalsze życie.

– Tak? – zaciekawiała się Iza. – Co zamierzasz robić?

– Wiesz, jestem niespełnioną pisarką – zaczęła opowiadać Iwona. – Nie potrafię żyć bez pisania, podobnie jak ty bez śpiewania.

Na twarzy śpiewaczki pojawił się zrezygnowany grymas, który w jej zamierzeniu był uśmiechem.

– Opowiem ci wszystko od początku, jak doszło do tego, że targnęłam się na życie. Otóż jako młoda dziewczyna mieszkałam w małym miasteczku. Miałam osiemnaście lat, tuż po maturze, kiedy postanowiłam wyjechać z przyjaciółką na parę dni do Krakowa. Chciałyśmy pochodzić sobie po tym pięknym mieście, które poznałyśmy podczas szkolnej wycieczki, pozwiedzać zabytki i zabawić się. Po przybyciu na miejsce zainstalowałyśmy się w „Bratniaku” i od razu pieszo udałyśmy się ulicą Straszewskiego na Stare Miasto. Dzień był upalny, z przyjemnością weszłyśmy w zacienioną Franciszkańską. Zanurzyłyśmy się w ludzkim potoku płynącym ulicą ze starymi kamienicami. Zanurkowałyśmy w fali wielobarwnego tłumu, orzeźwiając się w kojącym cieniu starych murów...

– Muszę przyznać, że masz literacką wenę – wtrąciła Iza. – Przyjemnie się ciebie słucha.

– Gdy doszłyśmy do Rynku – kontynuowała opowieść Iwona – stanęłyśmy oczarowane pięknem sylwetek Sukiennic i bazyliki Mariackiej, a także urokiem okalających go kamienic. Posiedziałyśmy sobie na ławeczce, zapaliłyśmy papierosa, po czym weszłyśmy w Grodzką i powędrowałyśmy na Wawel. Kiedy stanęłyśmy przed nim, wyrwał mi się z ust okrzyk: O Boże, jak tu pięknie!

Chciałabym mieszkać w tym mieście!

Następnie weszłyśmy na wzgórze wawelskie, zwiedziłyśmy katedrę i komnaty. Wreszcie pełne wrażeń usiadłyśmy sobie w ogródku kawiarenki. Milczałyśmy. Marzyłam o wielkiej miłości, o jakimś księciu z bajki i... zobaczyłam go wieczorem w dyskotecce. Siedział w towarzystwie kolegów. Nie posiadałam się ze szczęścia, kiedy zaprosił mnie do tańca.

Wyobraź sobie, że spełniło się moje marzenie, by zamieszkać w Krakowie, gdyż znajomość ta zakończyła się małżeństwem. Powodziło się nam dobrze, mąż mój prowadził zakład ślusarski, który wspaniale prosperował.

W niedługim czasie urodziłam syna. Z początku byłam szczęśliwa, lecz wkrótce mój ukochany zaczął mnie nudzić, a nawet irytować. Był prostym człowiekiem, gdy tymczasem ja

miałam ambicje intelektualne i literackie. Wprawdzie ukończyłam liceum ekonomiczne, ale wiele czytałam i od lat młodzieńczych namiętnie pisałam wiersze. Kiedy dla synka napisałam bajkę, przypadkowo natknęłam się w kobiecym piśmie na ogłoszenie wydawnictwa, które szukało autorów literatury dziecięcej. Wysłałam swoją książkę i została wydana. Nie był to mój pierwszy sukces. Już jako siedemnastoletnia dziewczyna opublikowałam w jednym z pism literackich pierwsze opowiadanie. Pisanie stanowiło dla mnie ucieczkę od przykrej rzeczywistości. Kiedy byłam w wieku dojrzewania, ojciec opuścił matkę. Najgorzej było po powtórny wyjściu matki za mąż. Nie znosiłam ojczyzna i wciąż rozpamiętywałam odejście ojca, którego bardzo kochałam. Pisałam wiersze i opowiadania, by ukoić żal.

– Znam ten ból – wtrąciła Iza. – Mój ojciec też nas opuścił.

– Ale wracając do mojego małżeństwa. Kiedy syn podrośł, zaczęłam pracować w banku, lecz jednocześnie pisałam kolejną książkę, tym razem dla dorosłych. Opisywałam w niej przykre doświadczenia związane z nieustannym odchudzaniem się. Książka została wydana i dobrze się sprzedawała. Jeździłam na spotkania z czytelnikami, co dodało mi wiary we własne siły.

Ta praca w banku nie jest dla ciebie, powiedziałam sobie w duchu. Ty masz przecież powołanie. Chcesz przekazywać innym myśli i uczucia. Chcesz pisać, pisać i jeszcze raz pisać!

Przestałam pracować, napisałam następną książkę, ale tym razem żadne wydawnictwo nie było skłonne jej wydać. Napisałam jeszcze jedną. I znów to samo. Wysłałam swoje książki do wszystkich możliwych wydawnictw. Bez rezultatu. Zrezygnowana zaczęłam pisać sobie a muzom...

– Ale przecież mogłaś wydawać książki na swój koszt – przerwała jej Iza, która wczuła się w sytuację Iwony.

– A skąd miałam wziąć pieniądze? Te za książkę o odchudzaniu dawno się skończyły. Mąż nie chciał mi pomóc, wręcz walczył ze mną, bym przestała zajmować się pisaniem. Tymczasem z mojej duszy płynęły wartkim strumieniem wiersze. Niestety, nie miałam co marzyć o ich wydaniu. Nie próbowałam nawet ich wysłać do wydawnictw. Orientowałam się, że w modzie jest inny rodzaj poezji – nierymowane, mętne obrazy, gdy tymczasem moje strofy były klarowne i same układały się w rymy. Zdawałam sobie sprawę, że uznano by je za kiczowate...

Iwona przerwała i poczęstowała Izę papierosem. Śpiewaczka paliła we wczesnej młodości, lecz ze względu na głos skończyła z tym nałogiem. Jednak w szpitalu wróciła do niego.

– Gnębiła mnie niemożność publikowania – ciągnęła dalej – niezwykle zależało mi na dotarciu do czytelników. Gdy syn się ożenił, a jego żona zabroniła mu nas odwiedzać, załamalam się zupełnie. Doszło do tego, że po całych dniach leżałam w łóżku w głębokiej depresji. Mąż zaczął mnie wysyłać do lekarzy i przeróżnych uzdrowicieli. Niestety, stan mojej psychiki był opłakany. W końcu... targnęłam się na życie – kobieta westchnęła ciężko. – Teraz już wiesz, jak doszło do mojej próby samobójczej.

– Mówiłaś, że tu w szpitalu wymyśliłaś sposób na dalsze życie – zainteresowała się Iza.

– Tak. Rozmyślając nad sposobem zdobycia czytelników, przypomniałam sobie, że w szkole pisałam rymowane, okolicznościowe przemówienia. Zwłaszcza pożegnalne udało mi się wspaniale. Wszyscy płakali ze wzruszenia.

Dlaczego nie mogłabym robić tego profesjonalnie? – zadałam sobie w duchu pytanie. I od razu znalazłam odpowiedź: sama znajdę czytelników! Będę wykonywać literacki zawód, który przyniesie mi dochody! Dlaczego nie mam sprzedawać wierszy bezpośrednio zainteresowanym?

Dlaczego nie mam uczynić pożytku ze swojego daru?

Postanowiłam pisać rymowane mowy okolicznościowe na zamówienie. Założę „Biuro Pisania Przemówień Okolicznościowych”, ustalę taryfę w pewnej wysokości za stronę i umieszczę stałe ogłoszenie w jednej z ogólnopolskich gazet. Ogłoszę się jako „pisząca przemowy”. Z pewnością nie zabraknie mi klientów. Zainteresowani w całym kraju będą mi przysyłać mailem odpowiednie dane, na podstawie których będę pisała rymowane przemówienia z przeróżnych okazji: na urodziny, wesela, chrzciny, pożegnania itp. No i niezależnie się materialnie od męża.

- To jest pewien pomysł – stwierdziła Iza.
- Powinnaś też tak zrobić. Nie możesz wprawdzie śpiewać, ale możesz uczyć śpiewu w swoim prywatnym studiu. Co o tym myślisz?
- Bo ja wiem? – Śpiewaczka zamyśliła się. – Mnie gnębi jeszcze coś innego – dodała po chwili. – Mój ukochany jest alkoholikiem.
- Ten, którego chciałaś zabić?
- Nie, to dawna miłość. Wprawdzie kocham go wciąż jeszcze, ale on mnie zdradził i... nigdy ci o tym nie mówiłam, ale powiem ci teraz. Wyobraź sobie, że zatrul mnie amfetaminą, co doprowadziło mnie do psychozy i utraty głosu...
- Co ty opowiadasz? – przerwała jej Iwona. – Jak to możliwe?
- Wiedział, że wypijam co dzień dużo kawy i mocno ją słodzę, więc wsypał ten biały proszek do cukru.
- A ty nie zorientowałaś się, że jesteś po narkotyku.
- Wspaniale się czułam, świetnie mi się śpiewało. Aż do momentu, kiedy już za dużo tego świństwa znalazło się w moim organizmie.
- Ale dlaczego on to zrobił?
- Zakochał się w początkującej śpiewaczce, która wymyśliła sobie, że w ten sposób mnie załatwi, by zastąpić mnie w „Traviacie”.
- A to łajdak! – oburzyła się Iwona. – A jak długo byliście ze sobą?
- Dobrych parę lat i bardzo się kochaliśmy. Nigdy mnie nie zdradzał. Szalał za mną. Chciał się ze mną ożenić, ale ja nie mogłam się zdecydować.
- To co mu się nagle stało?
- Wiesz, pewnie w końcu mu się znudziłam. Mam już swoje lata, a ona jest młoda, świeża. No i on jest nieco młodszy ode mnie. Powiem ci, że mam wyrzuty sumienia, bo go odrzuciłam dla pewnego reżysera, co on boleśnie przeżywał i w końcu zemścił się za to. W każdym razie wiem, że go kochałam. Ale uświadomiłam to sobie dopiero w chwili, kiedy ujrzałam go leżącego na ziemi i broczącego krwią. Kocham go. Wszystko oddałabym za to, by do mnie wrócił. Jednak jest to teraz marzenie ściętej głowy.
- A co z tym alkoholikiem?
- Też go kocham, ale inaczej. Właściwie... może to był tylko wspaniały seks? Kiedy się poznaliśmy, nie pił. Jednak po jakimś czasie znowu wpadł w nałóg. Pojechał do pewnej wspólnoty religijnej, by uwolnić się od niego. Boję się, że już do mnie nie wróci... Umieram z tęsknoty za nim. A on nie daje znaku życia. Nawiasem mówiąc, jest znacznie młodszy ode mnie. Pewnie znalazł sobie jakąś młodą dziewczynę, podobnie jak Przemek.
- Posłuchaj, Izo. – Iwona objęła ją serdecznie. – Po pierwsze, trudno jest uwolnić się od alkoholizmu, to choroba genetyczna. Po drugie, w taką wspólnotę wpada się jak śliwka w kompot. Człowiek do końca życia jest od niej uzależniony, podobnie jak od nałogu. On już nie wróci... Znajdziesz sobie kogoś innego – pocieszyła załamana kobietę. – Najważniejsze, żebyś założyła tę szkołę śpiewu – stwierdziła z entuzjazmem.

– Nie, nie. – Iza pokręciła przecząco głową. Nie mam ani wiedzy, ani zdolności organizacyjnych, ani pedagogicznych. Dla mnie już nie ma nadziei.

– Nie załamuj się – pocieszała ją Iwona. – Wiesz co? Przeczytam ci optymistyczny wiersz, który wczoraj napisałam.

Wyjęła ze swojej szafki notatnik i zaczęła czytać:

Perły

Magiczna pora między dniem a nocą zapadający zmierzch otula łagodnie kształty i barwy nadając miękkość kanciastym konturom. Za oknami grafika zimowego pejzażu chłone ciszę brzmącą tak czysto tylko o zmroku.

W takiej ciszy można dotrzeć do miejsca gdzie łązy zamieniają się w perły do sejfów do którego klucze posiadają tylko anioły. Owo miejsce kojącego spokoju znajdziemy wsłuchując się w rytm serca i odkryjemy w nim skarby ciężkich doświadczeń gdyż nic lekkiego nie jest w stanie wpaść tak głęboko. A wtedy nić Ariadny wyprowadzi nas na zewnątrz do wspólnego szczęścia stworzonego ze znalezionych tam klejnotów.

– To piękny wiersz – powiedziała Iza. – Wcale nie jest kiczowaty i nie jest rymowany. Masz talent, Iwonko. Powinnaś, oprócz tych okolicznościowych przemówień, pisać również takie wiersze i próbować znaleźć wydawnictwo, które je wyda. „Skarby ciężkich doświadczeń” – powtórzyła w zamyśleniu – „zamknięte w sejfie, do którego klucze mają tylko anioły”. Ach – westchnęła ciężko – żeby tak powróciły do mnie moje anioły i otworzyły sejf z perłami wylanych przeze mnie łez! Może wtedy znów zaczęłabym śpiewać?

Rozdział 18

Biesy i anioły

Iwona i Aniela zostały wypisane ze szpitala w tym samym dniu. Iza obiecała skontaktować się z nimi po powrocie do domu. Gdy została sama w pustej sali, postanowiła wyjść do ogrodu i pospacerować po całym terenie szpitalnym. Była wiosna, przyroda budziła się do życia w promieniach słońca, w powietrzu unosił się świeży zapach, ptaki nawoływały się świergotliwie.

Jaki wspaniały jest ten świat, pomyślała z zachwytem podczas pierwszego spaceru po długim pobycie w czterech ścianach, przyglądając się uważnie pączkom na drzewach i wiosennym kwiatkom. A ja chciałam go opuścić.

Rozpierało ją uczucie szczęścia. W pewnym momencie natknęła się na kaplicę. Weszła do niej. Było tu tak pięknie i spokojnie w porównaniu ze szpitalną salą. Odruchowo uklękła i zaczęła się modlić. Nie miała już do Boga żalu. Zrozumiała, że on nie ma nic wspólnego ze złym duchem, z jej chorobą i cierpieniem, że jest tylko Dobrem, a wszelkie zło i nieszczęścia istnieją poza jego rzeczywistością, która jest samym szczęściem i pięknem. Czowała, jak z serca spada jej ciężki kamień buntu i prawowania się z losem.

Wstała z klęczek i usiadła w ławce. Ogarnął ją spokój, jakiego nie sposób sobie wyobrazić. Było to tak cudowne uczucie, jakby znajdowała się w raju, a skromna kaplica zdała się jej najwspanialszą świątynią. Rozpamiętywała swoje cierpienia, lecz myślała o tym ze spokojem. Zastanawiała się nad niezwykłym procesem odzyskania równowagi psychicznej. Pomyślała, że intensywność cierpienia jak skalpel przebiła dno rozpaczy, przedostając się niejako na drugą stronę, gdzie panuje skumulowane szczęście, zgromadzone tam jak woda w bukłaku, którą teraz zachłysnęła się niczym spragniony wędrowiec na pustyni.

Nagle nastąpiło coś jeszcze wspanialszego. Jej serce przepełniło uczucie wielkiej, oszałamiającej miłości do kogoś niewidzialnego, ale odczuwanego wszystkimi zmysłami. W uszach brzmiały jej dźwięki „Mszy Koronacyjnej” Mozarta. Jakże kiczowata i błada zdała się jej miłość do Przemka, nie wspominając Cezarego. Jakże to wszystko było beznadziejne, upokarzające. Jak mało ważne wobec uczucia, które w tym momencie ją ogarnęło. Tak wiele razy przeżywała miłość, w życiu i na scenie. A jednak zawsze to było nie to, czego pragnęło jej nienasycone serce. Dopiero w tym momencie to niezwykle uczucie zaspokajało w pełni jego pragnienie. Złudzeniem była miłość do Cezarego. Stał się dla niej kimś odległym, obcym. Owszem, współczuła mu, litowała się nad nim. Jednak to nie była miłość. Jak mogła za nim tęsknić? Poczwała ulgę z powodu zakończenia tej przygody i była zadowolona, że on również o niej zapomniał.

– Dziękuję Ci, Boże – wyszeptwała – za to, że zamieniłeś moje łzy w perły, że jakiś anioł otworzył ukryty na dnie mojej duszy sejf, do którego wpadły.

Gdy wróciła do sali, spotkała ją miła niespodzianka. Na pustym dotąd łóżku siedziała młoda kobieta o sympatycznym wyglądzie, która od razu wzbudziła jej sympatię. Wyglądała malowniczo w luźnej żółtej bluzce i zielonych legginsach. Patrząc na jej zadumaną śliczną buzię, trudno było się domyślić, że ta urocza kobieta jest chora psychicznie. Iza stanęła jak wryta.

Podziwiała jej naturalnie rude włosy harmonizujące z jasną cerą, fiołkowy kolor oczu i lekko zadarty nosek, nadający twarzy zalotny wyraz.

– Dzień dobry – rzekła. – Mam na imię Iza, a ty?

– Jestem Celina – odpowiedziała. – Pięknie dziś na dworze. Może wyszłybyśmy do parku?

– Dopiero co wróciłam, ale do kolacji mamy jeszcze wiele czasu. Chętnie posiedzę jeszcze z tobą na ławce. Chodźmy.

Usiadły pod rozłożystym kasztanem. Teraz dopiero Iza zauważyła, że Celina jest przygnębiona.

– Co się dzieje? – spytała. – Cierpisz na depresję?

– Gorzej. Jestem poważnie chora. Nie potrafię odróżnić rzeczywistości od halucynacji. Ale długo bym ci musiała opowiadać – machnęła ręką z rezygnacją.

– Opowiedz, proszę. Przynajmniej w skrócie.

– To wszystko jest tak skomplikowane, że... po prostu nie da się w skrócie. Wciąż nie wiem, czy jestem psychicznie chora, czy też to wszystko zdarzyło się naprawdę.

– To przynajmniej zacznij. Mamy przed sobą jeszcze wiele dni, więc będziesz mogła opowiadać w odcinkach.

A potem ja ci opowiem o sobie.

– Nie musisz. Wszystko wiem z gazet. Poza tym chodziłam do opery, byłam twoją fanką.

– Cha, cha, cha – zaśmiała się Iza. – To wiesz bardzo niewiele. No, opowiadaj – niecierpliwiła się. – Zacznij od początku, ale najpierw powiedz mi, czy jesteś zamężna i jaki masz zawód.

– Od początku? – zastanowiła się Celina. – O rany! – Uniosła obie ręce do góry. – To myślisz, że nas tu tak długo przetrzymają? – spytała z przerażoną miną. – Nie mam męża. Jestem tak zwaną singielką, ponieważ poświęciłam się pasji zawodowej. Jestem dziennikarką... Od czego tu zacząć? – westchnęła ciężko. – Pochodzę z Katowic. Pracowałam w „Dzienniku Zachodnim”. Chyba nie wiesz, że gazeta ta należy do niemieckiego właściciela, jak zresztą wszystkie w zachodniej części naszego kraju... – Przerwała na chwilę. – Ale o tym później. Najpierw opowiem ci, jak zaczęła się moja choroba. Zaczęła się od... no, nie wiem, manii prześladowczej czy po prostu od niewiarygodnej inwigilacji i usiłowania uczynienia ze mnie chorej psychicznie. Dość, że pewnego ranka stwierdziłam zniknięcie srebrnych kolczyków, które pozostawiłam wieczorem przed lustrem w łazience. Często mi coś ginęło, ale przypisywałam to swojemu roztargnieniu. Tym razem jednak byłam pewna, że przed kąpielą tam je zostawiłam. Ktoś wchodził do mojego mieszkania i zabierał różne rzeczy. Ale kto? W jakim celu? Dręczyła mnie bezsilność wobec tej koszarnej inwigilacji. Tego ranka przejęłam się tym tak bardzo, że po policzkach zaczęły mi spływać łzy. Weszłam do pokoju i wytarłam twarz chusteczką, po czym usiadłam do laptopa i zaczęłam nerwowo wystukiwać litery, nie przerywając ani na chwilę, póki nie skończyłam. Było to tak, jakby ktoś podyktował mi ten wiersz. Znam go na pamięć:

Biesy i anioły Kontakty strzygą uszami światło lampy to flesz włóż coś na siebie nie jesteś sama ściany mrożą oczami.

Milcz bo wtargną do twych myśli śladem twoich słów i nigdy się nie dowiesz kto ci rozpruł mózg...

Wiersz jest bardzo długi, na trzy strony. Opisałam w nim całą swoją inwigilacyjną martyrologię. Kończył się następująco:

Nie płacz nie przeklinaj losu jesteśmy od diabłów silniejsze wyciągniemy cię z opresji zabezpieczymy twe wnętrze wytrwaj przetrzymaj udreki nie podawaj biesom ręki.

Gdy skończyłam pisać, wyszłam na balkon. Pomogło. Uspokojona słuchałam donośnego śpiewu szpaków, rozmyślając o tym, kto i dlaczego chce uczynić ze mnie chorą psychicznie. Wiesz, poruszam w artykułach wiele kontrowersyjnych problemów, więc do hejtów już się przyzwyczaiłam, ale taka inwigilacja? Wchodzenie w nocy do mieszkania zabezpieczonego dwoma pewnymi zamkami? Nie mieściło mi się to w głowie.

Pomyślałam, że może to mieć jakiś związek z pewnym Niemcem, z którym miałam romans, bo zaczęło się wkrótce po jego zerwaniu ze mną... – Przerwała i zamyśliła się.

– Opowiadaj dalej, bo to ciekawe.

– Przyjechał kiedyś do naszej redakcji, a ponieważ znam dobrze niemiecki, spędziliśmy ze sobą wiele czasu. Zapraszał mnie na kawę, na kolację. Był przystojny, wypielegnowany, elegancki. W porównaniu z naszymi mężczyznami... No, nie sposób go porównywać. To był po prostu książę z bajki. No i zakochałam się nieprzytomnie. Robiłam sobie nawet nadzieję na małżeństwo, na przeniesienie się do Berlina. Byłam parę razy w Niemczech, w Berlinie, w Monachium. To był zupełnie inny świat. Piękny, elegancki, wytworny. Stanowiliśmy wyjątkowo malowniczą parę – rozmarzyła się. – On przystojny, lekko szpakowaty szatyn z czarnymi, wiecznie przymrużonymi oczyma i poważną fizjonomią, ja zaś przy nim... płocha, niefrasobliwa trzpiotka. To była gorąca miłość. Wspólna przyszłość wydawała mi się oczywista, chociaż on nie robił mi nadziei na małżeństwo. Ale nie nosił obrączki i z tego, co o sobie opowiadał, wynikało, że jest sam. Pomyślałam, że jest rozwiedziony. Niestety, nasza sielanka nie trwała zbyt długo. Zupełnie niespodzianie oznajmił mi, że musimy przestać się spotykać, bo on przenosi się na pewien czas do Warszawy, po czym wraca do Niemiec. Domyśliłam się, że jest żonaty. Skończył się mój piękny sen. Byłam zrozpaczona. Płakałam po nocach. Straciłam nadzieję, że go jeszcze kiedykolwiek zobaczę. Jakaż była więc moja radość, kiedy zadzwonił do mnie i zaprosił na kolację do lokalu, żeby poważnie ze mną porozmawiać. Jednak nie przyznał się, że jest żonaty, tylko przez cały wieczór rozmawiał na inne tematy, po czym stwierdził, że za dużo wypił, więc nie może wracać samochodem do Warszawy i poprosił, żebym go przenocowała. Zgodziłam się, sądząc, że w domu wreszcie przeprosi mnie za wprowadzenie w błąd. Kiedy znaleźliśmy się u mnie, zaczął mnie namiętnie całować. Uwolniłam się z jego objęć. Nie potrafiłam mu wybaczyć, że mnie oszukał, udając miłość. Żal i gorycz były silniejsze od pragnienia znalezienia się w jego ramionach.

Pościeliłam mu na wersalce w pokoju dziennym, sama położyłam się w sypialni i zamknęłam drzwi na klucz. Po jakimś czasie usłyszałam delikatne pukanie, ale udawałam, że śpię. On jednak nie ustępował. Pukał coraz głośniej, aż w końcu zaczął mnie błagać, bym otworzyła.

– Proszę cię, Celino, wpuść mnie – nalegał. – Musisz mi wreszcie wybaczyć. To prawda, oszukałem cię, zdjąłem obrączkę, udawałem kawalera – kajał się – bo zakochałem się w tobie. Zamierzałem się rozwieść – zapewniał. – Powiedziałem o tym żonie. Okazało się, że ona od dawna wiedziała o tobie. Wynajęła detektywa, który porobił wiele naszych wspólnych zdjęć. Zagroziła mi, że jeśli odejdę, zniszczy, i mnie, i ciebie. A jest bardzo wpływową osobą. Musiałem przestać się z tobą spotykać, ze względu na twoje bezpieczeństwo, bo ona jest zdolna do największej podłości.

– Odejdź – przerwałam mu niewzruszona. – Nie chcę o tym rozmawiać. I wybij sobie z głowy, że kiedykolwiek jeszcze będziesz mógł być ze mną – powiedziałam twardo. – Błagam cię, musisz mnie wpuścić – skamlał. – Nie zamierzam cię oszukiwać. To prawda, nie mogę się rozwieść, ale nie potrafię też żyć bez ciebie. Uzbrój się w cierpliwość. Zrobię wszystko, żeby się z tobą związać, jednak to wymaga ostrożności i czasu.

Pod wpływem tego wspomnienia Celina rozpląkała się. – Wpuściłam go do sypialni.

Spędziliśmy wspaniałą noc, a rano... bez ogródek zaproponował mi współpracę z niemiecką bezpieką. Nie wyobrażałam sobie siebie w tej roli. Odmówiłam.

– Przysłużysz się w ten sposób ojczyźnie – namawiał. – Nie sądzisz, że my Niemcy jesteśmy waszymi wrogami. Myślałem, że masz do mnie zaufanie. Okazuje się, że się myliłem. Trudno, musimy się rozstać – powiedział i zagroził mi, że jeśli komuś wspomnę o jego propozycji, to może się to dla mnie źle skończyć...

– Podły agent, rozkochał cię w sobie tylko w celu uczynienia z ciebie donosicielki – wtrąciła Iza.

– Masz słuszość, ale ja go wciąż kochałam, marzyłam o nim, rozpamiętywałam każdą spędzoną z nim chwilę – mówiła przez łzy, rozczulając się nad sobą. – Jednak coraz częściej przychodziło mi do głowy, że on ma coś wspólnego z tą koszmarną inwigilacją. Podejrzywałam, że to on macza w tym palce, jednak nie byłam pewna, czy to nie jest jakaś psychoza. Przecież nikomu nie wspomniałam o jego propozycji, więc chyba nie miał powodu, żeby mnie szpiegować.

Na szczęście mam pewien sposób na leczenie się z tej niefortunnej miłości i podejrzeń. Polega on na słuchaniu klasycznej muzyki. Uwielbiam Bacha, Vivaldiego, Mozarta, Beethovena, Brahmsa, Czajkowskiego, Chopina, Góreckiego i wielu, wielu innych kompozytorów. Najbardziej jednak uspakaja mnie, a wręcz uszczęśliwia, muzyka operowa. Nie słucham jej uszami, lecz sercem. Identyfikuję się z tenorem lub sopranistką wyśpiewującymi całą piersią miłość, rozpacz, radość, wszelką namiętność. Wyżywam się uczuciowo do tego stopnia, że po godzinie takiego słuchania czuję się uspokojona i szczęśliwa jak niemowlę przy matczynej piersi. Ostatnio jednak postanowiłam przeżyć frustrację do samego dna, bo chciałam wreszcie podjąć jakieś kroki, by zacząć przeciwdziałać tej inwigilacji. Nie chciałam znowu przeżywać rozpaczony wraz z bohaterką jakiejś opery, pragnęłam zanurzyć się we własnej duszy, bez znieczulania muzyką. Miałam już dość pocieszania się i mamienia nadzieją, że te prześladowania wkrótce się skończą, że wyjdę z nich obronną ręką. Zdawało mi się, że dopiero gdy cierpienie osiągnie dno, zmusi mnie do odbicia się od niego i do działania. Postanowiłam zgłosić na policji to znikanie różnych przedmiotów z mojego mieszkania. Niestety, to nic nie dało. Potraktowano mnie jak chorą umysłowo i zagrożono przymusowym leczeniem, jeśli sama nie zgłoszę się do psychiatry. Wkrótce po tym, zwolniono mnie z pracy z powodu ograniczenia liczby etatów...

Iza zamieniła się w słuch. Zainteresowała ją ta historia. Opowiadaj dalej – przynaglała Celinę.

– Na szczęście zwolnił się etat w „Dzienniku Polskim” w Krakowie, o który od lat się ubiegałam, ponieważ ukończyłam studia na Uniwersytecie Jagiellońskim i kochałam to miasto.

Po ukazaniu się pewnego mojego artykułu o ezoteryce zadzwoniła do mnie jakaś kobieta. Przedstawiła się jako Ludmiła Bratkowiak i zaprosiła na kawę. Niczego bliższego o sobie nie zdradziła, więc zastanawiałam się, czy przyjąć zaproszenie. Udałam się jednak na spotkanie, zwyciężyła dziennikarska ciekawość. Gdy nacisnęłam przycisk na bramie ogrodzenia, drzwi otworzyły się i usłyszałam miły kobiecy głos:

– Proszę wejść, już wychodzę pani naprzeciw.

Ujrzałam park, pośrodku którego znajdowała się aleja stromo prowadząca w górę, ale nie widziałam żadnej postaci. Po pewnym czasie aleja przeszła w schody, po których kroczyła w dół ruda dama w barokowej niebieskiej sukni z dużym dekoltem i talią ściągniętą gorsetem.

– Znam tę damę i ten dom – przerwała jej Iza.

– Tak? – zdziwiła się Celina. – Jednak z pewnością nie przeżyłaś nigdy po przyjęciu u niej tego, co ja. Było to „takie babskie spotkanie”, jak oznajmiła gospodyni. Chociaż

popijałyśmy tylko szlachetne gatunki win, poczułam się jak po narkotykach. Przez całą noc leżałam bezsennie, snując przedziwne wizje. Widziałam siebie jako renesansową damę, rozmawiającą z mężem wyszukany językiem. Używałam francuskich, nieznanych dotąd słów. W innym zaś momencie usłyszałam głos nakazujący mi włożyć niebieski płaszcz i natychmiast udać się do Paryża, gdzie miał czekać na mnie Horst. Tak miał na imię mój niemiecki kochanek. Najbardziej jednak przeraził mnie skomplikowany wzór matematyczny zakodowany w mojej świadomości. Stanowił ponoć rozwiązanie najistotniejszego dla ludzkości problemu. W ciągu tej nocy kilkakrotnie przeistaczałam się w inne postaci, które całkowicie opanowywały moją świadomość.

Gdy w końcu nad ranem udało mi się zwlec z łóżka i wypić parę szklanek mleka, jedną po drugiej, oprzytomniałam. Następnie zjadłam normalne śniadanie, po czym udałam się do redakcji. To nie było normalne, że przeszłam do porządku dziennego po tej koszarnej nocy, jakby nigdy nic.

Od tego czasu coraz częściej przeżywałam takie wizje, więc udałam się do psychiatry. Starszy, siwowłosy, sympatyczny lekarz w rogowych okularach zapewnił mnie, że to nic poważnego. Twierdził, że obrazy te pochodzą od wewnętrznego, podświadomego doradcy i mogą być pomocne w rozwiązywaniu życiowych problemów. Niekiedy stanowią też mistyczne wizje, których doświadczają wyjątkowe jednostki.

– Wie pani – rzekł, patrząc mi w oczy – to dość częste u szczególnie wrażliwych osób. Kiedyś dominowało w świecie religijne obrazowanie kształtujące ludzką wyobraźnię, dlatego też święci mieli mistyczne wizje Chrystusa i Matki Bożej. A przecież nikt ich nie posądzał o schizofrenię. Obecnie wizje takie są związane ze współczesnym obrazowaniem. Najgorsze, że dzisiejszy świat opanowany jest w znacznej mierze przez ezoteryczne i okultystyczne praktyki, hipnozę, telepatię. Wszystko to wpływa na wyobraźnię w celach manipulacyjnych – oświadczył ku memu zdumieniu. – Ulegamy wpływowi szkodliwych dla psychiki przekazów zawartych w programach telewizyjnych, filmach, w książkach, w happeningach, instalacjach i innych formach sztuki. Cała popkultura służy głównie manipulacji, niezależnie od tego, czy jej twórcy zdają sobie z tego sprawę. Jesteśmy manipulowani nawet poprzez nabożeństwa religijne. Od wieków kapłani w przeróżnych cywilizacjach wywoływali głosy i wizje bogów, a później jedyne Boga. Powinna się pani cieszyć, że nawiedzają panią tak niewinne wizje – uśmiechnął się. – Gdyby pani wiedziała, co przeżywają inni, jakie horrory ich przesładują. Włosy stają mi dęba, kiedy tego słucham. Najgorsze są wizje uzależnionych od seksu, a jest ich coraz więcej.

– Ja jednak obawiam się, że to schizofrenia – upierałam się – bo we wczesnej młodości paliłam przez jakiś czas marihuanę.

– Jak dawno to było? – spytał zaniepokojony.

– No, jakieś dwadzieścia lat temu, ale tylko przez parę miesięcy – odpowiedziałam, patrząc mu pytająco w oczy. – O nie, to się nie liczy – machnął lekceważąco ręką.

Zapisał mi tabletki. Miałam je zażywać, gdyby zjawisko powtarzało się zbyt często i stało się nużące. Wykupiłam receptę, jednak nie zażywałam tych pastylek, ponieważ wizje te nie były przygnębiające, wręcz przeciwnie – dostarczały przyjemnych wrażeń. Sądziłam, że stanowią odbicie moich marzeń. Niemniej nosiłam tabletki w torebce, z którą nigdy się nie rozstawałam, aby nikt nie mógł wykraść ich z mojego mieszkania, bo wciąż zdawało mi się, że podczas mojej nieobecności ktoś do niego wchodzi.

Jedna tylko rzecz mnie intrygowała – wzór matematyczny przekazany ponoć z zaświatów przez Einsteina, który – co sprawdziłam w sieci – urodził się w tym samym dniu, co ja, w takiej samej gwiazdnej konstelacji. W szkole byłam dobra z matematyki, najlepsza w klasie, ale nudziło

mnie rozwiązywanie zadań i mimo zdolności nie wykazywałam specjalnych zainteresowań w tym kierunku. Przez parę kolejnych dni usiłowałam przypomnieć sobie ów szczególny wzór, ale było to niemożliwie.

Nie podejrzewałam pięknej Ludmiły o nic złego, zaprzyjaźniłam się z nią, chociaż żyłyśmy w różnych światach. Wprawdzie niepokoiły mnie niesłychane opowieści tej kobiety i brak jakichkolwiek informacji o niej samej, ale nie potrafiłam jej o to pytać. W jej towarzystwie czułam się onieśmielona. Spodziewałam się, że ona w końcu sama zacznie mówić o sobie.

Po każdej wizycie u niej ogarniała mnie dojmująca tęsknota za jakąś inną rzeczywistością. Już we wczesnej młodości często odnosiłam wrażenie, że wszystko, co dzieje się w moim życiu, przeszłość i teraźniejszość, jest nieistotne, nie ma zbyt dużego znaczenia w tej prawdziwej rzeczywistości, rozgrywającej się poza zasięgiem zmysłów. Głowiłam się nieustannie, jakie jest to prawdziwe życie. Czytałam mądre, filozoficzne i religijne książki, studiowałam Biblię, Talmud, Koran. Wciąż jednak odnosiłam wrażenie, że to nie jest „To”, że tak naprawdę chodzi o coś zupełnie innego, niż to, co wydaje się ludziom ważne. Często pograżałam się w zadumie. Czułam, wyraźnie czułam, że istnieje coś bardzo ważnego, czego ludzie nie są w stanie odkryć. Najczęściej było to ukryte w muzyce, czasami w poezji. Ale czym owo „To” mogło być, nie wiedziałam. Jako dziennikarka przeprowadzałam rozmowy z pisarzami, kompozytorami, wszelkiego rodzaju artystami. Niektórzy też to odczuwali, nie wiedzieli jednak, podobnie jak ja, o co w tym wszystkim, co się dzieje i co nas otacza, tak naprawdę chodzi. Raz tylko spotkałam kogoś, kto coś na ten temat wiedział. Był to pewien skromny proboszcz w parafialnym kościele góralskiej wsi, w której spędzałam urlop. Nazywał „To” rzeczywistością Bożą i pięknie mówił o niej w kazaniach. Ja też wierzyłam w Boga, dla mnie również transcendencja była Bożą rzeczywistością, ale... „To” było coś innego.

Pewnego razu Ludmiła zabrała mnie na przejażdżkę w góry. Przemierzając jej wspaniałym autem trasę prowadzącą przez krajobraz powalający na kolana, nieoczekiwanie poczułam, że znajduję się we właściwym miejscu, w tym prawdziwym świecie, tym, za którym tak nieprzytomnie tęskniłam, chociaż nie miałam pojęcia, gdzie jesteśmy i dokąd jedziemy. Gdy na horyzoncie ukazały się stoki gór, Ludmiła skręciła w najbliższy zjazd z autostrady i wkrótce przed naszymi oczami pojawił się iglasty las. Zaparkowałyśmy na jego skraju. Gdy wysiadłyśmy z samochodu, moja towarzyszką zaczęła rozglądać się lękliwie i położyła palec na ustach, nakazując mi milczenie. Na jej twarzy malowało się przerażenie, kobieta wręcz trzęsła się ze strachu. Tymczasem ja byłam w siódmym niebie, rozkoszowałam się żywicznym zapachem, chłonełam widok drzew, obserwując z zadartą głową ich koronkowe wzory na farbkowym niebie. Przypominałam sobie ich nazwy: sosna, świerk, jodła, modrzew. Najbardziej urzekły mnie bujne sosny. Ich szczytówkowe gałęzie z gęstymi, długimi igłami przyciągały mnie tak mocno, że w pewnym momencie objęłam pień jednej z nich i mocno się do niej przytuliłam. Nie mogłam się od niej oderwać. Czułam się z nią zjednoczona.

Ludmiła odciągnęła mnie od drzewa.

– Co ty wyprawiasz?! – zgromiła mnie scenicznym szeptem.

Weszłam z powrotem na ścieżkę, jednak parę kroków dalej stanęłam nieruchomo, gdyż ujrzałam naprzeciw siebie zającą przyglądającego się mi uważnie. Nie chciałam go spłoszyć, ale uczyniła to moja towarzyszką.

Szłyśmy przed siebie łagodnie wspinającą się w górę ścieżką, gdy w pewnym momencie spostrzegłyśmy przebiegającą sarenkę. Po chwili zauważyłam wspinającą się po drzewie wiewiórkę. Wszystko to wzbudzało we mnie euforię. W dalszym ciągu nie wiedziałam, gdzie jesteśmy, ale nie pytałam o to.

Nagle ujrzałyśmy w dali wysokie ludzkie postacie.

Ludmiła złapała mnie za rękę.

– Wracamy! – nakazała tonem cichym, lecz nieznoszącym sprzeciwu.

Gwałtownie pociągnęła mnie do tyłu i biegiem wróciłyśmy do samochodu. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, czułam jednak, że musimy jak najszybciej uciekać. Gdy wjechałyśmy na autostradę, odezwałam się pierwsza:

– Proszę cię, powiedz mi wreszcie, co to wszystko znaczy.

– O nic nie pytaj. Wszystko ci wyjaśnię we właściwym czasie. Wybacz, ale naprawdę nie mogę ci na razie nic powiedzieć – rzekła Ludmiła.

Po powrocie do domu zwątpiłam, że przeżycie to stanowiło realną rzeczywistość. Czyżby Ludmiła zatrzymała mnie jakimiś narkotykami? A może to były halucynacje?

Przypomniałam sobie osobliwe uczucie z najwcześniejszego dzieciństwa. Gdy zostawałam w pokoju sama, zdawało mi się, że za drzwiami panuje czarna, pusta otchłań, że całe życie koncentruje się w miejscu, w którym przebywam i powróci tam za drzwi, gdy tylko je otworzę. Nie wzbudzało to we mnie lęku, wręcz przeciwnie, bardzo lubiłam to uczucie panowania nad widzialną rzeczywistością. Ale teraz pomyślałam, że był to symptom paranoi.

Znowu udałam się do psychiatry. Opowiedziałam mu przebieg wycieczki i spytałam, czy to wszystko mogło być halucynacją. Lekarz zamyślił się.

– To nie musiały być halucynacje – zaczął po chwili milczenia, podczas której wpatrywałam się w niego z napięciem. – Istnieją narkotyki nazywane środkami poszerzania i uwalniania świadomości w celu dotarcia do odmiennych stanów jaźni, dzięki którym można ponoć dotrzeć do prawd i faktów zakodowanych w świadomości genetycznej. Istnieją stany świadomości, w których człowiek poznaje wydarzenia, o jakich nigdy nie słyszał, odkrywa prawdy, o jakich nie miał dotąd pojęcia, używa słów w obcym języku, jakich dotąd nie znał. Można by rzec, dociera do nadprzyrodzonego wymiaru rzeczywistości. Następuje coś w rodzaju intelektualnej iluminacji. Zajmuje się tym cała gałąź psychologii, zwana transpersonalną. Więc proszę się nie przejmować tymi symptomami, które mogłyby wskazywać na psychiczne anomalie, tylko wycofać się z owej podejrzananej znajomości i regularnie zażywać zapisane przeze mnie tabletki.

Ja jednak nie posłuchałam jego rady, tylko cierpliwie czekałam na wyjaśnienia tajemniczej przyjaciółki, lecz ona podczas kolejnych spotkań nie wracała w rozmowie do tematu wycieczki. Wszystko to zaczęło mnie niepokoić, ale nadal lubiłam odwiedziny w jej pięknym domu, zwłaszcza gdy była sama. Zdarzało się, że jadłyśmy wspólnie obiad na tarasie jej wspaniałej willi. Jednak z biegiem czasu sympatia zaczęła zamieniać się w lęk.

Okazało się, że ona wie o mnie wszystko, tak jakby na co dzień uczestniczyła w moim życiu. W dodatku – co było najbardziej przerażające – zaczęła przebąkiwać, że świetnie nadaje się do pewnej niezwyklej misji.

Najgorsze, że coraz częściej spotykałam u niej dziwnych osobników. Były to wyjątkowo odrażające typy. Należeli do pewnego gatunku ludzi, na których widok odruchowo zatykałam nos, bo odnosiłam wrażenie, że śmierdzą, chociaż nie wydzielali jakiegś nieprzyjemnej woni, wręcz przeciwnie wytwornie pachnieli, lecz ich wygląd kojarzył mi się z obrzydliwym odorem.

Obiecywali mi życie w luksusowych warunkach. Miałam tylko zmienić tożsamość i całkowicie poddać się ich woli. Wkładali mi do głowy szokujące opowieści. Słuchałam ich z przerażeniem.

– Tożsamość jest tylko mitem – pogardliwie stwierdził jeden z osobników podczas rozmowy, gdy zastałam ich pewnego dnia u Ludmiły. – Proszę się zastanowić. Jeden z pani pradziadków był Niemcem, drugi Anglikiem, prababka pani matki była Francuzką...

– Ależ jestem Polką z krwi i kości, nie mam żadnych problemów z poczuciem

tożsamości – stwierdziłam stanowczo.

– Nie wiemy, kim jesteśmy – rzekł mężczyzna z pobłażliwym uśmiechem. – Przede wszystkim powinna pani poznać odmienne stany świadomości, które umożliwią pani wzmocnienie afirmacji i siły przekazu, bo tego właśnie pani brakuje. To byłby już pierwszy krok...

– Co też pan wygaduje? – oburzyłam się. – Jestem Polką. To nie ulega wątpliwości.

– Ależ to nie ma znaczenia – mężczyzna znów wykrzywił wargi w pobłażliwym uśmiechu. – Pani mogłaby być w przyszłości i Francuzką, i Angielką, a nawet Amerykanką, a najlepiej Niemką. Dlaczego upiera się pani przy polskiej tożsamości? – Wzruszył ramionami i wydał pogardliwie wargi. – Jedno jest w tym wszystkim najważniejsze – i o tym mogę panią zapewnić – że nie ma pani ani kropli żydowskiej czy słowiańskiej krwi.

Patrzyłam na niego wytrzeszczonymi oczami w kompletnym osłupieniu. Nie miałam nic przeciwko żydowskiej krwi, a tym bardziej przeciwko słowiańskiej. Zawsze uważałam, że antysemityzm zrodził się z zawiści, gdyż Żydzi byli utalentowani i zamożni, odnosili sukcesy w każdej dziedzinie, na polu artystycznym, naukowym, gospodarczym. Słowianie też stanowili bardzo wartościową grupę etniczną.

Na początku było słowo – perorował mężczyzna. – A pani mówi nie tylko po polsku, ale i po niemiecku, po francusku, po angielsku, po rosyjsku. Nic pani nie wie o swojej tożsamości, a trzyma się pani kurczowo tej fałszywej. Powiem pani więcej – zawiesił głos i zrobił tajemniczą minę. – Niedługo będzie pani z niemieckim mężem przez jakiś czas żyła w pięknej miejscowości na południu Francji, gdzie złapiecie tamtejszy akcent, potem przeniesiecie się do Paryża i tam już pod francuskim nazwiskiem będziecie podawać się za Francuzów. Następnie pojedziecie do Londynu, po czym do Stanów i tak będziecie krążyć po całym świecie. Ten człowiek od kilku lat na panią czeka...

– Boże! – krzyknęłam zbulwersowana. – Niech pan przestanie! Dość tych bredni! Nie będę tego słuchała!

Wstałam od stołu i wyszłam, trzaskając drzwiami.

Towarzyszył mi rechot upiornego towarzystwa.

Tamtej nocy po raz pierwszy usłyszałam w myślach głos Horsta, który odtąd prześladował mnie nieustannie.

Przestałam przychodzić do Ludmiły, ale to nic nie dało. Ci ludzie nachodzili mnie i obdarowywali luksusowymi prezentami. A to platynowym pierścieniem, a to złotym zegarkiem, a to jakimś dziełem sztuki. Odmawiałam przyjmowania tych drogich przedmiotów, ale nazajutrz znajdowałam je na stole. Najgorsze, że wciąż znikają moje ulubione osobiste rzeczy, najczęściej bielizna i ozdoby. Najwidoczniej wchodzili do mieszkania w nocy, gdy spałam. W miejsce moich skromnych rzeczy pojawiały się luksusowe. Były tak piękne, że nie sposób było oderwać od nich oczu. Godzinami potrafiłam wpatrywać się w któryś z nich – w biżuterię, obrazy, rzeźby, zaniedbując wszelkie obowiązki. Doprowadzało mnie to do obłądki, wzbudzając równocześnie niesamowity lęk.

Dostojewski stwierdził, że piękno zbawi świat – myślałam przerażona – a mnie ono doprowadza do szaleństwa, do piekła. Co się ze mną dzieje? Pod wpływem tych przedmiotów traciłam zdolność samodzielnego myślenia, ktoś obcy podsuwał mi fantastyczne pomysły podróży po całym świecie, a nawet na inne planety. Doszłam do wniosku, że prezenty te pochodzą od szatana, więc zaczęłam wyrzucać je do śmieci, jednak każdego ranka pojawiały się coraz to nowe. Nie wierzyłam, że trafiają do mnie w jakiś cudowny sposób, musiał ktoś w nocy wchodzić do mieszkania. Ale jak? Zamykałam okna, drzwi zabezpieczałam od wewnątrz zasuwami.

Wpadłam w panikę, gdy pewnego ranka ujrzałam na szyi wysrane ślady. Natychmiast poszłam do psychiatry. – A zażywa pani tabletki? – spytał.

– No... jak dotąd, to nie.

– Więc proszę je regularnie zażywać.

Nieustannie szukałam innego mieszkania. Niestety, bezskutecznie. Zachodziłam w głowę, co to za typy. Byłam przekonana, że mają coś wspólnego z moim byłym kochankiem i jego wpływową żoną, a Ludmiła zaprzyjaźniła się ze mną na ich polecenie – mówiła z coraz większym wzburzeniem.

– Wiesz co? – przerwała jej Iza. – Pospacerujmy trochę, przyjrzyjmy się drzewom i kwiatom. Dokończysz mi tę opowieść jutro.

– Nie – zaoponowała. – Muszę wreszcie to wszystko z siebie wyrzucić. Myślę, że ty, podobnie jak ja, psychicznie chora, uświadomisz mi wreszcie, co to jest. Powiedz, czy ty też przeżywałaś takie stany świadomości?

– Jak najbardziej. Jeszcze gorsze. Miałam halucynacje, w których pertraktowałam z diabłem.

– No widzisz. Ty mnie zrozumiesz. Pomożesz mi lepiej niż psychiatrzy. To słuchaj dalej:

Pewnego wieczoru, gdy – swoim zwyczajem – siedziałam znużona na balkonie, pomyślałam, że prawdopodobnie już od wczesnej młodości jakieś tajne służby miały mnie na oku. Widocznie zdolności językowe już w szkole średniej ściągnęły na mnie to przekleństwo. Nauczycielka niemieckiego, rodowita berlinianka musiała współpracować z jakimiś swoimi tajniakami i uznała mnie za dobry „materiał” na agentkę. I dlatego wciągnięto mnie wówczas do zdemoralizowanego środowiska, usiłując uczynić ze mnie dziwkę, przed czym desperacko się broniłam, szukając ratunku w Kościele. Ale po każdej spowiedzi i postanowieniu poprawy znów wpadałam w diabelską sieć, w którą złapała mnie Niemka, wprowadzając po maturze do podejrzanego towarzystwa.

Z goryczą wspominałam ten najgorszy w życiu okres. Puszczalam się, upijałam, paliłam marihuanę. Tylko twarde narkotyki stanowiły dla mnie tabu. W domu rodzinnym od dzieciństwa wpajano mi lęk przed nimi. Przeżywałam nieraz już wtedy straszliwe stany psychiczne, lęk związany z wyrzutami sumienia z przeróżnych powodów i jeszcze gorsze cierpienia po krótkotrwałych przygodach i libacjach, którymi usiłowałam zagłuszyć „ryki duszy”. Nie, to nie było życie, jakiego pragnęłam. Po prostu nie byłam sobą. To było opętanie. Zachowywałam się jak kukła poruszana czarcią mocą. Robiłam rzeczy, których nie akceptowałam.

Na szczęście okres ten nie trwał zbyt długo. Dzięki pewnemu snowi. Ujrzałam siebie na ścieżce w ulubionym iglastym lesie. Z zachwytem oglądałam drzewa, z rozkoszą wciągałam w płuca krystaliczne, balsamiczne powietrze. Nagle na ścieżce pojawił się porażająco piękny mężczyzna. Pomyślałam, że to jakaś nieziemska zjawa. Był bardzo wysoki, świetnie zbudowany. Krótco ostrzyżony blondyn z ogromnymi stalowoniebieskimi oczyma, które przyciągały jak magnes. Miał na sobie lniane, szare spodnie i sportową białą koszulę. Kiedy znalazł się przy mnie, przemówił ciepłym tonem:

– Witaj w naszym kraju. W świecie, o którym marzysz. Będiesz tu bardzo szczęśliwa. Jestem twoim ukochanym, ale ostatnio oddaliłaś się ode mnie, zboczyłaś z trasy, którą ci los wyznaczył. Ja jednak wiem, że wrócisz na drogę prowadzącą do naszej krainy. Będę czekał...

W tym momencie obudziłam się, a w uszach brzmiał mi melodyjny głos: „Będę czekał... Będę czekał...”.

Ogarnęło mnie uczucie niewyobrażalnego wprost szczęścia. Leżałam nieruchomo, porażona jego intensywnością. Przez parę następných dni usiłowałam przywołać to cudowne

uczucie, przypomnieć je sobie. Jednak było to niemożliwe. Wiedziałam wszakże, że nie ma takiego wyrzeczenia, takiego wysiłku, którego bym nie podjęła, aby przeżyć je na jawie.

Z dnia na dzień zerwałam ze zdemoralizowanym środowiskiem. Powróciłam do zdyscyplinowanego trybu życia i dobrych nawyków, które wyniosłam z rodzinnego domu. Poważnie zajęłam się studiami.

Wspominając ten sen, doszłam do wniosku, że to jakiś dobry duch wyrwał mnie wówczas z degrengolady.

Teraz postanowiłam wynieść się z Krakowa do jakiegoś odległego miejsca, jak najdalej. – Ale czy te diabły mnie tam nie znajdują? – martwiłam się. – Oni posunęli się już zbyt daleko. Za dużo mi powiedzieli. Ta Ludmiła zbyt otwarcie ze mną rozmawiała, bo była pewna, że nie mam innego wyjścia, jak tylko zgodzić się na ich propozycję. Wobec mojego irracjonalnego, w ich pojęciu, uporu obawiają się moich kontaktów z prasą.

Po podjęciu tej decyzji przed usnięciem usłyszałam w myślach ten prześladowający mnie głos Horsta:

„Nie myśl, że uda ci się przede mną uciec. Od lat piję twoją krew, odżywiam się tak jak ty, znam każdy twój krok, każdą twą myśl, znam na pamięć twoje artykuły, twoje wiersze. Po prostu jestem w twoim mózgu, w twoim ciele, w twojej duszy. Dlaczego nie chcesz...”.

Przerwałam mu w pół zdania, zatykając uszy. Nie chciałam go słuchać i w gruncie rzeczy nie wierzyłam w to, co nadawał mi do mózgu. Czyli było tak, jak przypuszczałam. Temu Niemcowi udało się wtargnąć do mojej świadomości. Zetknęłam się z takim zjawiskiem, zbierając materiał do artykułu o ezoteryce. Byłam wykończona psychicznie. W dodatku w redakcji zaczęły się burzliwe dyskusje o tym, co się działo w świecie. To jakieś państwo islamskie, te straszne wojny, ten najazd imigrantów na Europę, a u nas te wszystkie demonstracje KODu i te agresywne spory... Postanowiłam uciec od tego, zaszyć się w jakimś zabitym deskami miejscu, nie czytać gazet, nie oglądać telewizji. Uciec od tego obłędu. Jak najdalej uciec. Znałam takie miejsce, w którym mogłabym się schronić. Kiedyś pisałam artykuł o pewnej wspólnotce religijnej w małej wiosce w górach. Okazało się, że chociaż oddaliłam się od Kościoła, to jednak wciąż w głębi mojej duszy tkwiło to, co wyniosłam z domu. Sprzedałam mieszkanie i samochód z postanowieniem zamieszkania do końca życia w tej wspólnotce.

– Oszalałaś? – przerwała jej Iza. – Trzeba było zgłosić w ABW tę niemiecką siatkę wywiadowczą, zamiast uciekać i zamykać się w jakiejś wspólnotce. Domyślam się, że tam w końcu rzeczywiście zwariowałaś. Ta Ludmiła to podejrzana osoba. Ona była kosmetyczką. Jedna z jej klientek pomogła jej za pomocą narkotyków zdobyć bogatego męża w zamian na donoszenie na niego. Sama mi się z tego zwierzyła. Myślałam, że to polska bezpieka zastawiła na tego człowieka sidła. Jednak z tego, co ty opowiadasz, wynika, że niemiecka. Posłuchaj. Mój dobry znajomy psychiatra powiedział mi, że mózg jest bardzo podatny na wszelkie narkotyki, które powodują podobne objawy jak schizofrenia i paranoja, i podobnie należy je leczyć. Ja zostałam zatruta amfetaminą, po której cierpiałam na straszliwą psychozę. Też miałam halucynacje. Przypuszczam, że w twoim przypadku jest podobnie. Ta Ludmiła systematycznie podtruwała cię jakimś świństwem.

– Nie wierzę. – Celina pokręciła przecząco głową. – Przystudiowałam w sieci wszystko na temat chorób umysłowych i doszłam do wniosku, że jestem schizofreniczką. Można się trochę podleczyć, ale tylko na jakiś czas. Wciąż powracają halucynacje i inne objawy. Człowiek do końca życia musi się z tym borykać.

– Iza spojrzała na zegarek. – Pora na kolację, wracamy.

Rozdział 19

Podejrzana wspólnota

Po kolacji Iza, która znowu była sobą, wzięła prysznic i zabrała się do wieczornego rytuału pielęgnacyjnego. Celina usiadła na łóżku i zamyśliła się.

– Wiesz, chciałabym ci jednak dokładnie opowiedzieć, jak doszło do tego, że zdecydowałam się na leczenie – odezwała się, gdy Iza po skończeniu masażu twarzy robiła specjalną jej gimnastykę.

– Dobrze. Mów. Słucham. – Śpiewaczka przerwała na chwilę swoją czynność. – Muszę jeszcze zrobić masaż ramion, dłoni, stóp. To trochę potrwa, zanim się położę.

– Więc wracając do tej wspólnoty. Po napisaniu o niej reportażu, jeździłam tam czasami, żeby odreagować miejski rwetes. Zaprzyjaźniłam się wówczas z pewną rodziną. Arkadiusz Kowal był lekarzem, jego żona Magda polonistką. Urodziła czworo dzieci wyjątkowej urody. Najstarsza córka Edytka miała siedemnaście wiosen, a najmłodszy Mariusz jeszcze raczkował. Sami rodzice też byli urodziwi. On – przystojny, rosły blondyn z długimi włosami, a jego żona, z pochodzenia Żydówka, wiotka i smukła jak topola mimo czterech porodów, była typem południowej piękności z czarnymi włosami i oczami. Arkadiusz pracował w szpitalu w pobliskim miasteczku, Magda zajmowała się dziećmi i domem, a w wolnych chwilach pisała książkę. Bardzo ją polubiłam. To ona znalazła mi dwupokojowe mieszkanie parę kroków od wspólnoty. Jednak właściciel zaczął się wycofywać, twierdząc, że muszę wszystko załatwić z jego synem mieszkającym wraz z rodziną w innej miejscowości. A ten doradzał mi, żebym się dobrze zastanowiła, a nawet zniechęcał do wynajęcia mieszkania. Wyglądało na to, że znajomi Ludmiły znali już mój plan i interweniowali, usiłując uniemożliwić mi ucieczkę. Najgorsze, że pasterz prowadzący wspólnotę, który objął ją po zmarłym właśnie jej założycielu, gorliwie odradzał mi ten krok.

– Przecież pani jest dziennikarką, światłą osobą. To nie jest miejsce dla kogoś takiego.

– A Arkadiusz i Magda? Przecież to też wykształceni ludzie.

– Ach oni! – Ksiądz machnął ręką. – Dobrze pani radzę. Proszę zostać w Krakowie.

– A Przybylski? On jest architektem, a ona polonistką.

– Tacy głęboko wierzący, wykształceni ludzie też do nas przyjeżdżają, ale tylko od czasu do czasu. Co innego być tu na co dzień.

– Miał słuszność – wtrąciła Iza.

– Swoją drogą ta Magda była trochę dziwna. Kiedy ją poznałam, zaraz na wstępie przedstawiła mi całą swą gromadkę, po czym z przejęciem wyjaśniła genezę imienia najstarszej córki, ponieważ miało dla niej szczególne znaczenie.

– Edytka dostała imię na cześć patronki Europy, świętej Teresy Benedykty od Krzyża, Żydówki Edyty Stein – wyjaśniła. – Słyszałaś coś, Celinko, o niej?

– Nie – pokręciłam przecząco głową. – Nic o niej nie wiem.

– „Kto szuka prawdy, ten Boga szuka, niezależnie od tego, czy zdaje sobie z tego sprawę” – zacytowała moja nowa przyjaciółka. – Te właśnie słowa Edyty Stein wyryto

w katedrze w Spirze, w Niemczech, gdzie była nauczycielką. Jakie to mądre, prawda? – Spojrzała mi pytająco w oczy.

Wyobraź sobie, że ta niezwykła kobieta z własnej woli przyjęła śmierć w oświęcimskim krematorium, chociaż jako katolicka zakonnica miała możliwość wyemigrowania do Stanów, żeby się uratować. Stwierdziła jednak, że nie wyobraża sobie, by mogła – z powodu zmiany wyznania – nie podzielić losu Żydów. Uważała, że będąc „poślubioną Bogu w znaku krzyża”, nie może odrzucać krzyża włożonego na naród żydowski. „Ci, którzy to rozumieją, muszą go wziąć na siebie w imieniu wszystkich”. Ta niezwykła święta uświadomiła mi, że Holocaust stanowił potwierdzenie faktu, iż naród żydowski jest dla Boga „narodem wybranym”. Nałożył na niego krzyż tak samo jak na barki swego jedyne Syna. Wszak cierpienie jest miarą miłości i szczęścia. I tylko to, co powstaje w cierpieniu ma moc przetrwania. „Miłość czyni cierpienie płodnym, a cierpienie pogłębia miłość” – pisała Edyta Stein do swej siostry tuż przed śmiercią. Kiedy przeczytałam te słowa, rozplakałam się nad jej losem.

– Tak, to wstrząsające – potwierdziłam. – Jednak trudno mi zaakceptować taką postawę. Komu potrzebna była jej śmierć? Nie wierzę, że takie akty desperacji podobają się Bogu.

– Ty tego nie rozumiesz, bo nie jesteś Żydówką – zaproponowała Magda.

– Kto to wie? – Wzruszyłam ramionami. – Wielu Polaków ma żydowskie korzenie, nawet paradoksalnie niektórzy antysemici. Dziś nikt już nie wie, kto się kiedyś przechrzcił i wyparł żydowskiej tożsamości.

– No tak, ale to nie to samo, co znać swoje korzenie i mieć poczucie przynależności genetycznej. Wiesz, kiedy tak rozmyślałam o Edycie Stein, a byłam akurat w ciąży z Edytką, ujrzałam głębię jej wielkiego serca. Zrozumiałam, jak mało ważne jest doczesne cierpienie, a nawet śmierć, wobec wiecznej prawdy, którą ta święta znalazła w męczeństwie, nie tylko dla siebie, lecz i dla mnie. I dla wielu innych, w tym dla mojej córeczki – mówiła Magda z egzaltacją.

– Wybacz, Madziu – rzekłam zdecydowanie – ale mnie nie przekonasz. – Wiem, że w Kościele katolickim panuje kult męczenników, ale w dzisiejszym świecie uznaje się dobrowolną śmierć męczeńską za zbędną. A te wszystkie dawne objawienia, stygmaty i tym podobne za zjawiska paranormalne.

– Tylko niektórzy tak uważają – upierała się Magda. – Inni uznają nadprzyrodzoność, świętość tych zjawisk. Właśnie dzięki tym wszystkim męczennikom, takim na przykład jak ksiądz Jerzy Popiełuszko, dziś nie musimy umierać dla idei, możemy swobodnie je propagować.

– Ależ to zupełnie co innego być zamordowanym jak Popiełuszko i inni ginący w walce o słuszną sprawę, a co innego tak jak ta święta – usiłowałam ją przekonać.

– Dla mnie to był akt rozpacz, załamanie psychiczne. – Ty wiesz swoje, ja wiem swoje – upierała się Żydówka i ciągnęła dalej. – Płacząc nad tragicznym losem tej pięknej kobiety, która dla Boga zrezygnowała z kariery naukowej, zrozumiałam, że za cierpienie powinno się Panu dziękować, traktując je jako dowód szczególnej miłości i wybrania, gdyż każde cierpienie stanowi sposobność do połączenia się z Chrystusem... Oczywiście, może ono stać się też powodem odtrącenia Boga, pograżenia w otchłani satanicznego zła i rozpacz. Na tym między innymi polega nasz dar wolności... Ale posłuchaj jeszcze o tej świętej. Była doktorem filozofii, prawą ręką słynnego fenomenologa Edmunda Husserla. „Moja tęsknota za prawdą była mą jedyną modlitwą” – pisała wówczas. Kiedyś, przebywając u znajomej katoliczki, sięgnęła do półki po pierwszą lepszą książkę. Okazało się nią „Życie św. Teresy z Avilla”. Nie przerywała czytania, dopóki jej nie skończyła. Kiedy odłożyła z powrotem, rzekła: „Tak, to jest prawda.”

Nieco później przeszła na katolicyzm. W końcu przywdziała habit. Przestała szukać prawdy w zewnętrznym świecie, w rozmowach z innymi, w lekturze i filozoficznych rozważaniach. Wzorem świętej Teresy zaczęła jej szukać w swej duszy, żyjąc do wewnątrz...

Magda długo jeszcze się rozwodziła nad postacią Edyty Stein, ale ja już puszczałam to mimo uszu. Z żalem stwierdziłam, że z tą skądinąd sympatyczną kobietą chyba nie znajdę wspólnego języka.

– No i co przeniosłaś się w końcu do tej wspólnoty?

– Tak. Dobrze się tam czułam. Niezależnie od tego, że zmarły pasterz wspólnoty, ksiądz Parnicki, nazywany ojcem Jerzym, podobnie jak ksiądz Rydzyk zajmował się bardziej polityką niż duszpasterstwem. Twierdził, że Polska z polskojęzycznej republiki radzieckiej przekształciła się w polskojęzyczny niemiecki land i walczył o uniezależnienie się ojczyzny. Słyszał jednak przede wszystkim ze wspaniałych rekolekcji i innych kilkudniowych spotkań ewangelizacyjnych. Był świetnym kaznodzieją. Przyjeżdżali tam nie tylko religijni mieszkańcy naszego kraju, lecz również Polacy ze środowisk emigracyjnych, począwszy od Francji, Anglii i Szwecji, a skończywszy na Australii. Spotykali się nie tylko ze względów politycznych, lecz głównie dla przeżycia duchowej odnowy.

Dzięki działalności duszpasterskiej pozyskał ksiądz Parnicki szeroki krąg nawróconych na nowo wyznawców Chrystusa, a aktywność polityczna przysporzyła mu wielu, niekoniecznie religijnych, zwolenników, ale – niestety – jeszcze więcej wrogów. Tymczasem ksiądz głosił zwalczanie zła dobrem, życia bez nienawiści. Dopuszczał do wspólnoty nawet największych przeciwników, dając im szansę nawrócenia. Nie bronił się przed podstępem i szykanami. Był człowiekiem łatwowiernym, z czego skorzystała pewna podejrzana para, małżeństwo Ilona i Maciej Okulscy, którzy zamieszkali w pobliżu wspólnoty i wkradli się w jego łaski. Jedną z członkiń wspólnoty, siostra Faustyna, podsłuchiwała przypadkowo rozmowę tej pary łajdaków w drodze do kaplicy:

– O kurwa, znowu te cholerne modły! Dłużej tego nie zniosę! – skarżyła się mężowi Ilona.

– Trzeba jeszcze trochę wytrzymać – uspokajał ją mężczyzna. – Niedługo wykończymy tego starego osła. Musisz zdobyć jego zaufanie, by mieć do niego nieograniczony dostęp.

Gdy Faustyna ostrzegła przed nimi ojca Jerzego, nie uwierzył.

– Coś mi się zdaje, że jesteś o Ilonkę zazdrosna – pokręcił z dezaprobatą głową. – To nieładnie. Musiałaś się przesłyszeć. Sama mówisz, że rozmawiali szeptem. Jak mogło przyjść ci do głowy coś takiego? Ilonka? Dałbym sobie za nią rękę odciąć. To prawdziwa święta!

Nie tylko zbagatelizował to ostrzeżenie, lecz spędzał z Iloną coraz więcej czasu na religijnych dyskusjach. Kobieta parzyła księdzu jego ulubioną owocową herbatkę i pilnowała przyjmowania przez niego leków.

Siostra Faustyna podzieliła się tą wiadomością z kilkoma członkiniami wspólnoty, jednak żadna jej nie uwierzyła. W końcu sama doszła do wniosku, że się chyba przesłyszała. A jednak nazajutrz po śmierci księdza małżeństwo znikło bez śladu. Wkrótce po tym, jak wprowadziłam się do wioski, we wspólnocie gruchnęła wiadomość, że Okulscy byli jakimiś agentami i otruli ojca Jerzego.

Wpadłam w popłoch. Wprawdzie młody, bystrooki ksiądz Antoni, który objął kierownictwo wspólnoty po śmierci jej założyciela, zaniechał działalności politycznej, jednak wciąż przewijało się tam mnóstwo podejrzanych osób. Staralam się jednak nie myśleć o tym. Rekolekcje, modlitwy, wyśpiewywanie na całe gardło pieśni religijnych budziło we mnie wspomnienia ze szczęśliwego dzieciństwa. Gdy po raz pierwszy znalazłam się w pięknej kaplicy,

w której królował obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, usłyszałam nagle w głębi serca dawno zapomniane słowa:

Bogurodzica dziewica, Bogiem sławiona Maryja! Twego Syna Gospodzina, Matko zwolena, Maryja, Ziści nam, spuści nam. Kyrie eleison. Twego dzieła Krzciciela Bożyce, Ułysz głosy, napeln myśli człowiecze. Słysz modlitwę jż nosimy. A dać raczy, Jegoż prosimy. A na świecie zbożny pobyt, Po żywocie rajski przebyt. Kyrie eleison...

Nigdy nie potrafiłam tak gorliwie się modlić jak w tej kaplicy. I tam, w tej wspólnocie zrozumiałam, dlaczego w czasach młodości, kiedy jeszcze chodziłam do kościoła, moje prośby nie były wysłuchiwane. Pojęłam to dzięki świadectwu jednej z członkiń wspólnoty. Z zapartym tchem wysłuchiwałam jej opowieści, jak to wspólnie z umierającym mężem doszła do zrozumienia, dlaczego na nic zdały się ich ofiary i modlitwy. Wszystko to było im potrzebne, by dopiero na końcu tej drogi odczuć przemożną łaskę pogodzenia się z Bożą wolą, łaskę zrozumienia, że jego wielki plan nie pokrywa się z ich ziemskimi pragnieniami. Twierdziła, że cierpienie połączyło ją z męką Chrystusa i zaowocowało spokojem duszy w chwili śmierci męża. Zrozumieli wspólnie, że ich zaślepienie w miłości i szczęściu stanowiło domek z kart, który Bóg musiał zburzyć, by uświadomili sobie prawdziwy sens istnienia.

– To trochę naciągane – skrzywiła się Iza.

– No, może. Ale przede wszystkim dałam się porwać duchowi miłości, który królował nie tylko w modlitwach i nabożeństwach, lecz także w postawie członków wspólnoty i ich księdza. Jednak w miarę zapoznawania się z charyzmatem wspólnoty, poczułam się trochę jak w średniowieczu. Przypomniałam sobie spotkanie z pewnym jezuitą, który twierdził, że w Kościele katolickim istnieją fundamentalistyczne sekty. Nie wierzyłam mu wówczas, teraz jednak stwierdziłam, że znajduję się w jednej z nich. Pocieszałam się, że nie jestem przecież jej członkinią, więc nie muszę się obawiać psychicznego uzależnienia. Uczestniczyłam tylko we wspaniałych nabożeństwach, co dostarczało mi bogatych przeżyć duchowych. I to było dla mnie najważniejsze.

Czułam się w tej wsi jak nowo narodzona. Byłam przekonana, że nareszcie uwolniłam się od dręczącej mnie inwigilacji. Rozkoszowałam się wiejską sielanką. Teraz oprócz joggingu odbywałam długie spacerunki po lesie. Podziwiałam też piękne, nowoczesne wille, ciągnące się wzdłuż ulic znajdujących się w jego pobliżu. Były to letnie domy zamożnych ludzi z Krakowa. Nie było tam żadnych gospodarstw wiejskich, jedynie wspólnota mieściła się na terenie dawnego majątku ziemskiego. Zaadaptowano na jej potrzeby obszerny dom i inne budynki gospodarskie, dobudowano wspaniałą kaplicę i barak z pokojami dla gości.

Zaprzyjaźniłam się z pewnymi członkiniami wspólnoty. Kiedyś usiadłam z czterema z nich przy kawie i pysznym cięście. Zaczęłam je wypytywać o motywacje wyboru takiego odosobnienia.

– To niełatwo – zwierzała się jedna z kobiet, odznaczająca się ogromną, niezdarną posturą – zrezygnować z decydowania o własnym losie i z życia rodzinnego, wyrzec się własnych planów, by służyć innym. Trzeba być w każdej chwili do dyspozycji bliźnich i żyć nie swoimi, lecz ich problemami. Przyznam ci się, że często ogarnia mnie lęk. Jednak im bardziej się boję, że nie podołam jakiemuś odpowiedzialnemu zadaniu, tym większa jest moja ufność wobec Boga, który uwalnia mnie od lęku. – Lęk jest największym wrogiem człowieka – dodała inna członkini wspólnoty, Marta – paraliżuje wolę. Stanowi przyczynę nałogów, zatracania się w wynaturzonym seksie, sięgania po narkotyki, wstępowania do satanistycznych sekt.

Opowiedziała mi, że pochodziła z sąsiedniej wioski. Od dziecka spoglądała w stronę wspólnoty z dreszczykiem emocji wobec kryjącej się za jej bramą tajemnicy. Jako młoda dziewczyna postanowiła wstąpić do niej.

– Rozstanie z rodziną było bardzo bolesne – wspominała ze smutną miną. – Szczególnie ciężko było mi na duszy, kiedy spotykałam utrudzonych rodziców, którym przydałyby się moje ręce...

Co za obłuda, pomyślała Iza. Gdyby jej żal było rodziców, to nie wybrałaby lekkiego życia, tylko pomagałaby im.

...lecz powtarzałam sobie w myśli słowa Pisma Świętego: „Jeżeli bardziej miłujesz matkę, ojca, nie jesteś mnie godzien” – relacjonowała dalej Celina. – Po okresie formacyjnym przez dwa lata zajmowałam się kuchnią i przepisywaniem tekstów księdza Jerzego, po czym powierzono mi funkcję zarządzającej domem.

Trzecia z kobiet, Joanna, przyjechała do wspólnoty też ze wsi, w tym samym czasie co Marta. Przez rok zajmowała się kuchnią, po czym stanęło przed nią wyzwanie: zorganizowanie centrum medialnego. Kompletnie się na tym nie znała. Początki były niewyobrażalnie trudne, ale jak twierdziła, Bóg czuwał. Już szósty rok prowadziła blogi i Diakonię Słowa wraz z poligrafią, gdzie wydawane były wszystkie materiały formacyjne. Na pytanie, czy daje jej to satysfakcję, zastanowiła się, po czym odpowiedziała:

– Ja nie nazwałabym tego satysfakcją, lecz spokojem wewnętrznym i siłą płynącą z kontaktu z Bogiem – mówiła z patosem. – Siłą powodującą, że stawia się czoła najtrudniejszym zadaniom i pokonuje wszelkie przeszkody. Mam tutaj styczność ze światem zewnętrznym, a jednocześnie oparcie we wspólnocie, inne myślenie, poczucie bezpieczeństwa. Gdyby nie to, z pewnością nie podołałabym. Marzyłam o rodzinie, ale w duszy odzywało się coś o wiele mocniejszego.

Z takim wyglądem trudno byłoby jej spełnić to marzenie – złośliwa uwaga wcisnęła się w moje myśli, bo Joanna była wyjątkowo szpetna.

– Z biegiem czasu to powołanie potwierdza się wciąż na nowo – mówiła z przejęciem. – „Pójdiesz tam, dokąd nie chcesz”. Ja też właściwie nie chciałam, ale musiałam. To było silniejsze od mojej woli.

Najciekawsza była opowieść Otylii, najstarszej członkini wspólnoty, zgrzybiałej staruszki poruszającej się na wózku inwalidzkim.

– Jestem tu od pierwszych dni powstania naszej wspólnoty. Po otrzymaniu zezwolenia na jej założenie ojciec Jerzy szukał domu w jakiejś ustronnej, górskiej okolicy – wspominała Otylia. – Znalazł wówczas tę opuszczoną posiadłość. Niestety, była w opłakanym stanie, wymagała kapitalnego remontu. Ojciec, jak zwykle, liczył na opatrność, nie miał pieniędzy na remont. Od września byliśmy już tutaj we cztery. Trzy z nas już zmarły. Pozostałam tylko ja. Zaczęło się remontowanie domu. A my mieszkaliśmy w jednym pokoju na paczkach porozmieszczanych w czterech jego kątach i organizowałyśmy „dni wspólnoty”.

Ojciec przebywał wtedy w Rzymie. Pod koniec października około godziny szóstej rano zjawili się u nas panowie z bezpieki. Pokazano nam nakaz rewizji. Zarekwirowano wszystkie materiały. Z niepokojem obserwowałam, jak oficer indagujący nas o korespondencję od ojca, bawi się leżącą na biurku widokówką od niego, po czym spokojnie ją odkłada, nie zapoznawszy się z jej treścią. Zabrano nas na komendę, gdzie byliśmy przesłuchiwanie. Przez cały dzień i noc! Jednak nic nam nie mogli zrobić, bo wkrótce nastąpiła transformacja ustrojowa. Ojciec wrócił szczęśliwie i zajął się dalszym rozwojem wspólnoty. Powołał w niej, między innymi, diakonię walki z nałogami „aby przeciwstawić się wszystkiemu w narodzie, co urąga ludzkiej godności, co może nawet zagrozić jego egzystencji” – jak pisał. Stanowiła ona kontynuację „Krucjaty Wyzwolenia od Uzależnień” zainicjowanej przez niego, gdy był jeszcze młodzieńkiem księdzem w jednej z katowickich parafii. Miałam czternaście lat, kiedy się z nią zetknęłam, dzięki starszej siostrze, która pokazała mi kiedyś wydawaną wtedy przez ojca Jerzego broszurę „Miłość

zwycięża”, wraz z deklaracjami przystąpienia do krucjaty. Postanowiłam natychmiast wysłać taką deklarację w imieniu brata, który był alkoholikiem, wraz ze swoim listem wyjaśniającym. Niestety, nie otrzymałam od niego odpowiedzi, gdyż przebywał wówczas w więzieniu za zorganizowanie krucjaty. Widocznie władze celowo rozpijały społeczeństwo. Jakież było moje zdumienie i radość, gdy przyszła ona po dwu latach, kiedy księdza zwolniono. Pisał, że wprawdzie krucjata została zlikwidowana, ale o n przyjmuje deklarację jako wiążącą. Uradowana natychmiast wysłałam list z podziękowaniami. W ten sposób rozpoczęła się nasza dwuletnia korespondencja. W tym czasie proboszcz parafii w mojej wsi szukał dla mnie adresów żeńskich zakonów, bo chciałam poświęcić swoje życie Bogu. Ojciec Jerzy zaprosił mnie w końcu na zgrupowanie dziewcząt w okolicy Krosna. Niestety, rodzice nie zgodzili się na mój wyjazd, więc on zaproponował mi następnie spotkanie w Katowicach. I wtedy matka zdecydowała się na odbycie tej podróży wraz ze mną. Ojciec Jerzy przeprowadził z nią wówczas osobistą rozmowę na temat mojego powołania, wspominając o nowo powstałej wspólnotcie, do której zdecydowałam się wstąpić. I tak to się zaczęło. Spędziłam w niej całe życie. Będąc jej członkinią, ja – prosta, wiejska dziewczyna, ukończyłam szkołę średnią i studia teologiczne. Byłam prawą ręką ojca Jerzego, dopóki nie zjawił się młody ksiądz

Antoni, który zajął moje miejsce...

Celina przerwała i spojrzała na Izę pytająco:

– Czy ja cię nie zanudzam?

– Ależ skąd – zaprzeczyła. – To bardzo interesujące. Mów dalej.

– Podczas tej rozmowy raz po raz spoglądałam na czwartą z członkiń wspólnoty, młodą, śliczną, milczącą dziewczynę.

– A ty – zwróciłam się do niej – dlaczego wstąpiłaś do wspólnoty? Przecież z twoją urodą mogłabyś zostać aktorką, modelką. Mogłabyś mieć wspaniałego męża, który nosiłby cię na rękach. Nigdy nie marzyłaś o karierze, o miłości?

Dziewczyna spuściła oczy.

– To... tajemnica – powiedziała cicho.

– Polubiłam tam wszystkich i początkowo doskonale się czułam – ciągnęła Celina.

– Jednak po pewnym czasie przeżyłam rozczarowanie. Nie dane mi było zaznać upragnionego spokoju ducha. Odkryłam bowiem ze zgrozą, że ów duch miłości, który mnie uwiódł podczas weekendowych pobytów, ulatniał się w ciągu tygodnia. Gdy we wspólnotcie przebywali ściągający tu tłumnie goście, spożywano skromne posiłki, panowała ciepła, serdeczna atmosfera, wszystkich ogarniał duch miłości. Ludzie obejmowali się podczas nabożeństw, radośnie śpiewali, tańczyli, klaszcząc w dłonie. Przebywając tam na co dzień, podpatrzyłam, że ci rozmodleni, rozanieleni i uduchowieni członkowie wspólnoty, kiedy znajdowali się tylko w swoim gronie, żarli się o wszystko, każdy walczył o swoje, starając się podporządkować sobie innych. Chodziło im tylko o ściągane od gości pieniądze i wygodne życie. W weekendy głoszone ascezę, posty, abstynencję, tymczasem na co dzień obżerali się, palili papierosy, pociągali z butelki. Ksiądz nie odprawiał żadnych nabożeństw, sami w ogóle się nie modlili. Wiele wskazywało na to, że nie odmawiali sobie uciech seksualnych, chociaż wpajali młodzieży idee życia w czystości aż do ślubu, gdyż według głoszonych tu zasad seks dozwolony był w małżeństwie wyłącznie w celach rekreacyjnych. Przerzązał mnie ten kabotyzm.

Ksiądz Parnicki z pewnością wyznawał głoszone we wspólnotcie zasady, tak samo jak wielu innych jej członków – sióstr i braci zdecydowanych żyć w czystości, z którymi rozmawiałam wówczas, kiedy pisałam reportaż o wspólnotcie. Kazania księdza Parnickiego wywarły na mnie wtedy ogromne wrażenie. Twierdził na przykład, że ludzie obdarzeni wybujałym temperamentem powinni zupełnie zrezygnować z seksu, gdyż jest to w ich przypadku

potężna siła, sprowadzająca same nieszczęścia, czyniąca z nich niewolników, przez co krzywdzą nie tylko siebie, lecz także innych, niszcząc swoje i cudze życie. Poparł to przerażającymi przykładami, z którymi zetknął się w ośrodku leczenia uzależnionych od seksu, w którym przez pewien czas działał. Głęboko w świadomość zapadł mi podany przez niego cytat z Pierwszego Listu do Koryntian: „Strzeżcie się rozpusty; wszelki grzech popełniony przez człowieka jest na zewnątrz ciała; kto zaś grzeszy rozpustą, przeciwko własnemu ciału grzeszy. Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest przybytkiem Ducha Świętego, który w was jest, a którego macie od Boga, i że już nie należycie do samych siebie?”

– No co ty opowiadasz? Postanowiłaś żyć w czystości, bez miłości? Do końca życia w tej wspólnotcie? – przerwała jej Iza.

– Tak, bo chciałam uwolnić się od uzależnienia od seksu.

– Daj spokój. Ale mów dalej, bo to ciekawe.

– Za życia księdza Jerzego płaciło się za pobyt wolne datki, każdy ofiarowywał sumę, na jaką było go stać, a od najuboższych nie pobierano żadnych opłat. Obecnie ustalono dość wysokie dzienne stawki. Mimo to wspólnota w dalszym ciągu była tłumnie odwiedzana, ponieważ weekendowe nabożeństwa były poruszająco piękne. Jedna z siostr wspaniale grała na elektrycznych organach, inna na gitarze, bracia zaś i pozostałe siostry przepięknie śpiewali. Nowoczesna kaplica była urządzona ze smakiem. Budując ją, ksiądz Jerzy przykładał szczególną wagę do tego, by w świątyni panowało piękno. Wiedział, że prowadzi ono do Boga. Najwspanialsze były witraże, które w pewien szczególny sposób rozpraszały światło, stwarzając niezwykłą atmosferę. Dla mnie też miało to ogromne znaczenie, jednak pogłębiało tylko rozżalenie z powodu doznanego zawodu. Gdy słuchałam kazań, wygłaszanych teraz przez księdza Antoniego, który zżynał je z homilii księdza Parnickiego, burzyłam się wewnętrznie z powodu sprzeczności tego, co głosił podczas weekendów z jego zachowaniem na co dzień.

Przeżyłam potężny wstrząs. Mój nastrój zmienił się diametralnie. Coraz bardziej zniechęcałam się do Kościoła i modlitwy, co w końcu doprowadziło do kryzysu wiary i depresji. Cierpiałam niesamowicie. Straciłam wszelką nadzieję. Nie miałam już żadnej perspektywy życiowej. Stąd już nie miałam dokąd uciec.

– Nie dziwię ci się, że wpadłaś w depresję – wtrąciła Iza, która skończyła już swoje zabiegi pielęgnacyjne, lecz nie kładła się, tylko słuchała z zainteresowaniem.

– Zdawało mi się, że w opustoszałej wiosce unosi się ponura, przygnębiająca aura – kontynuowała Celina. – Nawet las wydawał mi się teraz martwy, nie słyszałam śpiewu ptaków, nie widziałam zwierząt, nigdy nie natknęłam się na sarenkę czy zającą, a nawet wiewiórki nie zdołałam zauważyć. Drzewa były marne, wysuszone, zieleń przygasła. Zdziwiło mnie, jak bardzo stan ducha wpływa na odbiór zewnętrznego świata. Przecież z początku cudownie czułam się w tym lesie. A teraz zdawało mi się, że znajduję się Hadesie.

Najgorsze, że zniechęciłam się też do Kowalów. Okazało się, że Arkadiusza zwolniono z pracy w szpitalu, bo zamiast leczyć zgodnie z wiedzą lekarską, kładł dłonie na głowach pacjentów i odmawiał modlitwy. Poza tym podczas pracy wychodził do kościoła na mszę świętą.

Jak on mógł dopuścić do tego, by stracić pracę? Ma przecież na utrzymaniu żonę i czworo dzieci! – zastanawiałam się ze zgrozą. To się po prostu w głowie nie mieści. Teraz te bidoty zbierają pieniądze w kaplicy po jego seansach uzdrawiania, bo przecież trudno z dostatniego życia przestawić się na wegetację na zasiłku dla bezrobotnych...

Celina przerwała, bo zauważyła, że Iza się położyła.

– Pewnie chcesz już spać – powiedziała. – To dokończę jutro.

– Nie, mów dalej. Położyłam się i przykryłam kocem, bo zrobiło mi się chłodno w tej lekkiej koszuli. Tak na leżąco lepiej będzie mi się słuchało.

Rozdział 20

Szokujące odkrycie

– Pewnego razu spotkałam w lesie parę małżeńską, która zaprosiła mnie do siebie – kontynuowała swą opowieść Celina. – Przybywszy pod wskazany adres, ze zdumieniem stwierdziłam, że i w tej miejscowości znajduje się swego rodzaju dzielnica nędzy, w której stoją dwa obskurne, szare bloki. W jednym z nich mieszkali Ryżewscy. Nie byli zbyt atrakcyjnymi egzemplarzami ludzkiego gatunku. Oboje otyli, niezbyt urodziwi, z ponurymi fizjonomiami. Utrzymywali się z rent psychiatrycznych. Anzelm osładzał sobie jałowe życie popijaniem piwa, a Felicja – koniaku. On całymi dniami siedział przed telewizorem, ona zaś nad kryminałami, paląc papierosa za papierosem. Ich córka, równie jak oni brzydka, jeździła do gimnazjum w pobliskim miasteczku, a po powrocie do domu zamykała się w swoim pokoju. Unikała kontaktu z rodzicami, gdyż irytowali ją do tego stopnia, że każda rozmowa kończyła się awanturą. Nie mieli ani przyjaciół, ani znajomych, kisili się we własnym sosie, kłócąc się nieustannie. Zdziwiona byłam, że zarówno oni, jak i ich córka żyją w zupełnej izolacji. Z biegiem czasu zorientowałam się, że są ateistami, więc nie pytałam ich o stosunek do wspólnoty. Ale pewnego razu Anzelm sam poruszył ten temat.

– Pewnie dziwisz się, że nie chodzimy w niedzielę do kościoła – powiedział. – A wyobraź sobie, że to ojciec Jerzy ściągnął nas do tej zakazanej dziury.

– Ksiądz Parnicki? – zdziwiłam się. – To wy jesteście katolikami?

– Byliśmy – odpowiedział, opuszczając wzrok, po czym pogrążył się w zamyśleniu.

– A czemu już nimi nie jesteście? – zniecierpliwiona przerwałam milczenie.

– Dużo by opowiadać – zwlekał z odpowiedzią.

Tymczasem Felicja podniosła się z fotela, podeszła do barku i wyjęła koniak. Bez pytania postawiła go na stole i napełniła do połowy kieliszki.

– Nie tak dużo! – krzyknęłam, złapawszy się za głowę. – Zapalisz? – spytała, otwierając paczkę papierosów.

Zdarzało mi się palić, lecz wiecznie trawił mnie lęk przed rakiem płuc, więc w końcu rzuciłam ten nałóg.

– Dziękuję – powiedziałam, wyjmując papierosa z paczki.

Felicja zapaliła mnie i sobie, pociągnęła duży łyk z kieliszka i zaczęła szybko mówić, zadowolona, że może sobie wreszcie ulżyć. Do tej pory nie poruszała tego tematu, bo Anzelm zabronił jej stanowczo, lecz wiecznie korciło ją, by otworzyć mi oczy.

– Kobieto, jak ty możesz tam chodzić? – spytała, załamując ręce. – Ty, dziennikarka? Niczego nie zauważyłaś?

– Owszem – skinęłam głową. – Mnie też nie wszystko się tam podoba, ale – rozłożyłam bezradnie ręce – niedzielne msze święte są takie piękne.

– Msze święte? – Felicja pokiwała głową z politowaniem. – Ty je nazywasz „świętymi”... No tak, myśmy się też dali nabrać. Anzelm był przewodniczącym rady wspólnotowej, a ja gotowałam dla nich. Toż to burdel, a nie wspólnota! Włosy stanęły mi dęba,

jak się zorientowałam, że tu przyjeżdżają księża z różnych krajów, by korzystać z usług seksualnych niektórych sióstr... – Jezu Chryste! – przerwałam jej zbulwersowana.

– Co ty opowiadasz?

– W tym baraku po nocach urządzano libacje – mówiła Felicja, usatysfakcjonowana jej reakcją – a ksiądz Parnicki i tych parę uczciwych sióstr i braci spokojnie sobie spali. To była cała afera, jak ich raz nakryłam. Obudziłam się w nocy i przypomniałam sobie, że zapomniałam włączyć zabezpieczenie kuchni. Wchodzę do baraku, a tu jakieś pijackie odgłosy dochodzą z sali zebrania. Boże, co tam się działo! – Kobieta złapała się za głowę.

– Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co ja odkryłem w rachunkowości – wtrącił ponuro Anzełm. – Wyobraź sobie, że ten ksiądz Antoni prowadzi jakieś ciemne interesy. Odkryłem przelewy na wysokie sumy z niemieckiego banku. Zdarzało się, że zamożne, starsze Polki zapisywały w testamencie swój majątek dla wspólnoty, jednak te przelewy były jak na to zbyt wysokie, no i było ich zbyt wiele. Ksiądz Antoni jako prawa ręka księdza Parnickiego pobierał duże pieniądze na budowę kaplicy i nie przedstawiał na to żadnych asygnat, bo twierdził, że zatrudnia ludzi na czarno, którzy nie wystawiają rachunków. Ten łajdak zbił majątek na jakichś podejrzanych interesach. Jeździł z księdzem Jerzym na polskie misje ewangelizacyjne do różnych krajów, często do Holandii. Podejrzewam, że przy okazji przemycał narkotyki. Teraz ich balangi odbywają się w jednej z tych wspaniałych willi. Tam też urzędują te najładniejsze świętojebliwie siostrzyczki z fagasami.

– I nic nie powiedzieliście księdzu Parnickiemu?! – krzyknęłam oburzona.

– A jakże, od razu mu powiedziałem, ale oni nas zatruli jakimś świństwem, uznano nas za wariatów i wylądowaliśmy w klinice psychiatrycznej. Tam przez pół roku taką nam dali szkołę, że wróciliśmy jak zmyci, szczęśliwi, że w ogóle żyjemy.

– Zabroniono nam wstępu do wspólnoty – dodała Felicja. – A ojciec Jerzy dalej im bezgranicznie ufał. Nie dziwota, że tak marnie skończył – pokiwała ze smutkiem głową.

Po tej rozmowie zaniechałam uczestniczenia w weekendowych nabożeństwach i spotkaniach. Wzbudziło to niepokój księdza Antoniego. Dotąd myślał, że dziennikarka zacznie z biegiem czasu dzielić ich styl życia, gdyż przekonany był, że zasady wspólnoty wyznają jedynie prymitywni, naiwni ludzie. Przeraził się, że opiszę ich w religijnej prasie. A jako że u mnie się nie przelewało, postanowił mnie przekupić. Jedna z sióstr, jego kochanka, zaczęła przynosić mi obiady, drogie ubiory i sprzęty, ale odmawiałam ich przyjmowania. W końcu oświadczyłam zdecydowanie, że nie życzę sobie tych odwiedzin i w ogóle żadnych kontaktów ze wspólnotą.

Zajęłam się pisaniem powieści. Tak mnie to pochłonęło, że przez jakiś czas nie pokazywałam się u Ryżewskich. Jednak pewnej niedzieli znów stanęłam na ich progu. Drzwi otworzyła dziewczyna.

– Dzień dobry. Ich nie ma – rzekła, pogardliwie określając rodziców jako „onych”. Są w szpitalu.

– W szpitalu? Oboje? A co się stało? – spytałam zaniepokojona.

– Nic się nie stało – odpowiedziała opryskliwie. – To pani nie wie? Oni są psychicznie chorzy. Nie zauważyła pani, że z nimi nie da się rozmawiać, że mają urojenia?

– Dlaczego tak mówisz o rodzicach, Marcysiu? Przecież oni są całkiem normalni. Musiało się coś stać.

– Co jakiś czas są zabierani do szpitala psychiatrycznego na kurację – wyjaśniła dziewczyna takim tonem, jakby to było coś oczywistego, co powinnam wiedzieć. – Sama wzywam pogotowie, jak zaczynają wariować. Ale tym razem zrobił to ksiądz Antoni.

– No tak – pokiwałam głową i pomyślałam, że ten diabeł doprowadził do tego, że

ich własna córka wierzy w ich chorobę.

– A nie wiesz, kiedy wrócą? – zainteresowałam się.

– Nie wiadomo – dziewczyna wzruszyła ramionami. – Jak się uspokoją.

Gdy nadeszła zima, okazało się, że ogrzewany jest tylko parter domu, gdzie mieszkał właściciel. Zagroziłam mu, że nie będę płaciła czynszu, jeśli nie doprowadzi ogrzewania na piętro. Jednak staruszek poradził mi, bym kupiła sobie grzejnik. Dotrzymałam więc słowa, nie dałam mu pieniędzy i czekałam, aż się ugnie.

Jakież było moje oburzenie, kiedy pojawił się u mnie ksiądz Antoni wraz z synem starca i bez słowa zaczęli wynosić na zewnątrz moje meble. Szybko pobiegłam do Ryżewskich i poprosiłam Anzelma, żeby podwiózł mnie do miasteczka, podjęłam w banku pieniądze, wręczyłam je synowi właściciela, prosząc go, by z powrotem wnieśli meble. Dali się ubłagać, ale od tego dnia ksiądz Antoni wypowiedział mi wojnę.

I wtedy zaczęły się moje halucynacje. Widziałam krążące po niebie gigantyczne, czarne samoloty, a po ziemi przejeżdżające luksusowe, srebrne samochody, które czasami zatrzymywały się w pobliżu lasu. Wsiadali z nich wystrojoni ludzie, przyglądali się wspólnocie z pewnej odległości i po chwili odjeżdżali.

Postanowiłam uciec stamtąd dokądkolwiek. Po prostu podjechać autobusem do pobliskiego miasteczka, wsiąść w pociąg i... Właśnie. Uciec, ale dokąd. Nie miałam rodziców, żadnych krewnych, u których mogłabym się zatrzymać i zacząć od nowa normalne życie. Wychowałam się w domu dziecka. Jednak nie byłam już w stanie rozsądnie myśleć. Wstałam wcześniej rano i zamierzałam udać się na przystanek autobusowy. Niestety, okazało się to niemożliwe, ponieważ fatalnie się poczułam. Zwymiotowałam całe śniadanie. Wszystko leciało mi z rąk. Musiałam ponownie się położyć, bo przed oczami latały mi czarne platy i miałam wrażenie, że za chwilę stracę przytomność. Po dłuższym leżeniu zrobiło mi się lepiej. Wstałam z postanowieniem dotlenienia się. Włożyłam sportowy kombinezon i ciepłą kurtkę, po czym wolnym krokiem udałam się na spacer. Gdy znalazłam się w lesie, w pewnym momencie zachwiałam się. Dla podtrzymania się w pozycji pionowej objęłam pień wiekowego dębu, przytuliłam się do niego całym ciałem i trwałam tak przez dłuższy czas, chłonąc balsamiczną ciszę. Oczami wyobraźni ujrzałam niewyraźną, ogromną męską postać wyciągającą do mnie rękę. W moim mózgu odezwał się żaloszny głos:

– Jesteś nam tak bardzo potrzebna – jęczał. – Bez ciebie nie możemy stąd odlecieć. Musimy cię stąd zabrać. Ale jak to zrobić? Ale jak? Ale jak? – powtarzał płacząco.

Ocknęłam się, gdy usłyszałam przeraźliwe krakanie wrony. Moim ciałem wstrząsnął dreszcz przerażenia.

– Boże, chyba jestem czymś zatruta albo zwariowałam – wyszeptałam zrozpaczona. Wypuściłam z objęć drzewo i udałam się ścieżką w głąb lasu. W uszach wciąż mi huczało: „Ale jak? Ale jak?”.

Nie uszłam daleko, kiedy znów zrobiło mi się słabo. Trzęsłam się z zimna. Musiałam wrócić do domu.

Gdy weszłam do mieszkania, poraził mnie przejmujący chłód. Okazało się, że zniknął grzejnik, który nabyłam, gdyż do mojego piętra w dalszym ciągu nie doprowadzono ogrzewania. Zdjęłam tylko buty i kurtkę. Tak jak stałam, weszłam pod koldrę, żeby się ogrzać. W pewnym momencie zauważyłam na przedramieniu ślad po strzykawce. W panice stwierdziłam, że wstrzyknięto mi podczas snu jakiś środek. Porażona tą myślą, chciałam wstać i udać się do lekarza, lecz nie byłam w stanie podnieść się z posłania. Miałam wrażenie, że umieram. Przeżywałam straszliwe męki. Marzyłam już tylko o tym, żeby to się wreszcie skończyło, żeby wreszcie umrzeć.

W mękach konania przeleżałam cały dzień. Gdy zapadła noc, doszłam do wniosku, że to się nigdy nie skończy, jeśli nie wyjdę z domu. Ogromnym wysiłkiem woli zmusiłam się do wstania z łóżka. Włożyłam botki, kurtkę i wyszłam z mieszkania. Z trudem zesłam po schodach. Gdy znalazłam się na zewnątrz, poraził mnie widok rozgwieżdżonego nieba, ogarnęła tęsknota za kosmosem, za życiem na obcej planecie. Miałam już dość ziemskiego koszmaru. Szłam przed siebie w kierunku lasu. Oszklone domy straszyły piekielnymi ciemnościami. Nagle uderzyło mnie jasne światło w oknach jednej z luksusowych willi i dochodzący z niej gwar ludzkich głosów. W pewnym momencie wysypała się z niej gromadka wystrojonych w futra postaci.

Podążyłam za nimi, aż znalazłam się na skraju lasu. Na ogromnej przestrzeni znajdującej się tam łąki ujrzałam warczący samolot, przygotowany do odlotu. Miał kształt trójkąta. Był czarny jak smoła, niesamowicie duży. Ledwo mieścił się na rozległej łące. Poczulałam przypływ tęsknoty za jakimś innym światem. Z całego serca pragnęłam odlecieć tym samolotem. Ludzie wsiedli do niego, a on unióśł się w powietrze. Srebrno niebieskie światło otoczyło jego sylwetkę. Zachwiałam się z wrażenia.

– Jezu! – krzyknęłam przeraźliwie. – Oni odlecieli beze mnie! Co ja teraz pocznę? – rozplakałam się w głos.

Ogarnęła mnie tak niesamowita rozpacz, że czułam wręcz, jak mi pęka serce.

– Cha, cha, cha! – rozległ się obok mnie sataniczny śmiech.

Spojrzałam w prawo i ujrzałam księdza Antoniego w eleganckim futrze. Jego szkaradną twarz wykrzywiał dziwny grymas. Zamarłam z przerażenia, jakbym zobaczyła diabła. Ksiądz ślaniał się z rozbawienia.

– Cha, cha, cha, widzisz, trzeba było z nami trzymać. Chodź, porozmawiamy.

Trzęsąc się ze strachu, posłusznie udałam się za nim. Zaprowadził mnie do domu, z którego wyszli pasażerowie samolotu. Gdy weszliśmy do środka, stanęłam jak wryta.

Znaleźliśmy się w ogromnym salonie, rzeźbiście oświetlonym złoconymi kandelabrami. Z kominka rozchodziło się ciepło. Trzask i migotanie ognia przeskakującego po wyschniętym drewnie skojarzyły mi się z piekłem.

– Zdejmij kurtkę i siadaj – rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Napijemy się koniaku, to lepiej się poczujesz. Bo coś z tobą nie tak, prawda? – spojrzał mi badawczo w oczy.

– Nie najlepiej – bąknęłam.

Zdjęłam kurtkę i z ulgą zatopiłam się w fotelu. Ksiądz Antoni przyjrzał mi się uważnie.

– Wyglądasz jak pół dupy z za krzaka – stwierdził sarkastycznie.

Spojrzałam na niego zdziwiona. Nigdy nie przypuszczałam, że mógłby wyrażać się tak trywialnie. Podczas weekendów posługiwał piękną polszczyzną.

– To przejdzie – dodał lekceważąco. – Dostałaś minimalną dawkę. Bałam się, że nam uciekniesz. Masz, napij się.

Podał mi kieliszek i z drugim w ręku usadowił się naprzeciw mnie w takim samym fotelu, w jakim ja siedziałam.

– Nie będę owijał w bawełnę, Celino – pokręcił głową. – Czas, żebym ci otworzył oczy... Otóż... Tobie się wydaje, że jesteś panią własnej woli, a tak nie jest. Nikt z nas, śmiertelników, nie ma tego przywileju... – przerwał nagle. – Ty chyba mnie nie słuchasz! – krzyknął z irytacją.

Łyknęłam sporo koniaku, było mi już wszystko jedno. Zrozumiałam, że nie ma czego szukać w tej ponurej rzeczywistości. Moje miejsce było tam, w samolocie.

A skoro tu zostałam, nic już nie miało dla mnie znaczenia. Głos księdza dochodził jak zza mgły i zupełnie nie interesowało mnie, co on mówi. Czułam, jak uchodzą ze mnie siły i chęć do życia.

– Daj mi spokój – powiedziałam cicho, zwieszając głowę. – Nic mnie to nie obchodzi.

– Tak? Zaraz zobaczymy! Nic cię nie obchodzi wieczne życie w szczęściu, „jakiego oko nie widziało i ucho nie słyszało”?

– Bredzisz – powiedziałam spokojnie.

Nie bałam się go już ani trochę.

– Celino – zwrócił się do mnie spokojnym tonem – uwierz mi, mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia. Naprawdę, proszę cię, wysłuchaj mnie uważnie: tobie się wydaje, że sprowadziłaś się tutaj z własnej woli, prawda? Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Oczywiście – odpowiedziałam z pełnym przekonaniem, wzruszając ramionami. – Skąd mogłam wiedzieć... – przerwałam, zastanawiając się, czy zdradzić, że wiem o nich wszystko – co się tu dzieje – dokończyłam, spuszcżając wzrok.

Uśmiechnął się krzywo i spojrzał na mnie z wyższością.

– To był pomysł Ludmiły, żeby cię tu skierować. Wiedzieliśmy, że nie masz innego wyjścia.

Spojrzałam na niego przerażona.

– No co? Zatkąło gorzkie kakao? – tryumfował. – Jednak cię to obchodzi!

Nic nie odpowiedziałam. Poczułam, jak mi krew uderza do głowy, zrobiło mi się gorąco. Zrozumiałam, że jestem w matni.

– Cóż, nie powiem ci wszystkiego, bo byś za dużo wiedziała. I bez tego wiesz już zbyt wiele – perorował ksiądz – ale jedno musisz wiedzieć: nie umkniesz nam. To będzie trwało w nieskończoność. Tak będzie wyglądało twoje wieczne życie. I nie myśl, że uda ci się stąd uciec. Możesz tu sobie całkiem fajnie egzystować, mieszkać na przykład w tym domu. Ale musisz z nami... – przerwał, zastanawiając się, jakiego użyć słowa – współpracować – dokończył, zadowolony z tego określenia.

Oprzytomniałam. – Tak? Współpracować? – spytałam z ironią. – Prostytuować się, balować, narkotyzować?

– Głupia jesteś! – Wydął pogardliwie wargi. – Ty będziesz czysta, święta. Będziemy się do ciebie modlić. Możesz sobie słuchać swojej muzyki, pisać wiersze, biegać po lesie. Oczywiście, jeśli przyjdzie ci ochota trochę się zabawić, to u nas też jest możliwe. Ale przede wszystkim musisz brać udział w weekendowych nabożeństwach i religijnych spotkaniach. Masz służyć Bogu i tylko o nim myśleć, a nie o pisaniu do jakiejś gazety, bo jeszcze przyszłyby ci do głowy jakieś bzdury.

Milczałam. Mózg mój zaczął intensywnie pracować. Nagle doznałam olśnienia. Zdawało mi się, że wreszcie zaczynam rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, gdyż dotąd byłam zupełnie zdezorientowana. Teraz należało wziąć księdza w krzyżowy ogień pytań. Nie zdążyłam jednak sformułować pierwszego zdania, gdy na zewnątrz rozległ się odgłos lądującego samolotu.

– Kurwa mać! – krzyknął z wściekłością podejrżany ksiądz. – Znowu się nie udało! Wynos się z powrotem do swojej nory i cicho siedź! – nakazał.

Zdumiona włożyłam kurtkę i spieszenie wyszłam na zewnątrz. Czuję się już zupełnie normalnie. Na łące stał samolot. Wysypali się z niego ci sami ludzie, którzy nie tak dawno odlecieli. Nie oglądając się za siebie, ruszyłam w kierunku swojego domu.

Kiedy znalazłam się w mieszkaniu, w pośpiechu wyjęłam z pawlaczka neseser podróżny i zaczęłam wrzucać do niego bieliznę, piżamę, przybory toaletowe, parę bluzek i spodni oraz inne rzeczy, nie zastanawiając się zbyt nad tym, co zabrać. Szybko się przebrałam w ciepły liliowy sweter i szare spodnie, kilkoma pociągnięciami pędzla do policzków i szczoteczki do rzęs zrobiłam dyskretny makijaż, palcami zmierzwiłam i nastroszyłam włosy, formując fantazyjną

fryzurę, po czym utrwaliałam ją sprayem. Zależało mi na tym, żeby dobrze wyglądać, bo ubzdurałam sobie, że udaję się do swojego męża. Włożyłam lekkie czerwone futerko i pomarańczowe lakierki. Na ramieniu zawiesiłam dużą torbę w tym samym kolorze. Z gołą głową wybiegłam z domu.

Rozejrzałam się. Ni żywej duszy. Wiedziałam, że muszę uciec nocą, nim zbrodniczy ksiądz zdoła mnie zatrzymać. Mój stary gospodarz budził się wcześniej, często wstawał w nocy, mógł zatem zauważyć, że wybieram się w podróż, i natychmiast donieść o tym księdzu. Musiałam więc natychmiast oddalić się z domu. Szybkim krokiem udałam się do Ryżewskich, których niedawno wypisano ze szpitala.

Serce waliło mi w piersi, kiedy nacisnęłam dzwonek. Czekanie dłużyło się w nieskończoność. Zadzwoiłam jeszcze raz. Po chwili drzwi otworzyły się i ukazał się w nich rozczochrany Anzelm. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony. Położył palec na ustach. – Wejdz – szepnął i zaprowadził mnie do łazienki. – Tutaj może nie ma podsłuchu – powiedział. – Myśleliśmy, że po tej przeklętej kuracji psychiatrycznej zostawią nas w spokoju. Gdzie tam... Dobrze, że do nas nie przychodziłaś. Zaraz po naszym powrocie ze szpitala przyleciał ten cholerny ksiądz i zagroził, że znowu wylądujemy w klinice, jeżeli będziemy utrzymywali z tobą stosunki. Powiedział, że kiedy do nas przyjdiesz, mamy wyrzucić cię za drzwi. Kobieto, my tu jesteśmy jego więźniami.

– Musisz mi pomóc – załkałam.
– Poczekaj. Dam ci coś na uspokojenie.
– Nie, nie – pokręciłam przecząco głową. – Musimy się pośpieszyć – mówiłam gorączkowo. – Musisz mnie zawieźć do miasta na dworzec!

– Teraz, w nocy? – Mężczyzna załamał ręce i patrzył na mnie przerażony. – Nie, nic nie mów! – dodał po chwili, widząc, że otwieram usta, by coś powiedzieć. – Nie chcę wiedzieć, dokąd jedziesz, bo będę musiał im to zdradzić. Wejdz cicho do pokoju, by nie obudzić Felicji i poczekaj na mnie. Zaraz będę gotowy.

Weszłam do pokoju dziennego i nie zapalając światła, usiadłam na brzegu fotela. Obawiałam się, że Anzelm nie zechce jechać ze mną w nocy do miasta, skąd zamierzałam udać się pociągiem do Krakowa, żeby stamtąd odlecieć do Warszawy. Przekonana byłam, że tam mnie nie znajdą.

W krótkim czasie znaleźliśmy się w samochodzie.

– Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo ci jestem wdzięczna – powiedziałam drżącym z podekscytowania głosem.

– Nic nie mów – szepnął. – Całkiem możliwe, że mam w aucie podsłuch. A może nawet w mózgu. Licho wie. Jechaliśmy w milczeniu.

To dobry początek, to dobry początek, powtarzałam w myśli. Musi mi się udać uciec stąd do męża.

Na stacji kolejowej w miasteczku nie było tłoku. Załedwie parę osób czekało w jasnej poczekalni na pociąg do Krakowa, który odchodził za kwadras. Kupiłam bilet i usiadłam na ławce w poczekalni. Odczuwałam straszliwe podniecenie. Z napięciem patrzyłam na drzwi, obawiając się, że nagle wejdzie ktoś znajomy. Szumiało mi w uszach, a w mózgu szalały straszliwe głosy. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że od dwóch dni nie miałam nic w ustach – z wyjątkiem śniadania, które zwymiotowałam.

Na sztywnych nogach wyszłam z poczekalni, gdy nadjechał pociąg. Rozglądając się wokół, wsiałam do pustego przedziału, unikając towarzystwa innych podróżnych. Przez całą

drogę w moim mózgu rozbrzmiewał głos księdza Antoniego.

Gdy znalazłam się w Krakowie, natychmiast udałam się do kawiarni, gdzie zamówiłam śniadanie. Nagle przy stoliku obok z łoskotem runęła z krzesła na podłogę młoda, śliczna dziewczyna. Najwidoczniej przedawkowała narkotyki. Na to wyglądało. Natychmiast zjawili się dwaj sanitariusze i wynieśli ją na noszach. Zatrzęsłam się z przerażenia. Widok narkomanów i alkoholików zawsze wzbudzał we mnie lęk. Nie czekając, aż kelnerka poda mi zamówione śniadanie, w panice uciekłam z kawiarni i biegiem udałam się na postój taksówek, by pojechać na lotnisko.

Panował tam gwar i ruch, nikt nie zwracał na mnie uwagi, dzięki czemu nieco się uspokoiłam. Wykupiłam bilet na najbliższy lot do Warszawy i usiadłam w poczekalni, by poobserwować lądujące i odlatujące samoloty. Gdy wreszcie znalazłam się w jednym z nich, cieszyłam się, że lecę, aby spotkać się z mężem, który jest amerykańskim dyplomata.

Po piętnastu minutach siedziałam już na dobrze znanym Okęciu i czekałam na przylot samolotu z Nowego Jorku. Okazało się, że zaginął mój neseser. Nie przejmowałam się tym, ponieważ byłam przekonana, że mąż zabierze mnie do Stanów, gdzie czekają na mnie nowe, wspaniałe rzeczy. Nie odczuwałam ani zmęczenia, ani głodu, jedynie podekscytowanie przed spotkaniem z ukochanym.

Był taki piękny! Trochę podobny do Horsta, ale wyższy i młodszy. Rozmawiałam z nim na odległość, telepatycznie, literacką angielszczyzną. Używaliśmy tak wyszukanych słów i zwrotów, że zamierałam z zachwytu nad pięknem tego języka. Parę razy poderwałam się z siedzenia, gdyż zdawało mi się, że zbliża się do mnie mąż.

Jednak to nie był on.

Minęło parę godzin, przyleciały dwa samoloty ze Stanów, a mój mąż nadal się nie zjawiał. Późnym wieczorem lotnisko opustoszało. Ale czekałam dalej, byłam pewna, że on się zjawi. Przesiedziałam tak całą noc. Rano doszłam do wniosku, że on znajdzie mnie w hotelu.

Udałam się taksówką do „Marriotta”. Tam zainstalowałam się w luksusowym apartamencie, zastygłam w fotelu i czekałam. Otaczała mnie mgła, nie wiedziałam, jak wygląda pokój, w którym się znajduję.

– Ale to nic, to nic – szeptałam, pocieszając się – to mi przejdzie, jak tylko go zobaczę.

Byłam pewna, że niebawem spotkam się z utęsknionym mężem. Już zbyt długo trwała nasza rozłąka. Ostatnio widzieliśmy się przed rokiem w Paryżu. Spędziliśmy tam cudowny tydzień, ale on miał do wypełnienia jakąś tajną misję, o której nikt nie mógł się dowiedzieć. Nawet ja. Musiał więc mnie opuścić. Przez cały rok nie udało mu się ze mną skontaktować. Ale teraz zawiadomił mnie telepatycznie, że spotkamy się w Warszawie.

– O Boże, jaka ja byłam głupia, że czekałam na samolot z Nowego Jorku – zamamrotałam. – Przecież on jest włoskim arystokratą. Rozmawiał ze mną po angielsku, bo nie znam włoskiego. Zawsze rozmawiamy po angielsku... Tak, z Rzymu przyleci... Tu na pewno mnie znajdzie, jak zobaczy, że nie ma mnie na lotnisku... Taak, taaak... Zabierze mnie stąd do jednego ze swoich pałacyków w Wenecji.

Nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami.

– Jezu Chryste, co się ze mną dzieje? – krzyknęłam przerażona i zerwałam się z fotela.

Zachwiałam się, ale oprzytomniałam. Rozejrzałam się i stwierdziłam, że za oknami zapadła noc. Zapaliłam światło z postanowieniem położenia się do łóżka.

– Zaraz, zaraz, a gdzie jest moja walizka? – zwróciłam się do niewidzialnej osoby.
– Gdzie są moje przybory toaletowe, gdzie jest moja piżama... Do diabła, przecież walizka

zaginęła na lotnisku! I co ja teraz zrobię?

Co ja jutro na siebie włożę?

Zdałam sobie sprawę, że wszystko na mnie jest przepocone. W pokoju było gorąco, a miałam na sobie ciepły sweter. Rozebrałam się do naga i weszłam do łazienki.

Ledwo dotarłam do wanny, stanęłam nad nią, trzęsąc się ze strachu. Bałam się wejść do niej, ale przewyciężyłam lęk. Położyłam się wygodnie i czekałam aż wanna się napelni, po czym usiadłam, wzięłam do ręki prysznic i skierowałam jego strumień na głowę, lecz w tym samym momencie wypuściłam go z rąk, gdyż odniosłam wrażenie, że się duszę. Opadłam na plecy i leżąc, łapałam powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Nie byłam w stanie się wykapać. Wyszłam z wanny, wtuliłam się w wiszący tam, pachnący biały, frotowy szlafrok i weszłam w nim do łóżka.

Zaopiekowały się mną wróżki, które śpiewały: *Pięknie uczeszemy, wystroimy, pomalujemy na poszukiwanie męża w daleki świat wyślemy, nie bój się człowieka, bo czas ucieka, ucieka.*

Śpiewały tak przez całą noc, a serce waliło mi w piersi w rytm piosenki. Nad ranem wstałam z łóżka i wyjęłam z torebki komórkę. Połączyłam się z lotniskiem w celu odzyskania walizki, lecz okazało się, że jej tam nie ma. Włożyłam na siebie to, co miałam poprzedniego dnia. Spojrzałam w lustro i przeraziłam się swojego wyglądu. Natychmiast zmyłam rozmazany makijaż, z trudem zrobiłam nowy, zmierzwiłam i nastroszyłam włosy. Usiadłam w fotelu. Czekałam na męża. On zajmie się mną i przywróci do równowagi. W dalszym ciągu nie odczuwałam głodu ani pragnienia. Siedziałam z zamkniętymi oczyma. Słuchałam wróżek, które przez wiele godzin zabawiały mnie opowieściami o dalekim mężu i nowej rodzinie. Przesiedziałam tak cały dzień. Gdy się ściemniło, weszłam do łóżka. Ale wróżki już się nie pojawiły. Nie słyszałam żadnych głosów, lecz... doznałam olśnienia.

Tak, wszystko się wyjaśniło. Zrozumiałam intencje Ludmiły i księdza Antoniego. Ten inny świat, za którym tęskniłam, istniał. Świat ludzi wybranych do życia wiecznego na innej planecie. I ja do nich należałam. Były tam niewyobrażalnie piękne krajobrazy i niewyczerpane bogactwa naturalne. A na Ziemi mieli pozostać ci bez charakteru i zdolności umysłowych, którzy beztrudnie ją niszczyli. Na razie owi wybrani też musieli żyć na starej planecie, jednak w tajemnych jej zakątkach ukrytych przed zdemoralizowanymi egzemplarzami gatunku ludzkiego, dopóki nie zostaną zgromadzeni wszyscy ludzie przeznaczeni do wiecznego życia, posiadający w umysłach zakodowany matematyczny wzór doskonałości rodzaju ludzkiego. Wiedzieli o tym naziści, a w tym Ludmiła i jej dziwni znajomi. Ksiądz Antoni był wyszukującym, drogą religijnych praktyk, tych wyjątkowych ludzi. Ja zaś miałam służyć jako przynęta.

No, dobrze, ale kim są te wysokie postacie, które ujrzałyśmy z Ludmiłą podczas wycieczki w góry? – zadawałam sobie pytanie. Czyżby to byli mieszkańcy tej nowej planety? Przecież ja nie jestem aż tak wysoka jak oni ani równie piękna. Nie jestem kimś szczególnym, nie mam talentu w żadnym kierunku, nie mam głębokiej wiedzy w żadnej dziedzinie.

Zaczęłam podejrzewać, że wszyscy ludzie rodzą się z zakodowanym w świadomości matematycznym wzorem wiecznego szczęścia, lecz niemoralne życie go zaciera.

Od czego może zależeć, czy uda się człowiekowi być szczęśliwym, czy też stoczy się na dno, wpadnie w narkomanię, popełni samobójstwo? – głowiłam się. Bo przecież nie od pieniędzy. Tak wielu bogaczy marnie kończy... Mój Boże, raczej – od kogo to zależy?

– Jezu! – krzyknęłam, przytomniejąc nagle. – Przecież to bzdury, paranoja! Ja naprawdę zwariowałam... Nie, nie – dodałam cicho w zamyśleniu – jestem tylko zatruta jakimś świństwem... jakimiś narkotykami... To przejdzie... O co im chodzi, na Boga? Chyba od lat

mnie czymś zatruwają. Ten mąż, na którego czekałam, to jakieś urojenie.

Odzyskiwałam powoli równowagę psychiczną. Zdobyłam się na odwagę, by wziąć prysznic. Następnie znowu włożyłam swoje przepecone rzeczy.

W tym momencie zapukano do drzwi. Gdy je otworzyłam, ujrzałam dwóch potężnych mężczyzn:

– Proszę się ubrać i wyjść z nami – nakazał jeden z nich ostrym tonem.

Skuliłam się ze strachu. Bez słowa zgarnęłam do torebki kosmetyki, włożyłam botki i futerko. Mężczyźni zaprowadzili mnie do recepcji, gdzie uregulowałam należność za pobyt, po czym wyprowadzili mnie przed hotel i oszołomioną zostawili na ulicy. Na szczęście zostały mi jeszcze pieniądze na powrót pociągiem do Krakowa, a następnie autobusem do wspólnoty.

I oto znów znalazłam się w swoim ponurym mieszkaniu.

Bez grosza przy duszy i bez rzeczy, które zostały w zaginionej na lotnisku walizce. Stwierdziłam ze zdumieniem, że jest ciepło. Doprowadzono wreszcie do piętra ogrzewanie. Poczulałam głód i pragnienie. Na szczęście lodówka była pełna, więc zrobiłam kanapki i popiłam je mlekiem, stanowiącym mój podstawowy, ulubiony napój. Następnie weszłam do wanny. Tym razem nie wpadłam w panikę po polaniu głowy wodą. Działanie trucizny ustąpiło.

Miałam widocznie końskie zdrowie, skoro mój organizm samoczynnie uwolnił się od tak silnej trucizny.

Poczulałam się śmiertelnie zmęczona i senna.

– No, może wreszcie usnę – westchnęłam z ulgą, zdejmując szlafrok i wkładając piżamę.

Wtem na progu pojawił się ksiądz Antoni. Spojrzałam na niego, przerażona odkryciem, że on ma klucze do mojego mieszkania.

– No i po co ci to było? – spytał retorycznie, bez przywitania, kiwając głową z politowaniem.

– Jak możesz? – krzyknęłam oburzona. – Jakim prawem wchodzisz do mojego mieszkania jak do swojego! Nie dasz mi odpocząć po podróży?

– Mowy nie ma – rzekł zdecydowanie. – Wkładaj kurtkę. Idziemy! – rozkazał.

– Nigdzie z tobą nie pójde! – wrzeszczałam rozpaczliwie. – Nie widzisz, że jestem w piżamie?

– Pójdiesz, pójdiesz – rzekł z przekonaniem, nie przejmując się moją reakcją. – Możesz być w piżamie, tylko włóż coś na siebie.

Zdjął z wieszaka w przedpokoju kurtkę i zaczął się ze mną mocować, bo nie chciałam jej włożyć.

– Ratunku! Pomocy! – zaczęłam krzyczeć rozdzierającym głosem.

Mężczyzna zadzwonił na pogotowie i wkrótce zjawili się w mieszkaniu dwaj potężni sanitariusze.

– Co, znowu ktoś tu wariuje? – spytał jeden z nich.

– Ksiądz ma z nimi krzyż pański.

– Ależ ja jestem całkiem normalna – zaoponowałam.

Sanitariusze wykręcili mi ręce do tyłu i wyprowadzili do karetki. Byłam bezsilna. Zrozpaczona w milczeniu poddałam się okrutnemu losowi. Gdy znaleźliśmy się na miejscu, potulnie wyszłam z karetki i udałam się z sanitariuszami do izby przyjęć.

– Mamy tu jeszcze jedną z tej wspólnoty.

Lekarka o nic mnie nie spytała, tylko zaprowadziła do jednej z sal, gdzie znajdowały się dwa łóżka. Na jednym z nich leżała stara, pomarszczona kobieta. Była zajęta czytaniem Biblii.

Podniosła na mnie wzrok znad opasłego tomu.

– Ma pani wreszcie towarzyszkę, pani Emilio. To jest Pani Celina Kosarewicz – oznajmiła lekarka i wyszła.

Kobieta spojrzała na mnie niechętnie. Bez słowa powróciła do czytania.

Usiadłam na łóżku i rozplakałam się. Wtem otworzyły się drzwi i do sali weszła pielęgniarka.

– Proszę odsłonić pośladek – zwróciła się do mnie – muszę zrobić zastrzyk.

Nie reagowałam, zanosząc się płaczem.

– Niechże mnie pani nie zmusza do przemocy – krzyknęła ze złością siostra. – No, proszę się odwrócić! – rozkazała.

Z wściekłością wbiła mi strzykawkę w pośladek, po czym wyszła. Uspokoiliłam się i położyłam na łóżku.

Znowu nie będę mogła usnąć – pomyślałam z rozpaczą, bo poczułam niesamowite pobudzenie. Nie byłam w stanie uleżeć nawet dziesięciu minut. Musiałam wstać.

Zaczęłam chodzić po pokoju tam i z powrotem.

Moja towarzyszka wpadła we wściekłość:

– No, niechże się pani wreszcie kładzie albo siada! – krzyknęła ze złością. – Nie mogę skupić się na czytaniu.

– A dlaczego pani czyta? – spytałam grzecznie. – Może gdybyśmy porozmawiały, przesłoby mi to chodzenie – rzekłam przymilnie.

– Co? – wrzasnęła kobieta. – Ja studiuje Pismo Święte – oznajmiła wyniośle. – A pani... Wynocha na korytarz! Nie zniosę tego chodzenia po pokoju! – zezłościła się.

Potulnie wyszłam i całą noc spędziłam na wędrowaniu tam i z powrotem po korytarzu. Kilkakrotnie wracałam do pokoju, w którym rozlegało się chrapanie mojej towarzyszki, kładłam się do łóżka, lecz po kilku minutach jakaś niesamowita siła stawiała mnie na nogi i zmuszała do chodzenia. Co jakiś czas zaglądałam do dyżurki i błagałam pielęgniarkę o tabletkę nasenną. Ta jednak była nieustępliwa. Do końca pobytu w szpitalu nigdy – mimo prośb – nie dostałam pastylki, chociaż niemal wszyscy pozostali pacjenci regularnie połykali je przed snem. Nikt nie zamierzał ulżyć mej doli, wręcz przeciwnie – znęcano się nade mną z sadystyczną satysfakcją.

Nazajutrz powtórzono zastrzyk. Nie mogłam znieść tego nerwowego pobudzenia. Jednak nie obchodziło to ani pielęgniarek ani lekarzy, którzy w ogóle się mną nie zajmowali. Dziwiło mnie, że innych chorych tak nie nosi. Umilali sobie czas grą w karty i rozmowami, w których nie brałam udziału... – Celina przerwała na chwilę. – Nie będę cię zanudzała opowiadaniem, co tam przeżyłam, tylko...

– Skądże, to mnie nie nudzi. Wręcz przeciwnie, bardzo ci współczuję – przerwała jej Iza. Odznaczała się wyjątkową empatią. Potrafiła wczuć się w czyjąś sytuację, tak samo jak w rolę postaci, którą odtwarzała na scenie.

– Dość, że po dwóch miesiącach wyszłam ze szpitala z przekonaniem, że nikt mnie niczym nie zatrul, tylko, po prostu, jestem schizofreniczką – ciągnęła Celina. – Nabrałam przekonania, że ci dziwni – w moim dotychczasowym mniemaniu – ludzie byli najnormalniejsi w świecie, tylko to ja jestem nienormalna i pod wpływem psychozy ubzdurałam sobie, że są podejrzani, a wszystkie tajemnicze fakty pochodziły z mojej chorej wyobraźni i stanowiły halucynacje. Po długich rozmyślaniach o chorobie przekonana byłam, że to sprawka szatana, który w ten sposób chciał odciągnąć mnie od przyjaciół, od wspólnoty i w ogóle od Kościoła, od Boga.

Po powrocie do domu zaczęłam od ogromnych zakupów. Następnie zabrałam się do generalnych porządków i prania. Po wielotygodniowym znoszeniu męczącej obecności

straszliwych nieraz typów, nie wspominając o bezduszości pielęgniarek i lekarzy, samotność była rozkoszą. Normalne mieszkanie i normalne łóżko, w odróżnieniu od szpitalnego, stanowiącego jedno z narzędzi tortur, dawały poczucie szczęścia. Przerywałam raz po raz każdą czynność, wstawałam co chwilę z łóżka nocą, by do woli chodzić tam i z powrotem, nie lękając się czujnego oka personelu szpitalnego.

Prawdziwy raj nastąpił po kilku dniach, gdy organizm oczyścił się z leków. Ustało chodzenie. Mogłam teraz siedzieć i leżeć do woli, rozkoszując się tym niebywałym stanem. Wrócił normalny sen w nocy. Postanowiłam zbliżyć się do Kowalów.

Wspaniała, Boża rodzinka – myślałam o nich z rozczuleniem. – To zły duch zniechęcił mnie do nich.

Po tygodniu czułam się jak nowo narodzona. Skierowałam więc kroki do wspólnoty, by podziękować księdzu Antoniemu za wysłanie do szpitala, gdyż wszystko, co zdarzyło się przedtem zrzuciłam na karb diabelskiego opętania.

Wyszedł mi na spotkanie z otwartymi ramionami, kiedy ujrzał przez okno, jak zmierzam w kierunku głównego budynku.

– Szczęść Boże, Celinko, świetnie wyglądasz – rzekł, obejmując mnie serdecznie. – Nie mogliśmy się doczekać twojego powrotu. Wejdz, pójdziemy do kaplicy podziękować Bogu za twoje uzdrowienie.

– Cha, cha, cha – roześmiała się Iza.
– No sama widzisz, że to schizofrenia.
– Nie schizofrenia tylko zatrucie.
– Przecież w szpitalu mnie odtruili.
– Akurat. Oni ci uszkodzili mózg.
– Posłuchaj dalej, a sama zrozumiesz, że jestem chora psychicznie. A więc: postanowiłam wyjaśnić wszelkie wątpliwości. – Przejdźmy się trochę na powietrzu – zaproponowałam księdzu – bo wiesz, jestem ci wdzięczna za to, że skierowałeś mnie do szpitala, ale powiedz, w jaki sposób wszedłeś do mojego mieszkania.

– No, sama mnie wpuściłaś. A co, nie pamiętasz? Widzisz, to schizofrenia – pokiwał głową ze współczuciem.

– Nie, nie, diabeł mnie opętał, żeby zniechęcić do wspólnoty – zaoponowałam. – Byłam przekonana, że masz klucze do mojego mieszkania. Ta psychoza to sprawa szatana – przekonywałam go. – Musisz odprawić egzorcyzmy. Wyobraź sobie, że on przyjął twoją postać, zaprowadził mnie do jednego z tych pięknych domów i tam przeprowadził ze mną dziwną rozmowę.

– Co ty powiesz? – udał zdumienie ksiądz. – Wiesz co? Wszyscy zgromadzimy się i odmówimy modlitwę wstawienniczą o uwolnienie ciebie od złego ducha. Wejdz do kaplicy i poczekaj na nas.

W pustej kaplicy padłam na kolana i zalałam się łzami. Bez słów dziękowałam Bogu za uwolnienie od psychozy, zesłanej na mnie przez szatana. Wkrótce zjawiły się siostry i bracia z gitarami. Rozpoczęły się śpiewy i modły. Ksiądz Antoni odmówił litanie do wszystkich świętych, a następnie kazał mi wystąpić i uklęknąć. Otoczono mnie, kolejno do mnie podchodzono i kładziono mi ręce na głowie, odmawiając biblijną „modlitwę językami”, to znaczy niezrozumiałym bełkotem, każdy innym. Jedna z siostr usiłowała kiedyś nauczyć mnie tego, ale upierałam się, że to jakaś bzdura. Teraz jednak cierpliwie poddałam się tym praktykom, gdyż wierzyłam, że w ten sposób uwolnię się od złego ducha, który wtrącił mnie w otchłań psychozy.

Od tego czasu ściśle związałam się ze wspólnotą i serdecznie zaprzyjaźniłam

z Kowalami, którzy wrócili właśnie z Włoch, dokąd przenieśli się w czasie mojego pobytu w szpitalu. Wstąpili do katolickiej wspólnoty w górskiej miejscowości. Na szczęście nie zdążyli sprzedać domu, ponieważ po miesiącu zjawili się z powrotem jak zmocy.

Akurat rozpakowywali dobytek i na nowo urządzali dom, gdy ich odwiedziłam. Przyjęli mnie z otwartymi ramionami.

– Zaraz nastawię wodę na owocową herbatkę – rzekła Magda, obejmując mnie serdecznie. Kowalowie nie uznawali żadnych używek, do których należała również kawa i czarna herbata.

Wyszła do kuchni, a Arkadiusz usiadł naprzeciw mnie w fotelu i zaczął narzekać na warunki we włoskiej wspólnoty.

– Dostaliśmy stary, zaniedbany, brudny dom, za mały dla naszej rodziny. Ale pogodzilibyśmy się z tym, wysprzątałibyśmy i byłoby dobrze – machnął ręką. – Najgorsze było to, że nie wolno nam było modlić się po polsku. A przecież dopiero co zaczęliśmy się uczyć włoskiego. To był koszmar, nie rozumieliśmy, co do nas mówiono. Dzieci wracały ze szkoły z płaczem.

– Przecież to było do przewidzenia – wtrąciłam. – Dlaczego nie pomyśleliście o tym przed przeprowadzką?

– Magda mnie namówiła. Diabeł nas opętał i zniechęcił do tutejszej wspólnoty. Chcieliśmy jak najszybciej stąd uciec. Wiesz, dopóki pracowałam w szpitalu, a Magda zajmowała się dziećmi, nie wiedzieliśmy, co się tu dzieje. Jednak później oburzyło mnie, że ksiądz Antoni nie odprawia na co dzień żadnych nabożeństw, tylko wówczas, kiedy są goście. No i zauważyłem, że on żyje z siostrą Basią. W końcu jednak, tam we Włoszech, zrozumieliśmy, że nasze podejrzania były niesłuszne. A poza tym on zaczął wreszcie codziennie odprawiać nabożeństwo.

– Wiesz, przeżyłam to samo – zdumiałam się zbieżnością naszych odczuć. – Tak, to było diabelskie opętanie – z przekonaniem pokiwałam głową. – Zły duch chciał odciągnąć nas od tego świętego miejsca.

– Posłuchaj dalej – przerwał mi. – Jeszcze ci nie powiedziałem, co mnie we Włoszech najbardziej zbulwersowało. Wyobraź sobie, że oni podczas modlitwy uzdrowieńczej nie pozwolili mi się modlić, tylko kazali stosować afrykańskie bębny, kołatki i okadzanie. Jak szamani.

– To nic dziwnego – zauważyłam. – Ostatnio wprowadza się te praktyki nawet do szpitali, równoległe z naukowymi metodami – wyjaśniłam. – Oglądałam taki niemiecki film dokumentalny w telewizji, w którym pokazywano takie okadzanie, kołatanie, leczenie ran poprzez kładzenie na nie rąk, pobudzanie wizualizacji rozmnażania zdrowych komórek w organizmie i wypieranie w ten sposób chorych. Polega to na pobudzaniu zdolności samoleczenia, którą ma każdy człowiek.

– Coś podobnego! – zdumiał się lekarz. – Przecież to poganie. Ja wierzę w modlitwę, bo Bóg jest naszym jedynym uzdrowicielem – wznosił oczy ku niebu.

– Najważniejsze, że znowu tu jesteście – ucieszyłam się. – Teraz będziemy wspólnie się modlić. A jeśli ponownie się rozchoruję, mam nadzieję, że już nie będę musiała znosić tych tortur w klinice, bo ty uleczysz mnie nakładaniem rąk i modlitwą.

– Oczywiście! – zapewnił gorliwie. – Wszystko co najgorsze mamy już za sobą. Teraz będziemy tu sobie żyli jak w raj.

Rozdział 21

Oprzytomnienie

Moją wiarę pogłębiły rekolekcje, na które ksiądz Antoni ściągnął przedstawicieli francuskiego domu wspólnoty, mieszczącego się w Lisieux. Patronką tego domu była św. Teresa od Dzieciątka Jezus. Pragnęła ona – według jej słów – być „miłością w sercu Kościoła”, co jego członkowie przejęli jako swoje dziedzictwo. Byli to wyjątkowo urodziwi ludzie. Zawsze podobali mi się Francuzi i Włosi. Jednak Francuzów stawiałam na pierwszym miejscu. Ich włosy i oczy nie były aż tak czarne jak Włochów, ale też ciemne. A przy tym odznaczali się wyjątkowo dobrym smakiem w stylizacji osobowości. Członkinie francuskiej wspólnoty umundurowane były w białe bluzki i długie brązowe spodnie. A mimo to miały oryginalny, atrakcyjny i bardzo zróżnicowany wygląd – począwszy od różnej długości włosów, od długich do pasa, a skończywszy na krótko ostrzyżonych, poprzez skromną srebrną biżuterię aż po bluzeczki, ozdobione koronkami, falbankami, gipiurami. Tylko mężczyźni mieli takie same krzyżyki na piersi oraz jednakowe brązowe spodnie i białe koszule.

Podczas rekolekcji pochłonęła mnie bez reszty *l'histoire d'amour*, jak powiadali członkowie wspólnoty o jej powstaniu i działalności.

– Najczęściej traktujemy życie jak samochód, którego kierownicę staramy się pewnie trzymać – tłumaczył ksiądz stojący na czele wspólnoty – młody, wyjątkowo szczupły i wysoki człowiek – a Bóg jawi się nam jako... natrętny autostopowicz zatrzymujący nas na drodze, pragnący wejść do naszego życia. Są ludzie, którzy wzbraniają mu wstępu. Na tym polega pycha współczesnego świata. Człowiekowi wydaje się, że sam potrafi właściwie pokierować swym życiem. Są jednak tacy, którzy zatrzymują się i wysłuchują autostopowicza. Powodowani dobrym odruchem, zabierają go ze sobą, lecz nakazują, by milczał i nie przeszkadzał im w czasie jazdy. Niektórzy jednak pozwalają mu łaskawie: „Wiesz, jeśli chcesz, możesz mi coś opowiedzieć, bym nie usnął. Nie próbuj jednak skłonić mnie do zmiany trasy. Nie znoszę takich uwag!”. Ale i tacy się trafiają, którzy wręczają autostopowiczowi mapę ze słowami: „Możesz mnie pilotować, lecz tylko wówczas, gdy cię o to poproszę”.

My zaś zwracamy się do Niego z pełnym zaufaniem: „Proszę Cię, Panie, siadaj za kierownicą i prowadź!” – mówił z emfazą, z rozpalonym wzrokiem. – Obojętnie, czy jeździecie autem, czy też chodzicie pieszo, Duch Święty zebrze, abyście pozwolili Mu się prowadzić. Czeka na wasze słowa: „Ty, Panie, prowadź! Ty jesteś moim przewodnikiem, mym Królem i Panem mego życia. Nie chcę być niewolnikiem złych nawyków, ograniczeń i uzależnień. Pragnę być Twoim dzieckiem”.

Nie szukajcie tego, co wspaniałe, nadzwyczajne. – Twarz kapłana promieniała szczęściem. – Starajcie się w życiu odkryć jego miłość, w takim, jakie ono jest na co dzień. Właśnie tam go spotkacie. On nigdy się nam nie narzuca i nie wymaga od nas czegoś nadzwyczajnego. Jest tym, który był, jest i będzie. Jest nam dany w każdym momencie naszego życia... Jest tchnieniem życia... Żyjmy zatem chwilą obecną, rozkoszując się jego obecnością. Nie rozpamiętujemy przeszłości, nie wybiegamy w przyszłość, gdyż „dość ma dzień swojej troski”. Oddajmy swe życie w jego ręce. Pozwólmy mu troszczyć się o nas. Uczyni to o wiele

lepiej niż my, gdyż tylko nasze dobro ma na względzie. Po co cierpieć z powodu lęku przed wydarzeniami, które najprawdopodobniej w ogóle się nie zdarzą?

Takim samym szczęściem promieniały twarze innych członków wspólnoty. Michel wstąpił do niej przed osiemnastu laty wraz z wyjątkowo urodziwą żoną i dwojgiem dzieci. Trudna to była decyzja, gdyż skończył właśnie budowę domu. Żał im było z dnia na dzień pożegnać się z dorobkiem całego życia. A jednak to uczynili. Odczuli to jako wewnętrzny przymus. Być może dlatego, że on przyjaźnił się od młodych lat z założycielem wspólnoty. Działał aktywnie wraz z nim i grupą innych kolegów w Kościele protestanckim. Wszyscy oni wstąpili do wspólnoty, radykalnie zrywając z dotychczasowym życiem.

Inny uczestnik rekolekcji, korpulentny brunet Jerome, zaczął swą opowieść od stwierdzenia, że zawsze miał szczęście. Spełniały się wszystkie jego marzenia. Pochodził z bardzo religijnej rodziny. Od dziecka modlił się o wszystko i Bóg zawsze go wysłuchiwał. Po ukończeniu studiów dostał doskonale płatną posadę, z biegiem czasu awansował, zaczął obrastać we wszelkie materialne dobra. Coraz częściej jednak dręczyło go uczucie wewnętrznej pustki. Ogarnęło go w końcu pragnienie, by oddać to wszystko Bogu. Nie chciał już brać, nie dając niczego w zamian. Zrozumiał, że pragnął właściwie nie tego, o co prosił. Ziszczanie tych przyziemnych pragnień uświadomiło mu, iż po prostu... chciał przebywać z Bogiem, zjednoczyć się z Nim, a tego nie mogły mu zagwarantować sukcesy zawodowe ani dobra materialne. Przeważnie wstąpił do wspólnoty, gdzie znalazł to, o czym marzył.

Stephanie też pochodziła z religijnej rodziny. Była śliczną młodziutką panienką. Jednak w odróżnieniu od Jerome'a była nieszczęśliwa. Nie umiała kochać, choć bardzo tego pragnęła. Nie znosiła okazywania jej uczuć, gdyż nie potrafiła ich odwzajemnić. Czuliła się fatalnie, zarówno w rodzinie, jak i wśród obcych. Wstąpiła do wspólnoty, ale i tutaj było jej źle.

Podczas pewnego szabatu ogarnął ją tak wielki żal, że poczuła fizyczny wręcz ból w piersi. Pragnąc uwolnić się od niego, zaczęła tańczyć wraz z innymi dziewczynami żydowskie tańce. Tańczyła zapamiętałe, by zagłuszyć, stłumić owo dręczące uczucie... I udało się. Nastąpił cud. Poczuliła, jak z wolna zaczyna ją obejmować krąg nieznanego jej dotąd ciepła, które stopniowo rozpalalo jej zimne serce. Było to tak wspaniałe, tak oszałamiająco radosne, że bała się przestać tańczyć, by nie stracić tego cudownego uczucia. Wraz z nią tańczyły także inne dziewczyny, ciesząc się przemianą malującą się na jej twarzy. I tak oto wzniecona żywiołowym tańcem iskierka rozpalila ogień miłości, który już nigdy nie wygasł.

– To wszystko jest bardzo naciągane – wtrąciła Iza.

– Ale ja słuchałam z zapartym tchem ich świadectw. Muszę ci jeszcze jedno opowiedzieć, bo zrobiło na mnie duże wrażenie.

Taką samą pasją w tańcu jak Stephanie odznaczała się Weronika, subtelna blondyneczka, lecz jakże inny był to taniec. Ona tańczyła w dyskotecie. Udała się do wielkiego miasta na studia nie po to, żeby się uczyć, ale by uciec z domu, gdzie działy się rzeczy, z którymi nie mogła się pogodzić i z powodu których bardzo cierpiała. W tańcu, alkoholu i narkotykach usiłowała utopić frustrację.

Pewnego razu po powrocie z dyskoteki dopadł ją zniecka atak paniki. Sparaliżował lęk przed samotną śmiercią w pustym pokoju. Wyszła więc na zewnątrz i usiadła na schodach, myśląc: „Tu mnie ktoś prędzej znajdzie”. Związując się w paroksyzmie strachu, zaczęła rozpamiętywać swoje nieudane życie. Obezwładniająca ją panika stopniowo ustępowała, a wraz z ulgą przemknęła przez głowę myśl: „A jednak Bóg istnieje. To on uwolnił mnie od dręczącego zwątpieniem szatana”. Doszła do wniosku, że tylko Bóg może uwolnić ją od rozpacz. Zapragnęła zbliżyć się do Niego. Zaczęła chodzić po kościołach, unikając dotychczasowego towarzystwa i dyskotek. Zmieniła się nie do poznania. Przestała się malować, zaczęła skromnie

ubierać i co dzień przystępowała do komunii. Jeden z kolegów zauważył sarkastycznie, że wygląda teraz jak mysz, która dopiero co wyszła spod ziemi.

Pozostało jej jednak zamiłowanie do tańca, tęskniła za nim. Postanowiła więc znów zajrzeć do dyskoteki. Lecz gdy się tam znalazła, powrócił smutek i niezadowolenie z życia. Usiadła samotnie w kącie, a serce jej ścisnął ból. Chciało się jej raczej płakać, niż tańczyć. Zrozumiała, że nie jest to taniec, którego pragnęła. Znalazła go w życiu konsekrowanym, we Wspólnocie Ducha Miłości.

– Weź swe serce, połóż je na dłoni i przypatrz się mu – mówiła siostra Weronika drżącym z poruszenia głosem. – Pozwól mu przemówić. Wówczas usłyszysz łamiący się głos: „Nie wiem, jak zaspokoić dojmujące pragnienie bycia kimś doskonałym, wyjątkowym, znakomitym, silnym, nie do pokonania, nie do zranienia, kiedy... jest to niemożliwe, gdy jest się przeciętnym, słabym, zranionym i zalęknionym. Jakież psychoterapeuta potrafi ukoić to biedne, rozdygotane serce? Wpatrujcie się w nie i słuchajcie jego głosu, by uświadomić sobie wszystkie tkwiące w nim ciernie, wszystkie wady, upadki, zranienia, zniewagi, sytuacje, których się boicie. I uczynicie z niego miejsce spotkania z Jezusem – mówiła z zapalem. – On nigdy nie osądza, nie potępia, nie wydaje wyroku. Zadaje nam tylko jedno pytanie: „Czy mnie kochasz?”. Tak po trzykroć zapytał Piotra po jego trzykrotnym zaparciu się. Pozwólcie mu działać, pozwólcie mu objąć się miłosierdziem, a on uleczy wasze chore serce, czyniąc je zdolnym do wybaczenia krzywd i zranień, napędzając je swą Bożą mocą”.

Słowa te zapadły mi głęboko w świadomość. Zrozumiałam, że tylko ta droga mi pozostała. Postanowiłam przyjąć Chrystusa całym sercem i oddać w Jego ręce swe życie. Nie chciałam już być „panią własnego losu”.

Zdawałam sobie jednak sprawę, że to nie takie proste. By wkroczyć na tę drogę, trzeba było spełnić pewien warunek. Mówił o nim założyciel wspólnoty, który komponował przepiękne pieśni do słów wierszy świętej Tereski z Lisieux. Ulubionym jego rytmem, podobnie jak wielu wybitnych kompozytorów, Chopina czy Brahmsa, był walc – taniec, którym jego zdaniem należało zdążyć do Boga w doczesnej wędrówce. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie subtelny charakter owego walca, wynikający z faktu trzymania na rękach Dzieciątka Jezus. Ileż uwagi, starań i wysiłków, a zwłaszcza łagodności, czułości, oddania wymaga nasza miłość do Niego! Jakże mocno musimy się starać, jak bardzo uważać, by go nie upuścić, tańcząc naszego życiowego walca, by nie wypadło z naszych rąk, aby... nie stracić go na zawsze! Wszak Bóg oddał się w nasze ręce jako bezbronne dziecko.

Iza jej nie przerywała, tylko kręciła głową. – Ty musiałaś być wciąż jeszcze pod wpływem psychotropowych leków, które zrobiły ci wodę z mózgu – odezwała się w końcu.

Celina zignorowała jej uwagę i ciągnęła dalej. – Po rekolekcjach postanowiłam wstąpić do wspólnoty i całe życie spędzić w tej wiosce.

– Rany Boskie. Zapomniałaś, co ci opowiedziało o wspólnotcie to małżeństwo?

– Nie chciałam ich znać. Przekonana byłam, że są opętani przez szatana. Wracając do mojej decyzji: ksiądz Antoni zgodził się na to. Na razie jednak miałam przez dwa lata przechodzić próbę, pozostając w swoim mieszkaniu. Z entuzjazmem zabrałam się do zmiany jego wystroju. Przede wszystkim wyrzuciłam wszystkie obrazy i zastąpiłam je religijnymi. Nad drzwiami powiesiłam krzyż. Naczelne miejsce zajął teraz ołtarzyk, a raczej ołtarz, gdyż była to kolekcja świętych obrazów i figur, zgromadzonych na specjalnym stoliku. Przed nimi znajdowały się dwie świece, które zapalałam podczas modlitwy. Chodziłam na spotkania do Kowalów, podczas których śpiewaliśmy pieśni religijne i odmawiali różaniec.

Jednak kiedyś przeżyłam coś dziwnego. Klęczałam przed ołtarzem opustoszałej kaplicy. Modliłam się żarliwie, prosząc Boga, by uwolnił mnie od wszelkich innych pragnień poza chęcią

służenia jemu. Oddawałam mu po kolei wszystkie swoje ziemskie plany, marzenia i uczucia, wyrzekając się ich w celu całkowitego oczyszczenia i opróżnienia duszy, by napęlić ją wyłącznie jego obecnością.

„A teraz nadajesz się już tylko do wyrzucenia na śmietnik jak stara, zniszczona kukła, wypełniona trocinami modłów w miejsce nieśmiertelnej duszy, którą cię Bóg obdarzył, a którą wzgardziłaś, pragnąc się jej pozbyć. Pozostań taką, jaką cię Pan Bóg stworzył, razem z pragnieniami twojego serca!” – usłyszałam w myśli głos nabrzmiały wyrzutem.

Ciałem mym wstrząsnął dreszcz. Przypomniały mi się różne doznania, intensywność doświadczanych wówczas uczuć i wrażeń. Nie potrafiłam zrozumieć, jak mogłam o nich zapomnieć, jak mogłam pragnąć zbliżyć się do Boga drogą wyrzucenia ich z duszy. Wszak właśnie one mnie z nim łączyły. Poczułam rozdzierającą tęsknotę za życiem wśród normalnych ludzi, wśród przyjaciół i znajomych. Ogarnęła mnie rozpacz z powodu braku kontaktu z nimi.

Moje religijne uniesienie przysło jak mydlana bańka. Oprzyt omniałam. Wszyscy ci ludzie, wśród których teraz przebywałam, stali mi się obcy. Nie zaspokajali moich intelektualnych i emocjonalnych potrzeb. Zaczęłam chodzić na spacer do drugiej, pobliskiej wsi, bo pragnęłam samotności. Moimi powiernicami stały się pasące się tam na łące owce. Obejmowałam je kolejno czule i wyplakiwałam się na ich piersiach. Otwierałam przed nimi serce, szepcząc im do uszu. Zwierzałam się im i użalałam na swój los. Wciąż jeszcze oddalałam uparcie powracające podejrzenie, że to wszystko, co uznałam za wywołaną przez szatana psychozę, zdarzyło się naprawdę, że zostałam zatruta przez księdza Antoniego, którego zachowanie wzbudzało we mnie coraz większe wątpliwości. Fatalnie czułam się we wspólnocie i w tej zapadłej wsi.

W domu słuchałam „Pasji według św. Mateusza” Bacha, na zmianę z „Requiem” Mozarta, i wrzuszałam się do łez męką Chrystusa. Jednak utwory religijne nie wystarczały mi. Zachwycały wprawdzie swym pięknem, ale wzbudzały smutek i żal. Najgorsze, że nie mogłam pocieszyć się muzyką operową, gdyż zlikwidowałam swoją kolekcję płyt. Pozostawiłam tylko utwory religijne.

Często skarżyłam się przed Bogiem.

– Jak mogłeś mnie tak skrzywdzić? – wyrzucałam mu. – Przecież cierpię bardziej od Chrystusa. Przy nim stały trzy Marie i Jan, a mnie powiesili na krzyżu osamotnioną, a teraz zjadają po kawałku moje ciało. Nic już ze mnie nie pozostało. Wylądowałam wśród prymitywnych oszołomów, jestem odizolowana od normalnego społeczeństwa, przegrana, strącona na dno rozpacz.

Najgorsze, że do wspólnoty zaczęli przyjeżdżać też Niemcy. Unikałam ich, bo przypominali mi towarzystwo Ludmiły. Nie podobało mi się, że ksiądz Antoni ze względu na nich coraz częściej prowadził nabożeństwa w języku niemieckim. Tymczasem on zauważył moją izolację. Obawiał się, że ptaszek może wyfrunąć z klatki. Dlatego zaczął mnie namawiać, bym ze względu na psychiczną chorobę zgodziła się na ubezwłasnowolnienie i wyznaczyła go na opiekuna. Dopiero wówczas w moim zaczadzoną modłami umyśle odezwał się głośny dzwonek alarmowy. Zaczęłam analizować wspomnienia sprzed nieszczęsnej wizyty w Warszawie. Uzyskałam niezbita pewność, że moje podejrzenia nie były urojeniami. Postanowiłam pojechać do Warszawy i tam poszukać jakiegoś zatrudnienia. Pomyślałam, że w tym ogromnym mieście nie znajdą mnie moi prześladowcy. Tym razem jednak chciałam to uczynić pod pretekstem, że jadę tylko w odwiedziny do Krakowa. Obawiałam się, że ksiądz Antoni uniemożliwi mi powrót do normalnego życia. Wreszcie dotarło do mnie, że nie jestem opętana przez szatana, tylko przez tego zbrodniczego klechę, który wysługuje się tej jakiejś niemieckiej szpiegowskiej siatce znajomych Ludmiły...

– Wreszcie oprzytomniałaś – ucieszyła się Iza.

– Wiesz, postanowiłam odwiedzić redakcyjną koleżankę w Krakowie – oznajmiłam pewnego dnia, księdzu Antoniemu, patrząc mu badawczo w oczy, ciekawa jego reakcji.

Pokręcił głową z dezaprobatą.

– Chcesz się znowu rozchorować? – spytał z udanym zatroskaniem. – Wiesz co? Myślę, że będę musiał cię jutro zawieźć do szpitala psychiatrycznego – zagroził mi.

– Ale po co? – zaoponowałam przerażona. – Jeżeli naprawdę boisz się, że znowu mam psychozę, lepiej odmówcie nade mną z Arkadiuszem modlitwę wstawienniczą. On przecież jest obdarzony charyzmatem uzdrawiania. To mi lepiej pomoże – zakpiłam.

– Dobrze – odpowiedział poważnie, nie wyczuwając ironii. Był przekonany, że wciąż jestem odurzona modłami. – Ale jeśli to nie pomoże i dalej będziesz chciała jechać do rodziców, zawiozę cię do lekarza i...

– On skieruje mnie do szpitala, tak? – przerwałam mu ze złością. – Przecież ty masz takie stosunki z tutejszym pogotowiem, że i bez tego mogą mnie zabrać, tak jak ostatnio!

– Uspokój się – rzekł łagodnie. – Tym razem jeszcze nie wariujesz. Nikt nie będzie zawoził cię do szpitala. Chciałem tylko, żebyś profilaktycznie coś zażywała. Wiesz, nigdy nie wiadomo, kiedy szatan zaatakuje. Ale może masz rację. Pomodlimy się nad tobą i przejdzie ci chęć wyjazdu.

– Nie, nie, żadna modlitwa nie jest mi potrzebna – rzekłam zdecydowanie – czuję się doskonale. Chyba wiem lepiej, czy jestem chora. Chcę tylko odwiedzić redakcyjną koleżankę w Krakowie. Nie możesz mi tego zabronić. Nie jestem ubezwłasnowolniona.

W tym samym dniu poszłam do Kowalów. Zastałam ich w grobowym nastroju. Magda miała oczy czerwone od płaczu.

– Wyobraź sobie, że Edytka uciekła z domu – oznajmiła rozpaczliwym tonem. – Już od pewnego czasu nosiła się z zamiarem przeniesienia się do Krakowa i zamieszkania tam z gimnazjalną koleżanką, ale nie chcieliśmy się na to zgodzić. Groziliśmy, że wyrzekniemy się jej i nigdy nas już nie zobaczy... No i w końcu uciekła. Zostawiła list, w którym pisze, że nie chce mieć z nami nic wspólnego, że nie jest w stanie dłużej znosić tych wiecznych modłów, że chce żyć wśród normalnych ludzi. – Zniosła się płaczem. – Nie zostawiła żadnego adresu. Nie odpowiada na nasze telefony.

– Przestań się mazać! – zdenerwował się Michał. – Niech sobie robi, co chce. Jest dorosła. Nie zamierzam się nią przejmować – wrzucił ramionami. – Baba z wozu, koniom lżej.

– Jak możesz tak mówić? – obruszyłam się. – Przecież to twoja córka.

– Nic się nie stało. – Wrzucił ramionami lekceważąco. – Co ona miała w tej wsi do szukania? Tam pójdzie do pracy albo na studia i dorobi sobie jako kelnerka. Zresztą, może dostać stypendium. Po jakimś czasie zadzwoni do nas. Jestem tego pewien. Przecież ona nas wszystkich kocha. Nie wytrzyma zbyt długo bez kontaktu z nami. Tylko żałuję, żeśmy ją zatrzymywali, ale to wina Magdy. Ja byłbym się od razu zgodził.

– Przecież chodziło mi tylko o to, żeby tutaj zdała maturę. Ona jeszcze jest za młoda na samodzielne życie – chlipała Magda.

– A co, tam nie może zdać matury? – złościł się Michał.

– Nie boisz się, że wpadnie w złe towarzystwo? – zaniepokoiłam się. – Widziałam w kawiarni na dworcu w Krakowie, jak zaćpana dziewczyna spadła z krzesła.

– Edytka jest na to odporna – stwierdził z pełnym przekonaniem.

Spytałam go, czy mógłby mnie podwieźć na pociąg do Warszawy, bo nie chcę już dłużej tutaj mieszkać.

– Rozumiem cię – pokiwał głową. – Tutaj jesteśmy odcięci od wszelkich kontaktów z zewnętrznym światem. Nawet nasze mózgi są zablokowane. Coś mi się wydaje, że ta cała

wioska jest opanowana przez Niemców.

On również oprzytomniał? – Zdębiałam.

– Oczywiście – powiedziałam po chwili. – Ten skurwiel Antoni, niegodny miana księdza, sprzedał się im i donosi na Polaków przyjeżdżających do wspólnoty nie tylko z całego kraju, ale i z zagranicy. On jest przeciwny mojemu wyjazdowi, więc proszę cię o dyskrecję.

– Oczywiście, że cię podwiozę – zapewnił. – Jedź. My z Magdą też zastanawiamy się nad powrotem do normalnego życia. Ona mogłaby uczyć w szkole, ja otworzyłbym własną praktykę. Zrozumieliśmy, że ksiądz Antoni zrobił nam wodę z mózgu. Wmówił mi, że mam charyzmat uzdrawiania. Straciłem przez niego pracę, a on na tym skorzystał. Przecież tu ściągają tłumy na te nabożeństwa. Nie tylko Polacy, ale i Niemcy.

– No i co? Wyrwałaś się wreszcie stamtąd? – spytała zniecierpliwiona Iza.

– Ta kanalia tak mnie zatrula, że ledwo udało mi się przy pomocy Arkadiusza dotrzeć do psychiatry do Krakowa. Dał mi zastrzyk, po którym poczułam się lepiej, po czym wezwał karetkę, która mnie tu przywiozła.

– Niesamowita historia – pokręciła głową z niedowierzaniem Iza. – Porozmawiamy jeszcze. Teraz idę już spać – ziewnęła.

– Poczekaj jeszcze chwilę. Okłamałam cię. Przepraszam. Powiem ci prawdę. Miałam halucynacje, ale to minęło. Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie jestem psychicznie chora. Po zastrzyku zaaplikowanym mi przez psychiatrę od razu dobrze się poczułam. Sama go poprosiłam o skierowanie do kliniki.

– Sama go poprosiłaś? Dlaczego? – Zdumiona Iza podniosła się z pościeli, wytrzeszczając oczy na Celinę.

– Przecież to jest... koszmarne miejsce.

– Mam pewien plan. Po przemyśleniu tej ucieczki do Warszawy, zrozumiałam, że szansa zainstalowania się tam i znalezienia jakiejś pracy nie wygląda zbyt różowo. Zostało mi wprawdzie jeszcze coś niecoś z oszczędności, ale to wystarczyłoby najwyżej na wynajęcie mieszkania i kaucję. A z czego miałabym żyć, zanim udałoby mi się znaleźć jakieś zatrudnienie? Postanowiłam symulować schizofrenię, żeby uzyskać rentę psychiatryczną. Po tym, co przeżyłam, nie będzie to zbyt trudne. Wiem, jak się zachowywać i co mówić. Ta renta stanowiłaby jakieś nikłe zabezpieczenie środków do życia do czasu wydania pierwszej powieści. Nie chcę być dziennikarką. Mam już dość polityki. Będę pisać romanse, oczywiście pod pseudonimem, na wszelki wypadek, żeby mnie tam nie znaleźli ci Niemcy.

– Bardzo dobrze to wymyśliłaś – rzekła z uznaniem Iza. – Uda ci się, jestem tego pewna. Ale teraz idź już pod prysznic. Najwyższy czas.

Rozdział 22

Przyływ fali namiętności

Ordynatorka Oddziału Otwartego, w odróżnieniu od „baby Jagi”, była sympatyczną i empatyczną starszą damą, jaskrawo wymalowaną, z polakierowanymi na czerwono długimi paznokciami, z misternie uformowanym ogromnym kokiem z ufarbowanych na czarno włosów. Iza zastanawiała się, jak wiele czasu musi jej zajmować codzienne robienie takiej fryzury. W końcu doszła do wniosku, że to musi być dopinka.

Pani docent przychylnie ustosunkowała się do wysiłków Roberta w celu uzyskania zwolnienia Izy ze szpitala. Zleciła psychologowi poddanie jej sprawdzianowi nazywanemu przez pacjentów „testem idiotów”. Mało kto wychodził z niego zwycięsko. Jedynie ci, którzy byli całkowicie psychicznie zdrowi. Tymczasem dla śpiewaczki okazał się dziecinnie łatwy. Lekarka stwierdziła, że chora jest zupełnie wyleczona. Napisała raport, że śpiewaczka nie jest już groźna dla otoczenia.

Po załatwieniu formalności Iza znalazła się w swoim domu, w objęciach matki. Po długotrwałym znoszeniu męczącej obecności straszliwych furiatek, nie wspominając o bezdusznosci pielęgniarek i babie jadze (na oddziale otwartym przebywała jedynie przez cztery dni) towarzystwo kochającej matki stanowiło dla niej błogosławieństwo. Rozkoszowała się ciepłem domowych pieleszy. Po przebywaniu w obskurnych salach otoczenie antycznych mebli i dzieł sztuki oraz normalne łóżko, w odróżnieniu od szpitalnego, stanowiącego jedno z narzędzi tortur, dawały poczucie szczęścia. Wspólne z matką zajmowanie się gospodarstwem, wspólne spacerowanie i chodzenie do kościoła miały tak zbawienny wpływ na jej rozregulowany system nerwowy, że nie myślała o swej tragicznej sytuacji. Nie przejmowała się zbytnio tym, że wszyscy ją opuścili. Telefon milczał, nikt nie przysyłał kwiatów. Czuli się znakomicie, nie zażywała tabletek. Wprawdzie lekarka nakazała jej, by natychmiast po wyjściu ze szpitala udała się do swego psychiatry, jednak Iza nie uczyniła tego. Odczuwała wstyd wobec Roberta. Zdawała sobie sprawę, że powinna podziękować mu za jego starania, lecz nie potrafiła się na to zdobyć.

– Mamusiu, zlikwiduj swoje mieszkanie i przenieś się do mnie – zwróciła się do matki podczas pewnego spaceru w lesie.

– A jak ci się odmieni i wyrzucisz mnie z domu, to dokąd ja pójdę? – oponowała starsza pani.

– Nie, nigdy więcej nie wyrządę ci już najmniejszej przykrości – zapewniła gorliwie. – Tylko ciebie mam na tym świecie. Jakże bym mogła wyrzucić cię z domu?

– Wciąż jeszcze stać cię na utrzymanie takiej dużej willi? Może byś ją sprzedała i kupiła dla nas mieszkanie? – zaproponowała starsza pani. – Bo chyba już nie będziesz śpiewała? Co? Jak myślisz?

– Chyba nie – odpowiedziała ze smutkiem. – Ale moje nagrania wciąż świetnie się sprzedają. Mam jeszcze dość pieniędzy. Pomyślmy o tym, jak się skończą, bo jestem niezwykle przywiązana do tego domu.

– Ja jednak myślę, że teraz, jak jesteś wyleczona, mogłabyś spróbować znowu śpiewać – wyraziła nadzieję matka.

– Nie, mamusi, ale mam inny pomysł. – Iza poweselała. – Podpowiedziała mi go jedna pani w szpitalu.

Założę prywatne studium wokalne.

– Świetny pomysł. Z twoją sławą, doświadczeniem i znajomościami nie będziesz mogła opędzić się od uczniów.

– Na razie muszę nacieszyć się wolnością, ale za jakiś czas pomyślę o tym.

*

Pewnego wieczoru, bez telefonicznego uprzedzenia, zjawił się u niej Robert. Stał w drzwiach jak wyrzut sumienia. W ręku trzymał bukiet jej ulubionych szkarłatnych róż. Uśmiechał się do niej serdecznie.

– Nie przysłała góra do Mahometa, to Mahomet przyszedł do góry – rzekł na powitanie. – Jak się czujesz?

– Znakomicie – odpowiedziała zażenowana. – Dziękuję za róże... Wejdz.

Poczuła zakłopotanie, ogarnęła ją fala gorąca, serce podeszło jej do gardła, płonęły policzki. Myśli goniły w kółko niczym wagoniki w diabelskim młynie. „O Boże, po co on przyszedł? Co teraz ze mną będzie? Znowu mnie będzie kusił ten przekłety Mefisto...”.

– Napijesz się czegoś? – spytała, by ukryć zdenerwowanie.

– Chętnie. Kawy.

– I z pewnością zjesz kawałek wiedeńskiego sernika upieczonego przez mamę.

– Jak najbardziej.

Zostawiła go samego w salonie. Wyszła do kuchni, by zaparzyć kawę. Nogi ugiwały się pod nią. Ręce trzęsły się tak bardzo, że niemal nie upuściła kryształowy wazon, wlewając do niego wodę. Nie mogła ochłonąć z wrażenia. Przyszedł! A myślała, że nigdy już go nie zobaczy. Nie chciała go więcej widzieć. Stłumiła w sobie to grzeszne, rozpalone przez diabła uczucie. Wymazała go ze swej pamięci i wyrzuciła z serca. Dumna była z siebie, że się jej to udało.

Wtem pojawił się przed nią Mefisto w swojej operowej postaci, w czerwonej pelerynie. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz przerażenia.

– Odejdź – wyszeptała.

– Przecież wezwałeś mnie przed chwilą – rzekł z satanicznym uśmiechem. – Skorzystaj z okazji. Zrób to, zanim matka wróci z nieszporów.

Na moment ogarnęła ją ciemność. Gdy oprzytomniała, wlała do dzbanka zaparzoną już kawę.

Boże jedyny, myślała. Przecież ja go nieprzytomnie kocham. Zawsze go kochałam. Ale był nieosiągalny... I dalej go kocham. Nie jestem w stanie już dłużej okłamywać się, że to była tylko chwilowa słabość pod wpływem szatańskiej pokusy.

Wielce podekscytowana wróciła do salonu. Czowała pełen pożądania zawrót głowy.

– Stęskniłem się za tobą. Pięknie wyglądasz – rzekł mężczyzna z uwodzicielskim uśmiechem.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. „Czyżby on też...”

Postawiła tacę na stoliku i usiadła obok niego na sofie. Tak blisko, że poczuła zapach jego wody po goleniu. Była niesamowicie podniecona. Położyła dłoń na jego udzie, a on objął ją i zaczęli się namiętnie całować. Zalała ich fala namiętności, której dali się unieść.

– Matki nie ma w domu – wyszeptała. – Chodź! – Wstała i pociągnęła go do sypialni. Rzucili się na siebie, rozbierając się nawzajem. Odchodziła od zmysłów z rokoszy, gdy

ją pieścił.

– Mój cudzie! – mówił wzruszony. – Nie mogę o tobie zapomnieć. Tęsknię za tobą nieprzytomnie. Śniesz mi się po nocach. Kocham cię. Zawsze cię kochałem. Przez tyle lat tłumiłem to uczucie. Nie mogę już dłużej z nim walczyć.

Rozdział 23

Toksyczna miłość

Siedzieli z dala od pielgrzymkowych tłumów, w zacisznym miejscu, pod rozłożystą palmą. Jego anioł stróż, Giovanni, patrzył mu badawczo w oczy.

– Opowiedz mi, jak to się stało, że znowu zacząłeś pić – powiedział łagodnym tonem. – Przecież byłeś już zupełnie wyleczony.

Cezary zwiesił głowę i milczał. Nie potrafił znaleźć słów, by spokojnie o tym mówić.

– Jeśli nic mi nie opowiesz, nie będę mógł ci pomóc. – Giovanni rozłożył bezradnie ręce. – Proszę, powiedz szczerze, co się stało. Bo musiało zdarzyć się coś niezwykłego. Jestem o tym przekonany.

– Zakochałem się – bąknął pod nosem mężczyzna.

– Z tego powodu nie załamałbyś się. To niemożliwe – rzekł zdecydowanie. – Chyba że to była jakaś... chora miłość.

Cezary podniósł głowę i spojrzał pytająco opiekunowi w oczy.

– Chora?

Giovanni nie odpowiedział. Zatrzymał jego spojrzenie, jakby chciał odczytać jego myśli i milczał wyczekująco.

– Nie rozumiem, dlaczego miałyby być chora – zaczął wreszcie jego podopieczny. – Była... szalona. To prawda. Ona jest świetną śpiewaczką operową, moim ideałem. Nie śmiałem marzyć, że mógłbym ją poznać osobiście. Możesz więc sobie wyobrazić, co się ze mną działo, kiedy spotkałem ją tu, w Medziugorje, a ona przyjęła moje zaproszenie do kawiarni. Zdawało mi się, że śnię. Pod koniec pobytu zaproponowała mi, żebym z nią zamieszkał w jej domu w Krakowie... I tak to się zaczęło.

– A jak długo trwało?

– Trzy miesiące.

– Przepędziła cię, jak zacząłeś pić?

– Nie, nie, skądże. Ona mnie kocha. Sam zdecydowałem, że muszę tu wrócić, żeby się ostatecznie wyleczyć.

Wrócę do niej.

– Nie możesz do niej wrócić – rzekł stanowczo Giovanni. – Wybij to sobie z głowy, jeśli chcesz wyjść z nałogu. Opowiedz mi dokładnie, jak doszło do tego, że zacząłeś znowu pić.

– Ona chciała, żebyśmy razem śpiewali, a ja... No, nie umiem już śpiewać – rzekł zrezygnowanym tonem.

– Co ty opowiadasz? Tak pięknie u nas śpiewałeś, nagrałeś wspaniałą płytę. I dalej będziesz śpiewać. Ale nie w operze.

– Te cholerne nerwy. Wiesz przecież, że zacząłem pić, żeby opanować tremę. Tak samo było przed każdą próbą z Izą. Musiałem dodać sobie odwagi. W końcu zacząłem się regularnie upijać. Od rana do wieczora.

– Jeśli chcesz uwolnić się od nałogu, to musisz skończyć z tym, co go spowodowało. To była chora, toksyczna miłość, skoro znowu zacząłeś pić...

– Ale ja nie mogę bez niej żyć – przerwał mu Cezary. – Nie zamierzasz chyba powiedzieć... – Spojrzał przerażonym wzrokiem Giovanniemu w oczy. – Nie jesteś w stanie wybić mi jej z głowy. Muszę do niej wrócić.

Tęsknię za nią.

Giovanni pokiwał ze smutkiem głową.

– Przestałeś się modlić, co? – spytał. – Nie odmawiasz różańca?

Cezary skinął głową.

– Do niej się modliłem.

– Tak przypuszczałem. Oddaliłeś się od Boga. Ona zajęła w twoim sercu Jego miejsce. Musisz wrócić do Niego, bo przecież wiesz, że tylko On może uwolnić cię od nałogu... Będzie dobrze. Wrócisz do codziennej dyscypliny, do zajęć i zapomnisz o niej.

– Chciałbym do niej zatelefonować.

– Zabraniam ci. Zadzwoń, jak będziesz wyleczony... Możliwe, że wtedy już nie będziesz miał na to ochoty.

Cezary nic nie powiedział, tylko znowu zwiesił głowę. – No idziemy – rzekł Giovanni – pora na nieszpory.

*

W trybach wspólnotowej dyscypliny nieszczęsny kochanek nie miał czasu myśleć o ukochanej. Wraz z upływem czasu jej postać stopniowo zacierała się w jego wyobraźni, po roku znikła zupełnie. Tak samo było z alkoholem, nie przychodziło mu nawet do głowy, że miałby ochotę się napić. Nie miał śladu tremy, gdy śpiewał podczas nabożeństw. Czuł się znakomicie. Odpowiadał mu taki tryb życia. Po całodziennym krzątaniu i wysiłku, po wieczornej modlitwie usypiał snem sprawiedliwych, Iza nie pojawiała się nawet w jego snach.

Pewnego razu Giovanni spytał go, czy zna Wspólnotę Błogosławieństw.

– Nigdy o niej nie słyszałem – odpowiedział.

– To niemożliwie. Niedaleko stąd znajduje się jeden z ich domów. Moglibyśmy kiedyś wybrać się do nich, bo wiesz... Nie ma sensu być u nas dłużej siedział, jesteś wyleczony. Nie masz tu już nic do szukania. Na twoje miejsce czeka już wielu innych. Jednak okazało się, że nie jesteś w stanie żyć samodzielnie. Przecież do tej śpiewaczki nie zamierzasz już chyba powrócić?

– No nie – odpowiedział zdecydowanie. – To nie miałyby sensu... Tylko... nie wiem, co ze sobą zrobić po odejściu z naszej wspólnoty. Najchętniej zostałbym tu do końca życia.

– Giovanni poklepał go po plecach.

– To niemożliwe. Ale rozumiem doskonale, że nie byłbyś już w stanie powrócić do normalnego życia. Znowu mógłbyś zacząć pić. Nie dałbyś sobie rady. To pewne.

– To co ja teraz pocznę?

– Nie martw się. Pomyślałem o twojej przyszłości. Doszedłem do wniosku, że doskonale czułbyś się właśnie w jakimś domu Wspólnoty Błogosławieństw. Niestety, nie mają żadnego domu w Polsce, ale we Włoszech kilka, a ty świetnie znasz włoski. W jednym z nich żyje kompozytor, który pisze piękne pieśni, między innymi do słów ich patronki świętej Teresy od Dzieciątka Jezus. Mają orkiestrę, chór i solistów. Mógłbyś dołączyć do nich. Tam poznasz jakąś piękną Włoszkę, pobożną, uczciwą, młodą dziewczynę. Pobierzecie się, spłodzicie dzieci i do końca życia będziecie modlitwą i śpiewem chwalili Pana... Podoba ci się mój pomysł?

– Chyba tak – odpowiedział Cezary bez specjalnego entuzjazmu. – Opowiedz mi coś o tej wspólnotcie.

– Jest to niezwykle oryginalna francuska wspólnota. Mają swoje domy na całym świecie. Jej inicjatorem był protestant żydowskiego pochodzenia. Pod wpływem mistycznych przeżyć przeszedł na katolicyzm i wraz z żoną założył jedyną w swoim rodzaju wspólnotę religijną, łączącą w obrzędach trzy ryty: katolicki, prawosławny i starozakonny, a w swoich szeregach wszystkie stany: księży, zakonnice i zakonników, małżeństwa wraz z całymi rodzinami oraz świeckie osoby stanu wolnego. I co najważniejsze, otrzymał na to papieskie błogosławieństwo. W każdy piątek wieczorem przyjmują gości. Najpierw odbywa się nabożeństwo, a następnie szabat z żydowskimi potrawami i tańcami. Na pewno ci się tam spodoba.

W najbliższy piątek wybrali się do wspólnoty. Cezary był zachwycony, zwłaszcza śpiewem i tańcami, których kroki i figury ćwiczył z zapalem. Bawił się tam doskonale w każdy piątek. W końcu odbył rozmowę z pasterzem tego domu i przeszedł z Cenacolo do Wspólnoty Błogosławieństw. W niedługim czasie przeniósł się do ich domu we Włoszech.

Dopiero wtedy napisał list do Izy:

Droga Izo, wybacz, że tak długo nie dawałem znaku życia. Mój „anioł stróż” zabronił mi kontaktu z Tobą, gdyż twierdził, że nasza miłość była toksyczna. Zrozumiałem, że mój opiekun miał słuszność, a ty też z pewnością doszłaś do tego wniosku. Jednak bardzo mi przykro, że tak długo milczałem. Z początku tęskniłem, lecz w trybach wspólnotowej dyscypliny przestałem o Tobie myśleć, nigdy jednak nie zostaniesz usunięta z mego serca. Przeżyliśmy oboje oczarowanie. Spędziliśmy wspólnie tak wiele cudownych chwil, byliśmy ze sobą szczęśliwi. Jestem ci niewymownie wdzięczny za to, że mnie przygarnęłaś i znosiłaś moje pijaństwo. Niestety, nie nadaję się do samodzielnego życia bez wspólnotowego rytuału, dlatego też po ponownym uwolnieniu się od nałogu w „Cenacolo” wstąpiłem do Wspólnoty Błogosławieństw, gdzie zamierzam pozostać do końca życia. Znalazłem się w jednym z domów wspólnoty we Włoszech, gdzie spełniam się całkowicie. Mamy tu wspaniałą orkiestrę kameralną i chór, a także solistów, z których – muszę Ci się pochwalić – jestem najważniejszym. Nagrywamy CD, które rozchwytywane są przez licznie odwiedzających nas gości. Stanowi to jedno z głównych źródeł naszego utrzymania.

Jestem szczęśliwy i dziękuję Bogu za pobyt w tym domu, przepięknie położonym u podnóża Alp, nad ogromnym jeziorem, nad którym rosną rośliny śródziemnomorskie i palmy, obok drzew i zieleni, znanych nam z Polski. Stanowimy międzynarodową „rodzinę”, obok Włozek i Włochów są tu też dwa niemieckie małżeństwa, jedno francuskie, dziewczyna z Kamerunu i... jeszcze jeden Polak, który przyjechał parę dni po mnie. Nasz pasterz jest Francuzem. Jest młody, miły, bezpośredni i bezkonfliktowy. Dom piękny, duży, wyremontowany, nie nastręcza kłopotów z przyjmowaniem gości. Pracujemy przy utrzymaniu domu, ogrodu, gdzie obok kwiatów mamy też warzywa i owoce, no i oczywiście zajmujemy się przyjmowaniem gości, przede wszystkim młodzieży. Prowadzimy różnego rodzaju rekolekcje. Ostatnio na przykład był weekend tańca żydowskiego, niedługo spędzimy cały tydzień w Alpach. Oprócz tego, co niedzielę odprawiamy w naszym pięknym klasztornym kościele liturgię dla okolicznych mieszkańców, podczas której śpiewam solo.

Moje stałe zadania stanowią: przywożenie poczty i inne jazdy samochodem oraz furgonetką, a także ogród. Jednak najważniejszym jest solowy śpiew w naszym wspaniałym zespole z orkiestrą i chórem. Nic mi więcej do szczęścia nie brakuje. Spostrzegłem, że na pytania, co tutaj robię, odpowiadam spontanicznie, że tu żyję – ponieważ tak to właśnie jest, jest to całościowe życie wspólnotowe, w którym centralne miejsce zajmują modlitwa i misja, a więc

także podróże. Bez modlitwy i Eucharystii wspólnota ta rozleciałaby się w ciągu tygodnia. Dlatego też, według mnie, właśnie modlitwa, głównie ta wyrażana przez śpiew, jest najistotniejsza. Nie byłbym już w stanie bez niej żyć.

Bardzo chciałbym z Tobą porozmawiać i opowiedzieć Ci, jak teraz żyję, lecz jest to niemożliwe, więc piszę. Nie liczę na Twoją odpowiedź, bo zawiodłaś się na mnie. Jednak odczuwam potrzebę przekazania Ci swoich myśli. Największym, jak dotąd, przeżyciem była dla mnie wycieczka do Wenecji. Przyjechali tu do nas trzej chłopcy z Francji, z domu wspólnoty przygotowującego młodzież, która chce iść do seminarium duchownego.

Pojechaliśmy z nimi do tego pięknego miasta. Zaczęliśmy od zwiedzania słynnej bizantyjskiej bazyliki Świętego Marka i innej przepięknej bazyliki Santa Maria Maggiore. Po czym zjedliśmy obiad w domu seminarium mieszczącym się w byłym klasztorze. A następnie przechadzaliśmy się uliczkami tego cudownego miasta. Mszę odprawiliśmy w kaplicy należącej do franciszkanów. Była piękna, słoneczna pogoda.

Z całą szczerością muszę Ci wyznać, że nie widziałem piękniejszego miasta i kościołów w całym swym życiu. A wiesz, że widziałem już wiele zabytkowych zachodnich miast i że wiele czasu spędziłem kiedyś w Rzymie. A przy tym nasłuchalem się masy negatywnych opinii o Wenecji: że zbyt zatłoczona (to prawda, że przewija się przez nią barwny tłum turystów z całego świata, ale widać też tubylców, szczególnie młodzież uniwersytecką), że kanały śmierdzą (nieprawda! Widziałem tylko czystą wodę Adriatyku). Cała Wenecja to jedno wielkie renesansowe dzieło sztuki – i to najpiękniejsze, jakie widziałem – położone na wielu wysepkach, z niekończącym się labiryntem przejść, uliczek, kanałów i placyków. Myślę, że można po nich chodzić lub jeździć gondolami albo tramwajami na wodzie przez wiele dni. Na każdym dosłownie kroku napotyka się tu coś charakterystycznego i przepięknego. Na rynku głównym wznosi się niezwykła bazylika św. Marka świadcząca o bizantyjskiej przeszłości Republiki Weneckiej. Jest przepiękna na zewnątrz, a wewnątrz przybysz otoczony jest ze wszystkich stron ogromnymi mozaikami – ikonami przedstawiającymi Chrystusa, świętych i sceny biblijne, wszystko na szczerolotym tle – kolorze symbolizującym niebo.

Zainteresowała mnie także historia Wenecji, którą usłyszeliśmy z ust przewodnika oprowadzającego nas po innym wspaniałym kościele – Santa Maria Maggiore. Republika powstała w dniu Zwiastowania Pańskiego i zadbano o to, by wszystkie ważne akty państwowe podejmowane były w dni świąt maryjnych, które stały się równocześnie świętami państwowymi. Nabożeństwo dawnych Wenecjan do Najświętszej Marii Panny jest widoczne na każdym kroku. W kościołach i na rogach ulic znajdują się ikony oraz freski przedstawiające Maryję z Dzieciątkiem. Pomyślałem o tym, co często mówiłaś, że piękno i harmonia są dziełem Bożym. Tak, to rzeczywiście Maryja – wiadomo, najpiękniejsza – inspirowała architektów tego pięknego miasta!

Może zanudzam Cię tym opisem, Ty z pewnością znasz Wenecję, ale odczułem nagle potrzebę opowiedzenia Ci o sobie i podzielenia się swoimi wrażeniami. Być może myślisz czasem o mnie i martwisz się, że stoczyłem się na dno, więc chciałem, żebyś wiedziała, że jestem szczęśliwy, ponieważ tu spotkałem Chrystusa i tu mogę iść za Nim, choć czasami w ucisku. Szeroka i łatwa jest tylko droga na zatracenie. Tak więc trwam we wspólnocie, bo tak mnie Pan prowadzi.

Mam nadzieję, że odzyskałaś pełnię swego wspaniałego głosu i że znowu śpiewasz w operze. Życzę Ci Bożego błogosławieństwa i opieki Matki Bożej.

Szczęść Boże Cezary.

Parę dni po wysłaniu tego listu mężczyzna przeżył... oczarowanie. Do wspólnoty wstąpiła młoda dziewczyna o melodyjnym imieniu Antonella. Zjawiała się na czarnym

firmamencie jego życia jak gwiazda olśniewającej piękności. „Zjawila” – tak określił jej przybycie, gdyż miała zjawiskową urodę: sięgające pasa czarne włosy, ogromne brązowe oczy, okolone gęstymi rzęsami i brwiami, naturalne rumieńce i pąsowe usta. Skojarzyła mu się ze świeżo rozkwitłą różą. Gdy pierwszy raz usłyszał, jak śpiewa, ciarki przeszły mu po plecach.

– Co cię sprowadziło do wspólnoty, Antonello? – spytał, siedząc obok niej podczas kolacji. – Z twoją urodą mogłabyś być gwiazdą filmową.

Dziewczyna uśmiechnęła się tylko, a rumieńce na jej twarzy przybrały pąsową barwę, lecz nic nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niego jak urzeczona. Śledziła każdy jego ruch, chłonęła każde słowo, ale mówiła niewiele. Zwracał się do niej nieustannie, nakładał jej potrawy i dolewał wina. Prowadził swobodną rozmowę, nie siląc się na dowcipy. A mimo to oboje śmiali się niemal bez przerwy, właściwie bez powodu. Cezary poczuł się w siódmym niebie.

Antonella była powściągliwa i tajemnicza. Nigdy nie poznał odpowiedzi na pytanie zadane jej podczas pierwszej wspólnej kolacji, nawet po ich ślubie, który odbył się we wspólnocie z ogromną pompą.

Rozdział 24

Gordyjski węzeł

Robert i Alina byli dobrym małżeństwem, stanowili idealnie dobraną parę pod względem wyglądu, charakteru i zainteresowań. Poznali się na studiach i po ich ukończeniu pobrali. Oboje kierowali się raczej rozsądkiem niż emocjami. Kochali się na swój racjonalny, pozbawiony miłosnych uniesień sposób. Ich miłość była czysta i spokojna.

Robert nie miał za sobą podbojów erotycznych ani afer seksualnych. Owszem, był wrażliwy na urodę, nawet bardzo, ale w kategoriach estetycznych. Nigdy nie traktował kobiet jako obiektów seksualnego pożądania. Miewał piękne pacjentki, lecz żadna z nich nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia.

Jednak gdy ujrzał na scenie Izę, zdawało mu się, że poraził go grom. Stanowiła uosobienie jego młodzieńczych wyobrażeń idealnej urody kobiecej.

Co za oczy, myślał z zachwytem, jak dwa ogromne jeziora, aż strach w nie spojrzeć z obawy, by w nich nie utonąć. A te pełne, zmysłowe usta... Trudno się powstrzymać przed dotknięciem ich swoimi wargami... Ten uroczy uśmiech... Jakaż ona piękna!

Od stóp do głów lustrował jej smukłą sylwetkę podkreśloną obcisłą długą czerwoną suknią z obnażonymi ramionami, w jakiej wtedy wystąpiła.

Gdy przysłała do jego gabinetu jako pacjentka, podczas rozmowy w jego umyśle kłębiły się słowa zachwytu: jaka ona inteligentna, wrażliwa, spontaniczna, żywiołowa, błyskotliwa, dowcipna.

Chociaż zrobiła na nim piorunujące wrażenie, nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby się w niej zakochać. Szczerze jej współczuł z powodu przeżywanych przez nią depresji. Wyciąganie z nich sprawiało mu zawsze satysfakcję. Dopiero gdy oboje zapomnieli się po przyjęciu u Izy, zrozumiał, że ją kocha, ale od razu postanowił zabić tę nierozsądną miłość. Zakłócałaby jego spokojne, ułożone życie. Nie wyobrażał sobie oszukiwania, a tym bardziej opuszczenia Aliny. Jednak uczucie to okazało się potężniejsze od siły jego woli. Wciąż rozpamiętywał doznaną z Izą rozkosz. Pożądał jej coraz goręcej. Miewał erotyczne sny o niej. Do żony odczuwał jedynie przywiązanie i czułość, bez specjalnej namiętności. Natomiast Iza całkowicie opanowała jego zmysły. Nie poznawał sam siebie. Odkrył w sobie gorący temperament.

Kiedy znalazła się w więzieniu, cierpiał niesamowicie. Wyobrażał sobie, jak strasznie czuje się tam ta subtelna, wrażliwa artystka. Zdał sobie sprawę, że ją kocha, że tęskni za nią nieprzytomnie, że wprost nie może bez niej żyć. W końcu postanowił przestać walczyć z tym uczuciem. Z drugiej jednak strony nie potrafił rozstać się z Aliną – dobrą, oddaną mu bez reszty żoną. Zbyt wiele ich łączyło. Był do niej bardzo przywiązany, też ją kochał. Inaczej niż Izę, ale było to głębokie i silne uczucie.

Iza także była w rozterce. Pragnęła Roberta, lecz nie mogła uwolnić się od myśli, że połączył ich zły duch. Pamiętała, że ukazywał się zawsze, gdy myślała o Robertcie i kusił ją, by go uwiodła. Prześladował ją obraz operowego Mefista. Słyszała jak jej rozkazuje: „Zrób to, zanim matka wróci z niesporów”.

Wyrzucała sobie zdradę najbliższej przyjaciółki, którą była dla niej Alina. Bolało ją milczenie matki. Bała się, że ją opuści, a tak bardzo była jej potrzebna. Tak bardzo zależało jej na akceptacji, na oddaniu i uczuciu matki. Nie wyobrażała już sobie samotności w swym pustym domu. Najgorsze, że nie miała nadziei, iż Robert się rozwiedzie. Musieli ukrywać się ze swą miłością, oszukiwać Alinę, co dla obojga było nie do zniesienia. Nie widzieli możliwości rozwiązania tego gordyjskiego węzła.

W końcu Robert zdobył się na męską decyzję i podobnie jak Aleksander Macedoński postanowił go przeciąć. Odbył z żoną szczerą rozmowę, wyznał jej całą prawdę. Na kolanach prosił o przebaczenie i zgodę na rozwód. Kobieta przeżyła szok. Dotąd niczego się nie domyślała. Był to dla niej cios w samo serce. Nazajutrz po powrocie z kliniki Robert zastał ją w stanie agonalnym po zażyciu trucizny. Gdy lekarze walczyli o jej życie, ogarnęła go rozpacz, osaczyły wyrzuty sumienia. Zrozumiał, że nie może się z nią rozstać, że nie jest w stanie jej skrzywdzić. Po odzyskaniu przez żonę zdrowia, postanowił przenieść się z nią do Niemiec, gdyż zdawał sobie sprawę, że musi jak najdalej uciec od kochanki.

Kiedy Iza dowiedziała się o samobójczej próbie przyjaciółki, ukazał się jej znowu szatan. Tym razem w postaci pięknego młodzieńca.

– Jestem z ciebie dumny – sęczył jej do uszu swą truciznę. Leżała w łóżku po całych dniach, popijała kawę i rozmawiała z diabłem. Nie chciała zażywać tabletek, które przyniósł jej matce roztrzęsiony Robert, gdy go wezwała na pomoc. Jednak starsza pani rozpuszczała je w kawie, dzięki czemu po pewnym czasie Iza zwlekła się z łóżka.

Jak zwykle po wyjściu z psychozy ogarnęło ją uczucie wdzięczności, że ów koszmar się skończył. Kiedy Robert zawiadomił ją, że przenosi się z żoną do Niemiec, przyjęła tę wiadomość ze spokojem. Właściwie spadł jej kamień z serca. Nie chciała już mieć nic wspólnego z diabłem i tym występym uczuciem.

– Od młodych lat nie masz szczęścia w miłości – stwierdziła jej matka. – Zapomnij o małżeństwie. Taki twój los. Jesteś artystką i to ci musi wystarczyć. Nie można mieć w życiu wszystkiego. Bóg obdarzył cię pięknym głosem. Jestem pewna, że dalej będziesz śpiewała.

Iza w duchu zgodziła się z matką. Była przekonana, że diabeł kusi ją wiecznie przygodami miłosnymi, by odciągnąć od Boga. Zaczęła posłusznie chodzić z matką do kościoła i z energią zajęła się próbami z akompaniatorem, gdyż zbliżał się termin jej pierwszego recitalu. Jednak głos wciąż odmawiał posłuszeństwa.

Pewnego dnia, gdy matka zabrała się do gotowania obiadu, poczuła się strasznie samotna i nieszczęśliwa. Siedziała w salonie, rozmyślając nad trudnościami ze śpiewaniem. Nie była w stanie zmusić się, by wstać, wejść do kuchni i pomóc matce w przyrządzaniu posiłku. Pomyślała, że dobrze by jej zrobiło spotkanie z Kornelią, która zawsze potrafiła wzbudzić w niej optymizm. Wzięła do rąk komórkę i nacisnęła numer, pod którym jej przyjaciółka była zakodowana.

– Ach to ty – odezwała się artystka. – Myślałam, że już o mnie zapomniałaś. Wciąż jeszcze nie odzyskałaś głosu? – Odzyskałam, ale mam problemy.

– Nie dziwię się. To zrozumiałe po tych strasznych przejściach.

– Mogłabyś się ze mną dzisiaj spotkać?

– Właściwie... jestem zajęta, maluję – zawahała się Kornelia. – Ale już kończę. Dobrze, pokażę ci atelier. Wpadnij tak... za pół godziny. Zdążę zrzucić z siebie wyplamiony farbami kombinezon.

Rozdział 25

Wtajemniczenie

Gdy Iza zadzwoniła, malarka pojawiła się przy furtce w długiej czarnej sukni. Było to niezwykle, gdyż zawsze nosiła pstrokate rzeczy.

– Jak się masz? Nie najlepiej wyglądasz – mówiła jak zwykle szybko, nie czekając na odpowiedź. – Chodź, zaprowadzę cię do pracowni. Jest na poddaszu. Mam tam dobre światło. Jak zobaczysz moje obrazy, to umocni się twoja skołatana dusza. Wiele osób już stwierdziło, że podczas ich oglądania doznają rozkoszy przebywania w innym świecie, w świecie niebiańskich kolorów – mówiła, gdy wchodziły po schodach. – Oto moja pracownia – rzekła z dumą, kiedy weszły do środka.

Iza rozejrzała się z ciekawością. Było to niezbyt duże, zatłoczone pomieszczenie z oknami w skośnym suficie. Większość pokoju zajmowały płótna ze skończonymi obrazami lub puste, czekające na wypełnienie. Jej nozdrza uderzyła ostra woń farby. Miała wrażenie, że powietrze jest tu nieco stęchłe, ale po chwili przyzwyczaiła się do tego. Na sztalugach stało ukończone dzieło o jasnych, pastelowych barwach. Coś w rodzaju impresjonistycznego pejzażu.

– Przyjrzyj się temu obrazowi przez dłuższy czas, a potem powiedz, co czujesz?

Iza patrzyła na łąkę usianą stokrotkami i bławatkami. Malunek emanował spokojem, harmonią i romantycznym klimatem, lecz był w jej oczach zbyt banalny, zupełnie nieciekawym.

– Podoba mi się – powiedziała po chwili – ale trudno mi powiedzieć, co czuję. Chyba nic szczególnego. Pomyślała, że obraz jest kiczowaty.

– Nie czujesz, jak umacnia się twoja dusza? – spytała zawiedziona Kornelia. – Przyjrzyj się jemu trochę dłużej... Powiem ci, jakiemu celowi służą moje obrazy. Nie pragnę sławy. Zależy mi tylko na tym, by moja twórczość emanowała dobrą energią, by miała właściwości psychoterapeutyczne – zamyśliła się na chwilę, po czym zaczęła mówić z emfazą. – Nie zdajemy sobie sprawy, że wszystko, co czynimy ma wpływ na otoczenie. Wszystko, absolutnie wszystko. Nawet każdy oddech ma określone działanie. Pojęcia nie mamy o naszym indywidualnym wpływie na losy ludzkości i dlatego pragnę poprzez moje obrazy napełniać mieszkania dobrą energią, prowadzącą do powszechnej szczęśliwości... – przerwała swą euforyczną przemowę, czekając na dalszą reakcję Izy. – Widzę, że... nie odczuwasz działania tej dobrej energii, płynącej z obrazu – podjęła po chwili milczenia. – Nie jesteś w odpowiednim nastroju.

– Mam doła.

– Okay, chodźmy do salonu. Napijemy się kawy i porozmawiamy. Powiesz mi, co cię gnębi, a ja postaram się ci pomóc. Nie darmo mam psychoterapeutyczne wykształcenie.

Gdy znalazły się w salonie, w którym Iza zawsze tak dobrze się czuła, popijając kawę i patrząc na figurkę Buddy, zaczęła się skarżyć:

– Nie potrafię już śpiewać, a śpiew stanowi dla mnie wszystko. To jest po prostu... treść mego życia. Niestety, głos odmawia mi posłuszeństwa. Może dlatego, że jestem samotna. Jak wiesz, Przemek mnie opuścił, Robert wyemigrował do Niemiec z żoną... – machnęła ręką z rezygnacją. – Chciałabym wrócić do opery, ale musiałabym udowodnić, że w dalszym ciągu

jestem w formie, więc przygotowuję się do recitalu pieśni Chopina. Nie są zbyt trudne, ale zawierają wiele piękna i wdzięku, a ich słowa są perełkami polskich poetów. Nie potrafię pojąć, dlaczego mi to zupełnie nie wychodzi... Ja już chyba nigdy nie będę śpiewać i nigdy już nie poznam prawdziwej miłości, która jest mi potrzebna do życia jak powietrze do oddychania. Wiesz, gdybym nie miała oparcia w matce, to chyba popełniłabym samobójstwo...

– Wypluj to słowo. Zostaw na razie te pieśni. Odwołaj recital i zajmij się swoją duszą. Ja też przeżywałam chwile zwątpienia, dopóki nie znalazłam oparcia w sobie, w swoim wnętrzu. Byłam w tej korzystnej sytuacji, że miałam syna, o którego musiałam się troszczyć, ale mąż doprowadzał mnie do rozpacz. Był schizofrenikiem. Mam pecha do najbliższych. Matka wiecznie cierpiała na depresję. Ojciec bardzo ją kochał, więc nie zmuszał jej do leczenia, a ona nie chciała słyszeć o wizycie u psychiatry. Całe dni siedziała na kanapie zamyślona i paliła papierosa za papierosem. Brat, chyba po niej, też często miewał okresy depresji.

– To tak jak ja. Tylko, że w moim przypadku to nie jest genetycznie uwarunkowane, ale kara za odtrącenie Michała i doprowadzenie go do samobójstwa.

– No tak. Jeszcze wyrzuty sumienia są ci teraz potrzebne. On musiał mieć już wcześniej myśli samobójcze.

Ci arystokraci nie są normalni. Czas najwyższy, żebyś wreszcie przestała o tym myśleć. Wyjedź gdzieś. Najlepiej by było, gdybyś wzięła udział w naszym seminarium terapeutycznym w Toskanii. Kolejne zaczyna się za dwa tygodnie. Nie wyobrażasz sobie, jak tam jest pięknie w początkach czerwca. Jak z baśni. Intensywne kolory... soczysta, jasna zieleń rozległych pól i głębia ciemnej zieleni cyprysów, sienny palonej, ochry, biel i żółć kamiennych willi, tak wkomponowanych w krajobraz, że wydają się od zawsze jego częścią. Jest tam tak jak na płótnach renesansowych mistrzów. Widać wprawdzie ingerencję człowieka w naturę, ale udało się ją ujarzmić w harmonijny sposób, nie pozbawiając jej piękna...

Byłam w Toskanii z Przemkiem – przerwała jej Iza. Zwiedziliśmy kryjące wiele niespodzianek miasta: Sienę, Arezzo, Lukkę, Pizę i wiele innych, a także prastare wsie, opactwa i twierdze rozproszone wśród łagodnych wzgórz.

– To wyczułaś chyba, że ludzie żyją tam zgodnie z naturą i jej rytmem, a umiłowanie piękna wydaje się czymś, co mieszkańcy mają we krwi, być może już od czasów starożytnych mieszkańców tych ziem, Etrusków. Patrząc na to piękno, łatwo uświadomić sobie, że to tam właśnie rodziła się kultura, która zadecydowała o późniejszych losach sztuki całej Europy. Wiesz chyba, że Toskania to ziemia, gdzie ukształtował się renesans, i która wydała dziesiątki najwybitniejszych malarzy, rzeźbiarzy, architektów i poetów. To oni sprowadzili tam produkcję wina. Tam znajdują się źródła europejskiej sztuki: prowincjonalne miejsca, swojskie i zupełnie na miarę człowieka. Miejsca, w których można wspaniale wypocząć, tak jak w małej miejscowości, w której organizujemy nasze seminaria.

– Nie, nie namówisz mnie – pokręciła głową Iza. – Mówiłam ci już, że to nie dla mnie. Zresztą... muszę dalej uparcie ćwiczyć z akompaniatorem. Nie zamierzam odwołać tych recitali. Publiczność musi sobie o mnie przypomnieć. Tylko... – przerwała i westchnęła ciężko.

– Wiem. Nie potrafisz żyć bez kochanka, a to ci przeszkadza w rozwijaniu talentu. Po każdej kolejnej rozłące wpadasz w depresję i tracisz głos. Musisz z tym skończyć. Mnie też trudno było wyrzec się miłości erotycznej, dopóki nie zetknęłam się z antropozofią. Wtedy dopiero udało mi się jej wyrzec i dobrze na tym wyszłam.

– A co to takiego? – zaciekała się Iza.

– Pewien rodzaj filozofii. Wyjaśnię ci dokładnie, ale najpierw opowiem ci, w jaki sposób się z nią zetknęłam. Po sześciu latach koszmaru małżeńskiego, spakowałam część rzeczy, inne porzadawałam i, zabierając ze sobą sześciolatniego synka, udałam się do wymarzonego

miasta, do Paryża. Zaczęłam pracować jako kelnerka, uczęszczając równocześnie na kurs języka francuskiego. Jednak marzyłam o karierze artystycznej. Ukończyłam liceum plastyczne, więc liznęłam trochę malarstwa. Postanowiłam malować obrazy. Jeśli człowiek chce być artystą musi oddać się sztuce całkowicie, bez reszty.

– Bzdura. Wręcz przeciwnie, artyści właśnie w miłości znajdują inspirację.

– Nie wszyscy. Mogę ci podać wiele przykładów. Choćby mój – wzruszyła ramionami. – Więc w Paryżu nie usiłowałam znaleźć kolejnego męża czy kochanka, tylko zawzięcie, uparcie malowałam. Kiedy pokazywałam swoje prace znajomym, byli zachwyceni. Mimo to nie miałam odwagi, by pójść do jakiejś galerii. Sądziłam, że znajomi chwają mnie tylko z uprzejmości. Ponieważ jednak nienawidziłam pracy w restauracji, przezwyciężyłam nieśmiałość i udałam się z trzema obrazami do jednej z licznych w Paryżu małych galerijek. Zdawało mi się, że śnię, gdy wszystkie trzy zostały przyjęte. Po pewnym czasie sprzedano je, i galerzystka zamówiła u mnie dalsze obrazy. Trudno mi było uwierzyć w taki łut szczęścia. W Paryżu, gdzie roiło się od wykształconych artystów, niemogących związać końca z końcem, od razu zarobiłam sporo pieniędzy. Niestety, na tym się skończyło. Poza tymi trzema obrazami, inne nie znalazły nabywców. Zwątpiłam w swój talent. Postanowiłam wrócić do Krakowa, ale najpierw musiałam zbierać trochę więcej pieniędzy na realizację swego nowego pomysłu, więc dalej pracowałam w restauracji. Chciałam otworzyć atelier projektowania artystycznej damskiej garderoby. Od dziecka usiłowałam szyć sukienki dla lalek, później zawsze sama szyłam swoje kreacje... Kiedy miałam już sporą sumkę, udałam się z synem do Krakowa i wynajęłam lokal przy Karmelickiej. Odnowiłam go, wymalowałam piękne zasłony, rozwiesiłam suknie i umieściłam szyld: *Mode Atelier*. Zamówiłam fachową reklamę w Internecie ze wspaniałymi zdjęciami. Przychodziłam co dzień o dziewiątej rano i czekałam na klientki. Mijał dzień po dniu i nawet pies z kulawą nogą nie zajrzał do mojej pracowni. Po trzech tygodniach, gdy kończyły się pieniądze, a ja byłam w czarnej rozpacz, weszła do sklepu pewna dama. Kiedy obejrzała suknie, wpadła w zachwyt. Była to dziennikarka, która spadła mi jak z nieba. Wkrótce zorganizowała mój pokaz mody, który stał się wydarzeniem. A zawdzięczała to oryginalności wynikającej z tego, że nie miałam pieniędzy na drogie jedwabie. Zaprezentowałam pokazujące piersi modelek, przezroczyste bluzki, zestawione z jeansami. Odniosłam sukces. Interes kwitł, zdobyłam sławę świetnej projektantki... Wiesz o tym, bo sama ubierałaś się wtedy u mnie. Do atelier ściągaly klientki z całej Polski, nawet z Warszawy, ale ja... byłam coraz bardziej rozczarowana i zniechęcona. To nie było to. Nie interesowało mnie projektowanie modnych kreacji według wciąż zmieniających się trendów, czego domagały się klientki. Chciałam kobiety pięknie ubierać, dopasowując stroje do ich urody i psychiki. Pewna dama doskonale to określiła, dziękując mi, że „tak pięknie przystroiłam jej duszę”. Ale takie klientki nie zdarzały się zbyt często – westchnęła.

– A poza tym wciąż marzyłam, żeby zostać malarką. Po latach prowadzenia atelier zamknęłam je, i udałam się wraz z synem do Stanów, gdzie oboje rozpoczęliśmy studia, on filozoficzne, a ja malarskie w Academy of Art and Design w Nowym Yorku. Możesz sobie wyobrazić – chełpiła się – co czułam, gdy pewien profesor, stanawszy przed moimi sztalugami powiedział: It's perfect. It's really perfect. Jedno tylko stanowiło ciemny punkt w tym pobycie w Stanach. Wituś oddalił się ode mnie. Wyśmiewał się z antropozofii – filozofii, według zasad której, wychowano go w szkole w Paryżu. Nie mieliśmy wspólnego języka.

– Powiesz mi wreszcie, na czym polega ta antropozofia?

– Zaraz ci wyjaśnię, ale najpierw opowiem ci o swoich artystycznych sukcesach.

Iza uśmiechnęła się pod nosem. Przekonana była, że jej przyjaciółka zmyśla. Wystarczyło spojrzeć na jej obrazy. Nie myliła się. W rzeczywistości Kornelia w ogóle nie ukończyła studiów, gdyż nie odznaczała się szczególnym talentem. Ale miała głowę do interesów. Zajęła się

malowaniem kiczowatych pejzaży na ścianie. Jej prace zapełniły wille w Los Angeles, Nowym Yorku, Rzymie, Frankfurtu, Mannheim, Monachium. Jeździła po całym świecie. Nigdzie nie brakowało bogatych ignorantów. W końcu postanowiła osiąść we Włoszech. Przez pewien czas mieszkała we Florencji, następnie przeniosła się do Rzymu, lecz trudno było jej znaleźć w tym mieście artystów nabywców jej obrazów, czy też amatorów malowideł na ścianie, więc postanowiła wrócić do Krakowa, gdzie jej syn zajął się doktoratem, a ona malarstwem i seminariami.

– Masz ciekawy życiorys. Nigdy dotąd nie opowiadałaś mi o tym... Owszem, zachęcałaś mnie do udziału w seminarium, ale... ciekawa jestem, skąd przyszedł ci do głowy taki pomysł – spytała Iza, pełna podziwu dla przedsiębiorczości Kornelii.

– Zawdzięczam to temu, że w Paryżu posłałam syna do alternatywnej szkoły, nazywanej „waldorfską” i... odnalazłam właściwą duchowość. Sieć takich szkół istnieje w całej Europie od początków dwudziestego wieku. W Krakowie powstała jedna z nich. Pierwszą założył w Niemczech dla dzieci pracowników fabryki Waldorf, stąd ich nazwa, Rudolf Steiner, austriacki filozof, mistyk, wizjoner, twórca teorii antropozofii propagującej „astralne wtajemniczenie” jako drogę samorealizacji. Właśnie w Paryżu, dzięki szkole, do której posłałam Witusia, zapoznałam się z nią i stała się dla mnie objawieniem. Nareszcie znalazłam duchowość, w której miałam oparcie. Chrześcijańską zdecydowanie odrzuciłam, jak zresztą całą moją ateistyczną rodziną. Jednak brakowało mi właśnie tego, co znalazłam w steinerowskiej filozofii – mówiła z zapalem, opróżniając kubek kawy. – Gdybym nie miała tego wsparcia, oszalałabym chyba z niepokoju o Witusia. Nie byłabym w stanie znieść myśli, że wkrótce mogę go stracić – jej głos się załamał.

– Co ty opowiadasz? Dlaczego miałabyś go stracić?

– On wkrótce umrze. – Po policzkach Kornelii spłynęły nagle łzy. – Od dłuższego czasu cierpi na nieuleczalną chorobę. Jeździłam już z nim nawet za granicę do specjalistów. Początkowo był leczony farmakologicznie, ale nic to nie dało, bo on nie potrafił rzucić palenia. Doszło do tego, że trzeba było mu wyciąć część płuc, aby poprawić przepływy wydechowe. Jednak operacja została już zbyt późno przeprowadzona.

– Coś podobnego?! Taka tragedia! – złapała się za głowę Iza. – A co to za choroba?

– POChP, przewlekła choroba płuc, do której doprowadziło go palenie papierosów. Miliony palaczy w świecie na nią cierpią. W większości są to osoby, które palą, lub za późno skończyły z paleniem. Ryzyko zwiększa przebywanie w miejscach, w których występuje działanie szkodliwych gazów i pyłów, a chyba wiesz, jak zatrute jest powietrze w Krakowie. Zaczyna się od rozdęcia pęcherzyków płucnych. U Witusia doszło już do niewydolności krążenia i uszkodzenia serca. Leży w klinice pod respiratorem. Jego dni są policzone. On już kona.

– Jezus, Maria, to straszne! – krzyknęła Iza. – I ty możesz tak spokojnie malować? Powinnaś siedzieć przy nim. Jak mogłaś zostawić go samego, kiedy on umiera. – A co by to dało, gdybym tam przy nim siedziała?

– Jak ty... w ogóle... znosisz myśl o jego śmierci? – pytała Iza niesamowicie przejęta.

– Tylko dzięki antropozofii. Wiem, że po jego śmierci dalej będziemy razem. Zawsze byliśmy razem i po jego śmierci też będziemy. Teraz malując, jestem przy nim.

– To wyjaśnij mi wreszcie, co to takiego ta antropozofia.

– Wtajemniczenie – rzekła Kornelia, wznosząc do góry wzrok z egzaltacją. – Wiesz, człowiek powstaje dopiero w momencie wtajemniczenia – zaczęła tłumaczyć podstawy tego światopoglądu. – Chodzi o poznanie tego, co astralne. Dopiero wówczas możliwe jest poznanie właściwe, a wraz z nim odpowiednie działanie. Istota rozumująca może zrealizować

swoje przeznaczenie stania się czysto ludzką za sprawą swojej wewnętrznej władzy, którą stanowi myślenie. Wzrost jego napięcia i natężenia, jego charakter kontemplacyjny i obiektywizujący prowadzi do wtajemniczenia, do urzeczywistnienia ludzkiej jakości. Gdy zaczyna się myśleć w sposób odpowiadający „wiecznej prawdzie” i „wiecznemu pięknu” dochodzi się do pogrążania się w poznaniu tajemnym.

– No, dobrze – zgodziła się Iza, chociaż niewiele z tego rozumiała. – Ale na czym polega stosowanie tej filozofii w życiu?

– Antropozofia polega na eksploracji „światów wyższych”, na poznaniu odpowiedzi na pytania „skąd przychodzę”, „czym jestem”, „dokąd zmierzam” – rozwodziła się Kornelia, nie odpowiadając na jej pytanie. – Dopiero tym, którzy osiągnęli tę wiedzę daje prawo nazywania się ludźmi. Steiner dzielił osobowość na ciało eteryczne, ciało astralne, jaźń uczuciową, jaźń myślącą oraz jaźń świadomą. Ciało eteryczne to sobowtór energetyczny, duch ciała fizycznego, narzędzie życiowe sfery fizycznej, bez której powłoka ludzka uległaby rozpadowi. Ciało astralne jest narzędziem egzystencji tuż po śmierci fizycznej. Ten, kto poznaje swoje ciało astralne osiąga kontakt ze zmarłymi żyjącymi w astralnym świecie...

– Masz kontakt ze zmarłymi? – przerwała jej Iza z niedowierzaniem. – To znaczy, że bierzesz udział w jakichś seansach spirytystycznych?

– To nie jest to samo – skrzywiła się z niesmakiem artystka. – Słuchaj dalej. Jaźń uczuciowa, jaźń myśląca i jaźń świadoma to narzędzia, które przeżywają śmierć ciała astralnego i pozwalają na świadome istnienie w świecie duchów. A to umożliwia reinkarnację, to znaczy prawo cyklicznego tworzenia nowych ciał: astralnego, eterycznego i fizycznego oraz zstępowania w nie jaźni na czas egzystencji aż do momentu oświecenia, gdy reinkarnacja nie jest potrzebna.

Iza słuchała już w milczeniu, dziwiąc się w duchu, jak można wierzyć w coś takiego. Dla niej były to kompletne bzdury.

– Pomimo wielu możliwości przeżyć w różnych światach – kontynuowała Kornelia z przejęciem – ostateczną dyscypliną antropozofii jest duchowość. W duchowości człowiek przeżywa to, co wieczne. Doświadcza boskości, która raz na zawsze zbawia go i wyzwala. Jest to przeżycie Wyższego Ja, kładącego kres egoizmowi. W chwili tego przeżycia człowiek staje się jak Chrystus, jednostka społeczna staje się jednostką ludzką. Człowiek przechodzi proces wtajemniczenia w światy coraz bardziej duchowe. Dlatego też ewolucja ludzka to raczej rozwój duchowy niż materialny, a natura zmian antropozoficznych jest duchowa, nie cielesna. Zmiany w światach subtelnym, leżących bliżej istoty rzeczywistości, wpływają na świat niższy, i vice versa, tak rozwija się świat, na zasadzie wibracji. Jednak nie materia, a duch stanowi istotę każdego Ja. Cała nadzieja pozytywnych zmian w świecie leży w uduchowianiu się człowieka. Lecz uczeń wiedzy tajemnej musi zdawać sobie sprawę już na początku drogi o swojej duchowej tożsamości i z tego, że powraca do ojczyzny ducha.

Izie kręciło się w głowie od tych górnolotnych wyjaśnień, więc spytała:

– Powiedz mi wreszcie, jak stosujesz to wszystko w życiu.

– W praktyce... – Kornelia zamyśliła się. – Stosuję pewien rodzaj psychoterapii – podjęła po chwili milczenia – związanej z tą filozofią. Mówiłam ci już o tym. Zgłębiłam ją na kursie indyjskiej sztuki uzdrawiania prowadzonym przez mistrza Choa Kok Sut. Jest to wspaniała metoda służąca między innymi uwolnieniu się od wszelkich zgubnych uzależnień.

– To dlaczego nie zastosowałaś jej wobec syna, by uwolnić go od nikotynizmu? – spytała Iza.

– On się z tego naśmiewał i nie pozwolił sobie pomóc. Nie potrafił wyrzec się palenia. A kiedy już doszło do tej nieuleczalnej choroby... – przerwała, rozkładając bezradnie ręce. – Tobie jednak, przekonana jestem potrafiłybyśmy pomóc. Ja i pewna terapeutka tańca,

z którą wspólnie prowadzę te seminaria w Toskanii.

– Wybacz, ale... naprawdę to nie dla mnie. Zupełnie to do mnie nie przemawia – rzekła zdecydowanie Iza.

– Jestem osobą wierzącą, katoliczką, uwielbiam religijną muzykę...

– Jednak mam nadzieję, że zaśpiewasz na pogrzebie Witusia, mimo że będzie to świecka ceremonia.

– Świecka? Przecież to jest odarcie śmierci z powagi, z wszelkiej duchowości.

– Nic podobnego. Mylisz się.

– Ależ... znałam wielu ateistów, którzy mieli katolicki pogrzeb.

– Ale byli ochrzczeni, a my nie jesteśmy... Naprawdę, nie masz racji. Świecki pogrzeb jest... niepowtarzalny, wspaniały. Powiem ci, jak przebiega ta ceremonia. Głównym punktem jest symbolika światła. Ogień, płomień i ciepło przywołują wspomnienie o osobie, którą żegnamy. Bogato skomentowany obrzęd zapalenia świecy uświadamia wszystkim obecnym prawdę, że zmarły człowiek pozostaje wśród nas, choćby poprzez swoje dokonania. Pogrzeb rozpoczyna się od uroczystego przywitania żałobników, po czym następuje poprzedzona utworem muzycznym refleksja o życiu, śmierci i przemijaniu. Następnie mistrz ceremonii ubrany w specjalny strój, czarną togę, białe rękawiczki i plastron, co świadczy o wadze jego posługi, przedstawia życiorys i dokonania zmarłego. Przemawiają bliskie mu osoby, żegnając go. Ceremonia kończy się minutą ciszy stanowiącą oddanie hołdu człowiekowi, który od nas odszedł. Na zakończenie odbywa się okolicznościowy koncert, po którym formuje się kondukt żałobny przy akompaniamencie organów... – Kornelia otarła łzy i spytała:

– Nie byłeś na pogrzebie Szymborskiej, naszej noblistki?

– Nie. Nawet nie wiem, kiedy się odbył.

– Dobrych parę lat temu. Nie wiesz, że ona zażyczyła sobie świecką ceremonię?

Było to... niezapomniane przeżycie. Jej sekretarz wygłosił piękną mowę pożegnalną: „Ciekawe, co pani teraz robi? W niebie jest podobno pani ulubiona Ella Fitzgerald, więc pewnie słucha jej pani teraz, paląc papierosa i pijąc kawę” – powiedział między innymi. W ceremonii wzięły udział prominentne osoby. Był nawet ksiądz Boniecki, naczelny „Tygodnika Powszechnego”. Krakowianie przybyli tłumnie, a przed uroczystością z wieży Mariackiej zamiast hejnału można było usłyszeć melodię piosenki ze słowami jej wiersza „Nic dwa razy się nie zdarza”.

– Oczywiście, że zaśpiewam na pogrzebie twojego syna. Jak mogłaś w to wątpić? Postaram się zaśpiewać jak najpiękniej jakiś jego ulubiony utwór. Jednak jeśli idzie o twoją sugestię, bym wzięła udział w waszym seminarium, to niestety muszę ci odmówić. Nie miej mi tego za złe. Mam nadzieję, że nie przeszkodzi to naszej przyjaźni... – Zerwała się nagle z miejsca, jakby ktoś nastąpił jej na palec. – O Boże, ale się zagadałam, a mama pewnie już czeka na mnie z obiadem. Ona mi najlepiej pomaga.

Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo ci współczuję, Kornelio – rzekła na pożegnanie, obejmując ją serdecznie. – I podziwiam, że tak dzielnie znosisz tę tragedię. Ja... na twoim miejscu zupełnie bym się załamała.

– Bo nie jesteś wtajemniczona i nie zetknęłaś się z antropozofią, a bardzo by ci to pomogło w twojej sytuacji – powiedziała malarka, uwalniając się z uścisku. – Zastanów się jeszcze poważnie nad uczestnictwem w naszym seminarium w Toskanii.

Rozdział 26

Wyrzeczenie

Pewnej nocy do jej uszu doszły pojękiwania z pokoju matki. Zerwała się natychmiast i pobiegła do niej. Wpadła w popłoch, gdy ujrzała zakrwawioną pościel. Natychmiast zadzwoniła po pogotowie. Po badaniach w szpitalu okazało się, że starsza pani ma nowotwór macicy. Taka diagnoza to na ogół wyrok śmierci. Iza przeraziła się na dobre. Złękła się, że matka umrze, a stanowiła dla niej jedyne oparcie. Nie wyobrażała sobie dalszego życia bez niej.

Umieściła ją w renomowanej Klinice Ginekologii i Onkologii Szpitala Uniwersyteckiego pod opieką wybitnego lekarza, profesora Rosty, który podjął się przeprowadzenia operacji. Gdy spytała go, czy matka będzie żyła, odpowiedział sentencjonalnie:

– Wszystko w rękach Boga.

W tym momencie przeszły jej ciarki po plecach. Wracając do domu, powtarzała w myśli: „Wszystko w rękach Boga”. Postanowiła obiecać Bogu, że wyrzeknie się na zawsze seksu i w ogóle miłości erotycznej, jeśli jej matka pokona raka.

Po jej wyjściu ze szpitala zaprosiła profesora wraz z żoną na kolację do „Wierzyńka”. Poczuli się zażenowani, gdy okazało się, że profesor przyszedł sam, tłumacząc żonę niedyspozycją. Był wytwornym, przystojnym mężczyzną, bardzo się jej podobał. Zarówno wyglądem, jak i sposobem bycia, przypominał Roberta. Okazał się inteligentnym i błyskotliwym rozmówcą. Interesował się sztuką i muzyką. Był stałym bywalcem opery, obsypywał Izę komplementami.

– Jestem gorącym wielbicielem pani talentu – powiedział, gdy kończyli jeść deser – i... urody – dodał po wymownej pauzie z uwodzicielskim spojrzeniem. – Czy przyjaciel nie będzie miał pani za złe, że spotkała się pani ze mną? – spytał z uwodzicielskim uśmiechem.

– Nie mam przyjaciela.

– Co pani powie? – zdziwił się, patrząc jej głęboko w oczy i ujmując jej dłoń.

Nie cofnęła ręki, gdyż jego dotyk sprawił jej przyjemność.

– A... nie chciałaby pani zaprzyjaźnić się ze mną? – szepnął czule, nachylając się w jej kierunku.

Oblała się rumieńcem. Ogarnęło ją podniecenie. Mężczyzna bardzo się jej podobał. Dlaczego nie? – pomyślała. Nie odpowiedziała na zadane jej pytanie, tylko uśmiechnęła się.

– Jest pani chyba bardzo samotna – mówił profesor. – Wiem, że ma pani poważne problemy. Nie śpiewa pani już od długiego czasu. Pewno trudno jest pani pozbierać się po tym wszystkim. Śledziłem uważnie całą tę sprawę z usiłowaniem zabójstwa i szpitalem psychicznym... Bardzo pani współczuję i chciałbym panią... pocieszyć.

Spojrzał jej pytająco w oczy, tak jakby pytał, czy chce pójść z nim do łóżka.

– Dziękuję za współczucie, ale... sama nie wiem...

Przypomniała sobie, że przyrzekła Bogu wyrzec się do końca życia seksu, jeśli jej matka wyzdrowieje.

– Chciałbym panią zaprosić w pewne uroczne miejsce. Mam letni domek w pięknej okolicy. Moglibyśmy tam spędzić weekend.

Miała na to ogromną ochotę, ponieważ spragniona była seksu. Trudno jej było obejść się bez niego, lecz bała się, że jeśli nie dotrzyma przyrzeczenia, to matka umrze.

– Proszę wybaczyć, ale... to niemożliwe – powiedziała niepewnie.

– Dlaczego pani posmutniała? Przecież to nic złego.

– Naprawdę, nie mogę przyjąć pańskiego zaproszenia – rzekła zdecydowanie.

Ten mężczyzna stanowił dla niej ogromne zagrożenie. Bała się, że nie dotrzyma przyrzeczenia złożonego Bogu. Czowała, jak mocno pałają jej policzki.

– Mój Boże, pani się mnie boi. Widzę to wyraźnie. A przecież byłoby... – spojrzał jej wymownie w oczy, ale ugryzł się w język. – Przecież... tak miło nam się rozmawia – dokończył niewinnie. – Nieczęsto spotyka się tak urocze i... – znów ujął jej rękę – bliskie osoby. Dlaczego mamy sobie odmawiać tej rzadkiej przyjemności? – nalegał.

Czowała, że jeszcze chwila, a ulegnie jego namowom.

Wyrwała gwałtownie rękę z jego dłoni.

– Przepraszam, ale muszę wyjść do toalety.

Wstała od stołu i chwiejnym krokiem wyszła. Czowała zawrót głowy, brakowało jej tchu. W toalecie ujrzała w lustrze poczerwieniałą twarz i dziwny błysk w oczach. Ten człowiek zawładnął nią całkowicie. Gdy dotknął jej ręki, poczuła podniecenie.

– Jezu Chryste – szepnęła – przecież muszę się tego wyrzec.

Upudrowała nos i umalowała usta. Wciągnęła głęboko powietrze.

Wróciła do stolika pewnym krokiem i zdecydowanie odmówiła przyjęcia nęcącej propozycji. Chciała zapłacić, lecz okazało się, że profesor ją uprzedził, gdy była w toalecie. Pożegnali się oficjalnie i chłodno.

Kiedy wróciła do domu, na palcach weszła do pokoju matki, by jej nie obudzić. Starsza pani nie spała.

– Czekałam na ciebie – powiedziała. – I jak było?

– No... niezbyt. Wyobraź sobie, że on przyszedł bez żony i zaczął mnie uwodzić. Namawiał do spędzenia z nim weekendu w jego letnim domku. Muszę przyznać, że bardzo mi się podobał i trudno było mi się oprzeć – zaśmiała się.

– Ach, Józiu, co ty opowiadasz?

– Nie martw się, mamusiu, nie umówiłam się z nim – uspokoiła matkę. – I powiem ci, że sprawiło mi to satysfakcję. To, że oparłam się pokusie. Właściwie zawsze w życiu szukałam przyjemności i nie wyobrażałam sobie, że miałabym się jakiegóż wyrzec. Po raz pierwszy stwierdziłam, że to daje ogromną satysfakcję.

– Wiesz, mam taką książkę o wyrzeczeniu – powiedziała jej matka. – Jest w niej podany przykład naukowego eksperymentu. Umieszczono w klatce szczura i dano mu do dyspozycji urządzenie, które drażniło w jego mózgu ośrodek odczuwania przyjemności. Okazało się, że zdechł w krótkim czasie, bo nie można było go odciągnąć od tego „cudownego” urządzenia, nawet pokarmem. Podobnie kończą ludzie, żyjący w nieustannej pogoni za przyjemnością. Uważaj, żebyś tak nie skończyła – pogroziła jej palcem. – W tej książce było o tym, jak nasz papież, wtedy jeszcze Karol Wojtyła, w swoim nauczaniu rozprawił się z tym powszechnym w dzisiejszych czasach rozumieniem szczęścia, mylącym się z chwilową przyjemnością, bo prawdziwe uczucie i dobro łączą się na ogół z wyrzeczeniem. Najczęściej właśnie wyrzeczenie się przyjemności pozwala uniknąć cierpienia, a przy tym zapewnia satysfakcję moralną. To jest prawdziwa przyjemność. Te zgubne „przyjemności” dostarczają tylko powierzchownej i krótkiej satysfakcji... No, zastanów się, co by ci to dało, gdybyś poszła z nim do łóżka. Trochę przyjemności i dużo wyrzutów sumienia wobec jego żony. Czowałabyś się jak ostatnia szmata. Przecież pamiętasz, jak to było z tym twoim psychiatrą... Nasz papież

twierdził, że dobro nie łączy się z przyjemnością, bo dość często przyjemność jest moralnie zła.

– Masz rację, mamusiu – stwierdziła Iza. – Jesteś bardzo mądra... Zauważyłam, że czytasz Pismo Święte, ale nie wiedziałam, że czytasz książki.

– Z pasją. Kupowałam wszystkie nowości, które pojawiały się w sklepiku przy naszej parafii.

*

Okazało się, że wycięcie macicy niewiele dało, gdyż przerzuty zaatakowały już niemal całe ciało chorej. Iza co dzień chodziła na mszę i gorąco modliła się o uzdrowienie matki. Miała nadzieję, że pomoże jej chemioterapia.

Natychmiast zadzwoniła do swojej gosposi, by z powrotem zajmowała się domem, a sama odwołała próby i termin recitalu. Zlikwidowała mieszkanie matki, przeniosła do jej pokoju jej ulubione sprzęty, religijne obrazy i książki.

Cały swój czas poświęciła matce, która czuła się bardzo źle. W krótkim czasie chemioterapia okazała się bezcelowa. Chora słabła i chudła w oczach, aż w końcu nie mogła podnieść się z łóżka. Iza zamówiła lekarza, który co dzień odwiedzał umierającą kobietę i wstrzykiwał jej morfinę, żeby nie cierpiała. Przesiadywała przy jej łóżku, czytała na głos jej ulubione katolickie gazety, Pismo Święte i religijne książki. Rozmawiała z nią całymi godzinami. Często popłakiwała, a wówczas matka pocieszała ją:

– Nie płacz Józiu, ja się nie boję śmierci. To będzie tak, jakbym przeszła przez jakieś drzwi. A dopiero tam, po drugiej stronie, zacznie się prawdziwe życie. Tu na ziemi to tylko takie próbne, w którym trzeba dużo wycierpieć, żeby zasłużyć na szczęście wieczne. Każdy człowiek jest od urodzenia ze śmiercią oko w oko, zwłaszcza w podeszłym wieku. Trzeba się z tym pogodzić.

– Nie mogę pogodzić się z tym, że mnie opuścisz! – buntowała się Iza.

– Dla wierzącego umieranie nie oznacza bolesnego rozstania, ale powrót do domu Ojca, w którym kiedyś się spotkamy.

– Ale jak ja mam żyć bez ciebie? – żaliła się jej córka.

– Tyle czasu żyłaś beze mnie – machnęła ręką starsza pani – i dalej będziesz. To szybko zleci i niedługo spotkamy się w niebie. Ty też już swoje grzechy odpokutowałaś. – Nie mamusiu, jeszcze nie odpokutowałam, to jest kara za to, że byłam wobec ciebie taka wredna, że nie chciałam się z tobą spotykać... Tylko dlaczego ty musisz za to zapłacić?

– Nie buntuj się, dziecino. To jest wola Boża. Trzeba ją pokornie przyjąć... No, nie płacz. Przeczytaj mi te słowa świętego Jana od Krzyża o śmierci.

Iza wzięła do ręki czarną książeczkę, leżącą przy łóżku matki, znalazła odpowiednie miejsce i wyrecytowała z przejęciem:

O słodkie żaru upalenie!

O rano pełna uczucia błogiego!

O rękę miłą, o czule dotknięcie, Co dajesz przedsmak życia wieczystego I splanasz hojnie wszystkie zaległości!

Przez śmierć wprowadzasz do życia pełności.

Pewnego wieczoru matka poprosiła ją, by sprowadziła księdza, który udzielił jej ostatniego namaszczenia i podał komunię. Po jego wyjściu spokojnie usnęła. Nazajutrz rano Iza stwierdziła, że matka nie żyje. Chociaż była na to przygotowana, to jednak ogarnęła ją rozpacz. Wybuchła szlochem.

Niesamowity ból ścisnął jej serce. Poczwała ogromny żal do Boga. „Dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego, dlaczego?” – powtarzała w myśli. „I to właśnie teraz, kiedy tak dobrze rozumialiśmy się, kiedy ona tak bardzo cieszyła się, że odzyskałam psychiczną równowagę, że chodziłam z nią do kościoła...”. Wtem przeszył ją strach. Poczwała się winna. „Tak, to kara za to, że ją przez tyle lat nienawidziłam. No... i za wszystkie inne moje grzechy. Ona przyjęła ją na siebie, żeby mi Bóg wybaczył” – myślała z rozpaczą.

Siedząc przy zwłokach matki przed pogrzebem, czwała wręcz jak z bólu krwawi jej serce. Modliła się żarliwie. Nagle... ogarnęło ją dziwne uczucie. Poczwała jakiś niewytłumaczalny, niezwykle, oszalamiający spokój, lodowato i kojąco przenikający wszystkie tkanki ciała, jakby unosiła się jako jedna z gwiazd gdzieś w promiennych przestworzach wśród galaktyk.

Trwało to krócej od westchnienia, niczym sygnał z wieczności niepodlegający ruchowi wskazówek zegara. Ocknęła się ze łzami wzruszenia, z przeświadczeniem, że oto – w zadziwiający sposób, jak za dotknięciem przycisku – jakiś niewidzialny palec odblokował w niej najgłębszą warstwę podświadomości, a raczej samo jądro jaźni, łączące ją ze wszechświatem, trwające niezmiennie, niezależnie od śmierci.

– Ona jest w niebie – wyszeptwała, odzyskując poczucie rzeczywistości.

Nie odczuwała już bólu. Nie rozpaczała. Była niewiarygodnie spokojna. Owa wizja podziałała jak zastrzyk znieczulający. Zrozumiała, że stało się coś nieodwołalnego, ostatecznego. Nie była przecież w stanie wskrzesić matki.

Siedziała nieruchomo przy jej łóżku, patrzyła na jej woskową, pomarszczoną twarz i odniosła wrażenie, że matka się uśmiecha. Dopiero teraz opuściła jej powieki.

Co to było? – zastanawiała się spokojnie. Co się ze mną działo? Straciłam z bólu przytomność? Czy to była jakaś mistyczna wizja?

Przeżyła niesamowity ból, niewyobrażalny żal. Cierpienie było tak przejmujące, tak druzgocące, że zerwało wręcz więź z dostrzegalną rzeczywistością. Przebiło się przez zmysły z nią łączące, przez całą zewnętrzną warstwę świadomości, poprzez nagromadzone w niej zło, przez cały ten śmietnik, zwany podświadomością, docierając do sedna, do tej jedynej jej istoty, która jest już tylko samym niewysłowionym spokojem. Spokojem przepelnionym poczuciem stabilności, niezachwianej pewności, nieskończonego wiecznie trwającego błogosławieństwa.

Nie był to tylko proces wewnętrzny. Ten sam spokój, który odczuwała, zatapiając się głęboko w sobie, otaczał ją dokoła. I tak jak podczas obłądu odgradzały ją od świata mętne opary, zamazujące jego kontury, tak teraz obejmowała ją krystaliczna, świetlista przejrzystość, wyostrojająca widzenie. Tak jak wówczas z wielkim mozołem posuwała się we mgle po ziemi, tak teraz szybowała niczym ptak po bezchmurnym niebie.

– Tak, to pewne – wyszeptwała – ona jest już w niebie.

Rozdział 27

Czucie i wiara

Podczas przygotowań do pogrzebu powtarzała bezwiednie słowa Mickiewicza z ballady „Romantyczność”: „Czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko”. Czowała w pewien osobliwy sposób obecność matki. Widziała jej ciepłe spojrzenie i pobłażliwy uśmiech, które tak bardzo lubiła. Gdy popłakiwała, myśląc o tym, że już nigdy jej nie zobaczy, matka strofowała ją, jak w czasach dzieciństwa:

– Nie płacz! Przecież nie stało się nic takiego!

Zastanawiała się, skąd wzięła się wiara, że po śmierci znów spotkamy naszych bliskich. Wszak w Piśmie Świętym trudno znaleźć potwierdzenie takiego przekonania. Nawet w przypadku małżeństw Chrystus wyjaśnił, że nie będzie tam ni zamężnych, ni żonatych. Dla niej oczywiste było, że po śmierci czeka nas zupełnie inna jakość życia, niepojęta i niewyobrażalna. Jedyne, co mówiły o tym życiu czytane matce na głos książki i co dla niej było pewne, to fakt pośmiertnego istnienia w Chrystusie, w Bogu, z Nim twarzą w twarz, nie zaś z tymi, z którymi żyło się na ziemi. Nigdy nie miała wątpliwości, że jej doczesne życie skończy się całkowicie i nieodwołalnie z chwilą śmierci, a to co przyjdzie po niej i będzie już wiecznie trwało jest niewyobrażalne. Przekonana była wprawdzie, że po śmierci czeka ją rekompensata za doczesne cierpienia, lecz nie wiadomo w jakiej formie. Trudno było jej uwierzyć, że na drugim świecie spotka matkę. Wiedziała, że to będzie coś innego, coś wspaniałego. Powtarzała w myśli cytaty zapamiętane z czytanych matce na głos Pisma Świętego: *Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują.*

Jednak zdawała sobie również sprawę z doniosłości ulotnej doczesności, fotografowanej w transcendentnym wymiarze i stanowiącej o tym, co trwałe i wieczne, a co wydaje się tak nieistotne, bowiem jest nieuchwytnie, całkowicie niematerialne.

Trudno sobie wyobrazić, myślała, wiecznie trwającą miłość bez przeżycia jej w doczesnym życiu. Jak uzmysłwić sobie to niewidzialne uczucie bez materialnych jej obiektów, to znaczy bez ludzi, których w tym życiu kochaliśmy? Liczy się jednak tylko niewidzialne i niematerialne. To jedynie trwa wiecznie i wiecznie żyje, tak jak to ujął święty Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian:

...i to, co nie jest, wyróżnił Bóg, by to, co jest, unicestwić, tak by się żadne stworzenie nie chlępiło wobec Boga.

Jaką wartość przedstawiałyby literatura, sztuka, muzyka, zastanawiała się, jeżeli rejestrowałyby tylko to, co realne? Liczą się jedynie dzieła usiłujące uchwycić niewidzialne byty i abstrakcyjne wartości. Dzieła te przechowywane są przez ludzkość jak drogocenne skarby, dostarczając najwspanialszych przeżyć coraz to nowym pokoleniom. A jednak są one paradoksalnie tym cenniejsze, im ściślej wiążą się z materialnym doświadczeniem. Czyż bez cielesnego Chrystusa i Jego cudownej Matki bylibyśmy w stanie dotrzeć do Boga, do abstrakcyjnego ducha miłości? Najbardziej abstrakcyjna jest muzyka. Umożliwia nam bezpośrednie połączenie z transcendencją, a pewne doskonałe utwory pochodzą wprost od Boga,

powstają poprzez zjednoczenie ludzkiej świadomości i duszy z Absolutem. Świetnie to ujął Pitagoras: „Muzyka ziemską jest odbiciem muzyki sfer”.

Nic jednak nie było w stanie, ani ukoić jej żalu, ani złagodzić wyrzutów sumienia. Postanowiła poszukać pocieszenia u sympatycznego proboszcza swojej parafii.

Poszła za nim po mszy do zakrystii i poprosiła o rozmowę. Po zdjęciu szat liturgicznych ksiądz Damian usiadł z nią przy stoliku i uważnie słuchał, co ona ma sobie do zarzucenia. Z jego rumianej, pełnej twarzy patrzyły na nią błyszczące oczy pełnym zrozumienia, dobrotliwym spojrzeniem. Gdy skończyła, zamyślił się przez chwilę, po czym rzekł:

– Pożądanie seksualne jest tak potężną siłą, że ulegają jej nawet księża i zakonnicy, chociaż ślubują czystość – pokiwał smutno głową. – Jeśli sumienie coś pani wyrzuca, należy je oczyścić w spowiedzi i starać się już nie czynić tego więcej. Ale jeżeli znowu pani upadnie, to znów trzeba się podnieść, no nie? – Uśmiechnął się. – I tak aż do śmierci... Niepotrzebnie czuje się pani winną śmierci matki i traktuje ją pani jakby to była kara za rozwiązałą przeszłość – spojrzał jej w oczy z dziwnym błyskiem, dotykając delikatnie jej dłoni.

Cofnęła ją i zaczerwieniła się.

Niepotrzebnie mu opowiedziałam o swych miłosnych aferach – pomyślała i dodała:

– Także za to, że jej przez wiele lat nienawidziłam.

– Kara lub nagroda spotyka nas dopiero na drugim świecie – kontynuował ksiądz. –

A na tym świecie nieszczęścia nie pochodzą od Boga, lecz są związane raczej z Jego brakiem. On nie generuje tragedii. Nam się wydaje, że śmierć to kara, często niesprawiedliwa. Ale należy na nią spojrzeć z szerszej perspektywy i zastanowić się, czy – być może – poprzez śmierć bliskiej nam osoby Bóg daje nam coś do zrozumienia.

Iza spojrzała na księdza pytająco.

– Osoba, która odeszła z tego świata, mogła już spełnić na ziemi wszystko, co miała do zrobienia – tłumaczył duchowny – a jej bliscy otrzymali pewien... zakodowany przekaz. Wszystko ma swój sens i każdy ruch Boga pociąga za sobą nie jeden, ale wiele skutków związanych z innymi ludźmi. Osoby kochane przez nas, odchodząc z tego świata, nie ponoszą kary, ale nagrodę za dobrze wykonane na ziemi zadanie, a ich śmierć ma uświadomić sens życia tym, co pozostają.

– Ale tak trudno to czasami pojąć – oponowała nieśmiało.

– A czy ktoś powiedział, że rozumienie świata jest łatwe? – rozłożył bezradnie ręce.

– Właśnie, proszę księdza, dlaczego umierają ludzie dobrzy i niewinni, a bandyci, mordercy, zbrodniarze cieszą się życiem, szczęściem i zdrowiem? – zadała mu naiwne pytanie.

– Nie nam to sądzić, miła pani – rzekł z naciskiem. – To rola Jezusa na sądzie ostatecznym. Bóg daje tym osobom szansę na poprawę i dlatego jeszcze żyją, by mogły się nawrócić – odpowiedział bez wahania.

– Jeśli już tak rozmawiamy – wtrąciła nieśmiało – to proszę mi powiedzieć, dlaczego dobry, kochający nas Bóg pozwala na to, żebyśmy cierpieli, dlaczego zabiera niewinne dzieciątko czy wspinała matkę. Czy oni zasługiwali na śmierć?

– No już mówiłem, że trudno jest nam śmiertelnikom to zrozumieć – zniecierpliwił się. – My, chrześcijanie, nie mamy wytłumaczenia, dlaczego ten świat jest pełen cierpienia. Dlaczego istnieją nieuleczalne choroby, nieszczęśliwe wypadki, katastrofy. Bóg nie dał nam żadnej logicznej odpowiedzi na to pytanie. Jedyłą jego odpowiedzią był... no cóż, Jego Syn, w którym przyszedł na świat, by cierpieć razem z nami...

– Proszę spojrzeć na ten krzyż. – Ksiądz Damian podniósł wzrok, wskazując na ścianę, na której wisiał krucyfiks. – Oto odpowiedź na nasze cierpienie – zakończył enigmatycznie.

Rozmowa ta nie tylko pomogła Izie w pogodzeniu się ze śmiercią matki, lecz równie zainspirowała do dalszych głębokich przemyśleń. Kobieta przypomniała sobie, że filozof Immanuel Kant dowodził, iż prawo moralne nakazuje nagradzać ludzi proporcjonalnie do ich cnoty. Skoro w życiu codziennym ludziom niecnotliwym lepiej się powodzi niż cnotliwym, to najwyraźniej w tym życiu nie można liczyć na taką nagrodę. Wnosił stąd, że musi istnieć inne życie, w którym cnota będzie nagrodzona. Jej prosta matka przekonana była, podobnie jak ów filozof, że idzie do nieba, gdzie odbierze nagrodę za pracowite, cnotliwe, pełne poświęcenia dla jedynej córki życie i za cierpienie, jakiego doznała z powodu odtrącenia przez nią. Dzięki temu nie bała się śmierci.

Rozdział 28

Wyuzdany seks

Izcie bardzo zależało na powrocie do opery, ale przedtem musiała odnieść sukces recitalami. Postanowiła więc zaniechać zażywania tabletek psychotropowych, po których nie była w stanie wykrzesać w śpiewie uczucia, a głos jej brzmiał matowo, tracąc swą fascynującą barwę. Z drugiej jednak strony obawiała się, że znowu zacznie się jej ukazywać Mefisto. Postanowiła jednak zaryzykować i odstawiła tabletki.

Na rezultat tej decyzji nie musiała długo czekać. W pewien wieczór siedziała na sofie w salonie, wyczerpana po próbie, gdy nagle się pojawił. Miał na sobie swą czerwoną pelerynę, lecz pozbył się rogów i podobny był do... księdza Damiana.

– Znowu mnie wezwałaś – odezwał się przyjemnym dla ucha głosem księdza.

Patrzyła na niego z upodobaniem. Uzmysłowała sobie, że w jej świadomości wyrzył się moment, w którym ksiądz dotknął delikatnie jej dłoni, gdy mu wyznała, że prześladowuje ją myśl, iż śmierć matki to kara, między innymi, za jej grzeszne miłostki. Zdała sobie sprawę, że wciąż wraca w myśli do tego momentu z zażenowaniem. Odczuła ów gest, jako danie jej do zrozumienia, że ksiądz chętnie... – Idź precz, przeklęty! – krzyknęła.

– Poczekaj, chcę ci oddać przysługę. Wiesz, dlaczego masz trudności ze śpiewaniem? Bo brak ci seksu. Tak seksu! Wiem, wiem, nie uznajesz seksu bez miłości.

Ale bliska jesteś zakochania...

– Skończyłam z tym na zawsze – rzekła smutnym tonem. – Odejdź – dodała niezbyt zdecydowanie.

– Wcale tego nie chcesz. Po śmierci matki nie masz już nikogo poza mną. Posłuchaj: sam Bóg dał ci do zrozumienia, że musisz mieć kochanka...

– Przestań kusić! – przerwała mu przerażona.

– Przypomnij sobie – ciągnął dalej. – Obiecałaś Bogu, że wyrzekniesz się miłości erotycznej, jeśli twoja matka nie umrze, prawda?

– No tak.

– Więc skoro umarła, to prosty wniosek, że Bóg tego nie chce.

– Ale... nie mam nikogo – zawahała się.

– Jak to? A ksiądz? Przecież marzysz o nim.

– Bzdura! – krzyknęła oburzona. – Jeszcze by tego brakowało, żebym uwodziła tego świętego człowieka. Czuję przed nim respekt.

– Świętego? Cha, cha, cha! – zaśmiał się kpiąco diabeł. – Co ty o nim wiesz? To dobry numer... Posłuchaj: Wyobraź sobie, że nie cofasz ręki w momencie, gdy on jej dotknął. Wtedy on przesuwając dłoń wzdłuż twojego ramienia w górę, wkłada ją do dekoltu i pieści twoje piersi. Nie reagujesz, bo sprawia ci to przyjemność, po czym on wstaje z miejsca, podchodzi do ciebie, podnosi cię z krzesła, na co ty w dalszym ciągu nie reagujesz, lecz gdy obejmuje cię i zaczyna całować...

– Przestań! – Zachichotała nagle. – Miałabym zostać kochanką księdza?

– Widzisz. – Mefisto uniósł triumfująco głowę. – Sama myśl o tym cię podnieca...

Wiem coś o nim. To wspaniały kochanek. On potrafi ciebie zaspokoić. Moja w tym głowa, by was połączyć... Żegnaj i życzę błogich marzeń o Damianie.

Znikł, a Iza poczuła podniecenie. Brakowało jej seksu. Śnił się jej po nocach. Miewała orgazmy we śnie. Przypomniła sobie słowa księdza o potędze seksu, któremu ulegają również osoby duchowne i pomyślała, że chciał jej dać w ten sposób do zrozumienia, że...

W tym momencie odezwał się kurant ze „Strasznego dworu” stanowiący sygnał jej komórki.

– Szczęść Boże – usłyszała – tu ksiądz Damian. – Pomyślałem, że może należałoby odwiedzić panią i pocieszyć, bo była pani w niedzielę tak bardzo załamana.

– Dziękuję za telefon – odpowiedziała zdławionym głosem, czując, jak serce podskakuje jej do gardła. – Istotnie wciąż nie mogę otrząsnąć się z żałoby... Oczywiście, chętnie z księdzem o tym porozmawiam.

– Mógłbym wpaść teraz, bo mam chwilę czasu.

W tym momencie mignął jej przed oczami Mefisto.

– Niestety, jestem bardzo zajęta.

– To wpadnę innym razem.

– Lepiej porozmawiajmy po mszy w zakrystii, jak mi będzie ciężko na duszy.

– Dobrze. Czekam w niedzielę. Z Bogiem.

Gdy odłożyła słuchawkę, zrobiło się jej ciemno przed oczami i ujrzała groźną sylwetkę swego prześladowcy.

– Chcesz znowu stracić głos? – spytał ostrym tonem.

– Odejdź. Odczep się wreszcie ode mnie. Nie dam zrobić z siebie dziwki!

– Przypomnij sobie, kto ci przywrócił głos, kiedy nie mogłaś nawet mówić.

– No... chyba ty – odpowiedziała po namyśle. – Ale co to za głos? Jak ja teraz śpiewam?

– Bo nie oddałaś mi się całkowicie, tylko wciąż szukasz ratunku u Boga. A on, jak widzisz, nie chce ci pomóc.

Wiesz dlaczego zmarła twoja matka?

– Miała nowotwór.

– Bóg zabrał ją do siebie, bo byłyście obie zbyt świętobliwe. Wkrótce i ciebie zabierze z tego świata, jeśli nie zawrzesz ze mną paktu.

– Idź precz! – krzyknęła, trzęsąc się ze strachu.

– Poczekaj. Mam tylko jedno pytanie: czy chciałabyś wrócić na scenę?

– O niczym innym nie marzę – szepnęła szczerze i ciężko westchnęła.

– To radzę ci mnie posłuchać i przespać się z księdzem. Dotrzymałem słowa, przywróciłem ci głos. Jeśli to zrobisz, przywrócę ci też zdolność śpiewania. Tylko pamiętaj, niech ci nie przyjdzie do głowy zażywanie tabletek. Do zobaczenia.

Znikł, zapanowała jasność. Iza długo jeszcze siedziała na kanapie i zastanawiała się nad tym, co powiedział. To jednak nie są halucynacje. On naprawdę istnieje. Przecież już nikt mnie niczym nie zatruwa. No tak, jednak Norbert mówił, że po takim przedawkowaniu amfetaminy bez zażywania leków psychotropowych do końca życia będę miała schizofrenię. Dobrze, ale wcześniej mówił też, że po tych lekach przestanę być śpiewaczką... Z zamyślenia wyrwał ją sygnał komórki. Drżącą ręką podniosła ją ze stolika i przyłożyła do ucha.

– Mówi ksiądz Damian. Chciałem się tylko jeszcze upewnić, czy w dalszym ciągu ma pani te nieuzasadnione wyrzuty sumienia.

– O tak! To nigdy nie minie.

– Może jednak wpadłbym, żeby pomóc pani w oczyszczeniu sumienia. Mam w tym

wprawę. Mogłaby się pani wypowiadać.

To nie jest zły pomysł, pomyślała. Powiedziałabym mu o diable. Kto, jak nie ksiądz powinien coś o tym wiedzieć.

– Dobrze. Czekam – rzekła zdławionym głosem, bo w tym momencie przyszło jej do głowy, że chyba musi się z nim przespać, żeby odzyskać zdolność śpiewania.

Gdy go ujrzała, stanęła jak wryta. Miał na sobie dzinsy i czerwoną sportową koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Był to niezbyt urodziwy mężczyzna z byczym karkiem, odstającymi uszami i wygoloną jak u rekruta głową, którą wysuwał do przodu niczym kogut żądny walki. W rękę trzymał bukiet, skomponowany z różnych kwiatów.

Pewnie wziął je z ołtarza – przemknęło jej przez głowę.

– O jakie piękne! – zachwyciła się. – To dla mnie?

– Oczywiście – odpowiedział. – W hołdzie dla pani talentu.

Spojrzała na jego imponujące barki i opięte wąskie biodra. Poczowała podekscytowanie jak przed niezwykłą przygodą.

– Zapraszam do salonu – powiedziała, siląc się na obojętny ton. – Właśnie zaparzyłam kawę. Napije się ksiądz?

– Chętnie – odpowiedział.

Siedzieli naprzeciw siebie, on w fotelu, ona na kanapie. Popijali kawę i patrzyli sobie pytająco w oczy.

– Wciąż odczuwa pani przygnębienie? – spytał wreszcie ksiądz.

Westchnęła ciężko.

– Ale nie ma już pani wyrzutów sumienia?

– Wciąż je mam.

– Niepotrzebnie. Nie ma nic bardziej głupiego i niszczącego niż wyrzuty sumienia – zaczął jej żarliwie tłumaczyć. – Pozbycie się ich to podstawa zdrowia psychicznego, samorealizacji. Musi się pani z tego otrząsnąć, to nie ma sensu. Przecież wytłumaczyłem pani, jak nieracjonalne jest obwinianie się, że śmierć matki stanowi jakąś karę.

– No, jeśli ksiądz tak mówi – zgodziła się.

Wstał z fotela i usiadł koło niej na sofie.

– Musi się pani wreszcie zrelaksować – powiedział słodkim tonem. – Przyszedłem panią pocieszyć.

Ujął pieszczotliwie jej dłoń i przysunął się do niej tak blisko, że zawadził łokciem o jej pierś, a następnie położył swą ciężką rękę na jej udzie. Zauważyła, że na jego czole zaczęły pulsować niebieskie żyłki.

– Zrelaksuj się, dziecino – szepnął, zsuwając ramiączka jej sukni, pod którą nie miała bielizny i zaczął całować jej piersi. Poczowała niesamowite podniecenie. Podekscytowana czekała, co będzie dalej. Jednak gdy wsunął rękę między jej kolana, zawahała się i odsunęła się od niego. Przeraziła się, że jak ostatnia dziwka, tak szybko odda mu się bez najmniejszych skrupułów.

– Ależ uspokój się, dziecko – zachichotał zmysłowo.

– Chyba nie myślisz, że zamierzam cię zgwałcić.

Sama mi się oddasz z rozkoszą, pomyślał, wyobrażając sobie, jak tłamsi tę subtelną, wykwinłą artystkę o twarzy madonny. Czuł ogromną radość i satysfakcję, widząc jej podniecenie. Nie przypuszczał, że pójdzie mu to tak łatwo.

Przyciągnął ją gwałtownie do siebie i ściągnął z niej sukienkę.

Nie opierała się, drżąc na całym ciele.

– Co ksiądz robi? Przecież... – wyszeptała.

Zamknął jej usta pocałunkiem, zwalając się na nią całym ciężarem swego potężnego ciała. Nie broniła się, gdy ją posiadł z dzikim krzykiem. Jednak pozostała niezaspokojona, gdyż mężczyzna w krótkim czasie odsunął się od niej bez słowa. Poczuli się upokorzona. Zaczęła płakać.

– Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś mnie tak potraktować? – Walila go pięściami po piersiach.

– Ty szmato! – krzyknął. – Nie udawaj dziewicy orleańskiej. Sama mnie zaprosiłaś. Doskonale wiedziałas, o co chodzi.

Nagle wpił się ustami w jej wargi sromowe i po chwili ponownie odbył z nią stosunek. Tym razem przeżyła długi orgazm.

– Jesteś wspaniała – zasypywała go pocałunkami.

– No widzisz i dlaczego płakałaś – powiedział chełpliwie. – A to jeszcze nic. To tylko przygrywka. Prawdziwą grę mamy przed sobą. Zostanę u ciebie na noc. Będziesz mdła z rozkoszy.

Po tej nocy Iza oszalała. Spotykali się często. Połączył ich wyuzdany seks, jakiego nigdy dotąd nie uprawiała. Pocieszała się, że teraz diabeł przywróci jej zdolność śpiewania. Ale nabrała obrzydzenia do siebie. Po raz pierwszy uprawiała seks bez miłości. Stała się nerwowa, przeżywała stany depresyjne. Czuli się tak fatalnie, że przesunęła terminy koncertów. Do opery posyłała zwolnienia lekarskie. Zdawało się jej, że jest bezpieczna, gdyż miała kontrakt na pięć sezonów operowych. Jednak dyrektor zagroził jej zerwaniem go, jeśli w nowym sezonie nie zgłosi się w teatrze.

Z jednej strony dręczyło ją sumienie, a z drugiej nie potrafiła wyrzec się seksu, w którym znajdowała zapomnienie o swej trudnej sytuacji i samotności. Była całkowicie rozdwojona. Raz wzywała Boga, by uwolnił ją od tego uzależnienia, a innym razem szatana, aby przywrócił jej zdolność śpiewania.

– Spełniłam twój warunek, jednak nie dotrzymałeś obietnicy – wyrzucała mu. – Śpiewa mi się coraz gorzej, chociaż nie zażywam tabletek przepisanych przez psychiatrę.

Wciąż na nowo zrywała z księdzem, lecz on był świetnym psychologiem, zawsze potrafił ją znowu skusić i wyperswadować jej poczucie winy.

– Przecież my w ogóle nie grzeszymy – przekonywał ją. – To nie jest cudzołóstwo. Tylko ono jest grzechem według dekalogu. A my, oboje jesteśmy wolni. To zakonnicy ślubują czystość, księża jedynie bezżenność. Chodzi o to, żeby parafianie stanowili ich rodzinę, żeby dbali o nich jak o bliskich... Niepotrzebnie zadręczasz się wyrzutami sumienia. Wszak Chrystus wybaczył nawet jawno grzesznicy. Zresztą... przez śmierć na krzyżu usprawiedliwił nasze grzechy. Jego ofiara jest wystarczająca.

Z upływem czasu znenawidziła Damiana. Czuli do niego odrazę, która miała smak żółci w ustach. Na samą myśl o nim robiło się jej niedobrze i dusiło w gardle, tak jakby miała wymiotować. Coraz częściej odnosiła wrażenie, że jest on podobny do Mefista. Wykręcała się od spotkań, w końcu zerwała z nim ostatecznie.

Rozdział 29

Medytacja

Nie chodziła na mszę, gdyż nie była w stanie patrzeć, jak Damian ją odprawia. Pewnej niedzieli postanowiła pojechać do bazyliki Mariackiej. Usiadła blisko ołtarza, żeby jak najlepiej uczestniczyć w nabożeństwie. Jednak nie mogła się skupić i modlić. Gdy ksiądz rozpoczął kazanie, zauważyła z przerażeniem, że z ust zwisa mu czerwony jęzor i toczy się piana.

Przerażona szybko zamknęła oczy.

Znowu mam halucynacje – przeraziła się.

Wstała i wyszła z kościoła. Podczas drogi powrotnej zdawało się jej, że za kierownicami innych aut siedzą upiory. Odnosiła wrażenie, że znalazła się w piekle pełnym potępieńców. Z trudem dojechała do domu.

Po wejściu do środka odniosła wrażenie, że znajduje się w cudzym mieszkaniu. Wszystko tu było obce, ponure, przerażające. Położyła torebkę na szafce pod lustrem w przedpokoju i weszła do łazienki umyć ręce. Po odkręceniu kurka poczuła jakiś chemiczny zapach, mydło też było czuć czymś nieprzyjemnym. Przerażona weszła do kuchni, by przygotować obiad, gdyż gosposia w weekendy miała wolne. Otworzyła lodówkę i wyjęła z niej mięso. Poczula przykry zapach, zebrało się jej na wymioty.

Boże, w tym domu wszystko jest zatrute. Ktoś tu musiał być podczas mojej nieobecności – pomyślała.

–Diabeł! – krzyknęła na głos. – To on tu był!

Nagle zaczęła słyszeć głos Mefista:

–Niczego nie jedz i nie pij. Uciekaj z tego domu! Uciekaj, uciekaj, uciekaj!

Boże, jestem w piekle! Słyszę wyraźnie głos szatana!

Mefisto upierał się:

–Uciekaj z tego domu, uciekaj!

Tak jak stała wybiegła przed dom i ruszyła wprost przed siebie. Na ulicy nie było żywej duszy. Gdy chciała skręcić, głos rozkazał:

–Nie tędy! Wracaj!

Pobiegła w przeciwną stronę, ale gdy doszła do rogu, znów usłyszała rozkaz:

–Wracaj!

Biegała po ulicy jak opętana tam i z powrotem, wciąż słysząc upiorny głos nie pozwalający jej na wydostanie się stamtąd. Zdawało się jej, że w powietrzu unosi się jakiś duszący gaz.

Lepiej już wróć – postanowiła.

Zdyszana wpadła do domu. Weszła do sypialni i w ubraniu położyła się na łóżku, by odsapnąć. Przymknęła oczy. Widziała jakieś upiorne twarze i słyszała obelżywe przekleństwa. To było nie do zniesienia.

Ale byłam głupia – myślała w panice – wyobrażałam sobie, że to halucynacje, że diabeł nie istnieje, a to przecież on mnie opętał. Tak, tak. Jestem skazana na wieczne potępienie. Sądziłam, że Damian jest księdzem, tymczasem to był szatan w ludzkim ciele... Sypiałam

z diabłem. Nie jestem już w stanie odpokutować swej winy.

Nigdy już nie zasłużę na życie wieczne. Klamka zapadła. Wszystko skończone. Nigdy już nie spotkam się z mamusią w niebie... Nigdy już nie będę śpiewała. Nigdy już nie zaznam miłości. To po co mam żyć?

Wstała z łóżka, weszła do łazienki i wyjęła z apteczki tabletki nasenne. Napelniła wodą kubek do mycia zębów. Powolutku, jedną po drugiej, zażyła całe opakowanie, po czym położyła się w salonie na kanapie.

*

Obudziła się w szpitalnej sali. Obok jej łóżka siedział ksiądz Damian.

– A ty co tu robisz? – przeraziła się. – Jak ja się tutaj znalazłam?

– Przywiozłem cię, bo byłaś nieprzytomna. Na szczęście zjawiłem się u ciebie w porę, ponieważ nie odpowiadałaś na moje telefony. Zastałem otwarte na oścież drzwi. Leżałaś bez czucia na kanapie. Od razu cię tu przywiozłem i zrobiono ci płukanie żołądka, po czym usnęłaś już zdrowym snem z oczyszczonym z tabletek żołądkiem.

– Ale to nie jest klinika psychiatryczna?

– To jest normalny szpital, tyle że katolicki – odpowiedział spokojnie. – Nie bój się, nikt cię nie wyśle na psychiatrię. Zrobią ci tu badania i jeśli wszystko będzie w porządku, wrócisz do domu.

– To dobrze – uspokoiła się. – Zrozum, nie jestem chora psychicznie, tylko opętana przez szatana. Ty też jesteś diabłem. Potrzebowałabym dobrego księdza, który odprawiliby egzorcyzmy.

– Głupstwa pleciesz – uspokajał ją. – Diabeł nie istnieje. To były halucynacje.

– Idź precz, szatanie! – krzyknęła. – Mówiłam ci, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! Żebyś mi się więcej nie pokazywał na oczy!

– Okay, nie będę już cię nachodził, nigdy już mnie nie zobaczysz. Nie chciałbym mieć ciebie na sumieniu – rzekł spokojnie i wyszedł.

Nareszcie skończyłam z tym potworem – pomyślała z ulgą.

Ale... co to było? – zastanawiała się, gdy sobie poszedł. Pamiętała wszystko doskonale, aż do momentu zażycia tabletek nasennych. Leżała spokojnie, wsłuchując się w siebie. Ale nic. Nie słyszała już tego przeraźliwego głosu Mefista. Przypomniała sobie, że gdy była w Kobierzynie, to wszystkie niedoszłe samobójcznie traktowały targnięcie się na życie jako opętanie.

Tak, to było opętanie – pomyślała z przekonaniem. – Ale minęło, bo uwolniłam się wreszcie od tego diabła w ludzkim ciele.

Nigdy dotąd nie wierzyła w szatana. Traktowała go jako abstrakcyjnego złego ducha. Wiedziała, że te wszystkie rozmowy z nim to halucynacje, ale teraz doszła do wniosku, że to było ostrzeżenie, by wiedziała, że po śmierci pójdzie do piekła, jeśli nie przestanie grzeszyć.

Leżała w dwuosobowej sali, lecz jej młoda, przyszczata i przeraźliwie chuda towarzyszka nie odezwała się do niej ani słowem. Siedziała na skraju łóżka, prawą stopę miała opartą na lewym udzie. Nie zareagowała, gdy Iza przedstawiła się i usiłowała nawiązać rozmowę.

Śpiewaczka przyglądała się jej przez chwilę, po czym uklękła, żeby podziękować Bogu za uratowanie od śmierci, za szansę skończenia z niemoralnym prowadzeniem się i odpokutowania grzechów.

W tym momencie dziewczyna nagle przemówiła.

– Modlitwa nic nie daje – powiedziała ochryplym głosem. – Dawno z tym skończyłam. Tylko medytacja ma sens. – Wzniosła oczy ku niebu. – Dzięki niej można odkryć tajemnicę ponadczasowego życia, osiągnąć siłę duchową, która wzbudza zdolność samoleczenia... Bez tego żaden lekarz nie pomoże.

– Nigdy nie próbowałam medytować – powiedziała zdziwiona Iza.

– Dlatego jesteś chora. Powiedz, co ci jest.

– Jestem wariatką. Miewam halucynacje. Rozmawiam z diabłem. Nie potrafię już śpiewać.

– Poczekaj. Usiądź na łóżku – rozkazała dziewczyna. – To bardzo proste.

Bez sprzeciwu wykonała rozkaz, a jej towarzyszka zaczęła ją instruować:

– Siedź sobie wygodnie. Tak, dobrze. Teraz połóż prawą stopę na lewym udzie.

Iza wykonała jej polecenie.

– Okay. Weź głęboki wdech... Spokojnie. Zrób to jeszcze raz i... jeszcze raz. Nie wymuszaj oddechu! – zdenerwowała się. – Po prostu... oddychaj sobie. No, wreszcie dobrze. Skieruj całą uwagę na oddech. Kiedy zauważysz, że twój umysł powędrował w inne miejsce, że twoja uwaga jest skupiona na czymś innym niż oddech, zacznij się na nim znowu skupiać. Rób to tak długo, aż przestaniesz odrywać się od oddychania... I praktykuj co dzień przez piętnaście minut... Możesz też trzymać kolana na szerokości ramion, a stopy mocno oprzeć na podłodze. Ale myślę, że najlepsza jest ta pozycja z jedną stopą na udzie...

– Nie, nie – przerwała jej Iza. – To mi nie wychodzi. I w ogóle – nie jestem przekonana do medytacji. Wie pani, chciałabym raczej kontemplować...

– Jaka pani? – przerwała jej dziewczyna. – Jestem Kasia.

– Wiesz, Kasiu – poprawiła się Iza – niedawno zmarła moja matka. Kiedy nie mogła już podnieść się z łóżka, czytałam jej różne religijne książki. I jedna była właśnie o kontemplacji. Katolicka kontemplacja to co innego niż medytacja. Stawia na osobiste przeżycie, którego nie może zagwarantować żadna technika, żadne skupianie się na oddechu, czy coś w tym rodzaju, a jedynie osobowa więź z Bogiem.

– Eee – skrzywiła się Kasia – to są bzdury. – Izo, minęły czasy katolickich mistyków obcujących bezpośrednio z Bogiem. Z takim nastawieniem musiałyby żyć w średniowieczu... Istnieje jednak inna droga połączenia się z transcendencją. Właśnie medytacja.

– Ależ ja obcowalam z Bogiem, kiedy śpiewałam.

– Wiem, wiem – przerwała jej dziewczyna lekceważąco. – Nieraz widziałam cię w telewizji, kiedy ją jeszcze oglądałam, bo teraz już skończyłam z tym debilnym zabijaniem czasu.

– Ach tak – powiedziała Iza. – Ale wróćmy do tematu. Wiesz, naprawdę, kiedy śpiewałam, byłam zjednoczona z Bogiem. Jednak teraz... przestałam śpiewać – zwiesiła ze smutkiem głowę. – Diabeł mi nie daje. Opętał mnie. – Izo, ty musisz zejść na ziemię. Mówię ci, jak przestaniesz myśleć o Bogu, to i diabeł odczepi się od ciebie... No, zastanów się. Wszystko co dobre związane jest ze złem. Na przykład seks. Taki wspaniały, a równocześnie strasznie zły. I tak jest ze wszystkim, co dobre. Po prostu Bóg połączony jest z szatanem. Nerozerwalnie. Od Boga trzeba trzymać się z daleka, jeśli nie chce się mieć nic wspólnego z diabłem. Między nimi istnieje tylko pozorna różnica.

– Co ty sobie wymyśliłaś?! – oburzyła się śpiewaczka. Nie pamiętała już, że w więzieniu ją również nachodziły podobne myśli.

– Posłuchaj. Ja też jestem religijną osobą. W każdym razie pochodzę z takiej rodziny, dlatego znalazłam się w tym szpitalu. Wiele się naczytałam i nagłowiłam nad związkim

Dobra ze Złem. Stary Testament mówi jasno i wyraźnie, że sprawcą zła jest Bóg. W Księdze Amosa czytamy: „Czyż zdarza się w mieście nieszczęście, którego by Pan tego nie sprawił?”

- Naprawdę jest takie stwierdzenie w Biblii? – zdumiała się Iza.
 - Naprawdę. Słuchaj dalej. Szatan Starego Testamentu, oprawca Hioba, był sługą Boga do brudnej roboty, nie był jednak wrogiem Boga. Nowy Testament podsuwa obraz diabła, który jest zarówno przeciwnikiem Boga, jak i wykonawcą Jego woli. Ciekawe, co?
 - No tak. Nie znam wprawdzie tak dobrze ani Starego, ani Nowego Testamentu, ale wierzę ci na słowo.
 - A po co miałabym kłamać?
 - Dobrze. Mów dalej, skoro tyle się o tym naczytałaś i nagłowiłaś.
 - Powiedz mi, jak pogodzić istnienie dobrego Boga ze złem świata, który został przez niego stworzony.
 - No, też się nieraz nad tym zastanawiałam, ale nie znalazłam odpowiedzi na to pytanie.
 - A widzisz. Kościół katolicki naucza, że w świecie potrzebne jest zło, głosząc jednocześnie, że jest jeden wszechmogący Bóg. Jak to pogodzić? Klasyczne sformułowanie tego dylematu należy do epikurejczyków. Twierdzili oni, że skoro świat jest pełen zła, to Bóg jest albo zły, albo bezsilny, albo jedno i drugie. Gdyby Bóg był wszechmocny, wszechwiedzący i nieskończenie dobry, potrafiłby stworzyć świat bez zła, co więcej, chciałby to uczynić. A jeżeli nie chciał, to sam jest zły. Logiczne? Tak czy nie?
 - No niby tak. Ale trudno mi pogodzić się z twierdzeniem, że Bóg jest zły.
 - Jest niesamowicie zły. Stworzył naturę i ludzkość, w której agresywni pożerają łagodnych. Najlepszego, najbardziej kochającego człowieka skazał na śmierć krzyżową za grzechy „swoich wybranych, których i we śnie darzy”. To cytat ze Starego Testamentu. A życie wskazuje na to, że do jego wybranych należą tylko źli ludzie. Świadczą o tym tragedie i straszliwe choroby, które spotykają niewinne dzieci i dobrych, kochających ludzi, zwłaszcza głęboko wierzących, jak ci wszyscy chrześcijanie mordowani przez dżihadystów podczas, gdy się modlą w swoich świątyniach. Dlatego ta biedna Matka Boska we wszystkich objawieniach wylewa łzy i błaga Go o zlitowanie.
 - Za mało wiem na ten temat – rzekła Iza. – Nie zagłębiałam się nigdy w takie teologiczne problemy, więc dajmy lepiej spokój tej dyskusji.
- Zapadło milczenie. Kasia zaparzyła herbatę, którą poczęstowała Izę.
- Tym się leczę – oznajmiła. – I radzę ci, żebyś robiła to samo. To jest herbatka z pestek moreli. Dam ci ich cały worek. Utrzymaj je na drobny maczek, zaparżaj co dzień i pij.
 - I to mnie uzdrowi? – zaśmiała się śpiewaczka. – Może przywróci mi dobry głos?
 - Całkiem możliwe – odpowiedziała poważnie dziewczyna. Ale... oprócz tego musisz jeść bób, soczewicę, jagody, migdały, kaszę, brązowy ryż... Zrobię ci cały spis. Wprowadzisz to wszystko do codziennej diety, koniecznie wegetariańskiej...
 - Nie rozśmieszaj mnie – przerwała jej zniecierpliwiona Iza.
 - Przestań marudzić. Kobieto, wielu lekarzy światowej sławy leczy witaminą B17 znajdującą się w tych produktach... Posłuchaj. Kiedyś nasze babcie, jak robiły weki na zimę, kładły owoce z pestkami. Nie wiedząc o tym, dostarczały swoim rodzinom witaminy B17. Natomiast nasze mamy pestki już wyjmowały, bo wmówiono im, że w pestkach jest cyjanek, czyli kwas pruski. Panika przeniknęła oczywiście, jak zwykle, ze Stanów. Dlatego dzisiaj tysiące Amerykanów potajemnie wyjeżdża leczyć się do Meksyku i... wracają zdrowi... Musisz, koniecznie musisz mnie posłuchać.
 - No dobrze – zgodziła się dla świętego spokoju. – Zastosuję się do twojej diety.

– Zobaczysz, w krótkim czasie nie będzie śladu po twoich depresjach czy psychozach – zapewniała ją dziewczyna z zapalem. – Ale to nie wszystko. Musisz jeszcze co dzień przez piętnaście minut medytować. Koniecznie.

– Ja nie umiem. Przecież próbowałyśmy. Nie wychodzi mi to. A poza tym ja wierzę w katolicką kontemplację.

– No właśnie. – Kasia bezradnie rozłożyła ręce. – To przede wszystkim musisz sobie wybić z głowy, bo źle skończysz. Wiem coś na ten temat, też kiedyś taka byłam.

Zaczęła opowiadać o sobie. Okazało się, że ukończyła dwa fakultety na Uniwersytecie Jagiellońskim, prawo i anglistykę, a mimo to pracowała w recepcji jednego ze śródmiejskich hoteli na pół etatu, tak jak w okresie studiów i w dalszym ciągu mieszkała w wynajmowanym w czasach studenckich pokoiku.

– Z takim wykształceniem nie możesz sobie znaleźć lepszej pracy?

– W ogóle jej nie szukam – wzruszyła ramionami dziewczyna. – Mnie jest tak dobrze, a ktoś inny potrzebuje miejsca, które mogłabym zająć. Jestem wolna jak ptak, mogę robić to, co mi sprawia przyjemność, studiować angielskie dzieła literackie i filozoficzne, polską klasykę, uczyć się języków. Teraz na przykład uczę się francuskiego.

– Nie rozumiem. To znaczy, że w ogóle nie starasz się o jakieś lepsze zajęcie? – pytała dalej zdumiona Iza.

– No powiedz, co by mi z tego przyszło? – wzruszyła ramionami. – Nie potrzebuję pieniędzy. Nie lubię się stroić, nie lubię podróżować. Tu w Krakowie mam wszystko, co mi do szczęścia potrzebne. Kocham to miasto, od pierwszego roku studiów jeszcze nigdy nie ruszyłam się z niego...

– Jak to? Mówiłaś przecież, że twoi rodzice mieszkają w Gdańsku. Nie odwiedzasz ich?

– Nie – zaprzeczyła ze stoickim spokojem. – Nienawidzę ojca, nie mogę na niego patrzeć, a matka przyjeżdża do mnie od czasu do czasu.

– Zupełnie cię nie rozumiem... To jest jakaś apatia, musisz się z tego otrząsnąć, naprawdę – zaniepokoiła się śpiewaczka.

– Przestań! – zdenerwowała się Kasia. – Mówisz, jak moja mama.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłam, ale... wybacz... może ty też cierpisz na depresję?

– Żartujesz chyba. – Roześmiała się w głos. – Jestem najszcześniejszym człowiekiem w świecie.

– No dobrze, to co tu robisz, jeśli nic ci nie dolega?

– Ach, to pomyłka – dziewczyna machnęła ręką. – Z powodu mojej mamy, której coś odbiło i umieściła mnie tutaj, żebym przeszła badania. Mam doskonałe wyniki. Jutro już wychodzę.

Rozdział 30

Kosmiczna świadomość

Podczas pobytu w szpitalu Iza rozmyślała o kontemplacji. Chwyliła się jej jak tonący brzytwy.

Gdybym potrafiła kontemplować, to chyba odczepiłby się ode mnie szatan – rozmyślała. A wtedy znów byłabym z Bogiem i mogłabym śpiewać. Ale niestety... mam zatrutą wyobraźnię – wdychała ciężko. – Tych obrzydliwości z Damianem nie da się z niej wymazać... Fuj, ohyda! A poza tym... za mało miłości mam w swoim wypalonym sercu, a to jest przecież podstawowy warunek kontemplacji.

Boże, obdarowałeś mnie wielkim talentem, pięknym głosem, za co ci gorąco dziękuję, modliła się w myśli. A szatan zabrał mi to wszystko. Ale przecież jesteś od niego silniejszy, uratowałeś mnie od samobójstwa, do którego on mnie doprowadził. Uwolnij mnie od niego. Pozwól mi przeżyć to uczucie miłości, które mnie tak długo prowadziło przez życie. A wtedy znowu będę śpiewała. Bez tego uczucia to jest niemożliwe.

Po powrocie do domu wyjęła z półki jedną z czytanych matce książek, która wywarła na niej duże wrażenie. Znalazła odpowiednie miejsce i przeczytała:

Kontemplacja to najwyższa forma życia intelektualnego i duchowego człowieka. Właśnie to samo życie w pełni przebudzone, w pełni świadome, jest żywe. To duchowe zachwycenie. To spontaniczny, połączony z lękiem zachwyt nad świętością życia i istnienia.

To żywe zrozumienie faktu, iż życie i istnienie w nas wypływa z niewidzialnego, transcendentnego i nieskończonego źródła. Zna ona źródło, w sposób zaciemniony, nie do wytłumaczenia, ale z pewnością wykraczający poza rozum i prostą wiarę. To większa głębia wiary, poznanie zbyt głębokie, by je uchwycić w obrazach, słowach, czy choćby jasnych pojęciach...

Piękne – pomyślała, przerywając czytanie – ale nieosiągalne. Chyba tylko święci potrafią tak medytować.

W każdym z nas istnieje Mozart, który będzie zbawieniem naszym – przeczytała w innym miejscu. Istotnie, zdarzało się, że śpiewając utwory religijne Mozarta odczuwała radość zbawienia. Ich dźwięki płynęły wprost z jej serca zjednoczonego z sercem kompozytora, dyrygenta i orkiestry, wywołując uczucie szczęścia zmartwychwstania.

Dowiedziała się, że kontemplacja polega na „skupieniu serca”. Święty Jan od Krzyża określił ją jako „milczącą miłość”. Odbywa się w milczeniu, lecz dochodzi się do niej poprzez modlitwę, psalmy kontemplacyjne, muzykę i sztukę sakralną, rozważanie Pisma Świętego, adorację Najświętszego Sakramentu itp.

Z zapalem zabrała się do stosowania tych zaleceń. Miała nadzieję, że pomogą jej w uwolnieniu się od szatana i odzyskaniu dobrej kondycji wokalne. Co dzień wchodziła do pokoju matki, w którym niczego nie zmieniała, i modliła się, czytała Pismo Święte i inne religijne książki, słuchała najwybitniejszych utworów muzyki religijnej. Chodziła też po kościołach. Nie potrafiła tylko zbyt długo wysiedzieć podczas adoracji Najświętszego Sakramentu. Myślała wówczas o swej niemocy i szybko wychodziła, by odpędzić smutne myśli.

Pewnego wieczoru siedziała w pokoju matki i usiłowała kontemplować po przeczytaniu psalmów. Z rozpaczą stwierdziła po raz kolejny, że na nic zdają się jej wysiłki.

– Nie, nie ma mowy, nigdy się tego nie nauczę, a tak mi na tym teraz zależy. – Westchnęła ciężko, zupełnie zrezygnowana.

Gorąco pragnęła połączyć się mistycznie z Bogiem w kontemplacji, tak jak to nieraz bywało podczas śpiewania. Wierzyła, że byłaby to najlepsza droga do pokonania problemów z głosem. Tylko to było teraz dla niej ważne. Postanowiła poświęcić się bez reszty służeniu bliźnim swym talentem.

Pomyślała w końcu, że skoro nie jest zdolna do katolickiej kontemplacji, to może uda się jej medytacja. To przecież też był sposób na zjednoczenie z transcendencją. Co wieczór zatem siadała w swoim saloniku na sofie z prawą nogą opartą na lewej i usiłowała skupić się na oddechu, tak jak ją uczyła Kasia w szpitalu. Ale z tego również nic nie wychodziło. Myśli jej wciąż odrywały się od oddechu i błędziły w obłokach.

Pewnego ranka, gdy czytała prasę, jej uwagę zwróciła informacja o spotkaniu z niemieckim byłym benedyktynem Willigsem Jägerem, byłym kierownikiem ośrodka medytacji chrześcijańskiej w Würzburgu. Został on wprawdzie wykluczony z zakonu i odsunięty od posługi kapłańskiej, lecz dalej prowadził swoją działalność. Kongregacja Nauki Wiary zabroniła mu wszelkiej działalności publicznej, ponieważ była niezgodna z nauczaniem Kościoła. Początkowo dostosował się do wyroku, jednak po kilku miesiącach postanowił powrócić do nauczania dróg mistyki chrześcijańskiej i założył świecki ośrodek. Wraz ze swoimi uczniami nadal prowadził kursy zen i kontemplacji w Niemczech, Europie Zachodniej i USA, także w Polsce. Wiele publikował i podróżował z odczytami. Podobną działalnością w sensie pokazywania związków chrześcijaństwa i innych religii, a nawet ze stanowiącym odłam buddyzmu zen, jednak w sposób zgodny z nauką Kościoła, zajmują się polscy benedyktyni w Lubiniu.

Trzeba tam pójść – postanowiła. To coś dla mnie – chrześcijańska medytacja, czyli coś pośredniego między medytacją zen, której uczyła mnie Kasia, a katolicką kontemplacją.

Po wejściu do sali zawahała się przez moment, czy nie wyjść z powrotem, gdyż niezbyt podobało się jej zgromadzone tam towarzystwo. Zwyciężyła jednak ciekawość. Usiadła wśród kobiet w jej wieku, o najmniej podejrzanym wyglądzie.

Były benedyktyn okazał się wyjątkowo szkaradnym i antypatycznym osobnikiem. Na jego widok Izie znów przysłała ochota, by wyjść. Powstrzymała się jednak, gdyż interesował ją temat wykładu: „Mistycy katolicycy”. Jednak w miarę jak mężczyzna mówił, coraz trudniej było jej powstrzymać się od wyjścia. Zaczął od tego, że ludzka świadomość pozostaje po śmierci i że ma to wiele wspólnego z siłą woli. Świadomość ta to wspólna dla całej ożywionej materii „Urwirklichkeit” (przeczywistość, jak przetłumaczono). Kolejną rewelacją, którą mnich objawił, była wskazówka, że w celu uniknięcia lęku przed śmiercią należy całkowicie zapomnieć o ciele, gdyż jest ono bez znaczenia, a liczy się jedynie nasza świadomość, gdyż połączona jest z ową „przeczywistością”. Dość długo przekonywał, że wszelkie wyrzuty sumienia, lęki, frustracje natychmiast ustają, gdy zapomni się o swojej ludzkiej powłoce i zjednoczy z „przeczywistością”. Jediną zaś drogą do osiągnięcia tej doskonałości jest medytacja. Polega ona na zamknięciu oczu – obojętnie w jakiej pozycji – i liczeniu: „Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...” I tak dalej aż do skutku. Z początku ogarnia nas strach, chcemy otworzyć oczy. Należy jednak powstrzymać się i liczyć dalej, tak długo, aż poczujemy całkowite odprężenie, następnie przejmujący spokój, a w końcu szczęście – zjednoczenie z „przeczywistością”.

Następnie potępił w czambuł całą teologię, twierdząc, że we współczesnym świecie skończyła się jej rola, gdyż wyparła ją psychologia transpersonalna. Ubolewając nad tym, że jako katolicki zakonnik musiał odprawiać msze święte, uśmiechnął się złośliwie i rzekł:

– Miałem jednak do Eucharystii odmienny stosunek. Powiem państwu o tym dopiero po ćwiczeniach. Zdradzę wam, w jaki sposób ją odprawiałem, kiedy jeszcze byłem zakonnikiem, ponieważ uważam, że było to do zaakceptowania przez wiernych, w odróżnieniu od obowiązującego w Kościele katolickim.

Wtem wstał jakiś młodzieniec i spytał poruszony:

– Jak to? To pan neguje wiarę we wcielonego Boga, w Jezusa Chrystusa?

– Chyba słyszał pan, co powiedziałem? Nie ma Boga. Jest tylko prarzeczywistość – odrzekł zakonnik impertynencko.

– No dobrze, to znaczy, że pan kwestionuje wszystkie katolickie dogmaty! My jesteśmy przyzwyczajeni do wiary w Tróję Przenajświętszą, a zwłaszcza w Jezusa Chrystusa. Nie wyobrażam sobie zbawienia bez Jego ofiary na krzyżu!

Jäger spojrział z politowaniem na młodzieńca, wyduł wargi i rzekł pogardliwie:

– Nie ma o czym mówić! Jeżeli panu to pomaga, to niech pan sobie wierzy!

Wówczas Iza nie wytrzymała, zerwała się z krzesła i powiedziała:

– Przeczytałam przed spotkaniem, że będzie to wykład na temat katolickich mistyków. Czy mógłby ojciec nam coś o nich powiedzieć, na przykład o świętej Teresie czy o świętym Janie od Krzyża. Czy oni też obcowali z prarzeczywistością?

– Napisałem na ten temat parę książek, więc może je sobie pani przeczytać. Są przetłumaczone na język polski. A teraz naprawdę szkoda czasu. Przystąpmy do ćwiczeń!

– Tak, tak, skończyć z tym gadaniem! – krzyczały siedzące koło niej kobiety, widząc, że ktoś jeszcze wstał, żeby coś powiedzieć. Zaczynijmy wreszcie ćwiczyć!

Cała sala wrzała, ludzie przekrzykiwali się nawzajem, nie mogąc doczekać się medytacji.

W końcu, zgodnie z podaną instrukcją, wszyscy zamknęli oczy i zapanowała cisza, gdyż liczenie odbywało się w myślach. Iza była ciekawa, co ów osobliwy benedyktyn opowie o tym, w jaki sposób odprawiał katolicką mszę świętą, ponieważ też odczuwała często, że nie ma ona zbyt wiele wspólnego z Bogiem. Uczestniczyła w niej tylko ze względu na matkę, aby zrobić jej przyjemność. Jedynie wówczas, gdy nabożeństwo połączone było z koncertem orkiestry i solistów, wykonujących utwory wybitnych kompozytorów, odczuwała kontakt z transcendencją. Dlatego też chciała pozostać do końca.

Prelegent nakazał zamknięcie oczu i liczenie w myśli. Posłusznie wykonała jego polecenie. Jednak w pewnym momencie otworzyła oczy i... zadrżała. Podobnie jak w swoim czasie w bazylice Mariackiej odniosła wrażenie, że z ust prelegenta zwisa czerwony jęzor. Reszty twarzy nie widziała, jedynie ogromne czarne rogi. Zrozumiała, dlaczego słowo „Bóg” zastępował osobliwym określeniem „prarzeczywistość”. Właściwie to wyraźnie zanegował istnienie Boga.

Ten człowiek to diabeł w ludzkim ciele – ukłuła ją w samo serce straszliwa myśl. Złękła się, że znowu opęta ją szatan i wpadnie w psychozę. Wyszła zatem, nie dowiedziawszy się, w jaki sposób ten człowiek odprawiał mszę świętą.

W domu zastanawiała się, jak ów były benedyktyn wpadł na technikę medytacji, polegającą na liczeniu. Nie mogła sobie jej wyobrazić jako... odliczanie. Wiedziała, że nawet techniki medytacyjne Wschodu, takie jak zen czy joga, polegały na koncentracji na jakimś jednym obiekcie lub też na rejestrowaniu swobodnego strumienia świadomości czy oddechu. Doszła do wniosku, że zakonnik musiał mieć jakieś przykre doświadczenia związane z modlitwą. Przypomniała sobie, że w jednej z książek, które czytała na głos matce, zetknęła się ze zjawiskiem całkowitej utraty zdolności do niej, występującym po okresach rozmodlenia nawet u świętych, określane przez katolickich mistyków mianem duchowej nocy. Ona również nie potrafiła już odmawiać modlitewnych formułek.

Najwięcej do myślenia dał jej stosunek Jägera do psychologii transpersonalnej jako nowej

teologii. Przypomniała sobie, że wspomniał coś o niej psychiatra, do którego udała się Celina i mówił rzeczy, które zaciekały ją w jej opowieści. Do późnych godzin nocnych przestudiowała wszystko, co znalazła na ten temat w Internecie i uległa fascynacji. Koniecznie chciała dowiedzieć się jak najwięcej o tej dziedzinie psychologii, gdyż dotyczyło to w poważnym stopniu jej przeżyć.

W poniedziałek z rana, zaraz po spożyciu śniadania, wsiadła w samochód, by udać się do śródmieścia w celu nabycia jakiejś książki dotyczącej tej dziedziny. Stojąc w korku, denerwowała się, jakby obawiała się spóźnienia na umówione spotkanie. Gdy wreszcie znalazła się w księgarni naukowej, wybrała najgrubszą z książek o psychologii transpersonalnej.

Po powrocie do domu zaparzyła świeżą kawę i usiadła z dzbankiem i kubkiem na tarasie. Lektura tak ją pochłonęła, że nie słyszała swego ulubionego śpiewu ptaków, któremu zawsze przysłuchiwała się z ogromną przyjemnością. Czytała z wypiekami na twarzy. Badacze zajmujący się psychologią transpersonalną podejmowali próby opisu duchowych doświadczeń człowieka i zintegrowania wiedzy na ich temat z nowoczesnymi teoriami psychologicznymi w taki sposób, aby obejmowały one sferę owych doświadczeń. Wśród opisów przeróżnych ich typów znajdowały się stany mistyczne i transowe, nawrócenia religijne, zmienione stany świadomości, przeróżne praktyki duchowe. Szczególnie zainteresowały ją niezliczone sposoby medytacji. Nie znalazła wśród nich, zgodnie ze swym domysłem, liczenia stosowanego przez byłego benedyktyna.

Przestudiowała wszystko o wartościach ostatecznych, o jednoczącej świadomości kosmicznej, sposobach samo urzeczywistnienia, o cudach, o przemianach świadomości. Szczegółowo przestudiowała rozdział o przekraczaniu jednostkowego Ja, empatii i współczuciu, o ścieżkach duchowych i sakralizacji życia codziennego. Zaniepokoiło ją nieco odrzucanie przez psychologów transpersonalnych stosowania wschodnich technik medytacyjnych, jako nieprzystających do cywilizacji zachodniej, gdyż nasza psychika jest inaczej ukształtowana; ponieważ miała nadzieję, że właśnie one najbardziej by jej pomogły. Wprawdzie psychologowie ci studiowali i czerpali z doświadczeń medytacji buddyjskiej, jednak traktowali je tylko jako wskazówki do własnych przemyśleń w celu głębszego zrozumienia duchowych aspektów życia człowieka.

Dwoma rękami podpisałaby się pod stwierdzeniem, że tradycyjna psychologia zachodnia w bardzo skromnym stopniu zajmowała się duchową stroną ludzkiej natury, bądź to negując jej istnienie, bądź to określając ją jako patologiczną. Psychologowie transpersonalni stwierdzili, że schyłkowy charakter naszych czasów wywodzi się w znacznej mierze właśnie z prób stłumienia naszego duchowego potencjału, które doprowadziły do duchowej próżni. Już w dwudziestym wieku jeden z twórców psychologii personalistycznej William James zauważył, że:

„Nasza zwykła świadomość w stanie czuwania jest tylko jednym szczególnym typem świadomości, gdy tymczasem wokoło, oddzielone od niej zamgloną przesłoną, kryją się potencjalne formy zupełnie innej świadomości”.

Czerpiąc wskazówki z tego spostrzeżenia, psychologowie transpersonalni nieustannie badali odmienne stany świadomości, odkrywając nowe możliwości rozwoju osobowego. Stwierdzali, że ten nowy dla nich teren został już zbadany przez psychologów Wschodu. Zastanawiała się nad opiniami, że nasza psychika i kształtująca ją kultura są tak odmienne, iż stosowanie wschodnich technik medytacji prowadzi do unicestwiania własnej osobowości. Doszła do wniosku, że Kasia była tego najlepszym przykładem.

Ze zdziwieniem przeczytała, że swego czasu pojawiły się koncepcje o dobroczynnym wpływie narkotyków na „poszerzenie świadomości”. Okazało się, że ich stosowanie często prowadziło do psychoz, a nawet samobójstw. Tak właśnie było w jej przypadku. Dlatego też

psycholodzy zwrócili się w odwrotnym kierunku, a mianowicie w stronę niezakłóconej uwagi i jasności umysłu, pozwalających na wgląd w strumień własnej świadomości. I to właśnie zaczerpnęli z buddyzmu.

Zbulwersowała ją wiadomość, że źródłem tej dziedziny psychologii była... poezja. Pod koniec dziewiętnastego wieku pewien kanadyjski psychiatra podczas wizyty w Anglii spędził wieczór w gronie przyjaciół na czytaniu wierszy amerykańskiego poety Walta Whitmana, który opiewał energię witalną człowieka jako istoty zjednoczonej z naturą wszechświata i obdarzonej „kosmiczną świadomością”. Określenie to było zapożyczony z indyjskiej filozofii wedyjskiej. Wracając do domu pogrążył się – jak to później opisał – w ideach, obrazach i uczuciach, wywołanych lekturą. Był w doskonałym, pogodnym nastroju. Nagle poczuł się, jakby znalazł się w ogniu. Po chwili zrozumiał, że światło to jest w nim samym. Bezpośrednio po tym ogarnęło go uczucie triumfu i niezmierniej radości, której towarzyszyła trudna do opisania intelektualna iluminacja. Stosując termin „kosmiczna świadomość” do scharakteryzowania niezwyklego stanu swej psychiki był jednym z pierwszych, którzy zwrócili się ku Wschodowi, szukając tam wyjaśnienia owych stanów świadomości, o których psychologia Zachodu nie miała nic do powiedzenia.

Wielcy mistycy wiedzieli coś na ten temat – pomyślała Iza. Jednak nie do przyjęcia była dla niej średniowieczna asceza, wyniszczanie ciała, całkowita samotność, ogałacanie się z wszelkich przyjemności, zarówno materialnych, jak i duchowych, a zwłaszcza celowe zadawanie sobie cierpienia fizycznych i psychicznych. Psycholodzy transpersonalni zdecydowanie odrzucali taką drogę do transcendencji.

Słynny amerykański psycholog, Abraham Maslow, przestrzegał przed traktowaniem „doświadczeń szczytowych” jako celu samego w sobie. „Największą lekcją, jakiej udziela prawdziwy mistyk” – pisał – „jest to, że świętość tkwi w powszedniości, można ją odnaleźć w zwykłym powszednim życiu, u swych sąsiadów, przyjaciół i w rodzinie, na własnym podwórku, a »podróż« może być ucieczką od konfrontacji ze świętością – ta lekcja może być łatwo zaprzepaszczona”.

Okazało się, że niefortunne spotkanie z benedyktyńskim było dla Izy pożyteczne, gdyż skierowało jej zainteresowanie w kierunku psychologii transpersonalnej, gdzie znalazła wiele frapujących wiadomości. Zbulwersowała ją zbieżność tych badań z opowieścią Celiny i własnymi przeżyciami. Dzięki tej lekturze uzyskała pewność, że zarówno jej tragedię, jak i Celiny spowodowały narkotyki, w oczach niektórych jedne ze „środków poszerzenia świadomości”.

Jednak mimo tych przemyśleń, po odłożeniu książki poczuła się rozczarowana. Miała w głowie jeden wielki mętlik. Nie znalazła w niej niczego, co mogłoby jej pomóc. Nie przekonały jej żadne z polecanych praktyk duchowych. Doszła do wniosku, że medytacja nie ma sensu, a kontemplacja też jej nie wychodziła. Uniemożliwiał ją strach przed powrotem psychozy pracujący w jej mózgu z całą precyzją. Dla niej istniała tylko jedna droga kontaktu z transcendencją, który był dla jej duszy czymś tak koniecznym jak powietrze do oddychania. Stanowił ją śpiew. Teraz straciła ów kontakt i nic innego niż śpiew nie było w stanie jej go przywrócić. Śpiewać z kolei nie mogła, bo zły duch oddalił ją od Boga, w którego wierzyła, wbrew wszystkiemu, co przeczytała i przeżyła.

To jest po prostu błędne koło, pomyślała zrozpaczona.

A przecież muszę śpiewać. Nie mam innego celu w życiu.

Tej nocy długo nie mogła usnąć, chociaż zażyła tabletkę nasenną. Udało się jej to dopiero nad ranem. Obudziła się, drżąc z przerażenia. „Porzućcie wszelką nadzieję!” – dudniło jej w uszach. Przypomniała sobie, że to na bramie wiodącej do piekła Dante kazał napisać:

„Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzić”. Ale ona, myśląc o swoim życiu i o tym, co czeka ją po drugiej stronie, nigdy przedtem nie brała pod uwagę możliwości znalezienia się przed taką bramą. Nie bała się wizji piekła. Nie wierzyła w nie. Stanowiło dla niej tylko mit. Te wszystkie malowidła straszące po średniowiecznych, renesansowych czy barokowych kościołach, te płomienie piekielne, te wszystkie naiwne tortury w obrazach Boscha były w gruncie rzeczy śmieszne, mimo swego sugestywnego piękna.

Teraz jednak uwierzyła w piekło. Wciąż ukazywał się przed jej oczami Mefisto, wzbudzając dreszcz przerażenia palący jak ogień rozniecony z iskry strachu w jej spopielonym sercu.

Rozdział 31

Sygnal z zaświatów

Często przesiadywała w pokoju matki, pogrążając się w zadumie. Wspominała każdą spędzoną z nią chwilę przed jej śmiercią. Czuła się straszliwie samotna. Nie miała już nikogo.

– Mamusiu kochana – mówiła przez łzy – dlaczego mnie opuściłaś? Jak mam żyć bez ciebie? Pomóż mi z zaświatów. Z pewnością jesteś w niebie. Wstaw się za mną u Boga, żeby przywrócił mi zdolność śpiewania.

– Przecież miałaś założyć studium wokalne – usłyszała kiedyś w myśli łagodny głos matki.

– Nie! – krzyknęła. – Ja muszę śpiewać!

Co dzień siadała do fortepianu i usiłowała ćwiczyć. Jednak rezultat był opłakany. Głos odmawiał jej posłuszeństwa, nie potrafiła opanować jego drżenia. Był drewniany, obniżył się znacznie, z trudem osiągała wysokie tony. Chodziła do lekarzy foniatrów, ale żaden nie mógł jej pomóc. Jej ukochana pani profesor, która uczyniła z niej świetną śpiewaczkę i nieraz pomagała jej w pracy nad rolą stwierdziła, że nie jest w stanie jej pomóc. O recitalach nie było na razie mowy. Jednak wciąż łudziła się, że przełamie niedyspozycję i wróci w zbliżającym się nowym sezonie do opery.

W końcu straciła wszelką nadzieję. Jedyne cel jej życia wymknął się z rąk. Wpadła w tak głęboką depresję, że nie była nawet w stanie zmusić się, by pójść do psychiatry.

Po co mam się leczyć, myślała załamana, skoro już nigdy nie będę śpiewać, psychoza wiecznie będzie powracać. Jaki sens ma takie życie?

Siedziała po całych dniach beczynnie na tarasie lub na sofie w salonie i popijała kawę. Zwolniła gosposię, która działała jej na nerwy nieustannym namawianiem do jedzenia i do wizyty u lekarza. Wyłączyła telefon i komórkę, bo nie mogła znieść ich dźwięku. Poza tym nie chciała z nikim rozmawiać. Nie miała o czym.

Niewiele jadła, chudła w oczach. Jednak – o dziwo – początkowo nie była osłabiona i zupełnie nie odczuwała głodu. W nocy leżała w łóżku, nie usypiając ani na chwilę. Pałaca w sercu iskra rozpacz dręczyła ją jak ból zęba.

Czuła się w swym wspomniałym domu jak w Hadesie. Zamknawszy oczy usiłowała nieraz przywołać z powrotem w wyobraźni ów piękny dom, w którym kiedyś mieszkała i wskrzesić w duszy tę wielką, uszczęśliwiającą miłość, która ją kiedyś rozpierała. Niestety, zamiast tego stawała przed nią okrutna prawda: znalazła się w piekle sytuacji bez wyjścia. Serce jej ścisnęło nieopisany ból.

Depresja przekształciła się w psychozę. Przestała się myć, gdyż zdawało się jej, że wszystko w łazience jest zatrute. Jeszcze gorzej było z ubieraniem. Każdy kolor, każda rzecz, którą miała na siebie włożyć, groziła tragicznymi w skutkach konsekwencjami, na przykład katastrofami lotniczymi lub kataklizmami pochłaniającymi tysiące niewinnych ofiar. Przestała więc się przebierać, nosiła te same dzinsy i jeden sweterek, nie zdejmując ich nawet na noc. Często wychodziła nocą z domu, gdyż słyszała głos Mefista: „Uciekaj z tego mieszkania, bo zwariujesz”. Lub też: „No, przygotuj się na śmierć, Izo!” Krążyła po pustych ulicach. Wraciała

nad ranem i wchodziła w ubraniu pod kołdrę, śmiertelnie wyczerpana. Lecz mimo to nie mogło być mowy o uśnięciu.

Zionęła nienawiścią do wszystkich i wszystkiego, a najbardziej nienawidziła siebie samej. Wyrzuciła do śmieci matczyne święte obrazy i noszony od lat złoty łańcuszek z krzyżykiem. Wciąż myślała o tym, co powiedziała jej Kasia, że Bóg jest ściśle zjednoczony z diabłem i że im bliżej niego, tym bliżej szatana.

– Jesteś diabłem, jesteś diabłem – powtarzała. – Nienawidzę cię!

Wycieńczona głodowaniem i bezsennością zaczęła powoli opadać z sił. Wyglądała jak kościotrup. Poznała straszliwe cierpienia głodowej śmierci, gdyż z jednej strony przekonana była, że wszystko jest zatrute, z drugiej zaś odczuwała potworny ból skurczonego z głodu żołądka. Całymi dniami rozmawiała sama ze sobą lub z diabłem, który zadomowił się w jej mózgu.

Pewnej bezsennej nocy pojawił się! W straszliwej postaci z upiorną twarzą. Okrzyk przerażenia wydarł się z jej ust. Wtuliła twarz w poduszkę, żeby go nie widzieć. Nic to nie dało. Stał w dalszym ciągu przed jej zamkniętymi oczyma. Chociaż zatkała uszy, by nie słyszeć co mówi, dochodził do niej jego chrapliwy głos:

– Zostałaś sama. Masz już tylko mnie... Chodź do mnie – kusił – chodź. Skończ z tym przeklętym życiem... Masz taki solidny sznur w komórce. Powieś się na żyrandolu w salonie. To jest pewniejsza śmierć niż zażycie tabletek nasennych.

Przerażona zerwała się na równe nogi. Rozejrzała się po pokoju. Nie było go. Odszedł. Odetchnęła z ulgą.

Wróciła do łóżka.

„Powieś się, Powieś się, powieś się...” – słowa te rozsadały jej czaszkę przez całą noc. Tak – zdecydowała nad ranem – to jedyne wyjście. Muszę wreszcie zacisnąć na szyi tę diabelską pętlę.

Wstała i chwiejnym krokiem poszła do komórki. Długo szukała.

– Znalazłam! – krzyknęła.

Weszła do salonu. Podsunęła taboret pod żyrandol. Umocowała na nim sznur. Zrobiła pętlę. Teraz wystarczyło założyć ją na szyję i kopnąć taboret. Nagle pętla wypadła jej z rąk, jakby ją ktoś z nich wytrącił. W tym samym momencie usłyszała głos matki:

– Na kolana, Józiu!

Odniosła wrażenie, że w samą głowę poraziło ją uderzenie pioruna, błyskawicznie przesywając całe ciało aż do stóp. Spadła z taboretu. Po czym przeniosła się na moment do innego wymiaru. Trwało to przez okamgnienie, rozegrało się poza czasem i otaczającą ją rzeczywistością, jak gdyby przestała istnieć w realnym świecie. Pozbyła się materialnej powłoki, ale zdawała sobie sprawę, kim dotąd była. Widziała siebie jako najbliższą sercu postać, a całe dotychczasowe życie odczuła w jakiś trudny do określenia, abstrakcyjny sposób, jakby zakodowano je w pełni w pozazmysłowej sferze. Jej egzystencja, znikoma jak ziarnko piasku, uwolniona z więzów rzeczywistości, z całego sztafażu innych postaci, jakże bliskich, lecz równocześnie tak odległych w tym nierzeczywistym krajobrazie, odcięta od pępownicy matki Ziemi unosiła się gdzieś w przestworzach wraz z dźwiękami oratoriów, wraz z urodą i zapachem świerkowych lasów, wraz z subtelnym błękitem bezkresu nad szmaragdowymi wodami i kryształową przejrzystością górskiego powietrza, nabierając wśród tych wspaniałości szczególnego znaczenia. Wtopiona w cud stwórczej doskonałości, lżejsza niż ptasie piórko unosiła się w świetlistej jasności nieopisanego piękna, a serce jej przepelniała miłość... Tak. To było to cudowne uczucie, za którym tak bardzo tęskniła.

Kłęczała, a po policzkach spływały jej łzy wzruszenia.

– Kocham cię, mamusiu – wyszeptała.

Czuła się, jakby wróciła z dalekiej podróży. Wstała z klęczek i rozejrzała się po pokoju. Znow znalazła się w swym przytulnym salonie. Przepelią ją uczucie szczęścia i radości. Było to tak, jakby jakiś anioł wyjął z jej oka odłamek krzywego zwierciadła, który obrzydził jej całe otoczenie.

To nie było piekło – pomyślała, wzdychając z ulgą – to był tylko czyściec, z którego wróciłam, by cieszyć się życiem. Wyprowadziła mnie z niego moja ukochana matka, która przez cały ten straszny czas walczyła o moje zbawienie gdzieś tam w zaświatach.

Poczuła się lekka jak ptak. Jak na skrzydłach pofrunęła do łazienki. Zrzuciła z siebie przepocony szary sweter i cuchnące dzinsy. Napelniła wannę i wlała do niej sporo płynu do kąpieli, po czym zanurzyła się w pachnącej pianie. Leżała w niej, nucąc „Ave Maria” Schuberta. Umyła głowę i energicznie wyszorowała całe ciało szczotką na kiju. Gdy wyszła z wanny, włożyła różowy szlafrok kąpielowy i usiadła przed lustrem, by rozczesać swoje bujne włosy. Ujrzała wychudzoną twarz, na której pojawiły się zmarszczki.

To nic, pocieszyła się. Trzeba będzie wstrzyknąć botoks.

Nagle poczuła głód. Pobiegnęła do kuchni, by zjeść śniadanie. Usmażyła jajecznicę na szynce i zjadła ją łapczywie, zagryzając grzankami. Ledwo skończyła, usłyszała dzwonek domofonu. Nie zastanawiała się ani przez chwilę, czy otworzyć. Obojętne jej było, kto to jest. Spragniona była towarzystwa, obojętnie czyjego. Podeszła do drzwi wejściowych, podniosła słuchawkę i zgłosiła się.

– To ja, Przemek – usłyszała drżący głos. – Wydzwaniam do ciebie. Nagrywam się... Pewnie masz znowu depresję, skoro wyłączyłaś telefon... Wpuścisz mnie?

– Już otwieram – odpowiedziała bez wahania.

Ucieszyła się na jego widok, chociaż wyglądał marnie. Był wychudzony, na jego twarzy malowało się przygnębienie, z trudem pokrywane uśmiechem. W jednej ręce trzymał ogromny bukiet jej ulubionych szkarłatnych róż, a w drugiej butelkę szampana.

– Wejdz – powiedziała przyjaznym tonem. – Poczekaj w salonie, aż się ubiorę i umaluję.

– Naprawdę nie musisz. Dla mnie zawsze jesteś najpiękniejsza! – krzyknął z zapalem.

– O, co ty powiesz? Piękniejsza od Leny? – spytała kąpiącym tonem.

– Nie wiem – wzruszył ramionami. – Dla mnie ty jesteś najpiękniejsza. To był tylko seks, opętanie.

– Jak ja to dobrze znam. – Iza pokiwała głową.

– Z Leną już dawno skończyłem. Zrozumiałem, że kocham tylko ciebie. Usiądź koło mnie, Izuś – rzekł z czułością. – Tak bardzo za tobą tęskniłem. Nie mogę wprost uwierzyć w to szczęście, że mi wybaczyłaś.

– Ja tobie? – zdziwiła się, siadając koło niego na sofie.

– Chyba to ty musisz mi wybaczyć.

– Bogu dziękuję, że ugodziłaś mnie nożem, bo wyrównały się nasze krzywdy. Do dziś mam wyrzuty sumienia. Muszę ci to wyznać i prosić o wybaczenie. Te straszne nasze przeżycia spowodowała ta... przeklęta, zdraдлиwa amfetamina. Wsypałem ci ją do cukru... Muszę to wreszcie wyrzucić z sumienia. Nie przypuszczałem, że to cię wykończy. Strasznie cię skrzywdziłem. Zniszczyłem twoją karierę i...

– Wiem o tym – przerwała mu.

– Wiesz? – zdziwił się. – I mimo to... naprawdę mi wybaczyłaś?

– No nie. Przecież chciałam cię zabić!

– Ale teraz znowu jest między nami dobrze, tak?

– Tak, kochanie – odpowiedziała. – Co by mi to dało, że jeszcze przez te pięć, sześć lat bym śpiewała? I tak w końcu musiałabym ustąpić miejsca młodszemu. Byłabym zgorzkniała i samotna... Dopiero dzięki temu, co mi zrobiłeś, dzięki temu, co potem przeżyłam, pokochałam matkę, dowiedziałam się wielu rzeczy, o których nie miałam pojęcia i zrozumiałam w końcu, że w życiu nie najważniejsza jest kariera... Będziemy mieli jeszcze wiele czasu, abym ci o tym opowiedziała. A teraz włożę kwiaty do wody i przyniosę kieliszki do szampana.

– Ale nie ubieraj się i nie maluj. – Objął ją i delikatnie pocałował. – Szkoda czasu. Mamy tyle do nadrobienia. – Dobrze – zgodziła się uszczęśliwiona.

Zrozumiała, że Przemek jest jej najbliższą osobą. Czuła, że tylko jego tak naprawdę zawsze kochała po samobójczej śmierci Michała. Nigdy nie współżyła z żadnym mężczyzną tak długo i tak harmonijnie. Znali się jak łyse konie. Rozumieli się doskonale. Odniosła wrażenie, że wszystko, co zdarzyło się od czasu jego zdrady, to był tylko koszmarny sen, że zawsze się kochali. Pamiętała, jak cierpliwie opiekował się nią w okresach jej depresji.

Patrzyli na siebie w milczeniu, a po policzkach spływały im łzy wzruszenia. Wiedziała, że jego nazwisko też znikło z afiszy. Współczuła mu, zjednoczona z nim w nieszczęściu. Spotkał ich podobny los, co ich jeszcze bardziej zbliżało.

– Długo leżałeś w szpitalu? – spytała.

– Nie. Z tego szybko wyszedłem. Nie zadałaś mi zbyt głębokiej rany. Żadne wewnętrzne organy nie zostały uszkodzone. Ale później byłem ciężko chory. Miałem udar mózgu.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła z przejęciem. – Jak do tego doszło?

– To długa i... tragiczna historia.

– Opowiedz mi wszystko dokładnie – zainteresowała się. – Ale najpierw włożę kwiaty do wody i napijemy się szampana.

Wyszła z kwiatami, a on rozglądał się po pokoju. Nie mógł wprost uwierzyć w to szczęście, że znowu się w nim znajduje. Marzył o tym, by tu wrócić, by znowu być ze swą ukochaną, ale wydawało się to niemożliwe. I oto spełniło się.

Iza wróciła z różami w kryształowym wazonie, wyjęła z kredensu kieliszki do szampana. Przemek otworzył butelkę, napelnił je.

– Za naszą wspólną przyszłość! – wznosił toast.

– Za naszą wspólną przyszłość! – powtórzyła.

Upili nieco szampana i chwilę siedzieli wzruszeni w milczeniu.

– Opowiadaj – odezwała się pierwsza.

– Zaczęło się od niewielkich ilości. Amfetamina dodawała mi pewności siebie i pomagała w osiągnięciu wysokich tonów, ułatwiała zapamiętywanie ról. Poza tym czułem się po niej... cudownie. Byłem błyskotliwy, piekielnie mądry, szybki. Wszyscy wokół mnie też byli wspaniali. Od wszystkich aż biło radością, entuzjazmem, miłością do mnie i do siebie nawzajem... Byłem pełen energii, żadna czynność nie sprawiała mi problemu, zero wysiłku, zero bólu, zero smutku... Jednak po powrocie do domu nie było tak różowo. Ze snu nici – oczy same się otwierały, nawet jak je zamykałem na siłę... – Znam to. – Iza pokiwała głową.

– Najgorsze zaczęło się po powrocie ze szpitala po twoim pchnięciu nożem – kontynuował. – Brałem coraz to większe dawki, bo nie mogłem śpiewać. Właściwie to się zaczęło jeszcze przed twoją... napaścią. Nadwreżyłem struny, ponieważ po narkotyku forsowałem głos, z łatwością osiągając wysokie tony. Już wtedy zaczęły się problemy, ale pomagał mi foniatra. Natomiast po wyjściu ze szpitala nie mógł mi już pomóc, musiałem pożegnać się z operą. Zastanawiałem się, co ze sobą zrobić. Skończyłem ekonomię, więc pomyślałem, że mógłbym zająć się zorganizowaniem prywatnego studium wokalnego.

Wiedziałem, że ty też już nie śpiewasz, więc myślałem, że moglibyśmy razem prowadzić taką szkołę. Marzyłem o powrocie do ciebie. Śniłaś mi się po nocach, ale nie śmiałem nawet zadzwonić... Na nic nie miałem energii. Byłem wypalony, straszliwie samotny. Pocieszałem się amfetaminą. Znalazłem sobie odpowiednie towarzystwo do przeżywania narkotykowych szaleństw w chemicznej krainie miłości, braterstwa, oddania. Zapomnienia o smutnej rzeczywistości... W każdą sobotę urządzaliśmy party.

Iza słuchała jego opowieści z zapartym tchem, przypominając sobie, że ona też, zanim wpadła w psychozę i zaczęła widzieć diabła, czuła się tak cudownie.

– Z biegiem czasu zwiększyłem dawkę do pół grama – ciągnął dalej Przemek. – To było wspaniałe. Wciążam biały, bruzdowaty proszek, czuję palący ból w środku nosa, jednak ten ból jest namiastką prawdziwego szczęścia, które już niebawem nastąpi... Mija pół godziny, zaczynam je intensywnie odczuwać, po raz kolejny zaczynam miłować bliźnich, wierzę w siebie, wierzę w miłość, wierzę w radość! Wierzę, że ty mnie kochasz i że już wkrótce będziemy razem. Czuję jedność z innymi. Jak ja kocham tych ludzi, jacy oni są wspaniali! Ci wszyscy ludzie kochają mnie także...

Zejścia były coraz koszmarniejsze. Nie mogłem zmrużyć oka, znajdowałem się na skraju wyczerpania. Świat stawał się szary, straszny, bezsensowny. Najmniejszej nadziei, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę... Przyrzekałem sobie: „Kończę z białym proszkiem”. Ale w sobotę znowu byłem królem. Tak mijały tygodnie. Cudowne tygodnie, wiara w siebie, wiara w naszą miłość! Esencja życia, kontakt ze znajomymi, wspólne wciąganie, moc!

Pewnej soboty nagle... jest całkiem inaczej. Cały świat spowalnia, wszystko jest jakby za mgłą... Czuję jak krople potu spływają mi po skroni. Robi mi się gorąco, duszno... Myślę, żeby wyjść na dwór. Obracam się, nogi są jak z waty, nie mogę iść, na twarzach wszystkich widzę wrogość. Powoli ta wrogość przeradza się we wrogość do mnie... Próbuję iść, próbuję przyspieszyć... Nagle w połowie drogi zatrzymuję się, otacza mnie lepka, gęsta mgła i wirujące światła, widzę dookoła siebie tłum ludzi... Już się nie poruszam. Nie czuję nic, wszystko zaczyna skakać. Już nie stoję, leżę na ziemi... Mało co widzę – chwilowe odgłosy, chwilowe odczucia, przebłyski kolorów... Kolejna faza... Teraz nie słyszę już nic. Delikatny szum i czysta, oślepiająca biel, już się nie boję, już nie ma nic...

Budzę się w szpitalu... Co się stało? Obok mnie stoi lekarz. Mówi, że przedawkowałem, mówi, że prawie straciłem życie. Okazało się, że dopiero po dwóch dniach odzyskałem przytomność. Tomografia wykazała udar mózgu. Dwa miesiące leżałem w szpitalu. Na szczęście komórki mózgowie się odbudowały, ale mam pewne problemy... – przerwał i łyknął sporo szampana, po czym padł na kolana.

– Izuś, najdroższa, jestem wrakiem – mówił przez łzy. – Czy naprawdę mnie jeszcze zechcesz?

Podniosła go z klęczek i mocno przytuliła. Odczuwała pełnię szczęścia w jego objęciach.

– Ja też jestem wrakiem – wyszeptwała. – Chciałam popełnić samobójstwo. Wspólnymi siłami wyjdziemy z tego. Staniemy na nogi. Zorganizujemy studium wokalne. We dwójkę damy sobie radę. Sam widzisz, że nasza miłość zwyciężyła.